



**Lloyd Josie, Emlyn Rees**

**ZASADA**

**TRZECH DNI**

Tytuł oryginału: *The Three Day Rule*



*Dla naszych trzech chrześniaków: Olivera, Jacka i Paddy'ego. (Zawsze możecie spędzać z nami święta Bożego Narodzenia!)*

## **Dzień pierwszy Wigilia**

### **Rozdział pierwszy**

Vaughan rozsunęła grube zasłony i zadrżała, przewiązując się paskiem białego hotelowego szlafroka. Z wychodzącego na zatokę okna luksusowego apartamentu widziała rozciągające się w dole spadziste szare dachy domów wybudowanych przy przystani, której zatoczkę zanieczyszczały małe kutry. Na drugim końcu, za nabrzeżem chronionym starym kamiennym murem, przylądek pokrywały fioletowe i żółte wrzosowiska, a jeszcze dalej kanał La Manche - tego ranka w barwach głębokiego granatu - połyskiwał pod jasnobłękitnym niebem, na którym wysoko zawieszona smużka chmur tkwiła niczym znak zapytania.

Myślała, że z daleka uda jej się dojrzeć maleńką wysepkę, na której Elliot będzie spędzał święta z rodziną, lecz chyba było to tylko pobożne życzenie.

Kellie odwróciła się i westchnęła, spoglądając na neutralne kremowo-beżowe barwy hotelowego pokoju i butelkę po szampanie wetkniętą do góry dnem w kubek z lodem stojący na stoliku obok pluszowych kanap. Była we Fleet Town, stolicy St. John's, największej wyspy w archipelagu położonym przy południowym wybrzeżu Kornwalii. Wyspy słynęły jako wspaniałe cele wakacyjnych podróży, lecz teraz, w samym środku zimy, wydawały się ponure i pozbawione wyrazu. Nie mogła narzekać na otaczający ją pięciogwiazdkowy luksus, ale miała tu mieszkać jeszcze trzy dni i wiedziała, że większość tego czasu przyjdzie jej spędzić w samotności.

Być może powinna była o tym pomyśleć już wtedy, kiedy Elliot po raz pierwszy zasugerował, żeby tu przyjechała, ale tego nie zrobiła. Zrobiła to co

zawsze: udała, że jest rozrywkową impulsywną ryzykantką, że oczarowała ją romantyczna propozycja Elliota, przyleciała tu helikopterem Sikorsky z Penzance i zatrzymała się w najlepszym i najbardziej ekskluzywnym hotelu spa na wyspie. W jego ustach brzmiało to bardzo prosto i przekonująco, lecz teraz widziała, że musi sobie czymś wypełnić te wszystkie godziny.

Jednak nie była to chyba zbyt wygórowana cena? Liczyła się każda chwila, którą spędzali razem - nawet ta najkrótsza. Właśnie na tym polegało bycie zakochanym.

Zresztą powinna była już do tego przywyknąć. Latem, kiedy Elliot został zmuszony do spędzenia z rodziną dwutygodniowych wakacji we Włoszech, postarał się, aby Kellie zamieszkała w hotelu w sąsiedniej zatoce i stał się pasjonatem samotnego żeglowania, aby móc spędzać z nią każde popołudnie.

Teraz też była w pobliżu, na tych samych tajnych zasadach, lecz tym razem dwadzieścia osiem mil od wybrzeża Kornwalii. Nie potrafiła zdusić obawy, że pewność Elliota co do tego, iż będzie w stanie wymykać się z domu i spędzi z nią przynajmniej jedną noc oraz większość każdego dnia, nie była taka realistyczna, jak mu się wydawało. W końcu jego ojciec mieszkał na Brayner, jednej z mniejszych wysepek. Elliot mówił o tym tak, jak gdyby jego dom stał w sąsiedztwie, ale Kellie doskonale wiedziała, że chodzi o znacznie większą odległość. Wymykanie się i wracanie do domu wymagałoby korzystania z łodzi, podobnie jak we Włoszech. Nawet zakładając, że Elliotowi uda się ją zdobyć, to znikanie w środku rodzinnych świąt naprawdę nie będzie tak proste, jak ją przekonywał.

Za jej plecami Elliot poruszył się w skotłowanej pościeli.

- Co tam robisz? - zapytał głosem ochryłym po licznych kieliszkach brandy, które opróżnili poprzedniego dnia w hotelowym barze, i po szampanie wypitym po powrocie do pokoju. - Wracaj. - Zamknął oczy, uśmiechnął się i opuścił

głowę na poduszkę, poklepując widoczne tuż obok niego wgniecenie w kształcie ciała Kellie.

Kellie uśmiechnęła się, podeszła do niego, uklękła i zmierzwiła mu włosy. W takich chwilach kochała go najbardziej: z włosami potarganymi od snu, seksownym zapachem potu i drogiego płynu po goleniu. Spojrzał na nią, mrużąc błękitnoszare oczy.

- Masz na sobie za dużo ubrań - powiedział. Roześmiała się. - Myślałam, że masz kaca.

- W takim razie mnie wylecz.

- Ale już prawie czas - odparła Kellie, zrzucając szlafrok i kładąc się w jego ramionach. Wiedziała, że cała jego rodzina spodziewa się go dzisiaj w St. John's, po załatwieniu ważnej służbowej sprawy w Londynie, z którą rzekomo uporał się wczoraj wieczorem. Nie mieli pojęcia, że Elliot już tutaj jest.

- Wiem. Chryste, tak bardzo ci zazdroszczę, że tutaj będziesz. Chciałbym zrobić sobie mały urlop - powiedział," odwracając się do niej. - Ale myślę, że to ty na niego zasługujesz.

Kellie poczuła przyływ satysfakcji, słysząc, że w końcu dostrzegł jej bardzo ciężką pracę. Elliot był najbardziej ambitnym mężczyzną, jakiego spotkała w całej swojej karierze, i od niej również wiele wymagał - do tego stopnia, że ostatnio miała wrażenie, iż całe jej życie krąży wokół WDG & Partners, kancelarii prawniczej, w której obydwójce pracowali. Zdawało jej się, że ta presja nigdy nie osłabnie. Na początku roku dostała awans, co już było nie lada osiągnięciem, a potem, po pewnych zmianach kadrowych, które nastąpiły kilka miesięcy temu, awansowała ponownie. Wiedziała, że Elliot był zaangażowany w proces podejmowania tych decyzji, lecz to tylko zwiększyło jej determinację, aby dowieść własnej wartości. Nie chciała, żeby po świętach, kiedy wszyscy pracownicy kan-

celarii przestaną spekulować i dowiedzą się, że ona i Elliot są parą, ktoś jej zarzucił, że zapewniła sobie kolejne awanse, idąc z szefem do łóżka.

Cieszyła się jednak, że Elliot zazdrości jej tego urlopu. Im bardziej będzie sobie wyobrażał, że ona wspaniale się bawi i zażywa relaksu, tym zacieklej będzie zabiegał o spotkanie.

- Tak... no cóż, ty też zasługujesz na odpoczynek - stwierdziła.

Elliot jęknął. - Po prostu nie mogę tego znieść - powiedział, marszcząc twarz, co nadało mu wygląd małego chłopca. - Nie chcę tam jechać.

Kellie była do tego przyzwyczajona. Elliot zawsze znosił rozstania o wiele gorzej niż ona. Wiedziała, że czuje się winny, spędzając czas z rodziną, z dala od niej i - jak na ironię - zazwyczaj to ona przekonywała go, że jakoś to wytrzyma. Czasami miała wrażenie, że istnieje dwóch Elliotów: Elliot z pracy - władczy, kompetentny i silny - i ten Elliot - mężczyzna, którego kochała najbardziej, lecz jednocześnie ten sam, na którego widok nie mogła uwierzyć, że jest czyimś ojcem.

Zwykle kwitowała to śmiechem, lecz teraz, gdy oparła podbródek na jego piersi i przeczesła koniuszkami palców bujną gęstwinę ciemnych włosów między jego sutkami, jej opanowanie ustąpiło miejsca dławiącej zazdrości.

- W takim razie nie jedź. Zostań tu ze mną. Nigdzie nie wyjeżdżaj - poprosiła. - Możemy nie wychodzić z łóżka całymi dniami i korzystać z obsługi hotelowej. Nikt nigdy się nie dowie...

- Byłoby wspaniale, wierz mi - powiedział, przeciągając się.

- Ale nie możesz - odparła, kończąc za niego zdanie. Albo nie chcesz, zamierzała dodać, lecz ostatecznie się powstrzymała.

- Hej, spójrz na to z drugiej strony - powiedział łagodnym tonem. - Miałem tam jechać na cały tydzień, lecz stanowczo odmówiłem. Trzeba uszanować zasadę trzech dni.

- Co to takiego?

- No wiesz, chodzi o to powiedzenie... goście są jak ryba. Po trzech dniach zaczynają śmierdzieć.

- Skoro wszystko zapowiada się tak okropnie, dlaczego po prostu nie machniesz na to ręką? Pomyśl. To może być idealna okazja. Zadzwoń do Isabelle. Powiedz jej, że to koniec.

Elliot westchnął. - Cholera, to kusząca perspektywa, wierz mi, ale już o tym rozmawialiśmy. Tam jest Taylor... i mój ojciec... są święta...

Znowu to samo: święta. Kellie wiedziała, że jęczenie albo dręczenie go byłoby fatalnym rozwiązaniem (wiedziała, że właśnie tych cech najbardziej nie znosi u żony i córki), ale nie rozumiała, co takiego ważnego mają w sobie te święta. Nie była religijna, podobnie jak Elliot. Jasne, lubiła obchodzić święta jak wszyscy, ale to całe jednoczenie się rodziny wydawało jej się strasznie archaiczne. Jej własnej rodzinie nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby uznać święta Bożego Narodzenia za wystarczający powód do spotkania. Brat pływał statkiem gdzieś u wybrzeży Kanady, matka mieszkała i pracowała w Paryżu, a ojciec, który pozostał w Australii, ponownie się ożenił i teraz jego myśli zaprzętała inna rodzina.

- Święta. Święta. Nie cierpię tych cholernych świąt - powiedziała, odsuwając się od niego i splatając ręce na piersi. Pomyślała o swojej liście utworów z iPod'a, zatytułowanej *Gówniane święta*, która obejmowała *Christmas Boogaloo* Big Boss Mana, *Alan Parsons in a Winter Wonderland*<sup>1</sup> Granddaddy'ego i osobistego faworyta Kellie, *The Man Who Slits the turkeys' throats at Christmas*<sup>2</sup> Robina

---

<sup>1</sup> Alan Parsons w zimowej Krainie Czarów (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

<sup>2</sup> Facet, który podrzyna indyckie gardła na święta Bożego Narodzenia.

Lainga. Tuż po wyjściu Elliota zamierzała wziąć długą kąpiel i przesłuchać te wszystkie piosenki.

- Izz, pleciesz bzdury - stwierdził Elliot.

- Mówię poważnie. To takie pierdoły. Po prostu dajemy się wessać temu całemu konsumpcjonizmowi, a tak naprawdę wszyscy mają to gdzieś. Jedynymi ludźmi, którzy czerpią z tego jakąś korzyść, są właściciele sklepów. Jakby uderzyło w nas tsunami tandety. W zeszłym tygodniu poszłam na Oxford Street i zastałam tam istny chaos.

Elliot roześmiał się.

- A bożonarodzeniowe kartki? - ciągnęła swoje narzekania. - O co w tym w ogóle chodzi? To takie marnowanie drzew. W połowie przypadków ludzie nawet ich nie podpisują. Och, i jeszcze te sztapkowe teksty... - urwała, gdyż przyszła jej do głowy pewna myśl. Odwróciła się, wsparła na łokciach i spojrzała na Elliota. - Czy Isabelle też je wysyła? Założę się, że tak.

Elliot jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

- Ha! Wiedziałam. Opowiedz mi o tym. No, dalej. Czy to jest...

- Nieznośne? O, tak - powiedział Elliot, przerywając jej i zerkając spomiędzy palców. Najwyraźniej nie zamierzał ustąpić i przedstawić jej wszystkich szczegółów, ale już o tym wiedziała. Elliot był dyplomatą i lubił gderać na Isabelle na własnych warunkach (zwykle wtedy kiedy był pijany), ale nie tak jak teraz, nie wtedy gdy to Kellie próbowała rozpocząć rozmowę, zmuszając go do mówienia nieprzyjemnych rzeczy. - Na moje szczęście - ciągnął z uśmiechem, naciskając palcem czubek nosa Kellie - ty mnie od tego wszystkiego wybawisz. Dzięki Bogu.

- Już teraz mógłbyś się sam wybawić, gdybyś chciał...



- Och, kochanie. Proszę, nie utrudniaj mi tego. Muszę postąpić tak, jak należy. Tylko ten jeden raz, dobra?

- Ale nadal zamierzasz im o wszystkim powiedzieć w Nowy Rok, tak jak obiecałeś? - zapytała.

- Tak.

- Przed Nowym Rokiem - uściśliła.

- Już ci powiedziałem. Załatwię to.

Wiedziała, że nie ma sensu bardziej go naciskać. Musiała mu zaufać. Ufała mu. Kochała go. Przełamał się kilka miesięcy temu i powiedział jej, że się w niej zakochał i że pokazała utu, iż wszystko, co posiada, jest bezwartościowe, jeśli nie ma jej przy nim. Od tamtej pory ich przyszłość była już jasna.

- Ja będę w znacznie gorszej sytuacji - powiedział, odgarniając jej z twarzy długi kosmyk brązowych włosów. - Jak myślisz, jak będę się czuł, wiedząc, że tu jesteś? W każdej sekundzie będę musiał myśleć o tym, co robisz. Czym zamierzasz się zająć po moim wyjeździe?

Teraz, kiedy zadał jej tak oczywiste pytanie, zdała sobie sprawę, że prawie w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Wydawało jej się, że zdoła jakoś umilić sobie czas. Będzie chodzić na zabiegi spa i delektować się słodkim nieróbstwem. Nagle ta perspektywa wydała jej się mniej kusząca.

- Założę się, że będziesz w siódmym niebie, mogąc oglądać te wszystkie filmy, kiedy nie będę ci przeszkadzał - powiedział.

Nie miała serca powiedzieć mu o tym, że już przejrzała hotelową kolekcję filmów DVD i okazało się, że wszystkie widziała - podobnie jak niemal każdy film w swojej lokalnej wypożyczalni wideo. Niechący zmieniła się w kinomankę, co stanowiło nieoczekiwaną korzyść wynikającą z tych wszystkich późnych wieczorów, które spędzała w samotności, czekając na telefon od Elliota.

- Chyba tak... Poza tym mogę rozejrzeć się po okolicy. Wyspać się... poczytać... - Potarła powieki, a wczorajsza maskara zachręściła pod grzbietem jej dłoni. - Zmyć makijaż - ciągnęła, pokazując Elliotowi czarną plamę. - Atrakcyjne, prawda?

- Bardzo. Jesteś piękna, Kel. Nawet wtedy, kiedy wcielasz się w pandę. A może przyniesiesz tutaj to swoje idealne seksowne ciało? - powiedział, kładąc ją na sobie.

Potem powoli i zmysłowo zaczęli się kochać.

Kellie nigdy nie zamierzała zostać kochanką Elliota, lecz po roku trwania ich związku sytuacja była jasna: Elliot ją uszczęśliwiał, a ona uszczęśliwiała Elliota. Twierdził, że bardziej niż ktokolwiek inny, a ona mu wierzyła. Pomimo dziesięciu lat różnicy łączyła ich erotyczna więź i emocjonalne dopasowanie, które obydwójce uważali za zrządzenie losu - i chociaż w pewnych chwilach ciężko znosiła bycie kochanką, to nawet przez ułamek sekundy nie podejrzewała, że Elliot „pieprzy swoje ciasteczko i zjada je”, jak zgrabnie podsumowała Jane, jej najlepsza, lecz obecnie bardzo odległa przyjaciółka. Kellie była głucha na takie oskarżenia. Prawda wyglądała w ten sposób, że Elliot był nieszczęśliwy od wielu lat, na długo zanim poznał Kellie.

W rzeczywistości, zanim go poznała podczas pracy nad swoją pierwszą sprawą w WDG & Partners, związaną ze statutem przedsiębiorstwa, dotarła do niej jego sława ponurego potwora. Wyglądało na to, że Elliot Thorne jest wielkim, srogim i nieuznającym kompromisów szefem, który podobno był tak wymagający, że wielu podwładnych pokroju Kellie doprowadzał do łez. Kellie zastosowała jednak inną taktykę, odpyskowując mu i zmuszając do przeproszenia za niegrzeczne zachowanie. Zwalczała ogień ogniem i potraktowanie Elliota jego własną bronią najwidoczniej zdało egzamin. Kilka dni później zdołała go rozśmieszyć. Po paru tygodniach zostali przyjaciółmi.

Wkrótce nieśmiało się przed nią otworzył, a ona odkryła, że jest chyba najbardziej samotnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Niebawem Kellie wiedziała już wszystko o jego owładniętej obsesją kontroli i zaabsorbowanej rozbiciem interesów żonie, Isabelle, oraz o opryskliwej wyobcowanej córce, Taylor. Miała świadomość, że nie powinna się angażować, ale nagle zrozumiała, że pragnie uczynić życie Elliota lepszym.

Potem, to było przed zeszłymi świętami Bożego Narodzenia, spędzali ze sobą każdy wieczór, pracując do późna nad jakąś sprawą. Kiedy w końcu się pożegnali, Kellie musiała zdusić łzy, które w niczym nie przypominały łez jej poprzedniczek. Wiedziała, że będzie za nim tęsknić i nie była to tęsknota, którą odczuwa się w relacjach z własnym szefem.

Właśnie dlatego, kiedy przemoczony do suchej nitki, zrozpaczony Elliot pobiegł za nią ulicą, przycisnął do barierki, przeprosił i zaraz potem pocałował, wiedziała, że nie tylko nią zawładnęło coś, czego się nie spodziewała.

Od tamtego czasu spędzali ze sobą niemal każdy dzień, a kiedy Elliot wynajął mieszkanie oddalone o jedną przecznicę od kancelarii przy Chancery Lane, wprowadzenie się do niego wydało się Kellie najbardziej naturalną i praktyczną rzeczą na świecie. Być może ukrywał istnienie Kellie przed rodziną w oczekiwaniu na odpowiednią chwilę i z pewnością nie powinien był się o nich dowiedzieć żaden współpracownik, lecz zaangażowanie Elliota w ich związek nigdy nie słabło.

Teraz, kiedy było już po wszystkim i leżała w jego ramionach, w milczeniu gładząc jego gładką skórę, czuła się bardziej zakochana niż kiedykolwiek przedtem. W końcu Elliot przeciągnął się, wstał i ruszył w stronę przylegającej do pokoju łazienki.

Kellie podziwiała jego nagie pośladki, gdy on przeglądał się w lustrze.

- No więc, jak jest na tej wysepce Brayner? - spytała, wstając z łóżka.

- Latem to miłe miejsce, ale dlaczego tato przeprowadził się tam na stałe, pozostaje dla mnie tajemnicą. Nikt się nie spodziewał, że zapragnie spędzić tam starość.

- Pomysł spędzenia starości na małej wysepce wydaje się całkiem przyjemny - powiedziała Kellie wchodząc do łazienki. - To romantyczne.

- I zupełnie niepraktyczne, ale on jest taki uparty, że niczego nie daje sobie wytłumaczyć.

- Chciałabym zobaczyć kiedyś tę wysepkę. Jest piękna, prawda?

- Jeśli ktoś lubi takie klimaty. Ale mówiąc szczerze, o tej porze roku jest po prostu goła, ponura i wysmagana wiatrem, a poza tym nie ma tam kompletnie nic do roboty. Dla ludzi z miasta, takich jak my, jest zwyczajnie... sam nie wiem... wydałaby ci się poniżej poziomu. Nudna.

Kellie objęła go w pasie i przywarła policzkiem do jego pleców, gdy zaczął myć zęby. Nie chciała się z nim kłócić. Miała wrażenie, że Elliot nieustannie zapomina o tym, że wychowała się w Australii i przywykła do dzikości natury. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Podobało jej się, że mówi o nich „my”.

- Nigdy nie opowiadasz zbyt wiele o swojej rodzinie, jeśli nie liczyć tego, co spotkało Stephanie. Jak ona się czuje? - Kellie współczuła starszej siostrze Elliota. Żałowała, że nie może jej pocieszyć, lecz wiedziała, że samo myślenie o czymś takim było przekroczeniem granic jej obecnego związku z Elliotem. Tak bardzo frustrowała ją myśl, że w pewnych aspektach jego życia jest centralną postacią, a do innych nie ma żadnego dostępu.

- Chyba jakoś sobie radzi. To pewnie jedyna dobra rzecz, jeśli chodzi o święta u taty. Odwróć jej uwagę. Mogą ją trochę rozweselić.

- Ty możesz ją rozweselić, jestem tego pewna. - Kellie wypuściła go z objęć i spojrzała na odbicie jego twarzy w lustrze, próbując zapamiętać jej szczegóły,

wiedząc, że już niedługo ponownie za nimi zatekni. - A co z jej mężem? Jak on się miewa?

Elliot westchnął i odwrócił się do niej. - Czy naprawdę musimy o nich rozmawiać? Wystarczy, że za chwilę będę się musiał z nimi wszystkimi spotkać.

Wzięła szczoteczkę do zębów i zauważyła, że cała zawartość jej kosmetyczki leży porozrzucana w łazience, podczas gdy kosmetyki Elliota zostały zgrabnie upchnięte w jego skórzanej torbie, którą właśnie zamykał na zamek. Dlaczego nie rozumiał, że naprawdę chciała o nich rozmawiać? W końcu pewnego dnia staną się również jej rodziną. Wiedziała jednak, że jest zbyt wcześnie, aby o tym dyskutować.

- Kochanie - powiedział Elliot, patrząc na nią w lustrze. - To tylko rodzina. Nic ważnego.

- Naprawdę? - Nagle poczuła się tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

- Nie bądź taka. Przecież wiesz, że będę za tobą tęsknił w każdej sekundzie.

Wziął ją w ramiona i pocałował. Może jestem niesprawiedliwa, pomyślała, gdy poczuła, jak wzdycha, kryjąc twarz w jej włosach. Może naprawdę Elliot zniesie to gorzej niż ja.

- Dobrze, że przynajmniej masz Taylor - powiedziała, kiedy masował jej plecy. Odsunęła się i siląc się na odwagę, spojrzała mu w twarz.

- Wiem. Mam tylko nadzieję, że zdołam do niej dotrzeć, zanim zupełnie dorośnie. Tak bardzo się zmieniła od czasu wyjazdu do szkoły. Bez Sky Plus na Brayner dostanie chyba szału, ale przynajmniej dzięki temu będę mógł spędzić z nią trochę czasu.

Kellie zastanawiała się, jak wygląda Taylor. Elliot nie pokazał Kellie aktualnego zdjęcia córki, ale zapamiętała rysy ślicznej małej dziewczynki ze zdjęcia oprawionego w srebrną ramkę i stojącego na biurku Elliota. Spróbowała prze-

nieść te dziecięce cechy na nastolatkę. Wyobraziła ją sobie w warkoczykach i aparacie ortodontycznym, zerkającą nieśmiało zza przydługiej grzywki.

- Po prostu musisz być dla niej mity. I nie pouczaj jej. Nie zgrywaj wielkiego prawnika. W końcu się przed tobą otworzy - powiedziała.

- Mam nadzieję. Naprawdę. Muszę się z nią dogadać. Chcę, żeby wiedziała, że kiedy w przyszłym roku wszystko się zmieni, nadal będzie częścią mojego życia. Że będzie nią zawsze.

- Zrozumie to. Postaramy się, żeby tak było. Obiecuję. My... Powiedziała to bez zastanowienia. A on nawet się nie wzdrygnął. My... właśnie tak było: Kel i El. Drużyna.

Elliot ponownie ją przytulił. Cieszyła się, że ufa jej intuicji w sprawach córki. Nie mogła się doczekać spotkania z Taylor, lecz jednocześnie czuła niepokój. Nie miała złudzeń co do tego, że Taylor może mieć trudności z pogodzeniem się z tym, iż jej ojciec ma nową partnerkę. Sama nadal pamiętała, jaka wściekła była na rodziców, kiedy się rozstali - a przecież już prawie kończyła wtedy szkołę, była pięć lat starsza od Taylor. Mimo to Kellie miała nadzieję, że zdoła zapewnić jej odrobinę stabilizacji i uwagi, których zdawało się brakować w życiu Taylor. Dziewczyna była zaledwie nastolatką. Może uda im się nawet zaprzyjaźnić, kiedy Taylor zrozumie, jak bardzo Kellie kocha jej ojca. Zaczęła fantazjować, wyobrażając sobie, jak idą z Taylor wzdłuż King's Road, śmiejąc się i trzymając za ręce, obciążone torbami na zakupy.

- Hej, mam coś dla ciebie - szepnął Elliot.

Kellie zerknęła w dół i poczuła, jak na nią napiera.

- Znowu?

Roześmiała się, kiedy podniósł ją w górę i zaniósł z powrotem do łóżka.

- Nie miałeś przypadkiem spotkać się z siostrą...

- Ty jesteś ważniejsza. - Zamknął jej usta pocałunkiem. - Poza tym mam dla ciebie coś jeszcze - powiedział, kładąc ją na łóżku. Patrzyła, jak przemierza pokój i sięga do kieszeni płaszcza.

Kiedy wrócił, spojrzała na niego i ze zdumienia szeroko otworzyła oczy. W odpowiedzi posłał jej szeroki uśmiech, gdy brała z jego ręki małe pudełeczko od Tiffany'ego.

- Otwórz - powiedział.

W środku spoczywał śliczny, skręcany platynowy łańcuszek z wisiorkiem w kształcie serca. Wyglądał na niewiarygodnie drogi i sama nie potrafiłaby wybrać wspanialszego.

- Co to takiego? - zapytała, niepewna, co oznacza ten upominek.

- Chcę, żebyś potraktowała go jako prezent na naszą rocznicę, na wypadek, gdybyś myślała, że o niej zapomniałem - powiedział.

Zarzuciła mu ręce na szyję. - Jest wspaniały.

- To ty jesteś wspaniała, kochanie - szepnął. - Kocham cię i obiecuję, że od-tąd wszystkie święta Bożego Narodzenia będziemy spędzać razem.

## Rozdział drugi

Zdawało się, że temperatura znacznie spadła, kiedy łódź w końcu dotarła do Brayner i zacumowała przy porośniętym pąklami pomoście w przystani Zielonej Zatoki. Stephanie nie mogła się doczekać, kiedy z niej wysiądą. Zdała sobie sprawę, że przez większość dwudziestopięciominutowej podróży z Fleet Town wstrzymywała oddech. Szczerze nienawidziła pływania, zwłaszcza gdy na pokładzie znajdowała się jej cała rodzina. Teraz wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy. Powietrze było takie świeże i zimne, że zabolął ją nos.

Ośloniła oczy i spojrzała w górę na typowe pocztówkowe ujęcie przedstawiające położoną nad Zieloną Zatoką wioskę, na którą składało się około czterdziestu domów i domków, herbaciarnia, pub o nazwie Wiatrówka, poczta i schronisko młodzieżowe, otwierane latem. Poza tym jedynymi budynkami, które miały tu jakieś znaczenie, była stojąca za jej plecami latarnia morska, stara szkoła z dachem z falistej blachy ozdobionym świątecznymi światełkami i piękny nor-mandzki kościół. Rada do spraw Turystyki nie zaprojektowałaby tego wszystkiego lepiej, nawet gdyby próbowała, lecz u Stephanie przybycie do Zielonej Zatoki zawsze wywoływało pewne rozczarowanie. Nigdy nie dorównywało romantycznemu, skapanemu w promieniach słońca obrazowi, jaki przechowywała w pamięci - zwłaszcza w taki dzień jak ten.

- Ostrożnie! - zawołała Stephanie, kiedy jej syn Simon przecisnął się obok, aby wysiąść z łódki jako pierwszy. Sekundę później nie było go już na pokładzie i wbiegał na stromą brukowaną pochylnię, pędząc w stronę drogi, gdzie na żelaznych słupach lamp powiewały świąteczne dekoracje unoszone przez bryzę.



Patrząc, jak ignoruje jej ostrzeżenie i oddala się z rozpostartymi ramionami, czuła, że jest zachwycony powrotem na wyspę. Podobnie jak jego dziadek, Simon odnajdował w czystych połaciach nieba smak wolności. Z pewnością był to inny świat niż ten, do którego przyzwyczał się na zakorkowanych, ozdobionych graffiti przedmieściach Bristolu.

Ale w Bristolu można go było przynajmniej kontrolować. Kiedy dotarł do drogi, poczuła, że serce jej się ściska.

- Davidzie, czy mógłbyś zostawić Nat i popilnować Simona? - powiedziała, poirytowana tym, że mąż niepewnie podnosi Nat, ich pięcioletnią córeczkę, dźwigając jednocześnie dwie torby i plecak. - Daj mi ją - warknęła. - Chodź do mamusi - powiedziała, wyciągając ręce.

- Nic mu się nie stanie. Niech sobie biegnie - powiedział David, kiedy Stephanie wzięła od niego Nat.

David był wysoki i nadal tak szczupły jak dziesięć lat temu, kiedy się pobrali, lecz w czarnej puchówce North Face wyglądał na opasłego. Policzki miał zaróżowione od zimowego powietrza i przejażdżki łodzią, a jego twarz pokrywały zmarszczki, które tworzą się od częstego śmiechu, lecz wyglądał śmiertelnie poważnie, kiedy jego brązowe oczy posyłały żonie ostrzeżenie.

Stephanie nie zwróciła na nie uwagi. Wiedziała, że mąż nie chce, aby publicznie zwracała uwagę na Simona, ale jej zdaniem działało się tak tylko dlatego, że David nie dostrzegał problemu.

Prawda była taka, że Simon sprawiał problemy. Chociaż nie. Był idealny. Był jej synem - ale potrzebował opieki. Potrzebował więcej uwagi niż inni ośmiolatko-wie. Miał w sobie tyle energii, tyle pomysłów, że czasami ich produktywność spożytkowanie sprawiało mu kłopoty. Właśnie to powiedział Stephanie psychiatra dziecięcy. Opracował dla niej i dla Davida plan, który miał pomóc Simonowi skupić się na tym, co dzieje się wokół, zająć się jedną myślą na raz i dokładnie ją

przeanalizować. Rozwścieczało ją, że David nie traktuje tego równie poważnie jak ona. Nie miał zaufania do psychiatrów. Jego zdaniem Simon nie potrzebował leczenia. Myślał, że jeśli wszyscy schowają głowę w piasek, problem zwyczajnie zniknie.

Obładowany torbami David brutalnie przecisnął się obok i wyszedł z łodzi.

- Czy wujek Elliot ma jeszcze trochę cukierków? - szepnęła Nat do Stephanie, chichocząc porozumiewawczo. Kołnierz ze sztucznego futerka zdobiący jej różowy płaszczyk z zamszu połaskotał Stephanie w twarz, a gdy wyciągnęła rękę, żeby go przygładzić, zauważyła, że język Nat jest niebieski od barwnika do żywności.

Przez całą drogę przez tę mgłę za jej plecami Elliot częstował dzieci garściami M&Msów. Chciała go powstrzymać, lecz wiedziała również, jak bardzo dzieci cieszą się na widok swojego ulubionego wujka.

- Myślałam, że cierpisz na chorobę morską? - powiedziała Stephanie.

- Już nie, mamusiu. Proszę - błagała Nat.

- Nie. Zjadłaś wystarczająco dużo.

Stephanie wystawiła na pomost resztę bagaży, po czym pomogła Nat wyjść z łodzi. Poczowała ulgę, kiedy bezpiecznie stanęły na suchym lądzie. Odwróciła się i spojrzała na Elliota. Nadal rozmawiał z mężczyzną z łódki, która przywiozła ich z St. John's.

Jej brat, nieświadomy stresu, jaki właśnie przeżywała, wydawał się szczęśliwy i zrelaksowany. Wyglądał zaskakująco dobrze, zauważyła Stephanie, czując zazdrość i jednocześnie nostalgię. Właściwie życie Elliota zawsze było fantastyczne. Mimo to odczuła ulgę na myśl, że spotka się z nimi wszystkimi we Fleet Town. Gdyby zabrakło jego podnoszącego na duchu stylu bycia, Stephanie z pewnością straciłaby cierpliwość do Davida.

- I może pan tu przyjechać i zabrać nas, kiedy tylko zechcemy? Wystarczy zadzwonić? - upewniał się Elliot w rozmowie z przewoźnikiem. Patrzyła, jak sięga pod zapięty pod szyję granatowy płaszcz do kieszeni dzinsów, wyciąga srebrny spinacz na banknoty i wysuwa jeden z nich.

- Jeśli będę panu potrzebny, wystarczy skontaktować się przez radiotelefon - powiedział mężczyzna. Cierpliwie stał na pokładzie, a fale obijały się o pochylnię. - Proszę pytać o Bena. Tak mam na imię. Pański ojciec ma mój numer.

- Chodźmy już - poprosiła Stephanie Elliota. - Niedługo tu zamarznię.

Dał mężczyźnie trochę gotówki i niepewnie wyszedł na pochylnię, niosąc swoją drogą skórzaną torbę marki Gladstone. Ben odwiązał cumę i z widocznym pośpiechem zwiększył obroty silnika. Po powierzchni wody przemknęła chmura niebieskiego dymu.

Stephanie przewróciła oczami, patrząc na brata, po czym chwyciła go za ramię. - Nie będzie aż tak źle - powiedziała, a potem krzyknęła do Bena: - Proszę się nie martwić. Nie będzie musiał stąd uciekać. Obiecuję. Dziękujemy za podwiezienie. Wesołych świąt!

Ben pomachał i łódź wykonała zakręt.

Stephanie usłyszała rozlegający się gdzieś z przodu dźwięk klaksonu. Jej ojciec zatrzymywał właśnie swojego ciemnozielonego land rovera na wąskiej drodze biegnącej przed domkami. Wysiadł z samochodu i pomachał. Stephanie poczuła, że ten widok podnosi ją na duchu. Pomachała mu w odpowiedzi, doświadczając znajomych emocji, które czuła zawsze, gdy przyjeżdżała go odwiedzić: nostalgii związanej z powrotem do domu, połączonej z niepokojem i lekkim szokiem, jak gdyby przez pomyłkę trafiła na jakąś ziemię niczyją, położoną gdzieś pomiędzy dzieciństwem a dorosłym życiem.

Z tej odległości wyglądał starzej, jego siwe włosy targał wiatr, lecz był energiczny i uśmiechnięty, a tylko to się liczyło. Otworzył dwuskrzydłowe tylne

drzwi i Rufus, ostatni żyjący potomek Samsona, Springera należącego w dzieciństwie do Elliota, wyskoczył z samochodu i zaczął radośnie biegać w kółko. Stephanie patrzyła, jak rozpędzony Simon prawie przewraca jej ojca, po czym zostaje sprawnie opatulony wy-watowaną kurtką dziadka. Po chwili, zanim Stephanie zdążyła zaprotestować, w kierunku dziadka puściła się również Nat.

Patrzyła, jak biegnie, wsłuchując się w jej rozradowane piski. W twarzach dzieci widziała, jak bardzo potrzebują wakacji, jak rozpaczliwie pragną się od niej na chwilę uwolnić. Bardzo ją to zasmuciło. Pragnęła pochwycić je i przytulić. Już niebawem ich niezdrowy, a mimo to znajomy układ rodzinnych sił miał się rozproszyć w całym klanie Thorne'ów. Jak zdoła sobie poradzić pozostawiona sam na sam z Davi-dem, bez ochrony ze strony dzieci, które wessie wir świątecznego spotkania?

Święta. Bała się ich od bardzo dawna i w końcu nadeszły, lecz widok ojca i dźwięk jego śmiechu unoszonego przez bryzę uzmysłowiły jej, że musi zrobić ten wysiłek. Nie mogła pozwolić na powrót starej rodzinnej hierarchii. Żyjąc z ojcem pod jednym dachem, zgodnie z zasadami ustanowionymi przez niego i Elliota - który tym razem miał nakrywać do stołu, a także zadawał najlepsze pytania w quizach wiedzy ogólnej, wyprowadzał psa o poranku i decydował o tym, co będą oglądać w telewizji - wcale nie musiała pozwalać na to, aby którakolwiek z tych spraw powoli doprowadziła ją do szaleństwa. I nie pozwoli. Przebrnie przez to wszystko spokojnie, jak unoszona na doskonałym prywatnym obłoczku. Oprze się pokusie powrócenia do swej prawdziwej natury i zachowywania się jak kłótniwa nastolatka, którą niegdyś była. Nie będzie sprzeczać się z Elliotem o jego cygara i gazety zostawiane na podłodze w ubikacji na parterze, ponieważ wzniosła się ponad to wszystko. Każdy tak potrafi. Mogą zachowywać się jak dorośli ludzie. Tylko przez trzy dni. Czy to naprawdę aż takie trudne?

- Daj, pomogę ci - zaproponował Elliot, gdy Stephanie zaczęła zbierać leżące u jej stóp reklamówki.

- Dzięki - powiedziała. - Nie mam pojęcia, jak udało nam się przywieźć aż tyle gratów na trzy dni.

Spojrzała na niego. Wysoko na policzku miał pieprzyk, genetyczną spuściznę po rodzinie ze strony matki, którą odziedziczył również Simon. Kiedyś ten znak dodawał piękna jej matce, a teraz, w kwiecie wieku, ta mała skaza sprawiała, że Elliot wyglądał przystojniej niż kiedykolwiek. Zauważyła zmarszczki wokół jego oczu i pasemka siwizny we włosach, lecz nadal potrafiła dostrzec w nim chłopca, który łamał serca jej wszystkich przyjaciółek, chociaż były od niego starsze.

- Wszystko w porządku, Steph? - zapytał. Zawsze angażował rozmówcę, patrząc mu prosto w oczy, prawie jak gdyby chciał zajrzeć do jego wnętrza. Był to sprytny sposób na zdobywanie sympatii ludzi - i wyciąganie z nich prawdy. Dlatego przez chwilę kusilo ją, żeby powiedzieć mu, jak się czuje. Zastanawiała się, czy jej idealny brat ze swoją idealną karierą i idealną rodziną kiedykolwiek zrozumie, jak trudna jest dla niej perspektywa tych świąt, lecz nigdy nie obarczała go swoimi problemami i to nie była odpowiednia chwila, aby zmienić ten zwyczaj.

Pokiwała głową i szybko się uśmiechnęła.

- Chodźmy - powiedziała. - Nie kažmy tacie czekać. Kiedy dotarła na szczyt pochylni, Gerald wyciągnął rękę, zdjął z jej płaszcza jakąś nitkę, po czym powitał ją uściskiem. Ten gest przypominał jej szkolne sesje zdjęciowe, dawno, dawno temu, i nagle przypomniła sobie o jego wszystkich małych dziwactwach.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś - powiedział, całując ją jak zawsze w bok głowy, tuż przy uchu.

Ostatni raz widziała ojca trzy miesiące wcześniej, kiedy wybrał się do Londynu na koncert i zatrzymał u Elliota i Isabelle. Następnego dnia Stephanie przyjechała do nich z Bristolu i wszyscy poszli na niedzielny lunch do jakiejś ponurej jadłodajni Fulham<sup>\*3</sup> niedaleko domu Elliota, gdzie ojciec narzekał na zbyt spoufalony personel i jakość steku.

Na swoim terenie wydawał się o wiele bardziej zrelaksowany, wyglądał krzepko i zdrowo. Kiedy ją przytulił, Stephanie wciągnęła jego zapach - kojącą mieszankę nieco stęchłych swetrów, psiej sierści i płynu po goleniu, którego używał od lat. Jak zwykle zaskoczyła ją siła tego uścisku, która sprawiła, że poczuła się bezbronna jak dziecko, jak gdyby wszystkie jej osiągnięcia, własna rodzina, pozycja w świecie chirurgii i zdobyte w dorosłym życiu umiejętności nagle gdzieś zniknęły.

- Witaj, tatusiu - powiedziała.

Wszyscy wcisnęli się do zapakowanego land rovera, a Rufus głośno zaprotestował zza kraty oddzielającej bagażnik. Stephanie posadziła sobie Simona na kolanach, przegrywając spór o pasy bezpieczeństwa w chwili, kiedy ojciec przypominał jej, że ich nie posiada. David usiadł z tyłu, obok niej, i trzymając na kolanach Nat, łaskotał ją, a ona bezustannie się wierciła, gdy samochód podskakiwał na wyboistej drodze.

Elliot usiadł z przodu, obok ojca. Teraz, gdy miała szansę obserwować ich razem, Stephanie przypominała sobie, jak bardzo podobne są ich gesty; przekrzywiali głowy w swoją stronę, a na ustach ojca pojawiał się uśmiech, ilekroć Elliot coś mówił. Zdusiła w sobie dziecięcą zazdrość o wykluczenie z ich przyjaźni.

---

<sup>3</sup>Najstarszy z londyńskich klubów piłkarskich.

Jechali na północ, rozmawiali, a Nat piszczała ze śmiechu. Stephanie patrzyła przez opryskane błotem okno – mijali przykościelny cmentarz upstrzony zapomnianymi grobami, przechylonymi w lewo lub prawo niczym flotylla jolek stawiających żagle na wiatr. Przypomniała sobie, jak przechadzała się tutaj pod koniec wakacji, podczas swojego ostatniego pobytu na wyspie. Słone powietrze sprawiło, że wyryte w kamieniu napisy stały się równie nieczytelne jak rozmazane kreski ołówka. Plotka głosiła, że w kilku spośród tych grobów spoczywają żeglarze, których statki przełamały się jak zapalki po drugiej stronie wyspy, kiedy uderzyły o zdradzieckie skaliste wybrzeże Piekielnej Zatoki.

Pomyślała o zgrabnym nagrobku matki, niedostrzegalnym w rzędzie kwadratowych wypolerowanych płyt z granitu przy krematorium w Exeter. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś go odwiedzi. Nawet teraz, trzy lata po tym, jak nieoczekiwany zawał zabił Emmę Thorne w ogrodzie ich starego rodzinnego domu, Stephanie straszliwie za nią tęskniła. Jej nieobecność wydawała się jeszcze bardziej dotkliwa teraz, gdy byli wszyscy razem. Stephanie postanowiła dopilnować, aby w święta Bożego Narodzenia wszyscy myśleli o Emmie.

- Czy w tym roku w kościele odbędzie się nabożeństwo, tato? - zapytała.

Gerald spojrział na nią we wstecznym lusterku. Jego oczy patrzące spod siwych krzaczastych brwi nadal miały czystą błękitnoszarą barwę.

- Mówili coś o tym, że w świąteczny ranek przyjedzie pastorka z Fleet Town, ale nie sądzę, żeby ten pomysł wzbudził wystarczające zainteresowanie. - Z powrotem skupił się na drodze. - Ta kobieta jest tutaj znana. Nie słyszałem o niej zbyt wiele dobrego.

- Co jest nie tak?

- Jest zbyt sztywna. To ludzi denerwuje.

- W takim razie nie możemy liczyć na to, że z nią uciekniesz? - droczył się z nim Elliot.

- E, nie - odpowiedział ojciec, dodając: - Nie z tym wąsikiem.

Elliot zarechotał. Jak w ogóle mógł żartować na temat ich ojca i jakiejś innej kobiety? - zastanawiała się Stephanie. Ale wyglądało na to, że Geraldowi to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie, dobroduszne żarciki ciągnęły się w najlepsze, podczas gdy samochód dalej zmierzał na północ, mijając rzędy wymuskanych domków, ciągnące się poza granicami wioski.

Tuż za uroczymi niskimi domkami z ogródkami teren nagle zrobił się skalisty, upstrzony głazami, porośnięty wrzosem i kolcolistem. Nadawał się na hodowlę owiec i niewiele poza tym. Przed nimi wiała się droga, wiodąc w górę wokół wielkiego kopulastego wzgórza, Solace Hill, które wyrastało ze środka wyspy niczym „wielki gruby cycek”, jak uwielbiał mówić Elliot. Na szczycie widać było kilka koni. Beznamiętnie gapiły się na przejeżdżającego w dole land rovera.

Następnie ukazał się rząd kamiennych domów z widokiem na morze. Na takim odludziu wyglądały dosyć dziwnie.

- Znowu wszystkie są puste - skomentował ojciec, jak gdyby stanowiło to rezultat czyjejś pomyłki.

Stephanie wiedziała, że są przygotowane do wynajęcia, na łózkach spoczywają walijskie narzuty, a pokoje zdobią lubiane przez turystów przedmioty z brązu i fotografie w kolorze sepii. W weekendowe i letnie wieczory w oknach tych domków migotały światła, a smużki dymu z kominów unosiły się ku niebu, lecz teraz, w czasie świąt Bożego Narodzenia, było w nich ciemno.

- Nic dziwnego, tato - powiedział Elliot ze śmiechem. - Któż byłby na tyle szalony, żeby przyjeżdżać tu o tej porze roku?

- Na przykład wy - odparł ojciec. - Moim zdaniem zimą jest tu cudownie. To prawdziwa frajda. Raj dla dzieci.



Pomimo jego optymizmu Stephanie zadrżała, ogarnięta złymi przeczuciami. Instynktownie przytuliła Simona trochę mocniej.

- Aua - powiedział. - Puść mnie, mamó. To boli.

Kiedy pięć minut później zaparkowali przed domem ojca, Stephanie dostrzegła Isabelle, która poprawiała świąteczny wieniec przymocowany do kołatki na białych drewnianych drzwiach. Przyjechała dzień wcześniej i musiała przywieźć go ze sobą, pomyślała Stephanie, bo wiedziała, że jej ojciec nie przykłada zbyt wielkiej wagi do świąt i że w żadnym z nielicznych sklepików na wyspie nie można kupić tak niepraktycznej rzeczy. Przyszło jej także do głowy, że prawdopodobnie Isabelle zrobiła ten wieniec własnoręcznie. Zapewne była mistrzynią w dziedzinie sztuki i rękodziela, podobnie jak we wszystkim, czym się zajmowała.

Isabelle odwróciła się i pomachała im, ukazując ortodontycznie idealny, profesjonalnie wybielony, amerykański uśmiech. Kiedy dzieci machały jej w odpowiedzi, Stephanie zauważyła, że bratowa jest wymuskana jak nigdy dotąd, a jej jasne włosy idealnie opadają za uszy. Dziś miała na sobie różowy sweterek z kaszmiru, kamizelkę z króliczego futerka, która powiewała na wietrze, jak gdyby nieszczęsne zwierzę nadal żyło, i modne dzinsy z nogawkami wepchniętymi w puchate buty. Podekscytowana przestępowała z nogi na nogę, czekając, aż wszyscy podejda do drzwi, a kiedy Simon i Nat wyskoczyli z samochodu i pobiegli ją uściskać, zaczęła machać i wydawać radosne okrzyki.

Kiedy już się przywitali i weszli do środka, Stephanie zauważyła, że wnętrze domu jest jakieś inne. Było ciepło, a w tle, zamiast tradycyjnego pozbawionego wyrazu burczenia czwartego kanału radia, rozlegały się dyskretne tony jazzu przywodzącego na myśl hotelowe korytarze. Poza tym wyczuwało się jakiś inny zapach: woń cynamonu, pieczeni i środka do czyszczenia mebli, a nie sprzętu wędkarskiego i zapiaszczonych gumowców.

Stephanie przyjechała tam latem, kiedy ojciec wprowadził się do ich letniego domku na stałe, po sprzedaniu domu w Exeter, lecz teraz zaskoczył ją widok wszystkich rozpakowanych rzeczy: zegara po dziadku, fotela na biegunach, starej czarno-białej fotografii ojca w uniwersyteckiej tozde. Wszystkie jego obrazki z zagłowcami znalazły swoje miejsce na ścianach korytarza.

Stephanie trzymała Nat za rękę, kiedy szły korytarzem w kierunku jadalni, gdzie czekał wypolerowany do połysku mahoniowy stół. W kącie przy kominku stała nowiuteńka sztuczna choinka obwieszona kokardkami, światełkami i innymi ozdobami. Była tak pięknie ustrojona, że mogłaby stanąć na wystawie w Harrodsie.

Stephanie poczuła, że ogarnia ją rozczarowanie. To było jej zadanie. To ona miała nadzieję, że znajdzie stare świąteczne pudło wypchane splątaną kolekcją świątecznych ozdób sprzed lat. Już sam jego zapach i zawartość - kilka sfatygowanych sznurów lametek, pudełko po dziecięcych bucikach wypełnione świecidelkami, pokryte nalotem dzwoneczki w kształcie aniołków, stare czerwone świeczki, stajenka, z której już wiele lat temu zginęła większość postaci - oraz zniszczone pudło kryjące sztuczną choinkę, która towarzyszyła jej rodzinie od osiemdziesiątego pierwszego roku, kiedy to Woolworth urządził promocję, przenosiły ją do czasów, w których święta Bożego Narodzenia miały jeszcze jakieś znaczenie. A w tym roku tęskniła za tym uczuciem wyjątkowo mocno.

Z niecierpliwością czekała na możliwość podzielenia się świątecznym rytuałem ubierania choinki z Nat, podobnie jak kiedyś dzieliła się nim jej matka. Miała nadzieję, że córka również odkryje radość związaną z odgrzebanieniem starego pudła, składaniem choinki i obwieszaniem jej sfatygowanymi świecidelkami w kolorze czerwieni i złota. Była to jedna z rzeczy, które najbardziej przypominały Stephanie o tym, że kiedyś sama była dzieckiem.

- Och - powiedziała Nat z widocznym rozczarowaniem. - Mamusiu, powiedziałaś, że to my będziemy ubierać choinkę.

- O, mój Boże! - zawołała Isabelle, klaszcząc w dłonie. Stephanie zauważyła, że są idealnie wypielegnowane, a wielki diamentowy pierścionek zaręczynowy w kształcie kwadratu wydaje się bardziej pretensjonalny niż kiedykolwiek przedtem. - Wczoraj wieczorem, kiedy na was czekaliśmy, tak rozpaczliwie potrzebowaliśmy jakiegoś zajęcia. - Isabelle wyciągnęła dłoń i dotknęła ramienia Stephanie. Miała francuski manicure. Stephanie zastanawiała się, kiedy znajdowała czas na takie zabiegi. W końcu była szyczą w świecie biznesu, prawda? Czy coś takiego nie wymagało przypadkiem odrobiny prawdziwej pracy?

- Poza tym chyba uzgodniliśmy, że ubierzemy choinkę przed Wigilią - powiedziała Isabelle, a jej południowy amerykański akcent wydał się tak miękki i uwodzicielski jak nigdy dotąd.

Stephanie często się zastanawiała, czy to przypadkiem nie ten akcent sprawiał, że odnosiła takie sukcesy w pracy i zdobyła serce jej brata. Bo gdyby zabrać jej ten głos i pozostawić sam wygląd z surowym spojrzeniem nieznoszących sprzeciwu oczu, Isabelle byłaby naprawdę przerażająca.

Stephanie nie miała powodów, żeby się z nią teraz kłócić, ponieważ przypomniała sobie telefoniczną rozmowę z Isabelle sprzed kilku tygodni. Stephanie stała akurat w kolejce w supermarkecie i próbowała uspokoić skłóconych Simona i Nat, więc nie miała możliwości uważnego wsłuchania się w słowa Isabelle, która dzięki temu wymusiła na niej zgodę na wszystkie swoje propozycje.

Zatem Stephanie doszła do wniosku, że to pierwszy zgrzyt związany z harmonogramem zaplanowanym przez Isabelle. Przegrała sprawę choinki z własnej winy - a raczej z winy Davida. Powinni byli przyjechać tu już wczoraj wieczorem i być razem z Isabelle i Taylor, lecz David, który pracował jako redaktor w

piśmie komputerowym, musiał w ostatniej chwili zmienić plany. Nie będę zachowywać się jak dziecko, pomyślała Stephanie. Przecież to tylko choinka.

- Oczywiście, masz rację. Znalazłaś stare ozdoby choinkowe? - zapytała Stephanie.

- Znalazłam pudło pełne jakichś rzeczy, ale większość z nich wyrzuciłam. Mój Boże, Gerry trzymał tu całą kolekcję starych rupieci!

Stephanie przygryzła usta. - Cóż, wygląda cudownie - powiedziała, siląc się na uprzejmość.

- Prawda? - odparła Isabelle, zadowolona z komplementu.

- Jest jeszcze mnóstwo innych rzeczy do zrobienia - powiedziała Stephanie do Nat. - Moim zdaniem to urocze, że ciocia Isabelle przygotowała dom na święta.

Nat wskazała górę idealnie zapakowanych prezentów poukładanych pod choinką. - Popatrz na to. Są dla nas? - zapytała.

Isabelle uśmiechnęła się i pochyliła, tak że jej twarz zrównała się z buzią Nat. - Niektóre tak, Natasho. - Nagle Isabelle wydała z siebie stłumiony okrzyk: - K o c h a n i e! Co ci się stało w główkę?

- Poślizgnęłam się w domu na schodach - poinformowała Nat, kiedy Isabelle uniosła ciemną grzywkę Nat, odsłaniając siniaka na czole. Isabelle spojrzała na Stephanie.

- To tylko guz - powiedziała Stephanie, złoścąc się na wstyd i poczucie winy, które nagle w niej wezbrały. To nigdy się nie skończy. Czują, że Isabelle ją ocenia, podobnie jak wszyscy od czasu wypadku, który wydarzył się zeszłego lata.

Jak gdyby to, czym do tej pory była - szanowaną lekarką, silną i dobrą matką, troskliwą córką i kochającą żoną - zostało przekreślone przez wydarzenia, które rozegrały się w ciągu jednej sekundy. Tamten dzień zmienił wszystko na

zawsze. Chociaż każdy wiedział, że to nie była jej wina, Stephanie zastanawiała się, ile razy Isabelle i Elliot rozmawiali o tym za jej plecami. Ile razy obarczali ją winą? Czy równie często jak ona sama?

- Byłaś bardzo dzielna, prawda, kochanie? - powiedziała Stephanie do Nat, delikatnie całując guza na jej czole. - Może pójdziesz zobaczyć, co robi dziadek?

Kiedy dotarli do domu, ojciec powiedział, że gdy się będą rozpakowywać, on zajmie się rąbaniem drewna w ogrodzie za domem. Wyjrzała przez okno w jadalni, lecz dostrzegła jedynie Rufusa kopiącego dziurę w trawniku. Ojciec musiał się schować w szopie.

Stephanie i Isabelle patrzyły, jak Nat z powrotem wybiega na korytarz. Żadna z nich nie odezwała się słowem. Stephanie chciała powiedzieć coś więcej o wypadku, który zakończył się guzem, lecz ostatecznie to przemilczała. Nie musiała się przed nikim tłumaczyć.

- No więc jak leci? - zapytała, kierując rozmowę na inny temat, gdy szły w stronę kuchni.

- Nerwówka - powiedziała Isabelle. - Wiesz, jak to jest. Praca... rodzina... Boże Narodzenie.

Stephanie pokiwała głową, ale tak naprawdę nie wiedziała, o co jej chodzi. Isabelle była jednym z najważniejszych szefów dużego operatora sieci telefonii komórkowej. Zajmowała się sloganami reklamowymi i wypuszczaniem produktów na rynek, a Stephanie jedynie złamanymi kośćmi udowymi i płaczącymi starcami. Ich światy były oddalone od siebie tak, jak to tylko możliwe.

- Ale co tam. W końcu mamy święta. Wiesz, nie przypominam sobie, kiedy po raz ostatni trafiło mi się więcej niż dwa dni, podczas których nie potrzebowałam myśleć o pracy - ciągnęła Isabelle. - Poza tym wspaniale jest nie musieć podróżować. Te nocne loty są zabójcze.

- I nie zanoszą się na zwolnienie tempa w przyszłym roku?

- Zapomnij. Przemysł tak szybko idzie do przodu, że nadażenie za wszystkimi innowacjami wymaga pracy na pełnych obrotach. W dodatku przechodzimy restrukturyzację, co również nie ułatwia sprawy. W zeszłym tygodniu musiałam zwolnić sto pięć osób.

- Sto pięć? - powtórzyła wstrząśnięta Stephanie. Ze swojego chirurgicznego doświadczenia wiedziała, jak fatalne dla ludzkiego zdrowia potrafią być zwolnienia. - Biedni ludzie. Akurat przed świętami...

- Wiem. Ale patrzę na to w ten sposób, że przynajmniej spędzą je z rodzinami i będą mieli okazję do przemyśleń. Zwolnienie ich w styczniu byłoby o wiele gorsze. Złe wieści na początku nowego roku i w dodatku tuż po świętach. To byłoby po prostu okropne. A tak mają szansę zacząć wszystko od nowa. - Isabelle pokiwała głową, jak gdyby jej usprawiedliwienie zamknęło sprawę. Stephanie przypomniała sobie, że taki ma zwyczaj. Jest święcie przekonana, że wszyscy powinni widzieć świat tak samo jak ona.

Drogę zastąpił im David, który stanął w kuchennych drzwiach, siłując się z Simonem. Isabelle szybko odsunęła się na bok. - Ojej - powiedziała, powracając do akcentu piękności z Południa.

Simon ze śmiechem padł na podłogę.

- Hej, wy dwaj - powiedziała Stephanie, zerkając na Isabelle. Wyraz twarzy jej bratowej wcale się nie zmienił, lecz Stephanie od razu zaczęła się zastanawiać, czy Isabelle nie należy przypadkiem do osób, które uważają, że dzieci powinno być widać, a nie słychać. W pewnym stopniu wyjaśniałoby to, dlaczego Isabelle i Elliot wysłali swoje jedyne dziecko do szkoły z internatem. Elliot twierdził, że przyczyną były ich zawodowe obowiązki, ale Stephanie nie wyobrażała sobie, że mogłaby odesłać gdzieś Simona albo Nat. Choćby na jeden dzień.

Prawdę mówiąc, Isabelle nigdy nie wydawała się zbyt opiekuńczą matką. Zaszła w ciążę po roku znajomości z Elliotem, akurat wtedy gdy szykowała się do obrony pracy magisterskiej, a on był na urlopie naukowym w nowojorskiej kancelarii prawniczej. Z początku Isabelle rozpaczała nad zaprzepaszczoneymi szansami na karierę, lecz Elliot, oczarowany swoją jasnowłosą piękną królową balu absolwentów, za wszelką cenę pragnął postąpić tak, jak należy, więc oświadczył się i przywiózł ją do Anglii. Isabelle trafiła do drogiego prywatnego szpitala położniczego, a potem zatrudniła pełnoetatową nianię i osobistego trenera, który pomógł jej odzyskać formę po cesarskim cięciu przeprowadzonym na jej własne życzenie, ku konsternacji Stephanie i jej rodziców. Potem odbyło się wielkie tradycyjne wesele, podczas którego Stephanie przez cały czas opiekowała się Taylor, jak gdyby mała była jej dzieckiem, zupełnie niezwiązanym z młodą parą. Nie minął miesiąc, jak Isabelle zaczęła piąć się po szczeblach kariery i od tamtego czasu nigdy nie oglądała się za siebie.

- Uważaj - powiedziała Stephanie do Davida, ukradkowo zerkając w stronę Isabelle.

- Po prostu się bawimy - odrzekł David, gdy Stephanie pomagała Simonowi podnieść się z podłogi.

- Tak. Tylko że jesteś o dwadzieścia pięć kilo cięższy od niego. Uważaj, dobrze? Pozwól mu ochłonać.

- Och, niech się bawią - powiedziała Isabelle, uśmiechając się do Davida. - Simon wyrósł na prawdziwego tygrysa, prawda?

I to by było tyle, jeśli chodzi o wiarę Isabelle w to, że dzieci powinno się widzieć, a nie słyszeć. A może nie lubiła wygłupów tylko swojego dziecka? - pomyślała Stephanie.

- Drogie panie - zaczął Elliot, zbliżając się do nich i uzupełniając rodzinny portret, którego ramkę tworzyła framuga kuchennych drzwi. - Czy mógłbym za-

proponować paniom drinka? Mam w zanadrzu cudowne grzane wino. - Wetknął nos w parującą szklanę, którą trzymał w dłoni. - Ach, cóż za aromat - powiedział. - Na początek jak znalazł.

- Za chwilę. Może najpierw pozwoliłbyś mi się rozpakować? - odparła Stephanie.

- Ulokowałam ciebie i Davida w zielonym pokoju - powiedziała Isabelle. - Pomyślałam, że tak będzie wygodniej i będziecie bliżej dzieci. A gdzie podziała się Taylor? Nie mogła się doczekać przyjazdu Simona.

Kiedy weszli na górę, Stephanie popchnęła drzwi do sypialni, czując dziwne rozdrażnienie. Dołączył do niej David, niosąc resztę bagażu.

- O co chodzi? - zapytał, kiedy Stephanie jęknęła. Wskazała dwa pojedyncze łóżka, które zsunięto w jedno.

Rogi narzuty były lekko odchylone i na obydwu pękatych poduszkach spoczywało pudełeczko czekoladek.

- I co z tego? - zapytał David. - To tylko taki miły gest.

- Nie jesteśmy w żadnym cholernym hotelu.

- Ona po prostu próbuje pomóc.

- Nie jest moją matką. Chciałabym, żeby przestała zachowywać się tak, jak gdyby ten dom należał do niej.

Stephanie podeszła do dwóch termoforów, które ułożono na stosach poskładanych zielonych ręczników. Miała ochotę wyrzucić je przez okno, choćby przez zamknięte. To był dom jej ojca, jedyny ocalały dom jej rodziców. Chyba nie wymagała zbyt wiele, nie chcąc być w nim traktowana jak gość? A już na pewno nie przez Isabelle.



Znowu pożałowała, że nie przyjechali pierwsi. Wtedy mogłaby przynajmniej sama zająć się przydzieleniem pokojów.

W domu ona i David spali w osobnych pokojach. Było tak od dziewięciu miesięcy, odkąd Nat zaczęła miewać koszmary, moczyć łóżko co najmniej dwa razy w tygodniu, budzić się z krzykiem i z trudem chwycić powietrze. Stephanie spała na kanapie w pokoju zabaw, obok pokoju Nat, aby móc do niej dobiec, zanim zdąży zbudzić Simona. Stephanie nie pamiętała, kiedy po raz ostatni David widział ją nago, nie mówiąc już o sypianiu z nim w jednym łóżku, lecz teraz było już za późno, żeby robić zamieszanie.

Nastąpiło długie milczenie. Przygotowała się na to, że David naskoczy na nią za te wszystkie wyrzuty podczas podróży, lecz ku jej zdziwieniu sprawdził, czy drzwi są zamknięte i podszedł do niej. Skinął w stronę łóżka i spoczywających w jej dłoniach termoforów.

- Powinno być całkiem przytulnie. Chyba nie będziemy ich potrzebować - mówił pojednawczym, niemal przyjaznym tonem.

Stephanie była tak bardzo zbита z tropu, że dostrzeżenie jego prawdziwych intencji zajęło jej trochę czasu. Wtedy spięła się, przerażona jego sugestią.

- David, naprawdę nie sędzę... - zaczęła, odsuwając się od niego i przyciskając do piersi puste termofory. Czuła niepokój, jak gdyby zaczepił ją jakiś obcy człowiek.

David przeczesał włosy palcami. - Czy nie moglibyśmy po prostu...

- Co?

- Są święta, Steph - powiedział. Do jego słów zakradł się błagalny ton. - Sam nie wiem. Nie chcę tak żyć. Ostatnie tygodnie były straszne. Zachowujesz się tak, jakbyś mnie nienawidziła.

Spojrzał na nią z nadzieją, że zaprzeczy. Stephanie szybko odwróciła i utkwiała w podłodze wzrok i strach ścisnął ją za serce, kiedy w mrokach swojego

umysłu dostrzegła słowa, jakich nigdy nie odważyła się wypowiedzieć. Nie były jeszcze do końca sformułowane, lecz wiedziała, co oznaczają. Gdy tylko wydo- staną się na zewnątrz, wszystko się zmieni.

David zbliżył się i położył dłoń na jej ramieniu. Miał długie i opalone palce. Dawniej nazywała je palcami pianisty i dokuczała mu, mówiąc, że mógłby pra- cować jako model od dłoni. Kiedyś je kochała. Ale teraz...

Jestem taka zmęczona, pomyślała, zmęczona czekaniem na poprawę tej całej sytuacji. Zmęczona nienawidzeniem tego, że już ze sobą nie rozmawiają, zmę- czona obawą, co by się stało, gdyby rozmawiali.

- O co chodzi? - nalegał David. Miała wrażenie, że całe jej ciało wzdraga się przed nim. Te ręce zawiodły Paula i żadna ilość terapii nie była w stanie zmienić faktu, że nie potrafiła znieść ich dotyku.

- Idę na dół na drinka. Czekają na nas - powiedziała Stephanie.

- Stephanie?

- Proszę, po prostu spróbujmy jakoś przebrnąć przez te święta, dobrze?

Stephanie wyszła z sypialni na podest schodów, a z oczu trysnęły jej nie- chciane łzy. Znad poręczy spojrzała w dół, na korytarz.

- Nie mogę znaleźć taty. Zniknął gdzieś - powiedział Elliot, wchodząc fron- towymi drzwiami.

- Hej, hej, hej - usłyszała głos Isabelle. Zobaczyła ją po chwili, idącą w stro- nę Elliota z zawadiackim uśmiechem na twarzy.

- Odpreż się, kochanie. Niedługo z pewnością wróci. - Przyciągnęła go do siebie za kłapy płaszcza, kierując się w stronę wielkiej gałęzi jemioly, która zwi- sała z żyrandola w korytarzu. Stephanie nawet jej nie zauważyła.

- Izzy, co ty wyrabiasz? - spytał Elliot, lecz w jego głosie słychać było ra- dość.

- Chyba nie myślisz, że tak łatwo mi się wywiniesz, co? - powiedziała Isabelle, oplatając rękami jego szyję. - Żądam odpowiedniego świątecznego powitania, mój panie.

Stephanie odwróciła wzrok, kiedy Isabelle przechyliła się, żeby pocałować Elliota. W milczeniu wycofała się do łazienki. Szybko biło jej serce. Tylko tego pragnęła, gdy sama wychodziła za mąż: kochać Davida tak, jak kochali się Elliot i Isabelle.

Odkręciła kran i umyła twarz. Patrzyła, jak woda wiruje wokół odpływu. Nigdy nie sądziła, że miłość w małżeństwie może po prostu wyciec przez szpary, ale właśnie tak się stało i fakt, że David chciał nadal zachowywać się normalnie, jak gdyby nic się nie zmieniło - zwłaszcza w święta Bożego Narodzenia - sprawiał, że pragnęła ukarać go jeszcze dotkliwiej.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Pomyślała, że w porównaniu z Isabelle wydaje się stara i zmęczona. Sięgnęła do kieszeni polaru, wyciągając portfel, w którym oprócz drobnych powinna była mieć szminkę. Kiedy go otworzyła, zobaczyła wsunięte za foliową przegródkę zdjęcie. Była to miniaturowa wersja fotografii, która stała w jej domu na kominku. Zawsze nosiła ją ze sobą.

Typowy portret zrobiony dwa lata wcześniej u fotografa przedstawiał ją, Davida i trójkę ich dzieci. Był na nim Paul, ich drugi syn, który siedział jej na kolanach, ukazując w uśmiechu brak przednich zębów. Miał szczęśliwą niewinną minę i miękkie ciemne włosy, podobne do jej własnych. Jej Paul, pomyślała. Jej biedny, biedny Paul.

Odwróciła wzrok od zdjęcia, które i tak wryło jej się w pamięć. Patrzenie na nie było zbyt bolesne, ponieważ na ich twarzach nie widniał żaden znak zwiastujący te wszystkie zrujnowane święta Bożego Narodzenia, które czekały ich w przyszłości.

## Rozdział trzeci

Michael chwycił żelazny łom wepchnięty pod łóżko obok starych numerów „Playboya”, które zwędził ojcu, a teraz ukrywał przed mamą. Podniósł z łóżka swoją szarą kurtkę z goretexu i włożył ją, po czym ukrył pod nią łom, a do kieszeni wepchnął czarną wełnianą kominiarkę.

Gwiazdy rocka, sportu i filmu patrzyły na niego ze ścian, które własnoręcznie pomalował: Brando, Rooney, Morrison, Lennon, Crowe, System of a Down, Muse, De Niro, Kasabian i Jack Johnson. Na tarczy do rzutek wisiały przypięte zdjęcia Michaela i jego szkolnych przyjaciół oraz fotografia surfera sunącego pod załamującą się falą.

Michael nigdy nie był w Ameryce ani nie surfował na fali. Postanowił jednak, że pewnego dnia zrobi jedno i drugie. Zamierzał rzucić szkołę i wyruszyć w podróż. Potem wróci do domu, przeprowadzi się do Londynu i będzie zarabiał na życie, wykonując jakąś fajną pracę, może będzie prowadził bar, pracował w radiu albo na stanowisku szefa kuchni. Zamierzał wcześniej przejść na emeryturę i zamieszkać w jakimś upalnym miejscu, takim jak Tajlandia, Indie albo nawet Kaliforn-I-A.

Zbiegł po zabrudzonych, pokrytych zielonym dywanikiem schodach i wszedł do kuchni przepełnionej zapachem *marmite*<sup>\* 4</sup> i Mr Muscle. Jego ojczym, Roddy, który miał na sobie sweter w kolorze mokrej torebki z herbatą, zerknął na Michaela, odrywając się na chwilę od jakiegoś programu w telewizji, po czym z

---

<sup>4</sup>Pasta do smarowania pieczywa wytwarzana na bazie ekstraktu drożdżowego.

powrotem przeniósł znudzony wzrok na ekran i ponownie zabrał się do grzebania w zębach złamaną zapałką.

- Kolejną ważną sprawą, którą należy uwzględnić, wybierając miejsce na przeprowadzkę - mówił gospodarz programu - jest lokalne zaplecze. Gdzie będziecie robić zakupy? I, jeśli macie dzieci, do której pošlecie je szkoły?

Kiedy Michael stanął obok tylnych drzwi i zaczął wkładać upačkane błotem buty, w oczy zaszczyła go smużka tytoniowego dymu z niedogaszzonego papierosa w popielniczce w kształcie ryby, leżącej na sosnowym kuchennym stole. Zza brązowej kotary, która oddzielała kuchnię od pokoju, dobiegło go zawodzenie suszarki. Za zasłoną z koralików, niczym za więziennymi kratami, ujrzał swoją mamę, która przykucnąwszy przy kaloryferze, próbowała skręcić swoje żółte włosy w loczki na czubku głowy.

Mama Michaela poznała Roddy'ego na urodzinowym przyjęciu przyjaciółki w St. John's. Było to rok temu, tuż po tym jak rozwiodła się z ojcem Michaela. Roddy wpadł tylko z wizytą do kuzyna, lecz niespełna trzy miesiące później rzucił pracę taksówkarza w Truro i wprowadził się do mamy Michaela.

Co wcale Michaelowi nie przeszkadzało, prawie wcale, ponieważ pragnął, aby jego matka była szczęśliwa. Jednak sześć tygodni temu ona i Roddy oznajmili mu, że postanowili wystawić Wiatrówkę na sprzedaż. Gdy tylko znajdzie się kupiec, poinformowali go, razem przeniosą się na ląd. Planowali otworzyć tam herbaciarnię. W Truro. W rodzinnym miasteczku Roddy'ego. Jeszcze teraz na samą myśl o tym wszystkim Michael miał ochotę splunąć.

Wyjście z domu przypominało opuszczenie sauny. Michael z ulgą wciągnął w płuca zimne powietrze, gdy tylne drzwi zamknęły się z hukiem za jego plecami. Roddy krzyknął coś w ramach protestu, lecz jego słowa zostały stłumione i Michael nie zadał sobie trudu, żeby na nie odpowiedzieć.

Tylna połowa budynku, kolo której Michael teraz się znajdował, to było miejsce, gdzie mieszkał wraz z mamą i Roddym. Frontowa część stanowiła pub, który wspólnie prowadzili, jedyny na wyspie Brayner. Michael nie pamiętał innego domu.

Popędził wąską alejką, która biegła wzdłuż pubu, obok porozbijanych doniczek i łupkowych skorup zgromadzonych pod nadpleśniąłą ścianą.

Na opustoszałej drodze przed domem hulał wiatr, targając po wyboistym asfalcie szeleszczącą czarną torbę z plastiku. Miał przed sobą ciemne mokre głębin przystani Zielonej Zatoki, a automatyczna latarnia morska celowała w niebo niczym wielki gruby palec.

Widoczna z prawej strony droga prowadziła na południe, poza granice wioski, a potem wiała się we wschodniej części wyspy, łącząc wioskę z kilkoma porzucanymi domami i sąsiednimi osadami. Na wyspie nie było zbyt wielu samochodów, ponieważ trzeba je było specjalnie transportować ze stałego lądu, a potem wciągać na brzeg, więc również na drodze było pusto.

Michael skręcił w lewo i ruszył drogą na północ. Po tej stronie również nie było nikogo widać. Nałożył kominiarke, podwijając ją tak, aby wyglądała jak normalna wełniana czapka. Miał czternaście lat, lecz wyglądał na siedemnastolatka. Miał jasne włosy i jasną skórę, był wysoki i szczupły. Dostrzeżało się w nim jakąś kruchość, a w jego brązowych oczach czaiła się bezbronność, lecz był silniejszy, niż wskazywał jego wygląd.

Tydzień temu po raz pierwszy obejrzał *Łowcę jeleni* i nie mógł o tym zapomnieć. W porównaniu z postaciami z filmu zupełnie nie czuł się mężczyzną. Przez cały ostatni rok jego życie kręciło się wokół egzaminów i planów lekcji, wokół myślenia, a nie działania. Film budził w nim frustrację. Miał dosyć bycia dzieckiem.

Michael nie był zbyt dobrym rysownikiem, bardziej pociągały go historia, angielski i muzyka, a mimo to potrafiłby naszkicować przystań Zielonej Zatoki z zamkniętymi oczami, nie pomijając żadnego kamienia, tak jak prawie całą wyspę Hrayner, która miała zaledwie trzy mile długości i dwie szerokości. Mieszkał tu od trzeciego roku życia.

Przystań Zielonej Zatoki zawdzięczała swoją nazwę szmaragdowozielonym wodorostom, które porastały jej skały i latem tworzyły kosmiczną podwodną poświatę. W dzieciństwie Michael obrzucał się oślizłyrai pecynami ze swoim byłym najlepszym przyjacielem Gregiem, bawiąc się na zmianę w Supermana i Leksa Luthera; udawał, że wodorosty są kryptonitem, albo też wypisywał nimi brzydkie słowa na chodniku przed budynkiem poczty, aby rozwścieczyć panią Carling, która prowadziła tamtejszy sklep i uważała przeklinanie oraz plucie i bieganie po ulicach za śmiertelny grzech.

Michael tęsknił za Gregiem. Greg był jedynym dzieciakiem na wyspie w tym samym wieku co on, ale trzy lata temu wyprowadził się do Manchesteru, gdzie jego rodzice odziedziczyli duży dom po babci. Mama Michaela obiecała mamie Grega, że kiedyś ich odwiedzą, ale nigdy tego nie zrobili.

Michael minął budynek szkoły, którą zamknięto w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, jeszcze zanim się urodził. Szkoła, do której chodził Michael, mieściła się w St. John's. Musiał łapać wodną taksówkę opłacaną przez rząd, żeby w roku szkolnym przemieszczać się codziennie tam i z powrotem. Jego kumple w St. John's uważali to za najbardziej odjazdową rzecz na świecie, ale tak naprawdę morze było dla Michaela czymś w rodzaju tapety, czymś co tkwiło tam od zawsze. Codzienna podróż do St. John's i z powrotem pochłaniała godzinę jego wolnego czasu.

Nadal kierował się na północ od wioski, idąc pustą drogą, która przecinała dziką ziemię porośniętą bluszczem. Przeszedł nią nieco ponad kilometr. Rozpiął

płaszcz i wyjąwszy żelazny łom, zaczął wymachiwać nim tam i z powrotem w rytm swoich kroków.

Wtedy ich dostrzegł - Taylor i Simona - dwie maleńkie postacie, odznaczające się na tle nieba ponad stoki Solace Hill. Simon był ośmioletnim kuzynem Taylor. Nie było go tutaj wczoraj, kiedy umawiali się na spotkanie, i Michael zdziwił się na jego widok. Taylor coś krzyknęła, lecz Michael dosłyszał tylko słowo „kurwa”. Pewnie wściekała się na niego za spóźnienie. Puścił się biegiem.

- Przepraszam - powiedział, kiedy do niej dobiegł. Wkurzało go, że na Brainer nie można było wysyłać SMS-ów, ponieważ sygnały telefoniczne często okazywały się zawodne. Prawie każda wyspa była czarną dziurą na mapie telekomunikacyjnej i na co dzień ich mieszkańcy musieli polegać na radiotelefonach. Taylor zawsze żartowała, że w ten sposób życie towarzyskie cofało się do zamierzchłych czasów.

- I jest za co, ty niesłowny dupku. Nie wiesz, że to niegrzecznie kazać czekać damie?

- Czy teraz jesteś damą? - zapytał.

- Zawsze byłam damą, Michael - powiedziała.

Miała rację i dobrze o tym wiedział. Sposób, w jaki mówiła, w jaki się ubierała - Jezu, nawet to, jak chodziła - czynił z niej najbardziej elegancką dziewczynę, jaką kiedykolwiek spotkał.

- Musiałem pomóc mamie w obieraniu ziemniaków - powiedział. - Skończyły nam się mrożone frytki.

Mówiąc, unikał wzroku Taylor. Jak zwykle obawiał się tego, co mogłoby się stać, gdyby zbyt długo patrzył jej w oczy. Mógłby zrobić się czerwony i wyjść na kretyna. Patrzył na nią tylko wtedy, gdy ona patrzyła na coś innego, i w takich chwilach nigdy nie mrugał, jak gdyby zamieniał się w kamerę, która wypala jej wizerunek w jego mózgu.



Simon krzyknął: - Cześć! - i Michael odwrócił się, patrząc, jak pędzi w jego stronę przez gęste wrzosowisko. Wydawał z siebie odgłosy naśladowujące dźwięk karabinu maszynowego i udawał żołnierza. Jego kręcone ciemne włosy targał wiatr.

Odskoczył na bok z donośnym rykiem, udając, że trafił na minę. - Jak ci się podobało? - zapytał Michaela, po czym wstał i pobiegł w jego stronę.

- Dziewięć punktów na dziesięć za styl - powiedział Michael. - Ale dziesięć za poświęcenie.

- Ha! - krzyknął zadowolony Simon, po czym uniósł prawą dłoń, a Michael sumiennie przybił mu piątkę.

- Co słyszeć? - zapytał Michael. Nie widział Simona od letnich wakacji.

Simon przestępował z nogi na nogę, kiwając się w przód i w tył. - Wszystko w porządku. Tak, jest dobrze. Na jeden mecz dostałem się do szkolnej drużyny futbolowej i pokonaliśmy Rainsford High jeden do zera. Ale to nie ja strzeliłem gola. Zrobił to Garry Egan, a on jest naprawdę szybki. Poza tym miałem najgorsze wyniki z matmy. A mama dalej posyła mnie do lekarza, żebym rozmawiał o tym, co przydarzyło się Paulowi. I to niesprawiedliwe, bo Nat nie musi do niego chodzić. Mama mówi, że jest jeszcze za mała... a to przecież bzdura, co nie? No bo Nat mówi, że cały czas śnią się jej koszmary i czasami budzi się z płaczem... A mama i tata zmusili mnie do wieczornych korepetycji z matmy, ale nie każą mi już chodzić na lekcje gry na fortepianie, bo nazwałem pannę Perkins, moją nauczycielkę, grubą brzydką wiedźmą, a ona powiedziała, że przeze mnie się popłakała, ale to tylko dlatego, że nie chciała mnie słuchać, bez względu na to, co mówiłem, i ciągle spychała moje dłonie na właściwe klawisze i bolały mnie od tego palce...

- Wygląda na to, że byłeś dosyć zajęty - powiedział Michael, przerywając Simonowi, kiedy ten brał oddech, ponieważ wiedział, że jeśli tego nie zrobi, Simon nigdy nie przestanie gadać.

- Patrzcie na to! - krzyknął Simon, odwracając się i biegnąc w podskokach przez wrzosowisko.

Taylor i Michael patrzyli, jak się oddala.

- Pamiętasz, jak razem z Simonem i Paulem biwakowaliśmy w ogrodzie za domem dziadka i wmówiliśmy im, że otoczyły nas zombie? - zapytała Taylor.

- Tak.

- To było takie zabawne - powiedziała. - Godzinami trzymaliśmy ich w strachu.

Działo się to trzy lata temu, kiedy Michael i Taylor mieli po jedenaście lat. Wtedy po raz ostatni spali w jednym łóżku i dlatego wydawało mu się, że po raz ostatni naprawdę byli wtedy dziećmi.

Teraz Taylor miała metr sześćdziesiąt siedem wzrostu i była tylko pięć centymetrów niższa od Michaela. W zeszłym roku jej włosy były jasne. Kiedy je rozpuściła, sięgały do pasa. Teraz były już obcięte do ramion, lekko rozjaśnione i gdzieś tam upstrzone czarnymi i różowymi pasemkami („Tylko do czasu powrotu do szkoły - powiedziała - bo wtedy te dupki każą mi to zmyć”). Miała na sobie niebieską wojskową puchówkę, wytartą dzinsową spódnicę, pasiaste rajstopy i ciężkie czarne buty. Od letnich wakacji zrzuciła parę kilo - „zrobiła się chuda jak szczapa”, jak sama mówiła. Nabrała surowego, cwaniackiego wyglądu jak postać z gry komputerowej, którą zaprojektowano do walki.

W ciągu ostatniego roku sylwetka Taylor się zmieniła, co stało się jeszcze bardziej widoczne od czasu ostatnich wakacji. Wydłużyła się, rozciągnęła, a kanciaste ciało nabrało krągłości. Nie wyglądała już jak dziecko, nie dla niego. On też nie czuł się jak dziecko, kiedy na nią patrzył.

Michael wyobrażał ją sobie w lubieżnych scenach. Myślał o zrobieniu z nią tego od chwili, w której przeżył swój pierwszy mokry sen, nieco ponad rok temu - i nawet wtedy śnił o niej. Wyobrażał ich sobie w swojej sypialni, pod kołdrą, całujących się i badających swoje ciała rękami. Potem wyobrażał sobie odważniejsze sceny, w których testowali różne pozycje, o jakich czytał w magazynach i widywał w Internecie: na misjonarza, na pieska, sześć na dziewięć, na jeźdźca albo na łyżeczki.

Jednak w rzeczywistości nigdy nie robili niczego podobnego. Nawet się nie całowali. Najbardziej obawiał się tego, że nigdy nie będą. Nie powiedział jej jeszcze, że wkrótce wyprowadzi się z wyspy. Zawsze, kiedy przy nim była, myślał, że będą razem bez końca. Nie chciał zniszczyć tego uczucia. Jeszcze nie teraz.

- Na co się tak gapisz? - zapytała.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, patrzył, jak wsuwa metalicznie zieloną baseballówkę G-STAR głębiej na oczy.

- Fajna czapeczka - powiedział, domyślając się, że nie włożyłaby jej, gdyby było inaczej.

Spojrzała na niego łagodniejszym wzrokiem. - Dzięki - odparła - ale jest tylko zdobyczna. Trafiłam ją w Portobello na przecenach.

- Tym fajniej - powiedział, chociaż tak naprawdę nie wiedział, czy mówiąc „zobyczna”, ma na myśli to, że ją ukradła, czy może chodzi jej o podróbkę.

Zachował tę niewiedzę dla siebie. Taylor przyjechała z Londynu i czasami Michael martwił się, że może go uznać za zacofańca, który kompletnie nie nadąża za nowinkami, ponieważ został wychowany właśnie tutaj, na małej „zadupia-  
stej” wysepce, albo na „końcu świata” - w zależności od tego, czy podzielało się punkt widzenia Roddy'ego, czyjego matki.

Michael nadrabiał zaległości wynikające z izolacji, śledząc wydarzenia w internecie, kolorowych magazynach i telewizji. Wiedział, co jest na topie, a co się przejadło, jakie zespoły są fajne, a jakie się przeżyły, i streścił to wszystko Taylor w ciągu pierwszych dziesięciu minut ich spotkania, po jej wczorajszym przyjeździe na wyspę, żeby przypadkiem nie pomyślała, że jej nie dorównuje, żeby wiedziała, że nadal fajnie się z nim zadawać.

Spod daszka czapeczki zwisało jej pasemko włosów, błędząc w okolicach oka i powiewając na wietrze. Żałował, że nie miał wystarczająco dużo odwagi, żeby wyciągnąć dłoń i je odsunąć, lecz ręce trzymał przy sobie.

- Widzę, że przyniosłeś łom - powiedziała, spoglądając na jego dłonie. - To dobrze. Idziemy.

Kroczył obok niej. Szli szybko, w milczeniu. Biegący przed nimi Simon zmienił się w samolot, jak gdyby badał dla nich teren i wyznaczał drogę, którą powinni obrać. Z szeroko rozpostartymi ramionami strącał niewidoczne migi, tocząc powietrzną walkę nad grzbietem pagórka.

Michael czuł zimno łomu. Wiatr zadał mocniej, a on zadrżał, przypominając sobie, po co tu przyszli.

- Naprawdę myślisz, że przyprowadzanie tu Simona to dobry pomysł? - zapytał.

- A czemu nie?

- No, popatrz na niego - powiedział Michael, kiedy Simon z rykiem przezierał się przez kępę wrzosów. - On jest jak tornado.

- A czego się spodziewałeś? Dopiero przyjechał - odparła. - Doszłam do wniosku, że należy mu się trochę zabawy z dala od mamy. Ona pewnie trzymałaby go pod kluczem cały dzień. Kazała mi przysiąc, że nie spuszczę go z oka.

Taylor była jedynaczką i zawsze traktowała Simona jak młodszego brata. Mówiła, że to dlatego, że wydaje jej się słodki, ale Michael wiedział, że po pro-

stu lubiła nim dyrygować. Taylor była stworzona do dyrygowania ludźmi. To ona wymyśliła wszystkie fajne gry, w które grali przez całe dzieciństwo. To ona ustalała zasady. Podobnie jak teraz. Jak w przypadku tej wyprawy. To też był jej pomysł.

- Tam może być niebezpiecznie - przypomniał jej Michael.

- O to ci chodzi? - zapytała.

- Tam... W starej kopalni cyny Wilsona. Właśnie tam szli. Właśnie do tego potrzebowali łomu. Zamierzali włamać się do środka i trochę się rozejrzeć.

Trzymali się wąskiej starej ścieżki wydeptanej na wzgórzu przez pokolenia owiec. Taylor nie zwolniła kroku, gdy oddalili się od Simona i znikł im z oczu.

- A co będzie, jeśli zaczniesz się wygłupiać? - ciągnął Michael. - Albo wpadnie w szal. Naprawdę może zrobić sobie krzywdę. Albo któremuś z nas...

Simon słyszał z wykręcania takich numerów albo ze wściekania się, kiedy sprawy nie szły po jego myśli.

- W takim razie każemy mu czekać przy wejściu - powiedziała Taylor. - Jeśli coś pójdzie nie tak, będzie mógł pójść po pomoc.

- Nie zgodzi się zostać tam sam.

Taylor rzuciła Michaelowi surowe spojrzenie. - Zrobi, co mu każę, jasne? I przestań mówić o nim tak, jakby był wariatem, bo wcale nim nie jest. Nie bierze nawet lekarstw, a znam całe mnóstwo dzieciaków bardziej stukniętych niż on. Po prostu ma za sobą gówniany rok, a jego mama jeszcze pogarsza sprawę. Chcę tylko, żeby sobie odpoczął.

Michael nie pozwoliłby mówić do siebie w ten sposób żadnemu innemu dzieciakowi w swoim wieku, ale z Taylor było inaczej. Przyjął to po męsku. Nie odpyskował. Ona zawsze mówiła to, co myślała, nawet do dorosłych, i za to ją podziwiał. Poza tym była szalenie lojalna wobec ludzi, z którymi coś ją wiązało, i chroniła tych, których znała - a to również wzbudzało jego podziw.

- Zapomnij, że cokolwiek mówiłem - powiedział.

- Zapomnę - odpowiedziała i kątem oka dostrzegł jej uśmiech.

On również się uśmiechnął, kiedy opuściły go resztki złości. Konflikty były dla niej jak sport. Zawsze miała ostatnie słowo, bez względu na wszystko.

Michael poznał ją osiem lat temu, kiedy zaproszono go do domu jej dziadka, żeby się pobawili. Jej rodzina, Thorne'owie, od lat przyjeżdżała na wyspę na wakacje, na długo przedtem, zanim rodzice Michaela kupili Wiatrówkę.

Michael uwielbiał, kiedy przyjeżdżała tu Taylor. Wakacje robiły się takie nudne, gdy nie było jej w pobliżu, zwłaszcza odkąd zniknął Greg. Jasne, czasami płynął do St. John's, żeby powłóczyć się trochę z kumplami ze szkoły, Dougiem i Gazem, ale i tak pozostawało mu mnóstwo samotnych dni. Nie chodziło o to, że nie lubił wyspy. Lubiał ją. Uwielbiał. Była jego domem. Po prostu lubił ją o wiele bardziej, kiedy mógł ją dzielić z Taylor.

Zatrzymała się, gdy dotarli do grzbietu Solace Hill. Wciągnęła powietrze. Jak polujące zwierzę, które wietrzy ofiarę - pomyślał. Zdjęła czapkę i przecesała włosy palcami.

Przed nimi, po obu stronach, rozciągało się wybrzeże. Było postrzępione i usiane zatokami, co upodabniało je do zarysu mapy przypominającego kawałek materiału wyciągniętego z wyrzynarki albo ser nadgryziony przez szczury.

Oprócz ich trojga nigdzie nie było widać żywej duszy. Zimą było tu tak zawsze. Latem wszystko się zmieniało. Od czerwca do października przybywały tu szkolne wycieczki z całej Europy. Wszyscy łązili po wyspie, wypełniali jakieś kwestionariusze, jedli chipsy, kanapki z sałatą i serem, spokojnie popalali w ukryciu papierosy albo całowali się i obmacywali za plecami nauczycieli. Stojąc na szczycie wzgórza, widywało się uczniów rozpierschniętych wśród kolcolistów, odzianych w jaskrawe wiatrówki - wyglądali niczym opadłe porzucone latawce, które przestały już łopotać na wietrze.

- Boże, uwielbiam to miejsce - powiedziała. - Uwielbiam wyjść z domu i znaleźć się gdzieś, gdzie nikt nie mówi mi, co mam robić. Czekałam na tę chwilę od wielu miesięcy. Szkoła jest tak zajebiście nudna, że chce mi się rzygać.

Taylor chodziła do szkoły z internatem: siedem dni w tygodniu, dziesięć miesięcy w roku. Mówiła, że czuje się jak w więzieniu. Mówiła, że mają tam milion zasad. Nienawidziła rodziców za to, że ją tam posłali.

Uśmiechnęła się do niego, zrobiła gwiazdę - jedną, a po-Inn drugą - na skraju ścieżki. Klasnęła w zabłocone dłonie, a potem niedbale wytarła je o spódnicę.

- Jesteś pod wrażeniem? - spytała.

- Jestem zaskoczony.

- Simon! - zawołała. - Gdzie ty, do cholery... Patrzyli, jak pojawia się jakieś dwadzieścia metrów dalej, niczym nurek wypływający z zielonego morza, żeby zaczerpnąć tchu.

Kiedy pędził w ich stronę, oczy Michaela zwróciły się w kierunku Taylor. Potem poszli już razem, mijając sękaty czarny pień srebrnej brzozy, w którą kiedyś uderzył piorun. Oddalili się od wioski o dwa kilometry. Wkrótce mieli dojechać do kopalni.

## Rozdział czwarty

Ben pewnie stał na pokładzie, kiedy fale kołysały łodzią w tył i w przód przy kamiennym murze starej kei w przystani Fleet Town. Zatrzasnął zamek na dziobie i za pomocą dwóch kawałków fluorescencyjnej żółtej liny przymocował stalową beczkę piwa do tylnej części kokpitu.

W jednej z pobliskich szop, w których budowano łodzie, leciał kawałek Gorillaz, *Feel Good Inc.*, i urywki melodii docierały do uszu Bena wraz z powiewami bryzy. Dobrze znał tę piosenkę. Pochodziła z albumu, który kupił na początku lata, kiedy nadal przyzwyczajał się do bycia singlem. Kupił ją, żeby się rozweselić, ale teraz tylko przypominała mu o tym, jaki był wtedy zrozpaczony i smutny.

Gdy otarł czoło grzbietem dłoni, nozdrza wypełnił mu znajomy zapach oleju silnikowego. Ta woń otaczała go przez całe dzieciństwo. Zawsze wydzielał ją ojciec - była równie intensywna jak zapach jego wody po goleniu - a także dziadek. Kiedyś Ben myślał, że pożegnał się z nią na dobre, ale się mylił.

Jasne włosy Bena nadal były zmierzwione po wyjściu spod porannego prysznicza. Z tyłu jego czarnej, zapinanej pod szyję kurtki zwisały poszarpane wełniane nitki. Jego niegdyś nieskazitelnie czyste trampki Nike i džinsy Calvina Kleina pokrywały krople farby i plamy oleju. Tylko dłonie miał wypielegnowane: opiłowane i krótko obcięte paznokcie.

Spojrzał na miedzianą bransoletkę, którą nosił na prawym nadgarstku. Podczas pewnych wakacji, grubo ponad dziesięć lat temu, kiedy był jeszcze nastolatkiem, powiedziano mu, że leczy reumatyzm. Od tamtej pory traktował ją jak coś w rodzaju talizmanu, choć tak naprawdę ostatnimi czasy szczęście mu nie dopi-



sywało, a bransoletka barwiła jego skórę na zielono. Na lewym nadgarstku miał drogi zegarek TAG Ilcuer. Jego tarczę przecinało pęknięcie przypominające błyskawicę. Dziesięć minut wcześniej Ben wyrznął nim o klamkę, ale nawet to nie zdołało popsuć mu dobrego humoru.

- Dzięki, Mick - zawołał do straszliwie grubego starszego od siebie mężczyzny o brzuchu niedźwiedzia, który stał na kei i zapinał znoszoną kurtkę z czarnej skóry osłaniającą bluzę Ry Cooder.

Mick splunął i zapalił papierosa. Kropla potu spłynęła mu po policzku i zawisła na szczęce niczym perła. Jego twarz nadal pokrywała patyna dawnego trądziku młodzieńczego, a ściągnięte w kucyk czarne włosy zaczynały siwieć. Mick miał czterdzieści lat, prawie dziesięć więcej niż Ben, a jego ojciec był właścicielem wielobranżowego sklepu we Fleet Town. Dawno temu, gdy Ben był jeszcze małym kościstym chłopcem, Mick nauczył go pływać, wrzucając na głęboką wodę lokalnego kąpieliska i krzycząc, żeby wierzgał nogami.

Łódź, na której pokładzie stał Ben, należała do jego ojca, George'a Stone'a. Była to czerwona motorówka długości niemal czterech metrów, która potrafiła przewieźć osiem osób.

Ben i Mick czasami wykorzystywali ją latem do uprawiania narciarstwa wodnego, wypływając na wodę tuż przed zmierzchem, kiedy słońce przemieniało tafle morza w srebrzysty blok. Zmieniali się przy sterach i pędzili po połyskliwych falach, zostawiając za sobą rozszerzający się ślad ze wzburzonej piany w kształcie litery V. Ben miał sylwetkę sportowca i potrafił ślizgać się jak zawodowiec przez godzinę, podczas gdy Micka charakteryzował wdzięk hipopotama na łyżwach i gdy tylko opuszczały go siły, wpadał do wody niczym wieloryb zrzucony z kosmosu.

Jednak dzisiaj łódź służyła do pracy, a nie do zabawy, i właśnie skończyli ładować na nią zaopatrzenie, które Ben miał zawieźć na Brayner.

Ben wciągnął zimne powietrze głęboko w płuca i uśmiechnął się. Plecy i ramiona bolały go od niedawnego wysiłku, lecz u podstaw zmęczenia leżało poczucie satysfakcji. Była to ostatnia podróż, którą łódź odbędzie w te święta i cieszył się, że właśnie on stanie wtedy za sterami. Dobrze się tutaj czuł, miał jakiś cel, znowu brał los i przyszłość we własne ręce.

- Zapalisz? - spytał Mick, machając czerwono-białą paczką marlboro w stronę Bena.

- Rzuciłem.

- Kiedy?

- Dzisiaj rano.

Przez ten sen - pomyślał Ben - przez sen, który przyśnił mu się ostatniej nocy. Siedział w wilgotnym fotelu w ponurej jamie w ziemi - w takiej, którą wykopuje zwierzę, żeby przejść w stan hibernacji - z papierosem w dłoni i pełną popielniczką stojącą na oparciu, a przed nim grał telewizor, pokazując czarno-białą wersję tej sceny, jak gdyby ekran był lustrem, odbijającym zastój, który nastąpił w jego życiu.

- Dlaczego nie poczekaasz do Nowego Roku? - zapytał Mike.

- Dlatego że wtedy będę miał kaca i chętnie skorzystam z każdego pocieszenia, jakie się nawinie.

Ben zbudził się z tego snu zlany potem. Czy naprawdę było to wszystko, co życie miało mu jeszcze do zaoferowania? Depresja i upadek? Pierwszą rzeczą, jaką wtedy zrobił, było sięgnięcie po leżącą przy łóżku paczkę papierosów. Zmiażdżył ją w dłoni i wyrzucił do kosza.

Mick gapił się na dymiącą końcówkę swojego papierosa, jak gdyby również zastanawiał się nad wyrzuceniem go i skończeniem z nałogiem, lecz zamiast tego głęboko się zaciągnął i uśmiechnął.

- Tym lepiej dla ciebie - powiedział tylko.

Tak naprawdę Ben wrócił do palenia zaledwie rok wcześniej. Zanim to nastąpiło, nie tykał papierosów przez ponad dziesięć lat. Nie miał takiej potrzeby. Był zdyscyplinowany

I wiedział, czego chce. Zbudował sobie bezpieczne życie, które nie potrzebowało żadnych podpórek. A potem wszystko wzięło w łeb. Dostał cięgi od swojej byłej, Marie, po których w dalszym ciągu nie mógł się pozbierać. Wrócił do papierosów. I do picia. I do pijących przyjaciół. Ostatnie pół roku stanowiło nieustanny cykl późnych powrotów do domu i skacowanych dni. Wszystko zaszło tak daleko, że miesiąc temu przestał wychodzić wieczorami, żeby zrobić sobie przerwę, a później, dziś w nocy, przyśnił mu się ten sen, który potwierdził to, o czym już wiedział.

Doszedł do wniosku, że sen mówił mu mniej więcej tyle: nadszedł czas, żeby znowu się zaangażować, nie wracać do dawnych kiepskich przyjaciół ani do dawnego kiepskiego stylu życia, ale zacząć zbierać połamane kawałki dawnego losu i znowu ułożyć z nich całość. Nadszedł czas, żeby ponownie stać się tym, kim był, zanim wszystko się popsuło. Właśnie takie znaczenie miało dla niego rzucenie palenia: było krokiem naprzód, z mroku w światłość.

Ojciec narzekał dziś rano na ból pleców, więc Ben powiedział, żeby zrobił sobie wolne. Ubrał się, wyszedł z domu i teraz stał już na kei z listą spraw, które należało załatwić przed ósmą wieczorem. Przewiózł już kilku kanadyjskich turystów wokół wyspy Skeen i przetransportował na Brayner jakąś rodzinę, która miała tam spędzić święta.

- I to już koniec wycieczek? - zapytał Mick.

- Taki jest plan.

Chyba że, oczywiście, pomyślał Ben, głowa rodziny, którą właśnie wysadził na Brayner - Elliot jakiś tam - mówił poważnie o ewentualnych odwiedzinach Fleet Town w ciągu kilku następnych dni.

Ben szczerze w to wątpił. W święta Bożego Narodzenia ludzie siedzą w domach. Telewizja, dobre jedzenie, czerwone wino i dużo snu... wszyscy to uwielbiają i ten facet bez wątplenia nie stanowi wyjątku. Ale nie Ben. Nie tym razem.

Miał zamiar włączyć laptopa, z którego nie korzystał od wielu tygodni. Zamierzał połączyć się z internetem, sprawdzić biznesową korespondencję i zacząć układać plany na następny rok. Koniec z zastojem, powiedział sobie. Nadszedł czas, żeby jego życie znowu nabrało tempa.

- Słyszałeś prognozę pogody? - zapytał Mick. Spojrzał na niebo, które było tak białe i przydymione, jakby ktoś nachuchał na szybę.

Ben sięgnął po płaszcz - pożyczony od taty granatowy strój roboczy, który wisiał na sterze. Teraz, kiedy skończył się wysiłek związany z załadowaniem łodzi, zaczął go smagać zimny wiatr.

- Niech zgadnę - zażartował. - Spodziewają się fali upałów? Mick posłał mu szeroki uśmiech.

- Raczej śniegu. Dziś wieczorem. Ma napadać kilkanaście centymetrów.

- Myślą, że się utrzyma?

- Tak mówią. Poza tym będą burze. Dziś rano widziałem to w internetowej prognozie pogody. Jeśli niska temperatura utrzyma się wystarczająco długo, jest nawet szansa, że do jutra albo pojutrze morze pokryje się lodem.

Śnieg leżący na wyspach... Ben widywał to już wcześniej, ale niezbyt często. A jeśli chodzi o lód... no cóż, coś takiego znał tylko ze starych fotografii w kolorze sepii, wiszących w Atlantic Arms<sup>\*5</sup> przy Rupert Street, które zrobiono w czasie Wielkiego Mrozu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim, i nieco później, w siedemdziesiątym szóstym, kiedy Ben już żył, lecz był zbyt mały, by cokolwiek zapamiętać. Opowiedział mu o tym dziadek, który dodał, że lód rozprzestrzenił się wtedy jak szalony, pokrywając wybrzeża i przykuwając do portów

wszystko z wyjątkiem największych statków. Dziadek Bena mówił, że wyglądało to jak czary, jak gdyby jakaś czarodziejka rzuciła na morze urok.

- W takim razie im szybciej zawiozę ten ładunek na Brayru'i", tym lepiej, nie? - powiedział Ben.

Mick roześmiał się. - Racja. I pozdrów ode mnie Sally i Koddy'ego z Wiatrówki, kiedy będziesz wyładowywał to piwo. Wpadnę do nich w nowym roku na kilka pint.

Wiatrówka robiła świetne interesy latem, kiedy większe promy przywoziły i odwoziły turystów, ale tego typu transport nie opłacał się zimą, ponieważ było zbyt mało chętnych. Właśnie wtedy do akcji wkraczały takie łodzie jak motorówka jego ojca i niczym szpaki żerujące przy sadzawce dobrze od karmionych kaczek zbierały smakowite kąski, którymi wzgardziły większe statki.

- Dobra, w takim razie nic tu po mnie - powiedział Mick, rzucając niedopałek do lekko wzburzonej wody przystani. - Dzisiaj staruszek zamyka sklep trochę wcześniej, więc zmyję się do pubu.

Ben wygramolił się z łodzi i stanął obok niego na kei. Uścisnął Mickowi dłoń.

- Dzięki za pomoc - powiedział.

Mick otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, lecz wtedy obydwaj zamilkli, ponieważ ujrzeli idącą w ich kierunku kobietę.

Była szczelnie opatulona połyskliwą kurtką. Miała dwadzieścia parę, góra trzydzieści lat - domyślił się Ben. O kilka mniej niż on. Brązowe kręcone włosy spięła na czubku głowy szylkretową spinką.

Nie nazwałby jej piękną - w każdym razie nie w potocznym rozumieniu tego słowa. Jej twarzy nie można by sobie wyobrazić na gładkiej okładce kolorowego

---

<sup>5</sup>Organizacja zajmująca się wynajmowaniem mieszkań i domów.

magazynu - była zbyt niezwykła - lecz kiedy się zbliżyła, zauważył, że jej rysy cechuje jakaś intensywność, inteligencja, która przyciąga wzrok.

Do wpatrywania się w tę kobietę zmuszało ich jednak coś innego. Nie pasowała do złażącego lakieru wypłowiałych szop oraz ich ponurych, pokrytych paęcycznymi okien i zardzewiałych rynien.

Kiedy się z nimi zrównała i nieskazitelnie czystymi, masywnymi butami z czarnej skóry wdepnęła w kałużę oleju, nawet nie zwróciła na to uwagi. Była skupiona na telefonie. Wyglądała na sfrustrowaną, lecz zamiast uznać to za mało atrakcyjne, Ben zaczął się zastanawiać, jak wyglądałaby uśmiechnięta. Wsunęła telefon do kieszeni i włożyła kaptur.

-No cóż, z pewnością nie jest stąd - powiedział Mick, kiedy była już zbyt daleko, żeby go usłyszeć. - A wierz mi - dodał - nigdy nie zapomnę żadnej pary damskich nóg. Ben obejrzał się za nią. Jego przyjaciel miał rację. Nie była

dziewczyną, którą można zapomnieć. Nagle ogarnęła go irytacja - chociaż zwrócił na nią uwagę, ona nawet na niego nie zerknęła. Bardzo go to zaskoczyło, ponieważ tak naprawdę od czasu Marie nie interesował się zbyt wiele kobietami bez względu na to, czy na niego patrzyły, czy nie.

- Pewnie jakaś turystka - powiedział.

- Dziś przyjechała, jutro odjedzie - stwierdził Mick, jak gdyby kończył temat. Właśnie tak myśleli, kiedy dorastali - że turystki warte są tylko przelotnego romansu albo przygody na jedną noc, a ta kobieta nie wyglądała na odpowiednią kandydatkę do żadnej z tych opcji. Mick klepnął Bena w plecy wielkim łapskiem. - Będę w Mermaid's Rest - powiedział. - Wpadnij na kufla, kiedy wrócisz.

- Jasne - odparł Ben. - Do zobaczenia.

Ale tak naprawdę Ben nie zwracał na niego uwagi. Jego wzrok nadal skupiał się na kobiecie. Dotarła na koniec starej kei i wpatrywała się w miasteczko roz-

ciągające się za dwiema plażami i stacją ratownictwa. Potem utkwiała wzrok w wyspie Hensch, gdzie lekko wzburzone morze spotykało się z szarym niebem.

Ben nadal czekał przy łodzi, kiedy kobieta szła z powrotem. Myślał, że jest z kimś umówiona, lecz nikt do niej nie dołączył. Czekala tam samotnie przez jakieś dziesięć minut. Czy ktoś ją wystawił? Czy poszła tam dlatego, że chciała pobyć sama? A może przed kimś uciekała.

Kiedy zbliżyła się do Bena, zaczął się zastanawiać, co powinien powiedzieć. Nagle nabral pewności, że musi coś powiedzieć. To było jak wewnętrzny przymus. Jak typowa chęć wzięcia papierosa, kiedy ktoś nim częstuje, i wsadzenia go do ust - po prostu wiedział, że musi to zrobić. Dlaczego nic miałby z nią porozmawiać? - pomyślał. Dlaczego nie miałby się przekonać, czy nadal ma w sobie to coś, co skłania ludzi do zatrzymania się i nawiązania rozmowy. Właśnie do tego zachęcały go koleżanki od czasu rozstania z Marie. - Dostajesz tylko to, co sam dajesz - powiedziała jedna z nich. Miał w dobrym humorze i podobała mu się ta nieznajoma, więc poczuł, że nadeszła odpowiednia chwila, aby przekonać się, czy tamta koleżanka miała rację.

- Powinnaś zaopatrzyć się w pelerynę - powiedział do kobiety, lekko zastępując jej drogę.

- Słucham? - Zatrzymała się i opuściła kaptur, dzięki czemu znowu mógł widzieć jej twarz.

- No wiesz, pelerynę, z takim kapturem jak ten, ale długą i czarną. Wtedy wyglądałabyś dokładnie jak ona.

- Kto taki?

- *Kochanka Francuza...* Spojrzała na niego zaskoczona.

- Chodzi o to, co tam robiłaś - wyjaśnił. - Wpatrywałaś się w morze, rozmyślałaś... czekałaś na powrót kochanka...

Wreszcie załapała. I ujrzał uśmiech, który tak bardzo go ciekawił. Zupełnie odmienił jej twarz, niczym drobna fala przecinająca nieruchomą sadzawkę i budząca ją do życia.

- Chodzi ci o ten film - powiedziała. Zauważył, że mówi z australijskim akcentem.

- Z Meryl Streep...

- Na podstawie tej książki...

- Johna Fowlesa.

- Tak mało znany film nie nadaje się chyba do zaczepiania nieznajomych? - zapytała.

- No cóż, ty go skojarzyłaś, prawda?

- Chyba tak.

Nagle pożałował, że się nie ogolił, lecz nie robił tego od tygodnia. Zastanawiał się, jak musi wyglądać w jej oczach. Jak dzikus, pomyślał, ktoś, kto przybył z gór w poszukiwaniu jedzenia. Odgarnął włosy z twarzy.

- Czy rzeczywiście na kogoś czekałaś? - zapytał.

- Próbowałam dojrzeć wyspę Brayner.

- Musiałabyś się bardzo postarać... - powiedział, wskazując przeciwny kierunek do tego, w którym patrzyła - ... bo tak naprawdę ta wyspa jest tam.

Kobieta się zarumieniła, zakłopotana swoją pomyłką. Miała długie rzęsy, a oczy zielone i błyszczące niczym morska woda w skalnej sadzawce w letni dzień. Wyciągnęła z kieszeni kurtki złożoną kartkę i ważyła ją w dłoni. - Nigdy nie byłam dobra w czytaniu map - powiedziała, zwracając się w kierunku, który jej pokazał. - Słyszałam, że na Brayner jest pięknie.

- To prawda, ale stąd tego nie zobaczysz... a już na pewno nie dzisiaj... przy takiej widoczności...

- Szkoda.



Nagle zaświtała mu pewna myśl. - Mógłbym ci ją pokazać - powiedział - jeśli chcesz. - Wskazał łódź. - Muszę tam zawieźć trochę rzeczy.

Jego słowa zdumiały go równie mocno jak ją, lecz bynajmniej ich nie żałował. To tylko dodało mu odwagi. Ledwie mógł uwierzyć, że naprawdę to robi, naprawdę kogoś zagaduje, zupełnie trzeźwy i w biały dzień. Minęło mnóstwo czasu, odkąd podenerwowanie towarzyszące takiej chwili tak go podniecało. To było jak jakaś gra, próba zatrzymania jej przy sobie, próba zwrócenia jej uwagi.

- Mogłabyś zabrać się na przejażdżkę - powiedział. - To nie potrwa długo.

Przyjrzała mu się, jak gdyby dopiero teraz go zobaczyła.

- Ale ja nawet cię nie znam - odparła.

Nic wiedział, czy to jej pochlebia, czy może ją zdenerwował. - Wszystko w porządku. Pracuję tu jako przewoźnik. Wszyscy mnie znają.

- Benjee!

Wzdłuż kei spieszyła ku nim kobieta ubrana w dżinsy, czerwoną nieprzemakalną kurtkę i niebieską wełnianą czapkę z pomponem.

- Widzisz? - zapytał Ben. - Chyba nie potrzebujesz kolejnych dowodów?

- Zapomniałaś kanapek, kochanie - powiedziała do niego matka, wręczając mu prostokątny pakunek owinięty folią aluminiową. - To z *marmite*. Jego ulubione - dodała, zwracając się do młodej kobiety.

- Dzięki - odparł Ben, czując, że zaczyna się czerwienić. Wtedy matka wręczyła mu jeszcze pomarańczowy termos.

- Gorąca czekolada - powiedziała. - Dobra i słodka. Dlaczego nie masz szalika? - zapytała. - Tego, który dałam ci na urodziny.

Ben uśmiechnął się. - Nie wiem, mamó. Chyba po prostu nie byłem w zielono-fioletowym kraciastym nastroju.

Zauważył, że na ustach kobiety pojawia się lekki uśmiech.

- No cóż, w takim razie nie wiń mnie, jeśli zaziębisz się na śmierć - zganiła go matka. Z zadowoleniem zmierzyła wzrokiem młodą kobietę. - Nie zamierzasz nas sobie przedstawić? - zapytała Bena.

- Mamo, poznaj... - Ben wzruszył ramionami - ... Meryl Streep. Meryl, to moja mama.

Komentarz wprowadził matkę w zakłopotanie, a młoda kobieta przewróciła oczami.

- Tak naprawdę mam na imię Kellie - powiedziała. Zwróciła się do Bena. - A ty jesteś... Benjee, prawda?

- Dla większości ludzi po prostu Ben - odparł, znowu czując, że się czerwieni.

- Aha - powiedziała jego matka. - Więc dopiero się poznaliście.

- Tak - powiedziała Kellie. - I naprawdę powinnam już iść. Z powrotem do hotelu. Zatrzymałam się w Excelsiorze.

- Właśnie jej mówiłem - wtrącił się Ben - mówiłem Kellie, mamo, że mógłbym ją zabrać na Brayner. Nigdy tam nie była.

- Och, naprawdę powinnaś zobaczyć tę wyspę, skarbie - powiedziała matka Bena. Była entuzjastką historii i jej entuzjazm dla wysp nie znał granic. - Jesteś tu z przyjaciółmi? Może Ben mógłby zabrać również ich?

Ben patrzył na nią z wyczekiwaniem. Czy przyjechała tu w towarzystwie? No cóż, dzięki swojej matce za chwilę miał się tego dowiedzieć.

Kellie przestąpiła z nogi na nogę. - Nie - powiedziała. - Jestem tu sama.

- To zajmie tylko kilka godzin - kusił Ben.

Dziwnie się czuł, próbując nakłonić ledwie poznaną kobietę do podjęcia takiej decyzji, zwłaszcza w obecności własnej matki, lecz ta cała sytuacja coraz bardziej go intrygowała. Co ktoś taki jak Kellie robi tu sam w Wigilię? I co miał do stracenia, proponując jej tę wycieczkę? Najgorsze, co mogło go spotkać, to

odmowa i to, że zniknie z jego życia, a wszystko będzie dokładnie takie jak pięć minut temu.

Kellie z powrotem spojrzała na miasteczko, na przystanek autobusowy i postój taksówek, które mogły zawieźć ją do heliportu, na hotele i bary, w których mogłaby zabić czas, grzejąc się przy kominku. Okna i dachy nadmorskich budynków wydawały się nieciekawe i ciemne jak błoto.

Ben widział, że się waha. Uniósł foliowy pakunek, który wcześniej dała mu matka.

- A co, jeśli dorzucę do tego lunch? - zapytał.

- To bardzo miłe - powiedziała - ale nie, chyba będę wracać. Ich oczy się spotkały i nagle Ben poczuł się jak idiota,

który dostał kosza - jak gdyby zaprosił ją na randkę, a ona odmówiła. Zresztą w pewnym sensie właśnie tak się stało.

- Może innym razem - rzekł.

- Może. Do widzenia. I wesołych świąt - dodała Kellie. Wam obojgu.

Ben i jego matka patrzyli, jak idzie w kierunku miasteczka.

- Ładna dziewczyna - powiedziała matka.

- Tak.

- Ale jakaś smutna - dodała. Ścisnęła jego ramię. - Byłoby dobrze dla was obojga, gdybyście spędzili ze sobą trochę czasu.

Ben z powrotem stanął na pokładzie, zapuścił silnik i zostawiając go na jałowym biegu, zaczął wkładać kamizelkę ratunkową. Próbował zapomnieć o tej dziewczynie, ale oczami wyobraźni ciągle widział, jak stoi obok niego i zerka na zatokę. Znowu zaczął się zastanawiać, co robi tutaj sama. St. John's nie było takie jak Blackpool czy Brighton. Nie wskakiwało się do pociągu, żeby wybrać się tu na jednodniową wycieczkę. To wymagało planowania i pewnego wysiłku, po-

ciągów i taksówek, które przywoziły cię na wybrzeże, a potem promu, helikoptera albo samolotu, który transportował cię tu z angielskiego stałego lądu.

- Zmieniłam zdanie - odezwał się jakiś głos nad jego głową. Spojrzał w górę i zobaczył uśmiechającą się niepewnie

Kellie, jak gdyby nie była do końca przekonana, czy rzeczywiście tak myśli.

Nie dał jej szansy na zmianę decyzji. Nie mógł uwierzyć, że wróciła.

- Świetnie - powiedział i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wejść na pokład.

- Muszę cię ostrzec: nie mam przy sobie gotówki.

- Nie będzie ci potrzebna - powiedział.

- Ale powinnam ci zapłacić. Za to, że mnie ze sobą zabierasz.

- To był mój pomysł.

- Mimo wszystko chciałabym zapłacić. Zrobię to po powrocie.

- Potraktuj to jako przedwczesny prezent gwiazdkowy - powiedział. - Gościnnie wyspiarzy - dodał. - Słynie z niej, nie słyszałaś o tym?

Podał jej kamizelkę, a ona włożyła ją, zanim zdążył jej pokazać, jak to zrobić.

- Wygląda na to, że wiesz już co nieco o pływaniu? - powiedział.

Usiadła na rufie, obok beczki piwa. - Wystarczająco dużo, żeby ci nie przeszkadzać.

Nie chciał, żeby zapadło między nimi milczenie. Powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy: - Ulubiony film o tematyce żeglarskiej?

- Sprawdzasz, czy skojarzenie *Kochanicy Francuza* było tylko szczęśliwym trafem? - Uśmiechnęła się.

- Być może. A może po prostu lubię rozmawiać o filmach. -1 rzeczywiście tak było. Lubił to prawie tak bardzo jak ich oglądanie, ponieważ ostatnio życie wydawało mu się o wiele mniej skomplikowane i daleko bardziej uporządkowane, kiedy odgrywali je inni ludzie na ekranie.

- Niech pomyślę - zastanowiła się, spoglądając na horyzont, jak gdyby odpowiedzi, których szukała, mogły się z niego wyłonić niczym napisy na końcu filmu. - Ostatnio: *Piraci z Karaibów* albo *Pan i władca na krańcu świata*. Najbardziej uroczy: *Plusk* z Tomem Hanksem i Daryl Hannah. Największa tandeta: *Wyprawa na dno morza*. Ale za najlepszy ze wszystkich uznałabym albo *Das Boot*, albo *Karmazynowego pirata*. Jej oczy stawiały mu wyzwanie i dostrzegł w nich triumfalny błysk.

- Bardzo imponujące - powiedział. Ostatni film, o którym wspomniała, klasyczny hit z Burtem Lancasterem, należał również do jego faworytów. Sięgnął do schowka i wyciągnął z niego kilka czapek. - A teraz prostsze pytanie - powiedział. - Baseballówka czy wełniana?

- Niczego więcej nie potrzebuję. Jak już zauważyłeś, ta kurtka ma kaptur.

- Mówię poważnie - powiedział, unosząc czapki w górę - weź jedną. Tam na morzu robi się cholernie zimno. Będiesz wdzięczna za dodatkową warstwę, przysięgam.

- W takim razie baseballówka - zgodziła się w końcu.

- Pasuje ci - powiedział, gdy ją włożyła.

- Dzięki. - Nie wyglądała na przekonaną. Wsadziła ręce do kieszeni kurtki. - No więc czym dokładnie się tu zajmujesz? - spytała. - Usługami promowymi?

Zapуścił silnik i odcumował liny. Łódź zaczęła oddalać się od kei.

- To raczej coś w rodzaju taksówki - powiedział. - Przewozimy ludzi na Brayner i inne wysepki. Zwykle to jednodniowe wycieczki turystów. Potem ich stamtąd odbieramy. Czasami pokazujemy im też foki albo dostarczamy zaopatrzenie ludziom, którzy mieszkają na wyspach na stałe.

- My?

- Moja rodzina. A w każdym razie ojciec.

Ben szarpnął linkę gazu i perkocząca łódź zaczęła sunąć na otwarte wody zatoki. Kiedy wypłynęli z osłoniętej starej kei, zaczął ich smagać zimny wiatr.

Kellie stanęła obok niego przy sterze, gdy skierował łódź na północny zachód, mijając cypel po lewej stronie zatoki. Zwiększył prędkość i hałas łodzi zmienił się w warkot. Kadłub z PCV zaczął uderzać o fale. Ben spojrzał na Kellie, lecz ona ciągle patrzyła przed siebie w wielkim skupieniu, prawie jak gdyby chciała wyczarować Brayner siłą woli.

Otoczyli cypel i po kilku minutach, w oddali, wciśnięta między dwie mniej odległe wyspy, ukazała się Brayner, skalisty garb wznoszący się na horyzoncie, góra wyrastająca z morza.

- Trzymaj się mocno - powiedział Ben, przesuwając lewarek gazu na pełne obroty. - Czeka nas ostra jazda.

Nagle, stojąc z nią na pokładzie oddalającej się od lądu łodzi, poczuł się niepewnie. Czuł rosnący ucisk w piersi. To nie przypominało już gry, którą było, kiedy ją zagadnął. Nagle, gdy pędzili w stronę Brayner, wszystko wydało mu się bardzo realne.

## Rozdział piąty

Michael, Simon i Taylor okrążyli głogowy zagajnik i ich oczom ukazała się przepompownia szybu Wilsona. Była to szara kamienna budowla licząca ponad dwadzieścia metrów wysokości, osadzona na klifach górujących ponad wielkimi falami Atlantyku, które pędziły po Piekielnej Zatoce.

Michael dorastał wśród tych widoków, lecz dziś wszystko wyglądało inaczej, wydawało się nieprzewidywalne i kryło w sobie mnóstwo możliwości, niczym kamienny posąg, który nagle obudził się do życia.

Weszli na starą porośniętą trawą drogę, która biegła wzdłuż zachodniej części wyspy i kończyła się przy kopalni. Simon znowu puścił się biegiem, zawożdząc jak wygłodniały wilk i wyjąc do pochmurnego nieba.

Na płaskim półkolistym terenie na prawo od przepompowni widać było pozostałości opuszczonych górniczych domków, ograbianych przez wiele lat z cegieł przez mieszkańców przystani nad Zieloną Zatoką. To, co pozostało, przypominało wioskę duchów. Od stu lat nie mieszkał tu żaden człowiek. Ziemia była niegościnna, wystawiona na pastwę żywiołów, omiotana lodowatymi wichurami znad Atlantyku, które pędziły tu niczym Walkirie z Piekielnej Zatoki. Na ziemi połyskiwały połamane łupkowe płytki. Powietrze cuchnęło słoną morską wodą i Michael zadrżał, czując, jak wilgoć wpija się w jego skórę niczym jakiś pazur.

Dobrze znał historię tego miejsca. Przygotował szkolny projekt poświęcony kopalni cyny Wilsona. Prace wydobywcze na tym terenie trwały tysiące lat. Starożytni, a potem Rzymianie i nawet fenicjańscy handlarze przekopywali tę ziemię jak króliki, drażąc labirynty tuneli, wydrapywali i węszyli żyły cyny i wolframu, niklu, arsenu i ołowiu. Później, w tysiąc osiemset czterdziestym dziewię-

tym roku, zjawiała się tu londyńska firma o nazwie Wilson Mining Corporation, która błędnie sądziła, że uda jej się nadać tym pracom status nowoczesnego komercyjnego przedsięwzięcia. Doradzono jej - jak się okazało, bezpodstawnie - że można by wydrążyć korytarze na głębokość co najmniej dwustu sążni albo wręcz przekopać się pod oceanem.

Wzniesli wieżę i zaczęli drążyć szyb. Chcieli upodobnić go do większych kopalni na stałym lądzie, takich jak w Geevor, a gdyby plany Wilson Corporation się ziściły, to podobnie jak na kontynencie, w miejscu, w którym stało kilka podpadłych chat, powstałaby cała górnicza społeczność. Mieszkałyby tu setki mężczyzn i kobiet, i dzieci, które już w wieku ośmiu lat pracowałyby w szybach i tunelach sześć dni w tygodniu, dziesięć godzin dziennie.

Jednak nigdy do tego nie doszło. Im głębiej drążyli próbny szyb, tym mniej znajdowali. Wkrótce doszli do jedyne go wniosku, jaki się nasuwał - że obrobiono ich, okantowano i nabito w butelkę.

Wilson Mine Corporation zwinęła manatki w tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym roku. Kopalnię zamknięto, wejścia zaplombowano, a przepompownię i nowo powstałą wioskę opuszczono. W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym próbowano przekształcić przepompownię w budynek mieszkalny, lecz to również nie doszło do skutku. Teraz była zrujnowana i pozbawiona dachu, a ogromne drzwi i okna zamurowano.

- Myślisz, że to prawda, co mówią o tym miejscu? - zapytał Simon, kiedy dotarli do zardzewiałego ogrodzenia z drutu kolczastego, gdzie na nich czekał.

- O duchach? - domyślił się Michael.

- O duchach Rzymian...

Miejscowa legenda głosiła, że po kopalni krążą duchy zmarłych starożytnych górników. Jeśli odwiedzało się Piekielną Zatokę nocą, podobno nadal sły-



chać było ich dalekie stłumione lamenty oraz stukanie i skrobanie narzędzi, które miały im pomóc wydostać się ze skalistego grobu wewnątrz klifów.

- I o piratach... i ich złocie... - powiedział Simon.

Był to kolejny mit związany z kopalnią. Za panowania królowej Elżbiety Pierwszej książę Rupert kierował piracką flotą wysp i nękał hiszpańskie statki z kosztownościami, dysponując nieoficjalnym wsparciem i pozwoleniem Królowej Dziewicy. Sądzono, że przed przetransportowaniem łupów na stały ląd ukrywał je w jaskiniach na wyspach, lecz niektóre z nich zaginęły. Inne nadal czekały na swojego znalazcę.

- To wszystko bzdura - powiedziała Taylor, wymierzając celnego kopniaka w zgniłą drewnianą bramę osadzoną w ogrodzeniu. - Nie ma czegoś takiego jak duchy. Ani ukryte skarby.

- W takim razie po co tu przyszliśmy? - zapytał Simon.

- Tak sobie. Dlatego że nikt nie był tu od lat. Dlatego że kopalnię zamknięto, a to wystarczająco dobry powód, żeby się do niej włamać.

Pomimo rosnącego niepokoju Michael się cieszył, że robią to razem. Czasami, kiedy włóczył się samotnie po wyspie, miał wrażenie, że wszystko, co robi, jest nierealne, ponieważ nie było nikogo, kto mógłby go zobaczyć. Właśnie to zawdzięczał Taylor: ona pobudzała tę wyspę do życia.

Zaczezione o ogrodzenie kępki owczej wełny powiewały na wietrze. Taylor ponownie kopnęła bramę. Spalony słońcem szyld, który na niej zawieszono, spadł i wylądował w słonej kałuży. Z jego dawnej treści zachował się jedynie znak pioruna, który, jak wszyscy wiedzieli, oznaczał niebezpieczeństwo. Taylor nadepnęła na szyld, przełamując go na pół.

Kopnęła bramę po raz trzeci i tym razem zardzewiałe zawiasy ustąpiły. Opa-  
dły do tyłu i z mokrym plaśnięciem wylądowały w błocie. Taylor przekroczyła  
bramę i stanęła z dłońmi opartymi na biodrach.

- Ciekawe, do kogo należy to miejsce - powiedziała.

- Pewnie do rządu - odparł Michael.

Przynajmniej tak uważała jego matka. Michael sam przeprowadził małe do-  
chodzenie i od państwa Whelan, którzy Irudnili się przygotowywaniem zioło-  
wych leków w domu za wioską, dowiedział się, że podczas drugiej wojny świa-  
towej kopalnię na krótko zarekwirowała brytyjska armia. Żołnierze dowozili tu  
zapasy i chowali je w tunelach, lecz później i oni opuścili to miejsce, pozostawia-  
jąc za sobą zaryglowane drzwi.

Michael nieufnie wpatrywał się w wejście i widoczny za nim teren. Nie bez  
przyczyny postawiono tu znak ostrzegawczy. Sieć tuneli biegła od szybu niczym  
korzenie drzewa. Ludzie mówili, że są tu leje, które mogą wessać dorosłego  
człowieka. Od czasu narodzin Michaela zaginęły tu psy kilku turystów i parę  
odważnych owiec, które pasły się wolno w okolicy. Nie znaleziono żadnych ciał.

- A co będzie z następną osobą, która się tu zapanuje? - zapytał Taylor, po-  
chylając się, żeby podnieść dwie części połamanego szyldu. Oparł je o słup  
ogrodzenia i zabezpieczył dwoma kamieniami. - Inni mogą nie wiedzieć, jak  
bardzo tu niebezpiecznie.

- Czasami - powiedziała - potrafisz być pieprzonym nudziarzem.

Simon podniósł kamień i cisnął nim mocno o łupkową płytkę opartą o ruiny  
starej szopy po drugiej stronie ogrodzenia. Huk uniósł się po wiosce echem ni-  
czym uderzenia bata. Wystraszony hałasem królik wybiegł z pobliskiego dębu  
i mignawszy białym ogonkiem, zniknął w najbliższej norze.

Kiedy Taylor i Michael byli tu po raz ostatni, pod koniec wakacji, przeszli  
przez płot i włączyli się po wiosce duchów.

Siedzieli na ciepłych ceglach zburzonego muru, opróżniając w słońcu puszkę coli, i postanowili, że spróbują odnaleźć drogę na plażę. Wówczas nie szukali niebezpieczeństwa. Po prostu chcieli się powłóczyć. Pamiętał: czuł wtedy, że mógłby z nią łączyć przez cały dzień. Chciał ją poprosić, żeby nie wracała do Londynu, ale nie wiedział jak.

- To miejsce przyprawia mnie o gęsią skórę - powiedział Simon. Patrzył na pozostałości domków tworzące nieregularny rząd, niczym ruiny zamku zniszczonego podczas oblężenia. - Widziałem takie miejsca na filmach i w komiksach, i w tych budynkach zawsze czają się potwory, wampiry i różne rzeczy... i czekają, aż przejdiesz obok nich, a wtedy rzucają się na ciebie, łapią i wysysają ci mózg albo piją krew... i nikt nie odnajduje potem twojego ciała, bo je też zjadają, albo zmieniają cię w zombie, a wtedy stajesz się taki jak one i też wysysasz mózgi innym ludziom... a ja tak nie chcę i chcę wracać do domu.

- Dopiero kiedy zrobimy to, po co tutaj przyszliśmy - powiedziała Taylor. - Dopiero kiedy wejdziemy do środka i się rozejrzemy.

- Michael, słyszałeś o zombie i innych takich stworach, prawda? Chyba nie chcemy, żeby nas dorwały, co nie? - zapytał Simon.

Michael wiedział, że Simon zawsze darzył go podziwem i traktował jak dorosłego. Podobało mu się to, zwłaszcza gdy był w towarzystwie Taylor, lecz teraz Taylor nie dała mu szansy na udzielenie odpowiedzi.

- Chodź, Si - powiedziała, opierając dłonie na ramionach swojego małego kuzyna i mocno je ściskając. - Jeśli wrócimy do domu, będziemy się tylko nudzić z dorosłymi. Tu będzie o wiele zabawniej. Obiecuję. A przecież wiesz, że zawsze mam rację.

Simon wcisnął ręce do kieszeni i zaszczekał z zimna zębami. Pokiwał głową.

Michael wiedział, że nie ma sensu próbować przekonywać Taylor do zmiany decyzji. Taylor powiedziała ojcu, że znaleźli drogę prowadzącą do kopalni, lecz

on, wbrew jej oczekiwaniom, wcale się nie ucieszył, a jedynie wyraźnie zabronił im zbliżać się do tego miejsca - a mówiąc Taylor, żeby tego n i e robiła, praktycznie zagwarantował, że postąpi dokładnie odwrotnie. Michael wiedział, że jeśli teraz się wycofa, Taylor po prostu pójdzie tam sama.

Ruszyli drogą w kierunku przepompowni i tam się zatrzymali. Jeśli domki były ruinami zamku, to ona była jego donżonem. Została wzniesiona po to, aby osłonić napędzaną parą pompę, która miała zapewnić bezpieczeństwo realizacji projektu drażenia tuneli na dole szybu. Solidna kwadratowa wieża górOWata nad ich postaciami i Michaelowi zakręciło się w głowie, kiedy patrzył na przemykające po niebie chmury.

- Myślałem, że mamy wejść do kopalni - powiedział Simon, kopiąc zawilgotniała, lecz mocną ścianę, która chroniła dostępu do przepompowni. - Tylko nie wiem jak. Co mamy zrobić? Spróbujemy wdrapać się na górę? Możemy wdrapać się na górę, a potem wejść do środka, żeby trafić na właściwą drogę? Bo to daleko, a my nie mamy liny, prawda? A nawet gdybyśmy mieli, musiałyby być niewiarygodnie długa i prawdopodobnie musielibyśmy rzucić nią jak lassem, żeby zaczepić o ścianę. Może uda nam się przywiązać na końcu jakiś kamień, bo w ten sposób...

- Wszystko w porządku - stwierdziła Taylor, przyglądając włosy. - Nie mamy liny, ale to bez znaczenia. Frontowe drzwi nie są jedynym wejściem. Chodź - powiedziała - pokażemy ci, ale pamiętaj - ostrzegła go - to nasza tajemnica. Nigdy nie wolno ci nikomu powiedzieć, że tutaj byłeś.

Ubiegłego lata, gdy Michael i Taylor poszli szukać drogi na plażę, odkryli ścieżkę zaczynającą się w tylnej części kopalni. Wbrew ich przypuszczeniom nie prowadziła jednak na plażę. Wiodła do awaryjnego tunelu oddalonego o pół mili od głównego szybu.

Szybko minęli przepompownię i wyszli na błotnistą ścieżkę dla owiec, która zaczynała się na tyłach kopalni i prowadziła ku zaroślom.

- Umieram z zimna - narzekał Simon, kiedy wraz z Michaeliem szli za Taylor niczym żołnierze, zaszywając się w kamuflażu z jeżyn i drzew. - Naprawdę jest mi bardzo, bardzo zimno. Czuję się tak, jakbym miał zamarznąć na śmierć i...

- Niedługo zabierzemy cię do domu - obiecał Michael, zerkając na niebo, które było ciemniejsze niż przed kilkoma minutami.

Miał wrażenie, że zarośla zamykają się za nimi. Nie podobało mu się tu. Byli za daleko od innych ludzi. Byli zbyt osamotnieni. Powietrze stało się chłodne, stęchłe i mdląco słodkie. Zewsząd dobiegał ich odgłos ciekącej wody, która spływała z roślin, płynęła strumyczkami wokół kamieni na ścieżce i głębiej, w ziemi, przemierzając niewidoczne kanały i biegnąc w stronę morza. Im dalej szli, tym bardziej nabierał przekonania, że cała wyspa jest jedynie gigantyczną gąbką.

Ścieżka wiała się w dół, oddalając się od kopalni. Podłoże zrobiło się miękkie, upodabniając się do gnijącego sinego materaca z sosnowych igieł i bukowych liści w stanie rozkładu, lecz mimo to przeprawa była łatwiejsza niż za pierwszym razem. Większość letniej flory zniknęła i wkrótce Taylor zatrzymała się przed starym dębem, który zastawił im drogę.

Michael słyszał uderzenia fal oceanu, lecz nie mógł go już dostrzec. Znajdowali się w dolinie, w zagłębieniu obok wzgórza. Po obu stronach wznosił się stromy, urwisty teren. Nad ich głowami, gdzieś po prawej stronie, jakieś czterysta pięćdziesiąt metrów w górze, mieściła się przepompownia kopalni Wilsona, którą teraz zasłaniały drzewa i wgłębienia terenu.

- To chyba tutaj - powiedziała Taylor, przeciskając się obok jeżyn po lewej stronie ścieżki, gdzie pagórek wznosił się stromo ku kopalni. - Cholera - zawołała w ich kierunku.

- Uważajcie na kolce.

Oślaniając się rękawami kurtki, Michael odsunął zasłonę z jeżyn i popchnął Simona przodem.

Mieli je przed sobą: wejście do awaryjnego tunelu, który prowadził tu aż z kopalni.

Wyglądało to tak, jak gdyby jakiś-olbrzym gruchnął pięścią prosto w stok pagórka. Dokładnie tak jak zapamiętał Michael, wejście do tunelu miało z grubsza owalny kształt i wznosiło się na jakieś trzy metry. Oślaniała je zardzewiała metalowa krata, której pręty krzyżowały się niczym siatka rakiety do tenisa.

Nawet na drugi rzut oka przypominało to jaskinię, lecz kiedy Michael zbliżył się do kraty i zajrzał w mrok, ponownie zobaczył długi ciemny tunel przypominający gardło.

- Zrób to - powiedziała Taylor.

Wolał, żeby już stamtąd poszli, lecz jednocześnie chciał jej sprawić przyjemność.

Kratę przytwierdzono do skały po lewej stronie kilkoma metalowymi wspornikami. Po prawej przytrzymał ją główny wspornik, na którym zawieszono kłódkę. Michael spróbował wcisnąć pod niego łom, żeby oddzielić go od kłódki.

- Jeszcze raz - powiedziała, kiedy mu się nie udało.

Stała teraz tak blisko, że czuł zapach jej odżywki do włosów, słodki niczym letnie kwiaty. Jego członek mimowolnie drgnął w spodniach, więc skupił się z powrotem na kłódce. Spróbował ponownie, lecz i tym razem końcówka tomu ześlizgnęła się ze wspornika. Trzecia próba zakończyła się tak samo, lecz tym razem, kiedy pręt się ześlizgnął, uderzył z taką siłą, że zardzewiała stara kłódka roztrzaskała się na pół i z brzękiem upadła na kamieniste podłoże.

- Świetnie! - wykrzyknęła Taylor.

Podrapała się w kolano, w miejscu, gdzie jeżyny rozdarły jej rajstopy. Ze środka wyzierał skrawek bladej skóry przypominający bliznę. Objęła Michaela i uścisnęła jego ramię.

- Gotowy? - zapytała.

Mógłby z nią tak stać bez końca, lecz w jej oczach dostrzegł wyzwanie, które - o czym doskonale wiedział - łatwo mogło przeobrazić się w szyderstwo.

- Nie mów, że tchórzysz - powiedziała.

- Wcale nie tchórzę. - Bał się, ale nie zamierzał jej o tym mówić. Tak naprawdę żałował, że w ogóle znaleźli tę drogę. Zawsze, kiedy wyobrażał sobie ich razem, byli na plażach, śmiali się i leżeli obok siebie w promieniach słońca - a nigdy tutaj, w ciemności i zimnie.

- Idziemy?

Wiedział, że jest za późno na odwrót. - Tak - odparł.

- O kurwa - powiedziała.

- Co jest?

- Latarki.

- Co z nimi?

- Nie przynieśliśmy latarek.

Ledwie zdołał powstrzymać się od wydania westchnienia ulgi. - Chcesz powiedzieć, że zapomniałaś?

- Nie. Tak. Leżały już spakowane w torbie, ale wtedy tata poprosił mnie o pomoc w przeniesieniu choinki. Musiałam je zostawić w korytarzu.

- W takim razie chyba musimy się wycofać - stwierdził Michael.

- Nie ma mowy - powiedziała. - Pójdźmy tak daleko, jak się uda. Żeby sprawdzić, czy to nie jakaś zwyczajna jaskinia.

Umysł Michaela pracował na pełnych obrotach, szukając odpowiedzi, która pozwoli mu na wydostanie się stamtąd bez skazy na honorze. Teraz, gdy ponow-

nie stanął przed tą rozdziawioną czarną dziurą, przypomniał sobie, dlaczego tak bardzo przestraszyła go za pierwszym razem. To był tunel awaryjny. Wybudowano go z myślą o zapewnieniu drogi ucieczki w przypadku zawalenia się głównych tunelów kopalni. Był tu po to, żeby ratować ludzi przed niebezpieczeństwem, a nie ich na nie narażać. Nie chciał tam wchodzić, a już na pewno nie bez pochodni.

Jednak Taylor wcale nie czekała na jego odpowiedź. Wsunęła palce między pręty kraty i pociągnęła za bramę, która z drzeniem zaczęła się otwierać, centymetr po centymetrze, wlokąc się po ziemi. Utworzyła się szczelina szerokości niespełna trzydziestu centymetrów i Simon przecisnął się do środka.

- Poczekaj - powiedział Michael.

Za późno. Simon był już po drugiej stronie.

Michael i Taylor szarpnęli drzwi, żeby otworzyć je nieco szerzej, i poszli za Simonem w kierunku przygaszonego światła. W tunelu panowała jakaś niezemska atmosfera. Michael pomyślał o kinie, o tej chwili dzielącej zgaszenie światła od ożycia ekranu, kiedy zapada cisza i rozpoczyna się nabożne oczekiwanie na to, co niebawem nastąpi.

- Uuuu - krzyknął Simon.

Jego zazwyczaj cienki głos uderzył w nich niczym huk armaty, a potem odbił się echem i ucichł. Ten efekt wywołał jego chichot. Michael wpatrywał się w mrok. Tunel był wystarczająco szeroki, aby wszyscy troje mogli stanąć obok siebie. Ze sklepienia kapłała woda. *Kap, kap, kap, kap, kap.* Jedna z kropel kapnęła Michaelowi na kark i spłynęła wzdłuż kręgosłupa. Przed nimi światło zniknęło, zmieniając się w atramentową czerń. Michael poczuł ukłucie strachu, jak gdyby znowu miał pięć albo sześć lat i właśnie zbudził się z koszmaru w spowitej mrokiem sypialni całkiem sam. Lecz tutaj nie było nocnej lampki ani nikogo dorosłego, kogo można przywołać z sąsiedniego pokoju.



Taylor zrobiła krok naprzód. - Jestem na siebie taka wściekła ze te latarki - powiedziała.

- Powinniśmy uważać - ostrzegł Michael. - W ziemi mogą być dziury.

Taylor zrobiła jeszcze dwa kroki, a potem przystanąła i badała stopą grunt niczym koń.

Gdyby Michael był sam, z pewnością by stąd uciekł. Widział tyle horrorów, że musiałby spanikować. Pomyślał o *Kręgu*, *Kłątwie*, *Morderstwie w sieci* - o tych wszystkich chorych historiach, w których ofiary nęka jakiś prześladowca...

Wszłuchał się w odgłos ich oddechów. Wyteżał wzrok, aby wydobyć z ciemności jakiś sens, lecz ujrzał jedynie dalekie światło docierające z tyłu. Ktoś... coś... może tu teraz być, zaledwie kilkadziesiąt centymetrów obok niego, a on nie będzie nic wiedział, dopóki... Oddech, który słyszał, mógł należeć do kogoś... do czegoś innego, a on zda sobie z tego sprawę, kiedy już będzie za późno.

Chciał się stąd wydostać. Natychmiast.

- Powinniśmy już iść - powiedział.

- Masz rację - zgodziła się Taylor. - Nic nie widać w tych pierdolonych ciemnościach.

- Taylor! - Za ich plecami rozległ się chichot Simona. - Przestań mówić „pierdolone”.

- Oj, spierdalaj - powiedziała, wywołując u niego piskliwy śmiech. - Mogę pierdolić wszystko, co mi się podoba.

- Pierdolić! - krzyknął Simon. - Pierdolić! Pierdolić! Pierdolić! Pierdolić! Pierdolić! Pierdolić! Pierdolić!

Michael wziął Simona za ramię i wyprowadził do z powrotem na światło. Za plecami słyszał kroki Taylor. Szła za nim, dzięki Bogu. Mogli już iść do domu. Mógł wrócić do domu razem z Taylor, która nadal będzie myślała, że jest równie odważny i nieustraszony jak ona sama.

Dotarli do wyjścia, wyszli na zewnątrz i stali, mrugając. Simon pobiegł ścieżką, która prowadziła z powrotem do kopalni, a Taylor patrzyła, jak się oddala. Słowa, które po chwili wypowiedziała, dosłownie zdruzgotały Michaela.

- Wrócimy tu jutro. Z latarkami. Wtedy zobaczymy, jak daleko uda nam się zajść.

Roześmiała się i właśnie wtedy to poczuł - tam, na karku, kolejne małe ukłucie, lecz tym razem inne niż tamto przyprawiające o gęsią skórę doznanie, którego doświadczył w tunelu. To przypominało raczej lekkie kopnięcie prądem. Potem poczuł je ponownie. I jeszcze raz.

Michael spojrzał w górę. Na ustach wylądował mu płatek śniegu. Zobaczył następny i kolejny. Po chwili ujrzał je wszystkie, całe setki, tysiące śnieżnych płatków spadających znad wierzchołków drzew. Simon roześmiał się, a Taylor zaczęła wirować wokół własnej osi z rozpostartymi ramionami, chwytając płatki w dłonie.

Patrząc na nią, uśmiechnął się. Nie mógł się powstrzymać.

- Czy to nie fantastyczne? - krzyknęła.

I rzeczywiście, to było fantastyczne. Fantastyczne było to, że zaczął padać śnieg, i to, że stał tu obok niej. Patrząc, jak wiruje wokół, wiedział, że jest najpiękniejszym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek widział.

Stanąła i wpatrywała się w wirujące białe niebo. Otworzyła usta.

- Złapałam jeden - krzyknęła i ze śmiechem pokazała mu wytknięty język. - I znowu, i znowu. Tu jest cudownie - powiedziała do niego. - To wszystko jest nasze. Nie ma nikogo, kto mówiłby, co mamy robić. Wrócisz tu ze mną jutro, prawda, Michael? Obiecuj, że to zrobisz.

- Ale jutro są święta. Nie uważasz, że powinniśmy...

- Po prostu obiecuj - powiedziała.

Jeszcze raz pomyślał o *Łowcy jeleni* i wyobraził sobie chwilę, w której celownik strzelby zatrzymał się na dzikiej sarnie. We wszystkich książkach, które czytał Michael, i we wszystkich filmach, które oglądał, roiło się od takich decydujących momentów. Czy myśliwy pociągnie za spust? Jaki obierzesz kurs? Jakim będziesz mężczyzną?

-Dobrze - powiedział. - Możesz na mnie liczyć.

RS

## Rozdział szósty

Podczas podróży z Fleet Town porządnie nią wytrzęsło, lecz i tak było wspaniale. Hałas wiatru i silnika uniemożliwiał rozmowę, ale teraz łódź zwolniła i Ben zwrócił się do Kellie:

- Możesz w to uwierzyć? - zapytał.

Nie mogła. Zaczął padać śnieg. Miękkie płatki spadały na nich z nieba przypominającego szary koc. Miały w sobie jakąś uspokajającą moc, jak gdyby nakładały na otaczający ich świat lekko rozmazujący filtr.

- Chyba powinniśmy szybko zrzucić te zapasy, a potem odwiozę cię z powrotem do St. John's. Ale najpierw chcę ci coś pokazać. - Ben spojrzał w górę na padający śnieg. - Myślisz, że możemy zaryzykować?

- A warto?

- Zdecydowanie tak.

Kellie się uśmiechnęła. - Okay. Ty jesteś tu szefem - powiedziała, odgarniając z twarzy mokre pasemka włosów, żeby spojrzeć na wyspę.

Dziwnie się czuła, wiedząc, że gdzieś tam jest Elliot. Zastanawiała się, czy o niej myśli i co by powiedział, gdyby ją teraz zobaczył. Czy byłby wściekły - zastanawiała się - czy może tylko by się roześmiał, jak zwykle, że nie potrafiła pokonać ciekawości. I to by było tyle, jeśli chodziło o saunę i masaże w hotelu.

Bez względu na to, co pomyślałby Elliot, cieszyła się, że postanowiła tu przyplłynąć i nie siedziała teraz w hotelu, bliska szaleństwa. Zresztą nie narzekała na towarzystwo, a ten wydawał się porządnym facetem. Zastanawiała się, czy powinna mieć wyrzuty sumienia, że jest sama z jakimś mężczyzną? Zerknęła w jego stronę. Był wyższy, niż wydawał jej się na początku, a jego brodę pokrywał

lekki zarost, lecz o wiele bardziej podobał jej się Elliot. Nie, wszystko w porządku, podsumowała. Ben wydaje się zupełnie nieszkodliwy.

Cóż mogę wam powiedzieć o Brayner, panie i panowie? - powiedział, wcielając się w rolę przewodnika. - Wyspa ma stu jeden mieszkańców. Jednym z nich jest Timothy Lee, miejscowy artysta, który bardziej niż z czegokolwiek innego słynie z niebywalej skłonności do wzdęć. Innym mieszkańcem jest Jim Peters, który lubi nosić damskie ciuszki, lecz z drugiej strony, któż tego nie lubi? - Kellie się roześmiała.

Brayner jest również domem dla ogrodów Savagesów, którzy eksportują wysokiej jakości florę do Covent Garden<sup>\*6</sup>, chociaż Richard, najstarszy z braci, trudni się na boku uprawą czegoś, co moglibyśmy nazwać bardzo egzotyczną roślinnością...

Na łące porastającej szczyt cyplu owce zbiły się w gromadkę. Było tak pięknie, dziko i daleko. Nad łodzią, która przecinała ciemną wodę, krążyły mewy.

- A tam? Co to takiego? - zapytała, wskazując złowrogą wieżę tkwiącą niebezpiecznie na klifach. Brak okien nadawał jej nieco więzienny wygląd. U jej stóp, gdzie fale uderzały o ścianę, w niebo tryskała biała piana.

- To część starej kopalni cyny. Chcieli przekopać się przez klify i dotrzeć pod morskie dno, lecz nigdy im się nie udało. Opuszczono ją wiele lat temu.

Już sama myśl o znalezieniu się tak głęboko pod ziemią sprawiła, że przeszył ją dreszcz.

Ben wolno okrążył skały, które osłaniały północny brzeg wyspy. Daleko przed nimi rozciągały się białe piaszczyste zatoczki. Kiedy podpłynęli bliżej, Kellie spostrzegła, że na pobliskich skałach roi się od fok.

- Ojej! - krzyknęła, kiedy łódź ponownie zwolniła. - Są fantastyczne.

---

<sup>6</sup> Dzielnica Londynu znana ze spotkań artystów i cyrkowców. Dawniej mieścił się tam największy targ owocowo-warzywny w Londynie.

Ben podpłynął bliżej, a ona sięgnęła do kieszeni płaszcza po aparat. Powietrze unoszące się nad słoną wodą miało metaliczny zimny smak, lecz Kellie to nie przeszkadzało. Nie pamiętała, kiedy zdarzyło jej się zapuścić tak daleko. Od fok dzieliły ją teraz niespełna trzy metry. Patrzyła, jak ześlizgują się ze skał i wskakują do wody. Oślaniał je klif i opady śniegu wydawały się tu nieco słabsze.

- Popatrz na tamtego. - Roześmiała się, wskazując ogromną fokę, która gapiła się na nich, pogardliwie unosząc wąsaty nos. - Chyba nie podoba mu się, że robię zdjęcia.

- Skąd wiesz, że to on? - zapytał Ben.

- Poznałam po piwnym brzuszysku, rzecz jasna.

- A co powiesz o tamtej - zapytał Ben, wskazując inną fokę przycupniętą na skraju głazu, która zdawała się wpatrywać w swoje odbicie pośród fal. - To chyba ona, prawda? Wygląda na to, że robi makijaż...

- Nie, to nastolatek - powiedziała Kellie. - Wyciska pryszczę.

Podpłynęli jeszcze bliżej i Ben stanął obok Kellie. To, że wydawał się tak zafascynowany tymi stworzeniami, chociaż musiał je widywać bez przerwy, uznała za urocze.

Nagle łódź o coś uderzyła i ciałem Kellie szarpnęło do przodu. Chwyciła się przymocowanej z boku czarnej rączki i zdołała odzyskać równowagę.

- Cholera - powiedział Ben, gramoląc się na rufę. Przyczepny silnik wydawał z siebie jakieś piski. Wokół niego unosił się czarny dym.

- Co się stało? - zapytała, próbując utrzymać równowagę.

Nagle silnik zgasł. Ben uniósł go w górę, żeby wyjąć śrubę napędową z wody i pochylił się, chcąc go obejrzeć. - Zagapiłem się. Musiałem uderzyć o coś, co było w wodzie - powiedział. - O kawałek drutu albo coś w tym rodzaju.

- Wiesz, na czym polega usterka? - zapytała.

- Tak.

- No więc?

Nic nie powiedział, przyglądając się skrzydłu śruby napędowej. Kellie schowała ręce do kieszeni i zadrżała. Było przeraźliwie zimno. Dziękowała Bogu za swój gruby płaszcz. Kupiła ten podszyty polarem produkt marki Śpiewak w modnym sklepie w Notting Hill w zeszłym roku. Sprzedawczyni powiedziała, że importowano go z Nowego Jorku i został zaprojektowany na temperatury sięgające minus trzydziestu stopni. Kellie kupiła go specjalnie na weekendowy wyjazd do Reykjavíku, który zaplanował Elliot. Odwołał go w ostatniej chwili, gdy Isabelle niespodziewanie zrezygnowała z jednej ze swoich służbowych podróży. Dlatego najzimniejszym miejscem, w którym dotychczas znalazł się jej płaszcz, była alejka przy zamrażarkach w Marks & Spencer, niedaleko mieszkania Kellie. Teraz było zimniej.

- Hmmmm - mruknął Ben.

- Co to oznacza?

- No cóż, myślę, że fachowy termin inżynierii morskiej na określenie takiej śruby to „zupełniespieprzona”.

Kellie uśmiechnęła się. - Zupełniespieprzona?

- Zupełnie. Chociaż - powiedział, zerkając przez ramię - możliwe, że trafniejszym określeniem byłoby „całkiem-spieprzona”.

- Całkiem? Czy to lepiej, czy gorzej?

Trudno powiedzieć. Z drugiej strony - zamyślił się, wyciągając spod jednego z siedzeń skrzynkę z narzędziami - mogę się mylić i jest szansa, że śruba spieprzyła się tylko częściowo.

- A w takim przypadku nie mamy się czym przejmować - powiedziała.

- Widzisz - odrzekł. - Byłem pewien, że nie jesteś taką nowicjuską, jaką udajesz.

Nie minęło dużo czasu, zanim Kellie zrozumiała, że Ben naprawdę nie żartuje, chociaż mówił o tym z takim spokojem. Przyglądała się zdenerwowana i podawała narzędzia, kiedy próbował naprawić śrubę, lecz po pewnym czasie, który wydawał jej się długi jak całe wieki, silnik nadal nie chciał pracować. Powoli dryfowali na wodzie, a fale zaczęły ich znosić ku otwartemu morzu.

W końcu odwrócił się i spojrzał jej w twarz. Skrzywił się przepraszająco.

- Jest jeszcze gorzej, niż się obawiałem - powiedział.

- Śruba jest zupełnie całkiem spięrzona. Albo całkiem zupełnie. Nigdy nie mogę zapamiętać kolejności.

- Chcesz powiedzieć, że nie potrafisz jej naprawić? - zapytała Kellie. Chociaż starał się ją rozbawić, była już naprawdę zmartwiona. Oplotła się ramionami.

- Prawdopodobnie potrafię, ale nie tutaj. Będziemy musieli wyjść na brzeg. - Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo zielone są jego oczy.

Ben po raz ostatni przekręcił kluczyk w silniku, lecz i tym razem nic nie wskórał. Kellie zadrżała i wyciągnęła rękę, łapiąc płatki śniegu, które robiły się coraz większe. Wiatr również przybierał na sile.

- O, nie - powiedziała. - Psuje się pogoda.

- Na dodatek śnieżyca? Wspaniale! - rzekł Ben. Wpatrywał się w niebo. - Może jeszcze jakaś plaga szarańczy?

- zapytał. - Albo lokalne tornado, tylko dla nas, żebyśmy się za bardzo nie rozbrykali? Fantastyczny ze mnie przewodnik, prawda?

Kellie roześmiała się. - Wszystko w porządku. Jak mam ci pomóc?

- Łap się za wiosło. Będziemy musieli dopłynąć do brzegu o własnych siłach. Kierujmy się w stronę tamtej zatoczki.



Kellie zdążyła się porządnie spociec, zanim dotarli do brzegu. Przyzwyczaiała się do gimnastycznego wiosłarza w nowoczesnej siłowni na parterze biurowca, ale prawdziwe wiosłowanie było znacznie trudniejsze w tych warunkach. Miała problemy z nadążeniem za Benem i ciągle się myliła. Nic nie pomagało, że za każdym razem, kiedy popełniła błąd, on ją rozśmieszał. Ta cała sytuacja wydawała się bardzo dziwaczna. Czuła się mało realnie, siedząc w łódce wśród płatków śniegu.

Zanim dno łodzi otarło się o piaszczysty brzeg, śnieg rozpadał się już na dobre.

-Opuszczam pokład, kapitanie Scott - powiedział Ben - i mogę zabawić na brzegu dłuższą chwilę. Wskoczył na płyciznę.

-Zaczekaj na mnie - poprosiła, pochylając się, i pozwoliła, żeby wyniósł ją na brzeg.

Teraz widziała, że zatoczka jest większa, niż wydawało się z daleka. Domyślała się, że ta mała plaża musi być cudowna latem, lecz w ponury zimowy dzień - Ben miał rację - rzeczywiście czuła się jak badaczka Arktyki. Za ich plecami ciągnęła się stara ścieżka prowadząca do drewnianej rybackiej szopy. Z góry spoglądało na nich czarne oko jaskini osadzonej wysoko na klifie.

Ben wyniósł z łodzi beczkę piwa. Puścił do Kellie oczko.

-Walniemy sobie po szybkim kuflu - powiedział, po czym po truchtał w górę plaży, tocząc przed sobą beczkę.

-Po chwili wrócił. Kellie chwyciła plastikową rączkę umieszczoną po lewej stronie łodzi, a Ben przeszedł na prawo i zaczęli ciągnąć łódź na plażę, w kierunku rybackiej ścieżki.

Kiedy tam dotarli, Kellie była wyczerpana.

-Dobra robota - powiedział Ben, klepiąc ją po plecach.

-Nie ma nic lepszego niż dobry popołudniowy trening.

- Może powinieneś zastanowić się nad zmianą zawodu

- zasugerowała. - Osobisty trener zamiast przewodnika. Przenieś się do Londynu, a zbijesz fortunę.

- Możliwe, że tak zrobię - roześmiał się, ciągnąc łódź jeszcze kilka metrów o własnych siłach, aż na szczyt ścieżki.

- Tutaj jesteśmy bezpieczni - powiedział. - Fale nie sięgają tak daleko. - Usiłował odpędzić płatki śniegu, które krążyły wokół niego jak pszczoły. - Chociaż wcale nie twierdzę, że fale są teraz naszym największym zmartwieniem - dodał.

Sięgnął do łodzi i wyciągnął z niej plandekę.

- Przepraszam za tę całą sytuację - powiedział. - Zwykle pozostawiam porywanie dziewic i wabienie ich do lodowatych kryjówek innym facetom.

- Na przykład Frankensteinowi...

- Hej - powiedział z udawaną pretensją w głosie - to, że się nie ogoliłem, wcale nie oznacza, że...

- Miałam na myśli film...

- Z Robertem De Niro...

- Na podstawie książki... - powiedziała.

- Mary Shelley...

Przyłapała się na tym, że wpatruje się w jego oczy, przypominając sobie podobną rozmowę na temat Meryl Streep we Fleet Town. Jak na kolesia, który kierował łodzią w dalekim zakątku Anglii, był zaskakująco dobrym rozmówcą i z pewnością wiedział mnóstwo na temat książek i filmów. Dlaczego tak łatwo było się z nim przekomarzać? Elliot prawie nigdy nie rozumiał jej aluzji nawiązujących do świata kultury. O wiele bardziej interesowały go wykwintne restauracje i dobre wino.

- Musimy z tym skończyć - zażartowała. Uśmiechnął się. - Masz rację. Powinniśmy ograniczyć się do stwierdzania faktów.

Pomachała ręką w kierunku wirujących na niebie płatków śniegu. - Na przykład do uwag na temat pogody - zażartowała ponownie.

- Właśnie. - Urwał na chwilę. - Zimno jak cholera.

- Moim zdaniem jest to całkiem trafne stwierdzenie faktu.

- Mówię poważnie. Powinnaś schronić się w chacie, bo w przeciwnym razie zamarzniesz.

Ale Kellie została, żeby mu pomóc. Uznała, że tkwią w tym razem. Zanim przykryli ostatnią część łodzi, Ben sięgnął do środka po termos, który dała mu matka.

- Myślałam, że tutaj zawsze świeci słońce - powiedziała, kiedy Ben stanął obok niej pod drzwiami rybackiej chaty.

- Wygląda na to, że zasady się zmieniły. - I po tych słowach weszli do środka.

Był to zwyczajny drewniany szałas z maleńkim oknem i kilkoma starymi sieciami zwiniętymi i przymocowanymi pod sufitem. Podłogę stanowiła skała, na której zbudowano chatę. Wyglądało na to, że od wielu lat nikt tam nie zaglądał, ale przynajmniej była ławka. Kellie usiadła i zatarła dłonie, po czym wcisnęła je między kolana. Było jej strasznie zimno. Spojrzała na swoje stopy. Nowe skórzane buty nasiąkły słoną wodą. Wyciągnęła nogi i rozprostowała palce.

- Wygląda na to, że warte dwieście funciaków buty Russel & Bromley zostały kompletnie zniszczone - powiedział. - Nie chciało się dokupić ochronnego sprayu, co?

Roześmiała się, zaskoczona, że zna nawet nazwę marki, nie mówiąc już o tym, że zgromił ją za brak sprayu do skór. - Skąd, na Boga, to wszystko wiesz?

- Kiedyś znałem pewną kobietę, którą interesowały tego typu rzeczy. - W jego głosie pobrzmiwało lekceważenie, lecz nie była pewna, czy ma ono związek

z myślą o tamtej kobiecie, czy z ceną butów. - Poza tym nadal masz na podszwie metkę - dodał.

Uśmiechnęła się, czując, że się rumieni. Od lat nie spotkała kogoś, kto potrafił się z nią droczyć w ten sposób.

- No więc. Co teraz? - zapytała.

- Poczekamy, aż ustaną opady śniegu. Nie sądziłem, że będzie tak źle - powiedział Ben, zamykając drzwi.

- Chcesz powiedzieć, że wiedziałeś o tym, że ma padać?

- Pewnie. Ale myślałem, że wrócimy, zanim zacznie. Nagle Kellie poczuła się niepewnie. Wyglądało na to, że

sytuacja wymknęła się spod kontroli bardziej, niż sądziła. Decyzję o wybieczce z Benem podjęła pod wpływem chwili, ale zakładała, że obejrzy wyspę z łodzi, a potem wróci do hotelu, zanim nadarzy się szansa przypadkowego spotkania Elliota. Teraz, gdy śnieg uwięził ich na wyspie, nagle sytuacja wydała się nieco bardziej poważna.

- A co będzie potem? Kiedy przestanie padać. Zakładając, że rzeczywiście przestanie. Jak dostaniemy się z powrotem do St. John's?

- Naprawię łódź, a jeśli mi się nie uda, na Brayner są inni ludzie, którzy mogą nam pomóc. Wszystko będzie w porządku.

*Na Brayner, Inni ludzie.* To zdanie zadźwięczało jej w głowie niczym sygnał alarmu. Brayner było miejscem, na którym nie powinna była się znaleźć i istniało niebezpieczeństwo, że ci „inni ludzie” byli właśnie tymi, z którymi nie mogła się spotkać.

- W ogóle się nie martwisz? - zapytała bardziej surowym tonem, niż zamierzała. - W końcu to chyba dosyć poważna sprawa, prawda?

- Hej! Nie ma powodów do zdenerwowania. - Uśmiechnął się do niej. W jego uśmiechu było coś zaraźliwego, co sprawiło, że trochę się odprężyła. Zasta-

nawiała się, czy zawsze jest taki pewny siebie i spokojny w kryzysowej sytuacji. Przykucnął, odkręcił zakrętkę termosu i nalał do niej gorącej czekolady.

- To cię rozgrzeje - powiedział, podając jej kubeczek.

- Dzięki.

Upiła łyk, czując się niezręcznie. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni była sam na sam z mężczyzną innym niż Elliot.

- Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie? - zapytał Ben. Kellie zadrżała, biorąc kolejny łyk słodkiej ciepłej czekolady. - Na jaki temat?

- Na temat wybrania się ze mną na Brayner. Tylko mi nie mów, że to przez kanapki z *marmite*. - Ben zabrał się do rozpakowywania zawiniętego w folię lunchu.

- O nie, nie cierpię tego paskudztwa.

- Jasne. Jesteś Australijką i jeśli przypominasz większość Australijczyków, których zdarzyło mi się spotkać, prawdopodobnie wolisz *vegemite*<sup>\*7</sup>. Lojalność wobec marki. Nie dałabyś się przyłapać na jedzeniu tych ekskrementów Angoli.

- Byłeś kiedyś w Australii? - zapytała, śmiejąc się z okropnego australijskiego akcentu, który właśnie usiłował naśladować.

- Tak. Spędziłem tam mój miesiąc miodowy. Wakacje z nurkowaniem. W Cairns.

Zatem był żonaty. Kellie poczuła chwilowe i dosyć niedorzeczne ukłucie rozczarowania. Spojrzała na Bena, wyobrażając go sobie w kombinezonie płetwonurka, i pomyślała o tym, z jaką gracją poruszałyby się pod falami. Nie potrafiła wyobrazić sobie jego żony. Zastanawiała się, jaka jest ta kobieta, którą interesują buty? Kiedy podsunął jej stertę rozpakowanych kanapek, zauważyła, że nie ma na palcu obrączki. Widocznie nie należał do tych, którzy je noszą.

---

<sup>7</sup> Produkt bardzo podobny do *marmite*, lecz produkowany w Australii i Nowej Zelandii.

- Mówię poważnie. Nie, dzięki. Ben uśmiechnął się. - Nurkujesz?

Pewnie. Kiedyś to uwielbiałam. Wychowałam się niedaleko plaży Manly w Sydney. Jestem typowym astrologicznym rakiem. Uwielbiam wodę. Pływałam przez długie lata. Dostałam się nawet do sekcji juniorów w Sydney. - Chciała powiedzieć mu więcej, ponownie przeżyć te słoneczne dni, które spędziła w domu, lecz za bardzo intrygowała ją jego żona. - Nadal jeździcie z żoną nurkować?

- Obawiam się, że teraz niczego już razem nie robimy.

- Jak to?

- Rozwiedliśmy się.

- Przykro mi.

- Tak, no cóż, gównu chodzi po ludziach.

Kellie nie próbowała wyciągać z niego kolejnych szczegółów. Nie chciała być wścibska, ale nie potrafiła przestać się zastanawiać, jak żyje się Benowi na takiej wyspie jak St. John's. Była ciekawa, czy jego żona nadal mieszka gdzieś niedaleko, czy nadal się widują i jak się czuje w roli rozwodnika, mając przed sobą całe życie. Przyglądając mu się, uznała, że nie wygląda na tego, który zawiñił. W jakiś sposób wydawał jej się zbyt uczciwy i szczerzy.

Ale o czym ona w ogóle myślała? Nie mogła oceniać jego zachowania w sytuacji, o której nic nie wiedziała. Tak naprawdę w ogóle nie powinna go była oceniać. Przecież wkrótce sama zwiąże się z rozwiedzionym mężczyzną. Nagle poczuła, jak wiele uprzedzeń może zrodzić rozwód Elliota. Czy ludzie będą automatycznie zakładać, że ciąży na nich ogromny bagaż doświadczeń, że ich związek jest bardziej skomplikowany i dlatego ma mniejsze szanse powodzenia?

Elliot. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła komórkę, oddając kubek Benowi, żeby i on mógł się napić czekolady. Gdyby tylko mogła się do niego dodzwonić, może byłby w stanie przyjść im na ratunek.

- Zobaczę, czy uda mi się po kogoś zadzwonić... - zaczęła mówić.

- Zapomnij o tym. Nigdy nie złapiesz tu zasięgu - powiedział Ben. - Na Brayner jest kiepskie pole, nawet przy dobrych warunkach. Zresztą, do kogo byś zadzwoniła? Do ptaków zwiastujących błyskawice?

Nie miała odwagi przyznać, że chciała skontaktować się z Elliotem. - A co z ratownictwem powietrznym?

- Wierz mi, oni mają ważniejsze sprawy na głowie niż martwienie się o nas. - Ben skinął w kierunku morza. - Nie jesteśmy na wodzie. A to jest najważniejsze. Poza tym nie sądzę, żeby helikoptery mogły latać w takich warunkach, zwłaszcza jeśli wiatr przybierze na sile.

Policzki Kellie oblały się rumieńcem, kiedy wkładała telefon z powrotem do kieszeni. Skoro nie było tu zasięgu, wiedziała już, dlaczego Elliot nie dawał znaku życia, i wydawało się mało prawdopodobne, aby mogła się z nim połączyć. Zresztą nawet gdyby zdołała złapać sygnał, sama próba skontaktowania się z Elliotem wydawała się szaleństwem. Wściekłby się, gdyby odkrył, że Kellie jest na wyspie, i miałby rację. Postąpiła głupio. Nigdy nie powinna była In przyplływać.

- Często jeździsz do domu? - zapytał Ben, nieświadomy lejącej goniłwy myśli. - Do Australii?

Musiała się skupić. Musiała zapomnieć o Elliocie i ufać, że Ben przewiezie ją w bezpieczne miejsce, a Elliotowi nawet nie przyjdzie do głowy, że tutaj była.

- Nie. Teraz mieszkam w Londynie. A ty? Urodziłeś się IM St. John's?

- Tutaj się urodziłem i tutaj dorastałem, podobnie jak moi rodzice i dziadkowie. Gdy byłem młodszy, mieszkaliśmy nawet przez jakiś czas na Brayner. Kiedyś mój tato prowadził warsztat szkutniczy, ale później przejął taksówkarski biznes na St. John's. Myślę, że moja mama nadal tęskni za tą wyspą.

Kellie przypomniała sobie miłą kobietę, którą spotkała na kei i to, jak bardzo wydała jej się sympatyczna. W przypadku Bena było identycznie - czuła się tak, jakby od razu wytworzyła się pomiędzy nimi jakaś więź. Czy coś takiego zdarza

się innym ludziom? - zastanawiała się. Czy to normalne, że spotyka się zupełnie obcych ludzi i gawędzi się z nimi jak ze starymi przyjaciółmi?

- Jest urocza. Twoja mama.

- Serio? Tak myślisz?

- Chciałabym, żeby i moja przynosiła mi codziennie kanapki do pracy.

Ben wyglądał na zakłopotanego. - Ona nie... nie codziennie...

- Po prostu się z tobą drocę.

- Dobra - powiedział z uśmiechem. - A ty? Czym się zajmujesz?

- Jestem prawniczką.

- To fajnie.

- Przeważnie tak., Ale sama nie wiem... kiedy jestem tutaj...

Zamilkła. A co tam, pomyślała. Równie dobrze może mu trochę o sobie opowiedzieć. Niczym nie ryzykuje. W końcu Ben nie miał żadnego związku z jej życiem i za kilka godzin, kiedy uporają się z łodzią i wrócą do St. John's, pewnie nigdy go już więcej nie zobaczy.

- Mówiąc poważnie, od wielu miesięcy nie miałam urlopu - przyznała. - Tak naprawdę od miesięcy nie wychodziłam nawet na dwór. Kiedy człowiek oddala się od tego wszystkiego, od Londynu, wyścigu szczurów... zdaje sobie sprawę... no cóż, czasami żałuję, że moje życie nie jest odrobinę prostsze.

- W jakim sensie?

- Sama nie wiem. Wydaje mi się, że ty prowadzisz dobre życie. To znaczy, tacy ludzie jak ty... - Nie chciała, żeby to zabrzmiało protekcyjnie, ale nie potrafiła przestać podziwiać nieskomplikowanego stylu życia Bena, nawet pomimo tego, że to on wpakował ich w te tarapaty. - Zajmujesz się prostymi rzeczami, na przykład płyniesz sobie i zwyczajnie oglądasz foki. Chciałabym być bardziej...



- Związana z naturą? - zapytał i już wiedziała, że mimo wszystko jej słowa zabrzmiały protekcjonalnie. W jego głosie pobrzmiwała lekka irytacja. - Chciałabyś wieść życie takiego kmiotka jak ja?

- Nie zamierzałam cię obrazić - powiedziała poważnie. W rzeczywistości była raczej wstrząśnięta swoją szczerością. W rozmowie z Elliotem nie odważyłaby się przyznać, że kariera nie jest dla niej najważniejszą sprawą w życiu. Być może zobaczenie Bena wraz z matką, ich silna rodzinna więź sprawiły, że nagle zatęskniła za domem i zaczęła się martwić o własną przyszłość. Jaką będzie matka? - zastanawiała się. Potem po raz kolejny ogarnęły ją wątpliwości: czy kiedykolwiek nią będzie?

Posłał jej szeroki śmiech i pytająco uniósł brwi.

- Aha - powiedziała. - Przekomarzasz się ze mną.

- Jeśli chodzi o to, co powiedziałaś o obserwowaniu fok... Zawsze możesz wykupić karnet do londyńskiego zoo.

- Dzięki. Będę o tym pamiętać.

- No więc - powiedział wtedy - co taka dziewczyna jak ty robi sama na wyspach w czasie świąt Bożego Narodzenia?

- Głównie rozmyśla.

- Rozumiem. - Zastanawiała się, czy będzie się domagał szczegółów, lecz zdawał się szanować fakt, że być może nie jest to odpowiednia pora. - Jeszcze gorącej czekolady? - zapytał.

Patrzyła, jak nalewa trochę płynu do kubka. Zastanawiała się, co by o niej pomyślał, gdyby poznał prawdziwy powód jej świątecznej wizyty na wyspach? Dlaczego stchórzyła i nie powiedziała mu o Elliocie, kiedy nadarzyła się okazja?

Ben wstał. - Chyba spróbuję zorganizować nam jakieś ognisko. Potem jeszcze raz powalczę z silnikiem - powiedział.

Kellie przytaknęła, lecz nie patrzyła w jego stronę, kiedy wychodził z chaty.

## Rozdział siódmy

Michael leżał w salonie Thorne'ów rozłożony na fotelu pod oknem z widokiem na zatokę, gdy usłyszał trzaśnięcie frontowych drzwi. Na zewnątrz gęste płatki śniegu wykonywały szybki taniec i każda z kwadratowych, wzmocnionych łożem szyb w oknach wyglądała jak ekran telewizora z uszkodzoną anteną.

Podnosząc wzrok znad poliekranu gry nintendo, Michael wsłuchał się w odgłos kroków rozlegający się na korytarzu i przez chwilę się zastanawiał, czy to nie jego matka, która przyjechała, żeby zabrać go do domu, lecz szybko odrzucił taką możliwość.

Jego matka nienawidziła zimna. W pubie przez okrągły rok było gorąco jak w węzowej jamie i nic z wyjątkiem śmiertelnego niebezpieczeństwo nie było w stanie przekonać jej do zmiany tego zwyczaju. Poza tym wiedziała, że Michael jest bezpieczny. Dziadek Taylor zadzwonił już do niej przez radiotelefon, za którego pomocą komunikowali się mieszkańcy wyspy, i poinformował ją, że Michael jest u niego w domu.

Taylor leżała kilkadziesiąt centymetrów obok, wyciągnięta jak kotka na czerwonym indyjskim dywanie przed strzelającym i migoczącym kominkiem. Milczała, wsłuchując się w swojego iPod'a i leniwie przerzucała strony starego numeru „Heat”.

Kiedy wrócili z kopalni, zdjęła kurtkę i sweter. Miała na sobie obcisły biały top z dekoltem w serek i naszyjnik z szarych koralii. Spod cienkiego materiału koszulki prześwitywał stanik, wyraźnie podkreślając kształt jej piersi.

Zdaniem Michaela jej cycki były idealne. Niezbyt małe, lecz również nie za duże. Niezbyt okrągłe, lecz jednocześnie nie za spiczaste. W jego szkole były

dziewczyny, których cycki były tematem skrytych, a czasami i jawnych rozmów chłopaków oraz obiektem ich podziwu. Gdyby Taylor chodziła do szkoły Michaela, z pewnością byłaby jedną z takich dziewczyn. Chłopaki pokazywaliby palcem, jak biegnie bieżnią w sali gimnastycznej, dyskretnie szturchaliby się w żebra, kiedy wychodziłaby podczas przerwy na boisko, albo zwyczajnie wlepialiby w nią gały, gdyby stanęła obok nich w stołówce, w kolejce po pizzę i frytki.

Michael odwrócił wzrok, gdyż Taylor przewróciła się na bok, i nie chciał zostać przyłapany na tym, że się jej przygląda.

Simon siedział przy zabytkowym sekretarzyku ustawionym w rogu pokoju i bębniąc palcami o blat obity zieloną skórą, patrzył, jak ćma wiję się w spazmatycznych drgawkach złapana w pajęczynę zawieszoną nad jego głową.

W domu Thorne'ów Michael czuł się prawie jak u siebie i zazwyczaj nic go tu nie krępowało, lecz nigdy przedtem nie był w nim w czasie świąt Bożego Narodzenia i teraz wszystkie otaczające go przedmioty wydawały mu się pretensjonalne i sztuczne.

Częścią problemu była wymuszona czystość. Stary pan Thorne lubił swoje graty i zazwyczaj na kominku suszyły się wędkarskie buty i płaszcze przeciwdeszczowe, na stolikach, obok brudnych kubków po kawie wałały się niedokończone krzyżówki i sudoku, a na tylnej części drzwi wisiały rysunki.

Jednak dziesięć minut temu przemknęła tędy mama Taylor przypominająca postać z jednego z tych telewizyjnych programów ukazujących wspaniałe metamorfozy, które tak chętnie oglądała mama Michaela wraz z Roddym podczas popijania popołudniowej herbatki. Wysprzątała cały pokój, a nawet uniosła w górę łokieć zaabsorbowanego grą Michaela, żeby wyjąć spod niego zmięty rysunek Nat.

Michael uznał, że teraz można by pstryknąć zdjęcie, a potem zrobić z niego świąteczną kartkę - wszystko było takie idealne, lecz w pewnym sensie jednocze-

śnie pozbawione życia, upozowane. Czuł się jak człowiek uwięziony na fotografii.

Tykał zawieszony na ścianie zegar, a telewizor milczał. Wiatr dał od czasu do czasu w ramy okna. Świat na zewnątrz wydawał się dziki i niebezpieczny, a poza tym taki pociągający, że od beczynnego siedzenia Michaela świerzbiły nogi.

Bardziej podobało mu się tu latem. Wtedy okna były pootwierane i wpadała przez nie bryza, przynosząc ze sobą słodką woń wiciokrzewu i jaśminu, i można było usłyszeć śpiew ptaków konkurujący z uderzeniami fal o rozpościerający się w dole brzeg.

Rozległ się szelest ubrania i do środka wszedł tata Taylor, który zdjął mokry jaskrawoczerwony płaszcz przeciwdeszczowy i położył go na zamiecionych kwadratowych płytach przed kominkiem. Nogawki jego niebieskich dżinsów tkwiły w wełnianych skarpetach, a gładki niebieski sweter zapięty był aż pod szyję. Wziął pogrzebacz i szturchnął kawałki drewna, wywołując syk ognia i lawinę iskierek.

- Na zewnątrz jest cholernie zimno - powiedział. - Wieje tak mocno, że można oprzeć się o powietrze i mimo to nie upaść. To się nazywa zawieja.

- Do kogo próbowałeś zadzwonić? - zapytała Isabelle, wchodząc do pokoju.

- Kiedy? - spytał Elliot.

Isabelle rozejrzała się, jak gdyby czegoś szukała, ale ostatecznie nic nie wzbudziło jej zainteresowania.

- Przed chwilą - powiedziała, kiwając głową w stronę okna. - Tam, pod murem. Przez komórkę. Widziałam cię z kuchni.

Michael podążył za wzrokiem Elliota w kierunku ciemnej ściany garażowej przybudówki sąsiadującej z rzędem jodeł, ledwie widocznych zza śnieżnej zamieci.

Elliot odłożył pogrzebacz na stojak. - Aha - powiedział.

- Tam. Właściwie dzwoniłem do biura. Chciałem sprawdzić, czy przyszły jakieś wiadomości.

- I przyszły?

- Nie wiem. Nie mogłem złapać zasięgu.

Michael nie rozumiał, po co Elliot w ogóle próbował. Telefony komórkowe zazwyczaj nie działały na wyspie. Właśnie dlatego wszyscy, łącznie z ojcem Elliota, mieli w domach radiotelefony.

- Zdziwiłabym się, gdyby ktokolwiek podniósł słuchawkę, nawet jeśli udało by ci się dodzwonić - powiedziała Isabelle.

- Zresztą o ile mi wiadomo, zawarliśmy umowę o nieużywa-niu komórek po godzinach pracy. Ja wyłączyłam swoją, gdy tylko wyszłam z biura. To czas dla rodziny, pamiętasz?

Elliot się uśmiechnął. - Naprawdę powinnaś wyjść na zewnątrz, kochanie - stwierdzi. - Żeby to po prostu zobaczyć. Chyba nigdy wcześniej nie byłem tu świadkiem tak ekstremalnych warunków pogodowych. - Przeniósł uwagę na Michaela, Taylor i Simona. - A co z wami, dzieciaki? - zapytał.

- Powinniście wyjść z domu na kilka minut. Spróbujcie. To zadziwiające.

Wzrok Taylor nadal skupiał się na ekranie iPoda.

- Mama nam nie pozwoli - powiedział Simon. - Nie pozwoli m i. Mówi, że to niebezpieczne i że jest za zimno. A to niesprawiedliwe i nic by nam się nie stało, i wszyscy uważamy, że powinniśmy móc wyjść na dwór, ale nie możemy.

- Ciocia Stephanie zachowuje się jak krowa - stwierdził Taylor. Słuchawki spoczywały już w jej dłoni.

- Taylor - ostrzegł ją Elliot.

- Ale to prawda.

- Mimo to nie pozwolę, żebyś mówiła o niej w ten sposób. Nie przy Simonie. I nie przy mnie.

- Porozmawiam z nią - powiedziała Taylor. - Mam dosyć siedzenia w domu. Nudzi mi się.

Przemaszerowała obok Elliota, a Michael i Simon poszli za nią.

W kuchni David stał przy czajniku, czekając, aż zagotuje się woda. Stephanie siedziała przy stole z Nat, wycinając gwiazdki z marcepana.

- Tata mówi, że powinniśmy wyjść na dwór - powiedziała Taylor. - Wszyscy.

- Zaczekaj chwilę - przerwał jej Elliot, stając w drzwiach.

- Nie do końca wyraziłem się w ten...

- Owszem, tak. Właśnie wróciłeś z podwórka i powiedziałeś, że my również powinniśmy spróbować. - Taylor usiadła przy stole obok Stephanie i splotła ręce na piersi. - Dlaczego w takim razie nie pozwalasz wyjść Simonowi?

Stephanie zmierzyła ją surowym wzrokiem. - Już ci mówiłam. Dlatego że to zbyt niebezpieczne. Na dworze jest bardzo zimno, wiatr cały czas przybiera na sile, a przecież wiesz, jak niewielka odległość dzieli nas od klifów.

- Ale Simon może się ciepło ubrać, a ogród otacza mur. Przecież go nie zdmuchnie.

- Daj spokój - powiedział Elliot.

- Nie chcę.

- To nie podlega dyskusji, Taylor - powiedziała Stephanie.

- Simon będzie siedział w domu, dopóki nie przestanie padać śnieg, i to jest ostateczna decyzja.

- Ale wtedy będzie już ciemno - rzuciła Simon - i będzie jeszcze bardziej niebezpiecznie niż teraz, i nie będzie widać śniegu, więc wcale nie będzie fajnie,

bo wszystko będzie przypominać zabawę z zawiązanymi oczami, i nie będziemy mogli rzucać się śnieżkami, bo za każdym razem będziemy pudłować.

- Powiedziałam, że to ostateczna decyzja - odparła Stephanie.

- Więc spraw, żeby stała się nieostateczna - powiedziała Taylor.

Michael zobaczył, jak twarz Stephanie napina się i marszczy, ale tym razem nie połknęła haczyka. W oczach Taylor dostrzegł błysk. Cieszyła ją każda sekunda tej rozgrywki.

David odkaszlnął. - Jutro śnieg też tutaj będzie - powiedział. - Rano zabiorę cię na spacer, Simon, Obiecuję.

- Ale skąd wiesz, że nie stopnieje? No, skąd?

- Dostyc tego, Simon - ucięła Stephanie.

- To niesprawiedliwe. Tato. Powiedz jej. Powiedz, że powinna mi pozwolić i że...

- Daj spokój, Si - powiedział David. - Jest mnóstwo innych rzeczy, które można robić w domu.

- Na przykład co? Nat zepsuła magnetofon, obraz w telewizorze jest do bani, a wszystkie filmy DVD oglądałem już chyba z trylion razy.

- Użyj wyobraźni - powiedziała Stephanie. - Masz do dyspozycji cały dom, a za niespełną godzinę będzie lunch.

- Ja się z tobą pobawię - powiedziała Nat, lecz było już za późno: Simon właśnie wybiegał z kuchni.

David patrzył na Stephanie, a ona wbiła wzrok w pusty korytarz. Podała Nat błyszczącą metalową foremkę w kształcie choinki.

- Trzymaj - powiedziała. - Teraz wypróbujemy tę foremkę.

- Niewiarygodne - rzuciła Taylor do Michaela.

- No, dalej, dzieciaki - powiedział do nich Elliot. - Poszukajcie go i znajdźcie sobie jakieś inne zajęcie.

To wszystko robiło się dla Michaela zbyt okropne. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było utknąć tu, w samym środku czyjejs rodzinnej kłótni.

- Twój tata ma rację - powiedział. - Możemy pograć w ping-ponga.

Taylor rzuciła Michaelowi pogardliwe spojrzenie, po czym wymaszerowała z kuchni. Przez sekundę głupkowato wpatrywał się w miejsce, w którym zniknęła mu z oczu, nie wiedząc, gdzie popełnił błąd.

- Idę z wami - powiedział David.

Taylor czekała na Michaela w korytarzu. Odsunęła się na bok i David poszedł przodem.

- Co to wszystko miało znaczyć? - syknęła, gdy tylko jej wujek zniknął za rogiem.

- Jakie wszystko?

- To podlizywanie się mojemu tacie. Zgadzenie się, że powinniśmy trzymać się z Simonem...

- Myślałem, że było ci go szkoda.

- I co z tego? Sama podejmuję decyzje, jasne? Nie potrzebuję, żeby wymuszał je na mnie tata, ciocia Steph ani ktokolwiek inny. Więc następnym razem postaraj się nie wtrącać.

Nie czekała na odpowiedź, co akurat go ucieszyło, bo żadna nie przychodziła mu do głowy. Gapił się w ślad za nią, czując oszołomienie. Przecież próbował tylko pomóc.

Przybiegł po niego Simon. - Mogę grać z tobą? - zapytał. - Tata jest cienki i jeśli będę grał razem z nim, na pewno przegram, a chcę wygrać. Tak jak w meczu przeciwko Rains-ford High.

Michael prawie się nie odzywał przez kolejne pół godziny, które upłynęło im na grze w debła na stole w garażu. Taylor wcale nie patrzyła w jego stronę. Chciał ją przeprosić i powiedzieć, że nie miał zamiaru sprawić jej przykrości.



Dziesięć minut przed lunchem wymyślił sposób, w jaki mógłby jej to wszystko wynagrodzić. Posyłając jej sugestywne spojrzenie, wyszedł z pokoju, mówiąc, że musi iść do łazienki.

Taylor dołączyła do niego w korytarzu, obok wejściowych drzwi.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Pomyślałem, że to mogłoby cię zainteresować. Wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę papierosów.

- Nie wiedziałam, że palisz.

- O, jasne, że tak.

Podczas ubiegłych wakacji powiedziała mu, że w szkole z internatem nauczyła się palić. Od tamtej pory on również się uczył. Za pierwszym razem puścił pawia, ale takie problemy miał już za sobą. Teraz palił jak wytrawny profesjonalista, czasami nawet pięć dziennie.

Tego ranka przyniósł ze sobą papierosy - paczkę zwędzoną mamie - z nadzieją, że wypali jednego na spółkę z Taylor, ale w wyprawie do kopalni towarzyszył im Simon i Michael zachował swój ukryty zapas w tajemnicy, nie mając pewności, czy Simon na nich nie naskarzy.

- Ile ich masz? - zapytała Taylor.

Michael otworzył paczkę i policzył. - Zostało osiemnaście. Co ty na to? - spytał. - Pójdziemy na dwór?

- Nie. Chodźmy do mojego pokoju. Na piętrze.

- Ale czy twój dziadek...

Michael lubił dziadka Taylor i nie chciał sprawiać mu przykrości. Odkąd stary pan Thorne przeprowadził się tu na stałe, Michael miał zwyczaj wpadać do niego od czasu do czasu z wizytą, kiedy Taylor była w Londynie. Załatwiał dla niego różne sprawunki przy okazji swoich codziennych pobytów na St. John's i przywoził mu stamtąd wszystkie artykuły, których Gerald Thorne akurat potrze-

bował. Czasami pili razem herbatę i rozmawiali. Michael zawsze pytał go o Taylor i o to, co u niej słyhać. Pan Thorne zawsze chętnie o niej rozmawiał. Mówienie o Taylor sprawiało, że odległość, jaka ich od niej dzieliła, wydawała się mniejsza.

- On nigdy nie wchodzi do mojego pokoju - powiedziała Taylor. - Siedzi tylko w swojej pracowni. A nawet gdyby nas przyłapał, wątpię, żeby naprawdę się przejął.

Pokój Taylor zajmował trzecią część poddasza. Reszta została przekształcona w pracownię malarską jej dziadka. Dwa pomieszczenia oddzielała gruba ściana z cegieł, która osłaniała komin.

Podłoga w pokoju była goła i niepolakierowana. Wzdłuż jednej ze ścian stało kilka szafek, które kończyły się przy okapie. Pod drugą widać było łóżko z odchyloną kołdrą i długą koszulą w różowe paski spoczywającą na poduszce. Czy właśnie tę wkładała na noc? - zastanawiał się Michael. W rogu stała miednica, a na nocnym stoliku, obok napoczętego snickersa, leżał egzemplarz *The Bell Jar*.

Małe okienko wychodziło na ogród za domem. Śnieg sypał tak mocno, że świat za szybą wyglądał jak spowity mgłą. Michael był tutaj już wcześniej, ale tym razem czuł się inaczej, prawdopodobnie przez tę kłótnię. Może dlatego był teraz taki zdenerwowany.

Na parapecie stały dwie puszki piwa: jedna jeszcze nieotwarta, a druga ubrudzona popiołem. Obok widać było dezodorant w aerozolu, zieloną zapalniczkę i zmiętą paczkę po marlboro.

Taylor otworzyła świeżą puszkę piwa i pociągnęła łyk. Obydwoje zapalili po papierosie. Patrzył, jak się pochyła, żeby otworzyć okno. Poczul ucisk w żołądku, kiedy jej koszulka powędrowała w górę, ukazując na chwilę skrawek bladej nieskazitelnej skóry.

Do pokoju z sykiem wpadł wiatr - tak zimny, że prawie nie przypominał powietrza. Michaelowi przypomniało się wyciąganie mrozonek z zamrażarki w pubie. Kiedy dwa lata temu odszedł jego tata, musiał nauczyć się pomagać w kuchni. W szczycie sezonu, kiedy bez przerwy kursowały promy, przygotowywał nawet trzydzieści posiłków dziennie.

-Przepraszam - rzekła Taylor, wpychając mu w dłoń puszkę - że tak na ciebie naskoczyłam.

- Wszystko w porządku. Już o tym zapomniałem.

- Czasami wpadam w złość.

- Jak wszyscy.

-Chciałam powiedzieć, że robię się naprawdę wściekła. Wiem, że nie powinnam, ale tak jest. Czasami mama i tata... i czasami nauczyciele... czasami ludzie po prostu mnie wkurzają.

- Ze mną jest tak samo - powiedział.

- Naprawdę?

- Tak. - On też miał temperament. Jak każdy. Jednak starał się tego nie pokazywać. Przed odejściem ojca wystarczająco napatrzył się na kłótnie między nim a mamą. Nie chciał, żeby spotkał go podobny los.

- Wiesz, dorośli - powiedziała Taylor - potrafią być takimi pieprzonymi egoistami. Oczekują, że będziesz robić to, co ci każą, zaciskać zęby, bez względu na wszystko. Tak jakby twoje zdanie nie było wystarczająco istotne, żeby wziąć je pod uwagę.

- Zupełnie jak moja mama i Roddy - stwierdził. - Wszystkie ich decyzje... Nigdy nie pytają mnie o zdanie. Po prostu decydują sami. Mówią mi tylko, co się zmieni.

Michael miał na myśli decyzję o opuszczeniu wyspy i przeprowadzce do Truro. Nie chciał tam jechać. Nie chciał rozstawać się z przyjaciółmi z Fleet

Town i nie chciał zmieniać szkoły. A przede wszystkim nie chciał wyjeżdżać - dlatego że mógłby już nigdy nie zobaczyć Taylor.

- Na przykład co? Co wkurza cię najbardziej? Michael zauważył ranę na grzbiecie jej dłoni, która pokryła

się już strupkiem. Była wąska i prosta, jak gdyby zadano ją nożem.

- Po prostu wszystko. - Michael chciał być bardziej konkretny. Chciał jej powiedzieć prawdę: że kiedy znowu odwiedzi wyspę, jego już tutaj nie będzie. Ale nie zrobił tego. Nie potrafił. Powiedzenie jej oznaczałoby prośbę o jakąś reakcję. Powiedzenie jej oznaczałoby zapytanie o to, jak wielką przykrość sprawi jej jego wyjazd, a nie potrafiłby znieść tego, że w ogóle się nie przejmie, nie umiałby poradzić sobie z jej obojętnością. Dla niego było to znacznie ważniejsze.

- Czuję się tak, jakby moja opinia nie miała żadnego znaczenia - powiedział zamiast tego.

- Zupełnie jak z moją szkołą - odrzekła Taylor - i tym, że inni tam posłali. Powiedzieli, że jeśli mi się nie spodoba, będę mogła wrócić do domu, ale to było zwyczajne pieprzenie. Tak bardzo naciskali, mówiąc o swoich służbowych obowiązkach, o tym, jaka to cudowna szkoła i jak dobrze mi tam będzie, że nie było szans, żebym kiedykolwiek...

- Może naprawdę uważali, że tak będzie dla ciebie najlepiej.

- Gówno prawda. Wiesz, kto wpadł na ten pomysł?

- Twój tata?

- Nie. Moja matka. A chcesz wiedzieć, dlaczego chciała się mnie pozbyć z domu? Żeby więcej czasu spędzać z moim tatą.

- Ale skąd...

- Słyszałam ją. Cholera, słyszałam, jak mówiła to przyjaciółce przez telefon. Powiedziała, że ona i tata spędzają ze sobą za mało czasu i że naprawdę martwi się tym, że się od siebie oddalają. A ponieważ tata zawsze pracuje do późna, mo-

ja nieobecność w roku szkolnym oznacza, że będą mogli spędzać razem weekendy.

- Co za krowa.

- Nie. Nie rozumiesz. Z początku też tak myślałam i zaje-biście jej za to nie nawidziałam, ale potem zaczęłam się nad tym zastanawiać i zrozumiałam, że tak naprawdę jest dokładnie odwrotnie. To on jest dupkiem. Nie ona. To on pieprzy ich małżeństwo, pracując do późna i nie poświęcając jej wystarczająco dużo czasu. To przez niego musiała się mnie pozbyć.

Taylor wydmuchnęła dym w stronę okna. - To dlatego czasami jestem dla nich podła. Dla niej, ale przede wszystkim dla niego. To dlatego lubię ich wkurzać... żeby pokazać, że wcale nie uszło im to na sucho. Niech wiedzą, że samo wysłanie mnie do szkoły nie oznacza, że zniknęłam...

Michael nie wiedział, co powiedzieć, ale miał wrażenie, że ona wcale nie chce niczego usłyszeć. Chciała jedynie, żeby słuchał. Zaciągnął się po raz ostatni i jeszcze raz łyknął piwa. Zgasił papierosa i oddał puszkę Taylor, która wypila piwo do końca. Przy oknie było mu za zimno i lekko zakręciło mu się w głowie, więc usiadł na skraju łóżka.

U jego stóp leżała rozpięta czarno-biała torba adidasa należąca do Taylor. Na podłodze walały się jej ubrania, dzinsy i swetry, tenisówki i stanik. Kilku chłopaków z klasy Michaela dymało już dziewczyny. Mówili, że to najlepsza rzecz na świecie. Michael zastanawiał się, jak wyglądałaby Taylor w samym staniku i majtkach. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek się o tym przekona.

*A gdyby zapytał? Oto było pytanie. Co, gdyby powiedział jej o swoich prawdziwych uczuciach? O tym, że jej pragnie. Że chce z nią być i z nią spać. Co by było, gdyby po prostu zaproponował, aby zdjęli ubrania i weszli pod koldrę? Było jednak coś, co go od tego powstrzymało. Co będzie, jeśli zapyta, a ona mu odmówi?*

Podeszła i podniosła stanik z podłogi.

- Przepraszam - powiedziała, bacznie mu się przyglądając i wążąc bieliznę w dłoni. - Chyba powinnam bardziej dbać o porządek, prawda?

Spuścił wzrok na skarpetki, zakłopotany tym, że go przyłapała. - W moim pokoju też jest bałagan - powiedział.

Odłożyła stanik do szuflady nocnego stolika. Jeszcze raz podeszła do okna i zapaliła drugiego papierosa. Spojrzała na jego rozżarzony koniuszek, a potem na Michaela.

- Jakie jeszcze masz tajemnice? - zapytała.

- Nie wiem.

- Palłeś kiedyś trawę?

Michael pomyślał o dzieciakach ze szkoły, które przechwalały się tym, że w weekendy wrzucają ecstazy i dmuchają dziewczyny w łazienkach czyichś domów podczas imprez. Michael uważał, że w większości były to bujdy, dlatego uznał, że jeśli skłamię Taylor, ona również mu nie uwierzy.

- Nie.

- Nie-jara-nie. - Roześmiała się. - Brzmi jak tekst jednego z tych gównianych rządowych sloganów: „Jara-nie? Powiedz nie!”. Ja też jeszcze nie próbowałam - przyznała. - Ale zrobię to. Na pewno. Przy pierwszej okazji, jaka się nadarzy. Moim zdaniem powinno się spróbować wszystkiego przynajmniej raz, nie uważasz?

- Pewnie.

- A co z pićciem? - zapytała. - Upiłeś się kiedyś?

- Mieszkam w pubie.

- No tak, ale ile razy tak naprawdę się narąbałeś? Tak zupełnie... tak, że ledwie mogłeś stać?

- Mnóstwo. - Kłamał. W rzeczywistości upił się jedynie kilka razy, a kompletnie nawalił się tylko raz, kiedy jego ojciec ostatecznie wyprowadził się z domu. Michael wyniósł z piwnicy butelkę cinzano i wypił ją, siedząc na skałach nad Piekielną Zatoką. Pustą butelkę cisnął w morze, a potem płakał jak kretyn i rzygał jak pies.

- Ja upiłam się wódką - powiedziała. - Misha, dziewczyna, z którą chodzę do szkoły, przemyciła z domu całą litrową butelkę, a potem wypiliśmy ją z jeszcze jedną koleżanką, Louise, mieszając z lemoniadą. Pod koniec ledwo widziałam na oczy.

- Przyłapali was?

- Zostałyśmy w parku, dopóki nie poczułyśmy się lepiej, a potem wróciłyśmy i powiedziałyśmy, że się zgubiłyśmy. Uwierzyli nam. To takie pieprzone głupki. Dopóki wyglądasz, jakbyś naprawdę wierzył w to, co mówisz, ludzie połkną wszystko, co im wciśniesz.

- Nadal jej nienawidzisz? Mam na myśli szkołę?

- A czy ktoś ją lubi?

- A co z rodzicami? Dalej za nimi tęsknisz?

- Niezupełnie. Już nie. Najwidoczniej uznali, że jestem wystarczająco duża, żeby sobie z tym poradzić. No i stało się, dorosłam. A przynajmniej wyrosłam z nich. Zresztą - zamyśliła się - wcale nie jest tak zupełnie do bani. Bycie z dala od domu ma pewne zalety.

- Na przykład jakie?

Na przykład palenie. I upijanie się. W domu nigdy nie usłoby mi to na sucho. Nie przy mamie. Sam widziałeś, jak gnębi mojego tatę za papierosy. Poza tym są oczywiście chłopcy...

- Jacy chłopcy? - Myślał, że chodzi do szkoły dla dziewcząt.

- Och, nie wiem. Różni. Chodzimy na dyskoteki z chłopakami z miejscowej szkoły dla chłopców.

Nie chciał słuchać o innych chłopakach. Spróbował zmienić temat.

- Raczej nie lubię tańczyć - powiedział.

- Całowałeś się kiedyś z dziewczyną?

Prawie zaczął jej opowiadać o dziewczynie o imieniu Elaine, z którą całował się podczas wrześniowego festynu we Fleet Town zaledwie kilka miesięcy temu, o dziewczynie z Sunderland, o rok starszej od niego, z pryszczami na czole, która spiła się piwem i była kompletnie zamoczona. Podszedł do niej i po prostu zapytał, czy go pocałuje, a ona zrobiła to w promieniach słońca na parkingu, za biurkiem informacji turystycznej przy plaży Porthcressa, podczas gdy on bezskutecznie szamotał się z zapięciem jej stanika pod koszulką z logo Radia 1.

Jednak nie wspomniał o tym Taylor ani słowem. Nie powiedział jej, ponieważ nie chciał, żeby pomyślała, że zależy mu na jakiejś innej dziewczynie.

Zatem powiedział: - Nie.

I w zamian za to kłamstwo zupełnie go zdruzgotała.

- Ja całowałam się z chłopakami - wyznała, uważnie obserwując jego reakcję. - A nawet więcej. Takiemu jednemu pozwoliłam...

Ich rozmowę ucięło skrzypienie schodów. Taylor wyrzuciła niedopałek przez okno i szybko je zamknęła. Chwyła dezodorant i rozpyliła go w całym pokoju. Kiedy drzwi się otworzyły z piskiem, obydwójce siedzieli już na podłodze i oglądali iPoda Taylor.

- Podano lunch, dzieciaki - powiedział Elliot, wtykając głowę do pokoju. - Co to za zapach?

Taylor i Michael wzruszyli ramionami.

- Umieram z głodu - stwierdził Michael. - Chodźmy coś zjeść.



Jednak tak naprawdę był pewien, że niczego nie przełknie. Drzwi się zamknęły, a Taylor wsunęła do ust listek gumy do żucia. Kiedy zaczęła ją żuć, szepnęła Michaelowi na ucho: - O mały włos...

Zapach mięty towarzyszył mu do końca dnia.

RS

## Rozdział ósmy

W kuchni Stephanie przypomniła sobie, czego najbardziej nienawidzi w świętach Bożego Narodzenia: zawsze pojawiała się wielkie rozczarowanie. Kiedy spuściła wodę ze zlewozmywaka i wytrzepała nad koszem metalowe sitko, poczuła się jak idiotka, która w ogóle miała nadzieję na coś więcej niż bardzo irytującą imprezę. Siedzenie w jednym domu przez trzy dni było zwyczajnie nie-naturalne. Minęło zaledwie parę godzin, a ona już miała ochotę stąd uciec.

Uporawszy się wreszcie ze zmywaniem (Isabelle wydała wyraźne instrukcje, aby nie przeciążać zmywarki), Stephanie otworzyła lodówkę, żeby sprawdzić jej zawartość. Odkręciła słoik galaretki z żurawin i wzdrygnęła się na widok grubej warstwy pleśni. To typowe, że Isabelle zapomniała posprzątać w lodówce. Jak podejrzewała od samego początku, rola boskiej gospodyni, którą przyjęła jej bratowa, była tylko na pokaz. Całą brudną robotę miała oczywiście odwalić Stephanie.

Na przykład podczas lunchu „postanowiono”, że Stephanie będzie faszerować indyka na jutrzejszy posiłek. Isabelle wydrukowała nawet przepis, do którego należało się zastosować. Stephanie nie miała nic przeciwko temu zajęciu, ale P° raz kolejny Isabelle uniknęła zadania, które mogłoby narazić na szwank jej idealnie wypielegnowane paznokcie. Ale to ona»postawi indyka na idealnie nakrytym stole i, rzecz jasna, zgarnie wszystkie pochwały.

Przestań, upomniała się Stephanie. To nie ma żadnego znaczenia. Nie powinna myśleć w ten sposób o własnej rodzime, lecz wymuszona serdeczność i radość z rodzinnego spotkania, o które zabiegała Isabelle od chwili ich przyjazdu, coraz bardziej działały jej na nerwy. Zabawa na siłę nigdy nie była prawdzi-

wą zabawą. Zabawa powinna być spontaniczna, a nie zaplanowana. Czyż nie na tym to polegało?

Poza tym nadal nie mogła dojść do siebie po kłótni z Taylor. Czy ta dziewczyna jest nienormalna? Na zewnątrz szalała burza śnieżna, a ona chciała wyjść jej na spotkanie! O co jej chodziło? Chciała przyprawić Simona o hipotermię?

Dawniej Stephanie dobrze rozumiała się z bratanicą, ale teraz? No cóż, teraz Taylor była po prostu arogancka i niegrzeczna. Była o wiele bardziej gruboskórna niż przed wyjazdem do szkoły z inicjatywy Isabelle, ale to jeszcze nie wszystko. Nie licząc jej śmiesznego i naciąganego punkowego stylu (który, zamiast kogokolwiek prowokować, sprawiał raczej, że David i Elliot po kryjomu się z niej nabijali), było w niej coś podłego, a nawet potencjalnie niebezpiecznego. Jak gdyby chciała doprowadzić wszelkie autorytety do skrajy wytrzymałości. Tylko po to, żeby zobaczyć, co się wtedy stanie. Elliot bez wątpienia będzie miał z nią mnóstwo kłopotów.

Gorsze niż kłótnia z Taylor było jednak to, że David, Elliot i Isabelle nie udzielili jej praktycznie żadnego wsparcia. Nikt nie wspomniał o tym, że Stephanie ma absolutną rację i że warunki na zewnątrz mogą zagrażać życiu. Zamiast tego *u* wyszła na tę, która zepsuła całą zabawę. Wszyscy wydawali się zafascynowani śniegiem, jak gdyby posiadał jakieś magiczne właściwości, które mogły udzielić się tym okropnym świętom. Poza tym jakby chcąc podkreślić porażkę Stephanie w starciu z Taylor, Isabelle wychodziła z siebie, nadskakując Simonowi i Nat.

- Nigdy nie przypuszczałam, że to będą białe święta - mówiła Isabelle, odsuwając się od okna i podchodząc do dzieci siedzących przy wielkim drewnianym stole. - Kiedy w zeszłym roku pojechaliśmy na narty do Kolorado, było wręcz cudownie.

- Wszystko przez efekt cieplarniany - powiedział Simon.  
- Te zmiany w pogodzie. Przerabialiśmy to w szkole.  
- Naprawdę? - zapytała Isabelle, jak gdyby była to najbardziej interesująca wiadomość, jaką kiedykolwiek usłyszała.

- Ma to związek z prądami północnoatlantyckimi. Stephanie zerknęła na Simona, który właśnie dokarmił

psa miesięczną dawką czekoladek ze świątecznej bombonierki. - Nie tak dużo, kochanie, bo się rozchoruje.

- Nie słuchaj mamy, Si, daj mu tyle, ile chcesz - powiedział Elliot, wchodząc z korytarza. - Biedny stary Rufus. Tato przyzwyczyił go do tej paskudnej suchej karmy. Gdzie się podziało to cholerne pudło? - zapytał, otwierając i zamykając wszystkie szafki i jednocześnie wchodząc w drogę Stephanie. Z poirytowaniem przypomniała sobie, że jej brat potrafi z każdej najmniejszej rzeczy zrobić najważniejszą i najpilniejszą sprawę na świecie.

Wiedziała, czego szuka: nędznej starej kasety z taśmą klejącą, która należała do jej rodziców od zarania dziejów. W erze jednorazowych plastikowych opakowań Stephanie (i najwidoczniej również Elliot) zachowała szczególny sentyment do tego przedmiotu, który był zresztą tak ciężki, że pewnego razu, kiedy Elliot strącił go z mahoniowej komody, uśmiercił umykającą mysz.

- A wiedziałaś o tym, że istnieje wielka bryła lodu, która po stopnieniu zmiecie z powierzchni ziemi całą Kalifornię? - ciągnął Simon.

- Och, Simon, nie strasz mnie - powiedziała Isabelle.

- Mam tam rodzinę. A tak na marginesie, El, pokazywałam ci list dołączony do kartki od Boba i Mary Jo z San Diego?

- Eee... Tak - wydukał Elliot, zerkając na Stephanie.

- W tym roku Mary Jo sprawiła sobie nowe cycki - szepnął.

- A Bob kupił nowe kombi.

Stephanie się uśmiechnęła. Nadal nie mogła uwierzyć, że jej brat naprawdę zna takich ludzi, a już zupełnie nie pojmowała, że może się z nimi zadawać.

-Szczęściarze - powiedziała. - Wiesz co, ten dom to istne zagrożenie dla zdrowia. Powinieneś zobaczyć, co znalazłam w lodówce. Myślisz, że tata jakoś tu sobie radzi?

- Nic mu nie jest. Przestań się martwić - odparł Elliot.

- Jak myślisz, Natasho, co przyniesie ci wieczorem Gwiazdka? - powiedziała Isabelle, wytrzeszczając oczy i przyjmując rolę prezenterki z dziecięcej telewizji.

Nat, która siedziała na końcu stołu i rysowała, wyraźnie się jej bała. Zerknęła na Stephanie w poszukiwaniu wsparcia.

- No, dalej, kochanie, powiedz cioci Isabelle.

- Rower.

- Rower? - Isabelle posłała Stephanie porozumiewawczy uśmiech. - A jaki?

- No, niezupełnie. Już o tym rozmawialiśmy - zaczęła Stephanie, zamykając lodówkę. - Gwiazdce nie uda się chyba przynieść roweru aż na wyspę, ponieważ...

- Różowy. Taki, jak ma Barbie - ciągnęła Nat.

- Och, Gwiazdka zawsze przynosi śliczne rowery - powiedział Elliot. - Pamiętasz, ten, który przyniosła Taylor na święta w Londynie?

- O, tak. - Isabelle z zadowoleniem uśmiechnęła się do Elliota. - Był taki wspaniały. Cały w kokardkach i błyszczących balonikach. Może ty też taki dostaniesz, Nat.

- Cóż, kochanie, nie rób sobie zbyt wielkich nadziei - powiedziała Stephanie, gładząc Nat po główce. - I pomyśl o wszystkich pozostałych fajnych prezentach, jakie możesz dostać. - Podeszła do stojącego w drzwiach Elliota. - Wielkie dzięki - mruknęła.

- Co ja takiego powiedziałem?

-Może powinienes być wyjaśnić Nat różnicę pomiędzy Gwiazdką, która przychodzi do Chelsea w furgonetce firmy kurierskiej, a tą, która przeprowia się przez morze na daleką wyspę, obładowana wielkim bagażem. Nie ma czegoś takiego jak cholerne rowery Barbie.

-Aha. Przepraszam - powiedział Elliot, ale Stephanie wcale nie dostrzegła w tym skruchy. Patrzył ponad jej ramieniem, na jakiś punkt za jej plecami. - Oho!

- O co chodzi?

- No i mamy bożonarodzeniowy placek.

Stephanie odwróciła się i zobaczyła, że Rufus wypróżnił się na samym środku podłogi.

-Bardzo zabawne - powiedziała Stephanie, lecz nie mogła powstrzymać szerokiego uśmiechu. - Może powinienes na tym położyć gałązkę ostrokrzewu - zasugerowała.

- I kilka jagódek.

- O, mój Boże! O, mój Boże, Rufus! - pisnęła Isabelle, zrywając się na równe nogi, gdy pies wyprostował się z przysiadu. - To ohydne! Och. Zaraz zwymiotuję. Dzieci, odsuńcie się. Odsuńcie się.

- To ty namawiałeś Nat do karmienia go czekoladą... - powiedziała Stephanie do Elliota, unosząc brwi.

- O nie, Stephanie, nie - zaprzeczył, wycofując się. - Nie mogę. Będziesz musiała...

- Nie ma mowy - powiedziała. - To twój pies.

- Wcale nie. Jest tylko spokrewniony z moim dawnym psem. To wcale nie oznacza, że...

- Znasz zasady. Każdy sprząta własne gówno. Do zobaczenia - powiedziała.

- Dam ci dwadzieścia funciaków - zawołał za nią. - Pięćdziesiąt?

Jednak Stephanie zniknęła mu z oczu z szelmowskim uśmieszkiem na twarzy. Konieczność uporania się z odrobiną gówna z pewnością wyjdzie na zdrowie jej nazbyt uprzywilejowanemu braciszкови.

Kiedy Stephanie szukała ojca, natknęła się na Davida, który wypakowywał prezenty z wielkiej podróźnej torby na stół w jadalni. Obracał każdy z nich, jakby wprawiały go w stan kompletnego zdumienia. Tani śliski papier, który Stephanie wybrała na całodobowej stacji benzynowej dwa wieczory temu, wyglądał żenująco nędźnie obok gustownego, grubego papieru w kremowym kolorze ze złotymi motywami, którym Isabelle owinęła swoje prezenty.

- Zamierzam zrobić to sama - powiedziała Stephanie. Chciała sprawdzić, czy wszystkie prezenty dotarły w nienaruszonym stanie.

- Co to takiego? - zapytał David, zaglądając do reklamówki pełnej małych prezencików.

Stephanie wyrwała mu reklamówkę i schowała ją z powrotem do torby. - To prezenty do dziecięcych skarpet.

- No cóż, chyba nic mi o nich nie wspominałaś, prawda? Nie, pomyślała. I tak nie miałbyś o tym bladego pojęcia.

- Nat chce dostać pod choinkę rower - poinformowała go Stephanie, postanawiając, że nie dopuści do kłótni. - Jak sobie z tym poradzimy?

- Wcale się tym nie przejmie. Wiesz, jakie są dzieciaki w święta. Otacza je tyle prezentów, że nawet nie wiedzą, które należą do nich, a już z pewnością nie mają czasu na martwienie się tym, że czegoś nie dostały.

- Ona się przejmie - powiedziała Stephanie, zła na ogarniające ją poczucie niższości. Pokłócili się o prezenty już przed wyjazdem z domu, kiedy David nagle oznajmił, że zrobił dla dzieci niespodzianki. Stephanie już kupiła prezenty, ale on powiedział, żeby nie była taka apodyktyczna. Że jeśli on ma ochotę kupić

dotatkowe prezenty, może to zrobić. A teraz, po tym wszystkim, udawał, że dzieci i tak nie zwrócą na to uwagi.

Kiedy zapięła torbę, zapadło krótkie milczenie.

- Masz prezent dla Isabelle i Elliota? - zapytał David.

- Oczywiście, że tak.

- Co to takiego?

Dlaczego musi dowiedzieć się już teraz, pomyślała, poirytowana, że David domaga się, aby zagłębiła się w ogrom Informacji, które zaprzętały jej umysł przez cały przedświąteczny okres.

Wydała z siebie westchnienie frustracji.

- To tamten - powiedziała, wskazując pudełko leżące na końcu stołu. Patrzyła, jak David do niego podchodzi, lecz jakimś cudem, gdy tylko je podniósł, wyslizgnęło mu się z dłoni. Upadło obok kominka.

- David! Na miłość boską!

- Uspokój się - powiedział, podnosząc pudełko. - Nic się nie stało.

- Hmm... owszem, David, stało się - powiedziała Stephanie, wrywając mu z rąk pudełko i potrząsając nim. Ze środka wydobył się niedwuznaczny dźwięk potłuczonego szkła.

Zobaczyła, że jego policzki oblewają się rumieńcem, lecz wcale nie przeprosił.

- Co tam u diabła było? - zapytał.

- Szklaneczki do brandy ze rżniętego szkła.

- Ze rżniętego szkła? No i czego się spodziewałaś? - powiedział, jak gdyby zniszczenia powstały z jej winy. - Pewnie były już potłuczone po podróży łodzią. Jeszcze zanim je upuściłem.

Jakie to typowe, że natychmiast wykręca się od jakiegokolwiek odpowiedzialności, pomyślała Stephanie.



- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to był raczej głupi prezent - stwierdził.

Miała ochotę go poinformować, że to wcale nie był „raczej głupi prezent”. Chciała mu powiedzieć, że kupiła te szklaneczki dlatego, że byłyby raczej fajnym prezentem, biorąc pod uwagę fakt, iż Elliot ma zamiłowanie do brandy, a Isabelle kolekcjonuje właśnie taką linię szkła i byłaby nimi zachwycona. Ale patrząc na Davida, Stephanie postanowiła nie zadawać sobie tego trudu. Zamiast tego rzuciła pudełko na stół i ścisnęła skronie. Nie może stracić nad sobą kontroli, pomyślała, choć poczuła duszący lęk. Nie może dopuścić do tego, aby ta rozmowa przerodziła się w prawdziwą kłótnię, ponieważ nie wiedziała, kiedy nastąpiłby koniec, gdyby do tego doszło. David położył dłonie na jej biodrach.

- No więc co teraz zrobimy? - zapytał. - Tylko to im kupiłaś?

- Co masz na myśli, mówiąc „tylko to”? Te szklaneczki kosztują fortunę.

- Ale dwie szklaneczki... to niezbyt wiele, prawda? Nie wygląda zbyt imponująco.

Stephanie wlepiła w niego wzrok. Czyżby ich szlachetność była teraz mierzona wielkością przestrzeni, jaką zajmuje pod choinką świąteczny prezent? Co było jego zdaniem wystarczająco duże? Zestaw kijów golfowych? Walizki opatrzone monogramem?

- W takim razie będziemy musieli dać im prezent, który miał być od dzieci - powiedziała Stephanie.

- A co to takiego?

- Nie wiem. *Potpourri* czy coś w tym stylu. Leży tam. - Wskazała stertę pod choinką, odrywając plakietkę z pudełka z potłuczonym szkłem.

- *Potpourri*? - W jego głosie pobrzmiwało przerażenie.

- To ładne i modne naczynie ze szkła. Będzie pasowało do ich salonu.

David pogrzebał w stercie prezentów i je wyciągnął.

- Nie możemy dać im tylko tego - powiedział. - To zbyt skromne.

Stephanie wpatrywała się w jego twarz. Nie musieliby tego robić, gdyby nie rozbił szklanek. W końcu była to wyłącznie jego wina.

- A poza tym - ciągnął - zawsze wyśmiewałaś się z takich rzeczy, mówiąc, jak bardzo są nieprzydatne. Daj spokój... *potpourri*? To niezbyt fajny prezent. Nie dla bliskiej rodziny.

Stephanie cmoknęła językiem, zastanawiając się, od czego zacząć. Czy on kiedykolwiek próbował kupić prezenty dla całej rodziny za tak niewielkie pieniądze, włokąc się po sklepach po ciężkim dniu pracy, pocąc się w tłumie porzytowanych ludzi i łamiąc sobie głowę nad tym, co można by kupić na prezent od dzieci? Czy on dorobił się silnej migreny od głębokiego rozgoryczenia i niezdecydowania wzmaganego presją czasu? I czy to o n, po wystaniu się w gigantycznej kolejce i zapłaceniu za to cholerstwo pieniędzmi przeznaczonymi na fryzjera, włókł tę miskę pośród marznącej mżawki do samochodu, gdzie wszystkie pozostałe zakupy przesiąkły jej mdlącym zapachem.

Nie, chyba raczej nie miai okazji.

A skoro już o tym mowa, to czy David męczył się aż do północy, próbując usunąć superklejące pozostałości po nalepce z ceną przed zapakowaniem tego paskudztwa?

Mmm... Nie.

I czy to o n skomponował pełen miłości liścik i podpisał go imionami dzieci, jak gdyby prezent był beztroskim i figlarnym dowodem ich oddania?

Nie, do cholery, nie zrobił tego. Więc jak śmie oskarżać ją o kupienie okropnego prezentu?

- Przykro mi, że patrzysz na to w ten sposób, David - powiedziała opanowanym tonem - ale myślę, że w tych okolicznościach nie mamy innego wyboru.

David wydał z siebie westchnienie, które bardziej przypominało burknięcie niezadowolenia. - Zamierzasz zachowywać się tak przez całe święta? - zapytał.

- Czyli jak?

- Mówić do mnie tym tonem? Kłócić się z każdym moim słowem?

- Sam zacząłeś.

- Nie. Po prostu zapytałem, czy masz prezent dla Isabelle i Elliota.

Stephanie rzuciła mu wściekłe spojrzenie. - Tak. Miałam. Bardzo ładny prezent.

- W porządku. Postaw na swoim - powiedział David, wyrzucając ręce w górę. - Zawsze narzekasz, że ci nie pomagam, ale chyba lepiej nie wchodzić ci w drogę. Idę pobawić się z dziećmi.

Stephanie zapukała do drzwi znajdującej się na poddaszu pracowni ojca i weszła do środka. Gerald siedział na niskim drewnianym taborecie przed sztalugami ustawionymi obok wielkiego kwadratowego okna z podwójną szybą, które wychodziło na podwórze za domem. Pomimo szalejącej za oknem śnieżycy panował tam spokój. Pamiętała, że dawniej, gdy ich rodzice kupili ten dom, bawiła się na tym strychu z Elliotem. W tamtych czasach było tu mnóstwo kurzu i pudeł, a okna zasłaniały różne przedmioty, lecz teraz na ścianie obwieszanej zdjęciami świeciły jasne lampki. Wszystkie zdjęcia przedstawiały to samo - cypel i starą kopalnię cyny, która górowała nad Piekielną Zatoką.

- A więc tu się ukrywasz - powiedziała, znajdując przejście pomiędzy piętrzącymi się płótnami i stosami książek, których nie ułożono jeszcze w bibliotekach pod ścianami.

Z kilku niskich krzeseł obitych fioletowym aksamitem, które dawniej stały w holu ich rodzinnego domu, ustawiono chybotliwą konstrukcję. Na bogato zdobionym mahoniowym stole, który też rozpoznała, piętrzyły się gazety, buteleczki

z farbą i brudne kubki po herbacie. Poczwała ulgę, gdy zobaczyła, że - sądząc po rupieciach i kurzu - Isabelle i jej robocze rękawice jeszcze tu nie dotarły.

Cieszę się, że wszyscy jesteśmy bezpieczni w domu - powiedział Gerald, nie odwracając się w jej stronę. Zauważyła jego palce u nóg, wystające z dziurawych skarpet. Grzały się przy kaloryferze. - Popatrz, co tam się dzieje. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Miał rację. Za oknem była tylko sadz. Płatki śniegu uderzały w okno, gromadząc się w rogach.

- Jak radzą sobie wszyscy na dole? - zapytał.

- W porządku. Rufus narobił sobie wstydu, ale to zmartwienie Elliota.

Stephanie stanęła za ojcem i delikatnie pomasowała jego ramiona przez zielony wełniany sweter. Miło było znaleźć się z dala od nich wszystkich, mieć wreszcie chwilę spokoju. Patrzyła, jak spadają wirujące płatki, szybkie i oszalałym niczym śnieg na ekranie telewizora. Czytała gdzieś, że pod szkłem powiększającym dwa płatki śniegu nigdy nie wyglądają tak samo. Każdy z nich ma niepowtarzalną strukturę. Kiedy topnieją, świat traci je na zawsze.

- Niezbyt udany, prawda? - powiedział po chwili ojciec, mierząc obraz krytycznym spojrzeniem zza okularów osadzonych na czubku nosa. Następnie spojrział na zdjęcia, wskazując widok pędzlem. - Chciałem go skończyć na czas i podarować Elliotowi i Isabelle pod choinkę, ale nadal nie mogę uchwycić proporcji tego przeklętego cypla.

- Jest lepiej niż poprzednio - odparła, spoglądając na obraz i jego rozedrgane akwarelowe linie. Doskonale znała tę scenę, lecz jej ojcu nigdy nie znudziło się ciągle malowanie tego samego pejzażu. To tam zawsze piknikowali i spacerowali jej rodzice.

Gerald wyciągnął pędzel i domalował małą zieloną plamkę.

-Hej, mam dla ciebie te pigułki - powiedziała Stephanie, po czym podeszła bliżej i położyła na sztalugach małą fiolkę przywiezioną od lekarza z przychodni. Już od jakiegoś czasu martwił ją jego artretyzm.

RS

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nie złamałaś żadnych przepisów?

- Nagięłam je. Ale tylko dla ciebie. Jest gorzej niż dawniej?

- Nie jest źle. Przy takiej pogodzie artretyzm daje się we znaki, ale jakoś sobie radzę.

- Wiesz, martwię się, że jesteś tu zupełnie sam, tato. Dziwnie się czuję, przyjeżdżając tu na święta. - Stephanie spojrzała za okno i zadrżała. - To miejsce wydaje się teraz bardziej odległe niż kiedykolwiek przedtem.

Ojciec westchnął, wyciągnął rękę i położył ją na dłoni córki, która spoczywała mu na ramieniu. Jak na siedemdziesięcioletka miał zaskakująco mało zmarszczek, lecz zauważyła opuchliznę w miejscach, gdzie artretyzm zaczął wykręcać mu stawy.

- W takim razie przestań. Nie musisz się o mnie martwić. Nic mi nie jest.

Stephanie wiedziała, że to prawda. Rzeczywiście nic mu nie było. Nawet więcej. Zdawał się posiadać jakąś wewnętrzną siłę i spokój, którego jej nigdy nie udało się odnaleźć. Poza tym wyglądał na całkowicie odprężonego, kiedy robił to, co chciał i kiedy chciał, nawet w domu pełnym członków własnej rodziny. Nagle zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od wielu miesięcy ma okazję porozmawiać z nim w cztery oczy.

- Po prostu myślałam, że po śmierci mamy będziesz bliżej nas - powiedziała. Nadal nie chciała dać za wygraną w wiecznym sporze, który bezustannie toczyła z nim przez telefon.

- I każde z was marzy o tym, żeby się mną zaopiekować?

- Właśnie! - odparła. - Właśnie tak.

- Nie potrzebuję tego - powiedział. - Nie, kiedy jestem sprawny i zdrowy. Macie własne życie. Własne rodziny.

- Ale ty jesteś tutaj taki samotny.

- Lubię samotność. Całe życie otaczali mnie ludzie.

- Ale jesteś tak daleko od nas. - Stephanie nie potrafiła stłumić nuty żalu. Zastanawiała się, czy czułaby się mniej samotna, gdyby ojciec zamieszkał bliżej niej. Jego obecność zawsze dawała jej poczucie więzi z osobą, którą była, zanim jej życie tak bardzo się skomplikowało.

- Wiem, ale teraz jesteście tu ze mną.

Stephanie nie chciała się kłócić. Rozumiała, że ojciec wie, jak bardzo go kocha i że zawsze będzie go odwiedzać, nawet jeśli oznaczało to przeprawę przez wodę, czego - jak doskonale wiedział - nie znosiła.

- Twoja matka zawsze żartowała, że nasze wspólne życie rozpoczęło się w Londynie i co dziesięć lat przenosiliśmy się o kilkaset mil dalej, ale to moja ostatnia placówka. Kiedy umrę, możecie rozrzucić moje prochy nad Piekielną Zatoką. - Skinął na pejzaż za oknem.

- Och, tato. - Stephanie ścisnęła jego ramiona. - Proszę, powstrzymaj się od tych makabrycznych komentarzy.

Ojciec zachichotał. - Jeszcze nie wybieram się na drugą stronę. Zdziwiłabyś się. W starych gnatach nadal drzemie życie.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała, zajmując się zbieraniem ze stołu brudnych kubków. - W każdym razie lepiej pospiesz się z tym malowaniem. Isabelle mówi, że lunch będzie gotowy około trzeciej.

- Czym w takim razie były te wszystkie kielbaski i jajka, które zjedliśmy dwie godziny temu? Czy nie moglibyśmy zjeść później wczesnej kolacji?

- Nie, Gerry - powiedziała Stephanie, naśladowując amerykański akcent Isabelle. - Czegoś takiego nie ma w świątecznym harmonogramie.

- Dobrze już, dobrze.

- No cóż, mówię serio - powiedziała Stephanie.

Ojciec zdjął okulary i obrócił się na taborecie, żeby na nią spojrzeć. - Wiem, że ona działa ci na nerwy, ale stara się, jak może.

- Ale...

- Nie chcę tu żadnych kłótni, dobrze? W czasie świąt Bożego Narodzenia wszyscy jesteście tu mile widziani i pragnę, żeby ten czas był przyjemny.

- Ale ona tak się tu rządzi. - Już kiedy te słowa wyszły z jej ust, Stephanie wiedziała, że brzmią jak skarga dziecka.

- Możliwe, lecz Isabelle kocha Elliota, a on kocha ją, i tylko to się liczy. Jest dobra dla niego i dla całej rodziny. Wczoraj wieczorem wychodziła z siebie, żeby wszystko dla was przygotować.

- Wiem, wiem. Ojciec zdjął okulary.

- Wszystko w porządku, skarbie? - zapytał. - Mam wrażenie, że jesteś trochę smutna. Wszystko gra między tobą a Davidem?

Stephanie pokiwała głową, nienawidząc się za to kłamstwo, lecz nie umiała powiedzieć ojcu, jak się czuje. Uśmiechnęła się radośnie, unikając jego poważnego spojrzenia. Nie miała zamiaru zepsuć ojcu świąt, dzieląc z nim swoją gorczyz.

- Wszystko w porządku. Po prostu mamy za sobą długą podróż. To wszystko. Nie czuję jeszcze świątecznego klimatu.

- I tęsknisz za Paulem.

Odwróciła się, ściskając w dłoniach kubki. - Tak - powiedziała, a wychodząc na korytarz, poczuła nagły przypływ ogromnego zmęczenia.



## Rozdział dziewiąty

Ben strzepnął śnieg, który zgromadził się na jego odsłoniętym karku, między czapką a postawionym kołnierzem kurtki. Gwałtowny lodowaty wiatr kłuł go w twarz, wyciskając z oczu łzy. Hałas wydawany przez jego podmuchy był niesamowity. Ben czuł się jak człowiek uwięziony w samochodzie, w którym nastawione na szum radio gra na pełny regulator.

Kucał na zniszczonym betonowym podjeździe przed rybacką chatą, próbując naprawić przyczepny silnik łodzi. Obok leżała mała skrzynka z narzędziami, lecz zębaki, klucze nastawne i śrubokręty na nic się nie przydały.

Silnik był roztrzaskany i aby go naprawić, potrzebny był ktoś ze znacznie szerszą wiedzą na temat mechaniki niż Ben. Po tym, jak wlekli łódź po plaży, kadłub również wyglądał na zniszczony, ale nie potrafił stwierdzić, czy rzeczywiście został przedziurawiony, bo nie miał siły, żeby podnieść łódź i dokładnie mu się przyjrzeć.

Wstał i kopnął go ze złością.

- Kupa gówna - powiedział, jak gdyby mogło to cokolwiek zmienić.

Oznaczenia po bokach łodzi były wyblakłe niczym koszulka wyprana zbyt wiele razy w ciągu zbyt wielu lat. W przyszłym sezonie trzeba ją będzie wymienić, pomyślał Ben, pocieszając się tym, że przynajmniej nie zniszczył nowiuteńkiej łodzi. Mimo to mógł oszczędzić ojcu tego wydatku, ale pomyślał, że i to ma swoje dobre strony, ponieważ teraz będzie mógł sam zapłacić za zakup nowej łodzi, nie urażając ojcowskiej dumy.

Ben odłożył wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pozwolić sobie na taki wydatek, a nawet jeszcze więcej. Nie miał żadnego rodzeństwa ani dzieci, na które

mógłby wydawać oszczędności -jedynie siebie samego i rodziców. W przeciwieństwie do wielu przyjaciół i rówieśników oraz ludzi, z którymi pracował lub chodził do college'u. Oni rozmawiali teraz o swoich planach prokreacyjnych, związanych z nimi komplikacjach oraz o słodkich rzeczach, które powiedziały lub zrobiły ich dzieci. Czasami ci ludzie zapraszali Bena na drinka albo na imprezy i sadzali go obok swoich równie zażenowanych przyjaciółek, obserwując ich jak dwa przedmioty wystawione na eBayu, których czas aukcji się kończy, choć nikt nie rozpoczął licytacji. A w weekendy niepewnie pytał ich starsze pocięchy, czego uczą się w szkole, niezdarnie dociekał, jakie zespoły uważają za najbardziej „obciachowe” albo „wyczesane”, bądź też niezręcznie trzymał na rękach niemowlęta i starał się nie jęczeć, kiedy haftowały organiczną papką i ciapką z marchewki na jego nową kurtkę DKNY.

Ben zawsze sądził, że w tym wieku sam będzie ojcem i że zimne przedświąteczne wieczory spędzi na kupowaniu prezentów dla własnych dzieci, a potem do późna w nocy będzie składał tory nowej elektrycznej kolejki albo trampolinę, żeby mogły odkryć je rano z wytrzeszczonymi w zachwycie oczami.

Tak się złożyło, że było zupełnie inaczej, i zamiast tego miał spędzić święta Bożego Narodzenia z mamą i tatą, dokładnie tak samo, jak wtedy kiedy sam był małym chłopcem.

O ile zdoła wydostać się razem z Kellie z tej plaży, przypomniał sobie, spoglądając w górę na pochmurne białe niebo.

Zdętwiały mu palce i rozbolały go skronie. Wiedział, że jeśli zostanie tu dłużej, sytuacja się pogorszy. Spojrzał na plażę, która teraz zrobiła się niemal zupełnie biała od śniegu, a potem z powrotem na morze. Wiatr przybrał na sile. Foki leżały na szarych głazach, rozwalone niczym czarne wodne halony. Po zatoce gnaty fale. Nawet gdyby naprawił silnik, nie zaryzykowałby wypłynięcia w takich warunkach. Z pewnością poniósłby ich wiatr.

Wetknął radio do komunikacji z łądem z powrotem pod czerwoną plandekę. Jak się okazało, ono również było do kilu, co stwierdził zaledwie kilka minut wcześniej. Nie odbierało żadnych sygnałów i jedyne, co udało mu się z niego wydusić, to kilka zdań z dokumentalnej audycji BBC na temat trudnej sytuacji fauny i flory w Fenland<sup>\*8</sup> - fakty, bez których mógłby się bez trudu obyć.

Rozejrzał się wokół i dokonał bilansu. Tak, dziwnie było tu tkwić, gdy zaledwie kilka godzin temu miał w perspektywie jedynie powrót do Fleet Town, szybkie piwko z Mickiem w pubie, a potem trochę telewizji i kolacyjkę w towarzystwie mamy i taty.

Ben wiedział, że powinien być zły, zły na siebie, na swojego pecha. Powinien skupić się wyłącznie na wydostaniu ich stąd. Kiedy jednak wiatr po raz kolejny szarpnął plandekę, jego zasepioną twarz rozjaśnił lekki uśmiech. To dlatego, że w oddalonej o zaledwie pół metra chacie siedziała ona, Kellie.

Zamiast wściekać się na pecha, przez którego tu utkwiał, cieszył się, że może spędzić ten czas w jej towarzystwie. Nie wierzył w przeznaczenie, nie był nawet religijny, lecz ponownie zaczął wierzyć w chemię, która może zadziałać między dwojgiem ludzi, w przyciąganie, mogące się wytworzyć w mgnieniu oka. Wiedział już, że gdyby poznał Kellie w jakimś innym miejscu, w barze, w pociągu, a nawet na rogu ulicy, i byłby w tak optymistycznym nastroju, w jakim znajdował się dziś rano, zagadnąłby ją, zaprosiłby na randkę.

- Jezu, widok za oknem przypomina scenę z *Pojutrze* - powiedziała, kiedy wszedł do chaty i z wysiłkiem zamknął za sobą drzwi.

Wnętrze było lekko zasnute dymem, a Kellie siedziała na skrzypiącej ławce przed ogniskiem, które udało się rozpalić Benowi na kamiennej podłodze w rogu.

---

<sup>8</sup> „Kraj Wiatraków” leżący w Cambridgeshire.

Wąska smużka dymu unosiła się nad pozostałościami ogniska i ulatywała przez otwór w dachu, który Ben wybił końcem wiosła.

- Jest coraz gorzej - oznajmił. - To wszystko zaczyna przypominać początek Apokalipsy. Ciągłe czekałem, aż Czterej Jeźdźcy przygalopują plażą, żeby nas stąd zabrać.

- Nie miałabym nic przeciwko temu. Chyba wszędzie jest bardziej przytulnie niż tutaj - powiedziała.

- Mów za siebie. Ja nie cierpię koni. Mają za dużo zębów. Nie zauważyłaś? Wyglądają tak, jakby nosiły sztuczne szczęki. A widziałaś kiedyś sikającego konia. Zdumiewające. To trwa godzinami. Jak gdyby miały tam przymocowany kran podłączony do głównej magistrali...

- Ładny obrazek - powiedziała, krzywiąc się. - Dzięki.

- Zresztą - ciągnął - wątpię, czy Czterej Jeźdźcy jeżdżą jeszcze konno. Pewnie idą z duchem czasu, jak wszyscy.

- Może teraz są Czterema Motocyklistami Apokalipsy?

- Tak, właśnie, albo nawet zdecydowali się na coś bardziej praktycznego, bo, spójrzmy prawdzie w oczy, nie są już młodzieniaszkami.

- Może jeżdżą rodzinnymi modelami volvo? - zasugerowała.

- Otóż to, ale prawdopodobnie wybrali diesla, bo muszą pokonywać dalekie trasy. W końcu Apokalipsa to raczej sprawa ogólnoświatowa.

- Możliwe, że z wiekiem złagodnieli - powiedziała. - Może nie chcą już głosić Apokalipsy.

- To prawda. Pewnie jeżdżą swoimi volwiakami do hotelów spa, na wizyty do lekarza albo odwiedzają jakiś ustronny domek w Prowansji.

Kellie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, po czym znowu je zamknęła. - Nie - powiedziała, uśmiechając się. - Chyba już wyczerpaliśmy ten temat, przynajmniej w granicach rozsądku.

W odpowiedzi posłał jej szeroki uśmiech. - Chyba tak zgodził się.

- Tymczasem, w prawdziwym świecie - powiedziała - jak ci poszło z naszym silnikiem? Poszcęściło ci się?

- Ani trochę.

- Więc jest zupełnie całkiem sprzeczony?

- Bez wątpienia.

Uśmiechnęła się do niego wyczekująco i przez chwilę widok Kellie siedzącej przy ognisku wprowadził go w zakłopotanie. Mogła być jego dobrą przyjaciółką, a nawet kochanką. Mogła być kimś, z kim wynajął na weekend śliczny wiejski domek, żeby zrelaksować się z dala od zmartwień całego świata. Mogła patrzeć na niego, czekając, aż zaproponuje jakiś miły mały pub w okolicy, w którym mogliby zjeść lunch.

Potem ta chwila minęła, a Ben poczuł ukłucie straty, które zupełnie go zaskoczyło. Nie byli przyjaciółmi ani kochankami. Ledwie się znali. I nie przyjechali tu po to, żeby się zrelaksować. Byli tu dlatego, że schrzanił sprawę.

Ognisko, które tak naprawdę trudno było nazwać ogniskiem, prawie już zgasło. Wyrzucone na brzeg drewno, które udało im się ocalić, było mokre, więc tylko zatliło się i zgasło. Jedynym suchym kawałkiem opału, jaki udało im się znaleźć, była stara drewniana skrzynka i pionowa belka, którą Ben wyrwał ze ściany na tyłach chaty. Pozostał po nich tylko żar i popiół.

- Więc co teraz zrobimy? - zapytała. Wpatrywała się w niego z absolutną ufnością, jak gdyby była to tylko kwestia czasu i za chwilę niczym magik, który wyciąga z rękawa królika, miał wyczarować jakieś właściwe rozwiązanie. Wciągnął w płuca rozgrzewający zapach dymu ze spalonego drewna i zerknął na kamizelki ratunkowe, które beczynnie leżały przy ognisku.

- Trzymaj - powiedział, grzebiąc w kieszeniach i ciesząc się, że przynajmniej jest coś, co naprawdę może wyczarować.

W jego dłoni spoczywało kilka czekoladowych batonów wyjętych ze skrzynki z zaopatrzeniem, które miał dostarczyć do przystani w Zielonej Zatoce. Wcisnął je w ręce Kellie.

- Lepiej zjedz jeden - zaproponował. Spuścił wzrok i utkwiał go w swoich palcach. - Możesz też otworzyć jeden dla mnie? Trochę rozrosły mi się palce.

Już miał zatrzeć ręce, lecz chwyciła go za prawy nadgarstek.

- Nie rób tego - powiedziała, unosząc jego dłoń, aby mógł się jej lepiej przyjrzeć.

Jeszcze raz popatrzył na swoje ręce.

- Spójrz, jak zbieleła ci skóra - rzekła. - To odmarnięcie. Jego dłonie wyglądały dziwnie, były blade i woskowate, a poza tym nadal nie miał w nich czucia, tylko tępy pulsujący ból, nawet kiedy znajdował się wewnątrz chaty.

- Odmarnięcie? - zapytał. - Niech zgadnę: czy nie myłę się, przypuszczając, że chodzi o młodszego i nieco mniej sławnego brata odmrożenia?

- Mówię poważnie - wyjaśniła. - Chodzi właśnie o coś w tym stylu, o łagodną postać odmrożenia. Nic ci nie będzie, jeśli zostawisz to w spokoju, ale pocieranie rąk tylko pogorszy sprawę. Więc nie rób tego. Ten biały kolor... to kryształki lodu uwiecznione w twojej skórze. Zniszczą tkankę, chyba że o siebie zadbasz i powstrzymasz się od pocierania rąk, dopóki nie znikną.

- Jak to możliwe, że Australijka wie takie rzeczy? - zapytał. - Niech zgadnę, masz obsesję na punkcie Google, jesteś cyberchondryczką... Twój ulubiony sposób spędzania nocy to próbowanie skojarzenia swoich objawów z różnymi potencjalnie śmiertelnymi chorobami...

- Dla twojej informacji - powiedziała - poza kancelarią w ogóle nie korzystam z internetu, ale nie krepuj się, poszukaj w Google stron związanych z Au-

stralią i śniegiem, i zobaczysz, że mamy tam śnieg. I to tak dużo, że w dzieciństwie sporo jeździłam na nartach. Zresztą jako nastolatka również, w Australii i we Francji. Po ukończeniu szkoły spędziłam nawet rok, pracując w alpejskim ośrodku.

- I dlatego wiesz, co dolega moim dłoniom...

- Tak.

- No cóż, z pewnością nie próżnowałaś - powiedział. - Narciarstwo, a do tego nurkowanie... wygląda na to, że dawniej zajmowałaś się mnóstwem rzeczy...

Nie chciał być uszczypliwy - w końcu to nie była jego sprawa - ale widząc jej minę, od razu zrozumiał, że w jakiś sposób zdołał ją urazić.

Wypuściła jego dłoń. - To było dawno temu - powiedziała.

- Dzięki za radę - odparł pospiesznie. - Będę uważał, żeby ich nie pocierać.

Na zewnątrz wył wiatr, gwałtownie przybierając na sile. Dach trzeszczał, jak gdyby w każdej chwili mógł się rozpaść i wirując unieść się w górę niczym domek Dorotki z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

- Niepokojący dźwięk - powiedziała.

- Rzeczywiście.

Podszedł do drzwi i zwolnił zasuwę. Siła wiatru prawie go odrzuciła. Do środka wdarł się śnieg, a Ben z wysiłkiem zatrzasnął drzwi.

- O co chodzi z tymi batonikami? - zapytała, rozdzierając zębami opakowanie. - Niech zgadnę: jeśli zamarzniemy tu na śmierć, to przynajmniej znajdą nas z uśmiechami na twarzach.

- Zabrałem je na wszelki wypadek - powiedział, przyłapując się na tym, że znowu wpatruje się w swoje dłonie. Jeśli już teraz przemarzł - myślał - to co będzie dalej?

- Na wypadek czego?

- Na wypadek, gdyby śnieżycy przybrała na sile.

- Co właśnie się stało.

- Racja.

Wpatrywała się w batoniki. - Niech zgadnę - powiedziała. - To czarodziej-  
skie batoniki, które zmieniają się w helikopter i nas stąd zabiorą?

- Nie.

- To miał być żart - powiedziała, podając mu batonik, a zanim ugryzła swój,  
przełamała go na pół.

- Wiem - powiedział. - Ale w pewnym sensie wcale nim nie jest.

- Co masz na myśli?

- Chyba n a p r a w d ę będziemy musieli jakoś się stąd wydostać.

Przez prowizoryczny komin nad ich głowami wpadł płatek śniegu i wirując,  
opadł na podłogę.

- Ale śnieg musi niedługo przestać padać, prawda? - zapytała.

- W prognozie przepowiadali, że kiedy już zacznie, nieprędko skończy...

- No cóż, zdążyli się już pomylić w kwestii początku śnieżycy - przypomnia-  
ła mu. - Może w takim razie popełnili błąd również w przypadku czasu jej trwa-  
nia.

Patrząc na nią, wiedział, że nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Bo i  
dlaczego miałyby być inaczej? Sam ledwie potrafił się z tym pogodzić. W końcu  
nie tak dawno temu grała rolę turystki, pstrykając zdjęcia fokom pośród grupy  
wysp słynących z nadzwyczaj łagodnego klimatu.

Kiedy jednak mówił o Apokalipsie, wcale nie żartował, ponieważ nigdy  
wcześniej nie widział takiej pogody. Teraz było jeszcze gorzej, a taka aura nie  
zmienia się z minuty na minutę. To była śnieżycą i utknęli w samym jej środku.

- Jeśli prognoza jest d o b r a - powiedział - i postanowimy zatrzymać się w tej  
chacie, a śnieg nie przestanie padać... cóż, już teraz zabrakło nam drewna, więc



będzie nam coraz zimniej... potem zapadnie zmrok. Nie wiem jak ty, ale ja nie dam nam wielkich szans, jeśli utkniemy tu na noc.

Tylna ściana chaty wyduła się niczym żagiel, kiedy uderzył w nią kolejny podmuch wiatru. Nie potrafił uwierzyć, że był aż tak głupi, aby zabrać ją na Brayner, nawet jeśli śnieg zapowiadano na później, i że okazał się na tyle szalony, by pokazać jej foki. W tej części wyspy nikt nie mieszkał, ponieważ wszystkie tereny nadające się pod budownictwo wykorzystano z myślą o starej kopalni. Nawet jeśli rodzice Bena zaczną się martwić i podniosą alarm, nigdy nie wpadną na to, żeby szukać ich tutaj. A kiedy to zrobią, będzie już za późno.

- Zatem co proponujesz? - zapytała.

Bezwiednie dotknął kieszeni w poszukiwaniu paczki papierosów, której tam nie było. Papieros uspokoiłby jego nerwy, dałby mu czas na zastanowienie, zanim nadejdzie chwila, w której miał zrobić to, co było nieuniknione.

- Będziemy musieli stąd wyjść - powiedział, podejmując decyzję, której miał nadzieję uniknąć. - Im wcześniej to zrobimy, tym lepiej. Właśnie po to jest czekolada, żeby dać nam siłę na wdrapanie się na klif i przedostanie się na drugą stronę wyspy.

Wpatrywała się w jego dłonie. Po raz pierwszy ujrzał na jej twarzy strach. - Do przystani w Zielonej Zatoce?

- Tak. Tam są najbliższe domy.

Na chwilę zamilkła, po czym zapytała: - Czy właśnie tam mieszkają ludzie, których przewoziłeś dziś rano?

Czy wspominał jej o wcześniejszej podróży? Nie mógł sobie przypomnieć.

- Nie, oni mieszkają ponad kilometr za wioską. Dlaczego pytasz? - zapytał, ponieważ nagle zaświtała mu pewna myśl. - Znasz ich?

- Nie. Ja... - Zawahała się. - Po prostu myślałam, że skoro nie mieszkają w wiosce, ich dom może być bliżej.

- I rzeczywiście jest - powiedział Ben. - Ale nie ma tam innych zabudowań, a śnieżycy zmienia się w sadź. Przystań Zielonej Zatoki stanowi znacznie większy cel. Myślę, że powinniśmy skierować się w jej stronę.

RS

- W takim razie zgoda.

Miai wrażenie, że nagle poczuła ulgę. Prawdopodobnie dlatego, pomyślał, że podjęli decyzję. Cieszył się, że nie stawia oporu. Im bardziej będą ze sobą współpracować, tym szybciej się stąd wydostaną.

- Chyba nie powinniśmy tracić czasu - powiedziała, po czym wstała i wcisnęła baseballówkę głęboko na czoło. Włożyła kaptur.

Wgryzł się w batonik, który zrobił się już tak zimny, że ledwie czuł jego smak. Zmusił się do jedzenia, żując woskowate kęsy.

- Ile czasu zajmie nam ta przeprawa? - zapytała.

- W normalnych warunkach? Najwyżej pół godziny. Ale w tych okolicznościach... kto wie? Za chatą ciągnie się ścieżka, która prowadzi w górę klifów. Potem będziemy musieli okrążyć Solące Hill. Albo przejść górą, zależnie od pogody. Jest stromo, więc trzeba uważać, ale powinno się udać.

- Tylko powinno?

- U d a się - powiedział. Potrafi ich z tego wyciągnąć i zrobi to. Zmusił się do czegoś, co miało być radosnym uśmiechem, ale wyszło fatalnie, krzywo i sztucznie. - Jeśli chcesz, mogę pójść sam - ciągnął - znaleźć pomoc i wrócić po ciebie.

- Nie - odparła. - W ten sposób narazimy na niebezpieczeństwo więcej ludzi. Idę z tobą. Masz rację. Nie ma sensu tkwić tu bez ruchu i czekać, aż zamarznemy. Poczekaj - powiedziała, kiedy szykował się do otwarcia drzwi. - Daj mi rękę. Martwię się o twoje dłonie.

Zanim zdołał ją powstrzymać, odwiązała szalik, zaczepiła go o tkwiący w ścianie gwóźdź i zaczęła drzeć go na paski.

- A ty? - zapytał.

- Poradzę sobie.

Znowu zaczął się zastanawiać, co taka kobieta robi tu sama w święta Bożego Narodzenia. Jego myśli ponownie poszybowały w stronę tamtego wymyślnego wiejskiego domku, tego, który wyobraził sobie po powrocie do chaty.

Pomimo okoliczności i wiedzy, że Kellie wolałaby pewnie być teraz gdzieś indziej, cieszył się, że są tutaj razem.

- Bardzo dzielnie do tego podchodzisz - stwierdził. Obwiązała jego dłonie kilkoma paskami i zabrała się za

owijanie własnych tym, co pozostało z szalika. - Chyba nie mam wielkiego wyboru. No, dalej - powiedziała. - Chodźmy.

Pomimo zagrożenia tkwiące w Benie dziecko uradowało się na myśl o tym wyzwaniu, gdy wyciągnął rękę, aby otworzyć drzwi. Jednak natychmiast stało się jasne, że mogą w ogóle nie dotrzeć do wioski.

Gdy tylko zdjął zasuwę, zadał w nich wiatr, który z impetem otworzył drzwi na oścież, uderzając nimi o wewnętrzną ścianę chaty. Kellie krzyknęła zdumiona, a Ben poczuł, jak wzbiera w nim strach.

To nie była zabawa. Wchodzili w sam środek zamieci. Ben prawie zgiął się w pół, z trudem wyszedł na zewnątrz i pociągnął za sobą Kellie.

- Jezu Chryste, Ben! - krzyknęła.

Przyciągnął ją do siebie. - Jesteś pewna, że chcesz iść ze mną? - zawołał.

Wyglądała na przerażoną, lecz mimo to odkrzyknęła: - Tak.

Ben spojrział w stronę plaży, lecz widoczność była jeszcze gorsza niż wtedy, kiedy był na zewnątrz i próbował naprawić silnik. Śnieg sypał teraz tak gęsto i szybko, że nie widział morza. Osłonił oczy, lecz gdy spojrział w górę, nie dostrzegł szczytu klifu otaczającego zatokę, chociaż znajdował się nie więcej niż

trzydzieści metrów nad nimi. Śnieg tańczył mu przed oczami, przyprawiając o zawrót głowy.

Parł głową pod wiatr. Był tutaj kiedyś jako dziecko. Ścieżka była porządna, twarda i znał drogę. Wyciągnie ich stąd.

Zaczynała się za chatą i wiła zygzakiem w górę, przecinając kolcolisty i skały. Jednak po pięciu metrach zginęła w śniegu.

Kellie chwyciła się Bena i krzyknęła mu do ucha: - Myślisz o tym poważnie? Przytulił ją mocniej.

- Idź pierwsza - powiedział. - Jeśli się poślizgniesz, złapię cię.

- A co będzie, jeśli ty się poślizgniesz? - odkrzyknęła. Jej oczy były wytrzeszczone z przerażenia. Jej nos otarł się o jego.

- Nie poślizgnę się. Staraj się trzymać jak najbliżej ziemi. Schylaj się przed wiatrem.

Rozdzielili się i Kellie ruszyła w górę. Ben poszedł za nią. Z każdym metrem wiatr stawał się silniejszy. Już wkrótce jego podmuchy przypominały uderzenia pięści i stwarzały niebezpieczeństwo, że powalą ich na ziemię albo zepchną w dół, a oni poturlają się po stoku i spadną na rozciągające się w dole skały.

Ben tylko raz popełnił ten błąd i odwrócił się za siebie. Chociaż śnieg przysłaniał urwisko, widok, jaki rozciągał się w dole sprawił, że poczuł skurcz żołądka. Wyobraził sobie, że obydwójce spadają i ujrzał krew na skałach. Nie znajdują ich przez wiele dni.

Utkwił wzrok w Kellie, która kołysząc się na boki, brnęła do przodu, stawiając jeden mozolny krok za drugim na mokrych kamieniach, śliskim błocie i śniegu. Z każdym krokiem myślał, że upadnie albo że zawiodą ją drogie buty, lecz nic takiego się nie stało. Szła dalej. Zbliżali się do szczytu klifu. Jeszcze dwie minuty i będą bezpieczni.

Właśnie wtedy się poślizgnęła. Jej kurtka wydeła się niczym żagiel na wietrze, gdy wyjący podmuch powietrza uderzył w górę, unosząc ją jak kawał drewna na fali. Krzyknęła, osuwając się na Bena i przez chwilę myślał, że już po niej.

Usłyszał jej krzyk.

Jakimś cudem udało mu się złapać ją za kurtkę i nie wypuścić. Przechylił się do tyłu, jak gdyby sam miał się przewrócić. Wtedy wiatr na chwilę ustał i w tej sekundzie spokoju Ben zdołał podciągnąć Kellie w górę. Przywarła do niego, jak gdyby był jakimś drzewem, jak gdyby do stoku przytwierdzały go korzenie, uniemożliwiając mu upadek. I nagle właśnie tak się poczuł. Nie upadnie, nie z nią w ramionach. Próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni trzymał kogoś tak mocno, ale to było jak ściganie pijackich wspomnień. Powoli opadli na kolana i przykucnęli obok siebie, odzyskując równowagę.

Przycisnęła twarz do jego twarzy. Wpatrywał się w jej oczy. - Nic ci nie jest? - krzyknęła.

- Musimy iść dalej - powiedział.

Pokiwała głową i puściła go. Ponownie wstali i zaczęli brnąć w wietrze dalej pod górę.

Dopiero kiedy dotarli na szczyt ścieżki i teren zrobił się bardziej płaski, Ben zauważył, jak szybko bije mu serce. Usłyszał również swój oddech, szybki i płytki, szybki i płytki, niczym tłok lokomotywy parowej pędzącej po torach. Kellie, ledwo trzymając się na nogach, oddaliła się od krawędzi klifu i ruszyła w głąb łądu, w stronę gęstej kępy jodeł. Objął ją ramieniem i jeszcze raz uklękli.

- Dzięki - krzyknęła mu do ucha, gdy odzyskała oddech. - Za uratowanie życia. - Jej twarz była czerwona jak burak.

- Gdyby nie ja - powiedział - nie znalazłabyś się w niebezpieczeństwie.

Zerknęła przez ramię. - Strasznie zmarzłam, ale udało się nam! - Widział, jak jej osłonięte kapturem oczy błyszczą z radości i z dumy.

Krzyknął: - Chodźmy!

Instynktownie wzięli się za ręce, wstali i zaczęli iść w głąb łądu.

Minęło pięć minut, potem piętnaście i jeszcze więcej, a ich nadal otaczał tylko śnieg. Widoczność zrobiła się taka kiepska, że ze śniegu bez ostrzeżenia wyłaniały się krzaki i drzewa. Świat przypominał skłębiony chaos bieli i szarości.

Ben nie był w stanie powiedzieć, gdzie kończy się łąd, a zaczyna niebo. Oczy bolały go i łzawiły, lecz za każdym razem, kiedy chciał je potrząść grzbietem obwiązanej dłoni, przypominał sobie ostrzeżenie Kellie o odmrożeniu i się powstrzymywał. Z zimna bolało go czoło, jakby ktoś nabił mu guza. Miał napiętą skórę, a nogi i ręce stwardniały jak marmur. Nie mógł zgiąć palców.

Teren był nierówny i zdradliwy. Miał nadzieję, że Kellie czuje się lepiej niż on. Jej siła wprawiła go w zdumienie. Od odpoczynku między jodłami nie odezwała się ani słowem, ale nawet na chwilę nie zwolniła kroku. W ciągu ostatnich pięciu minut dwukrotnie upadła, a on upadł raz, lecz podnosili się z ziemi bez słowa protestu.

Bena bolały nogi, oddech miał płytki. Pomyślał o wszystkich wypalonych w przeszłości papierosach i pożałował, że nie rzucił palenia wcześniej niż dziś rano. Przypomniawszy sobie sen, w którym siedział w jamie, oglądając telewizję, i przypomniał sobie, jak go zinterpretował, jak uznał, że marnuje życie i postanowił naprawić tę sytuację, zwiększając swoje zaangażowanie. Cóż, teraz był zaangażowany, prawda? Tkwił w tym po uszy.

Czuł się tak, jakby ktoś robił mu kawał. Absurdalne wydało mu się to, że walczą o życie gdzieś na wsi, kuląc się przed wiatrem jak w scenie ze świątecznej pocztówki. Tylko gdzie się podział Bing Crosby? Gdzie był ten gościnnie nieznanemu od Disneya, który powinien otworzyć drzwi jakiegoś domku i zaprosić ich, aby usiedli przy kominku?

Coś takiego nie powinno było mieć miejsca. Nie w nowoczesnym świecie. Nie w Wielkiej Brytanii. Kellie miała rację: to naprawdę przypominało *Pojutrze*. Rzeczywiście miało się wrażenie, że rozpuściły się pokrywy lodowe. Pieprzony efekt cieplarniany, pomyślał Ben. Pieprzone gówniane rządy i międzynarodowe korporacje. W tej chwili powinien był siedzieć w pubie z Mickiem, sączyć pintę piwa, podrzucać prażone orzeszki i łapać je w locie. Obiecał sobie, że jeśli wyjdzie z tego żywy, zapisze się do partii Zielonych i będzie ją wspierać do końca życia.

Sprawę dodatkowo pogarszał fakt, że stracił orientację w terenie. Jego zdaniem powinni byli dotrzeć już do przystani w Zielonej Zatoce, ale nie dotarli. Śnieg przysłonił cały krajobraz. W Benie tkwił mały chłopczyk, który miał ochotę wybuchnąć płaczem i dać za wygraną, ale nie mógł tego zrobić. Co pomyślałaby Kellie? Jak mógłby spojrzeć po tym wszystkim w lustro? Albo kiedykolwiek na nią popatrzeć?

Potknęła się i upadła po raz trzeci.

- Chodź - krzyknął, pomagając jej wstać.

- Jestem zmęczona - zawołała w odpowiedzi. - Daleko jeszcze?

- Nie wiem.

- Ale...

Pomógł jej podejść do przewróconego dębu, który wyłonił się ze śnieżycy. Zagłębienie w ziemi utworzone przez odsłonięte, pokryte śniegiem korzenie drzewa formowało naturalną ochronę przed wiatrem, więc przykucnęli tam razem.

- Jak to: n i e w i e s z? - dopytywała się.

Mocno ją przytulił. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

- Co?

- Zabłądziliśmy.



Wiatr syknął tak głośno, jakby siedzieli w jamie węża.

- Zabłądziliśmy? Żartujesz, prawda?

- Nie. - Było mu niedobrze, czuł wstyd. Zrobił jedyną rzecz, której pragnął uniknąć: zawiódł Kellie.

- Ale to niemożliwe - powiedziała. - Przecież ciągle tu bywasz.

- Nie. Nie byłem tu od lat.

- Od lat? Ale... ale to twoja praca.

- Nie - powiedział. - Źle mnie zrozumiałaś. Ja nawet nie mieszkam na wyspach. Już nie.

Wpatrywała się w niego z przerażeniem. - Co masz na myśli?

- Mieszkam w Londynie. W Kentish Town.

- W Kentish Town!

Odsunęła się od niego. - Powiedziałeś, że kierujesz promem.

- Bo to prawda, ale tylko w tym tygodniu. Ojca rozboleły plecy. Tak naprawdę to on obsługuje łódź. Ja tylko mu pomagam. Pracuję w Soho. W mediach.

- Ty pieprzony kłamco! - krzyknęła.

I miała rację. Był oszustem i właśnie go zdemaskowała. Nie zamierzał do tego dopuścić. Kiedy zapraszał ją na łódź, a ona założyła, że utrzymuje się z pracy w wodnej taksówce, pozwolił jej tak myśleć, bo uważał, że to zabawne. Widziała to, co chciała widzieć. Człowieka morza. Pana żywiołów. Poza tym było to tylko niewinne kłamstwo. Jego ojciec naprawdę prowadził taksówkę i Ben rzeczywiście wychowywał się blisko tego fachu. Zamierzał jej powiedzieć, kim naprawdę jest, co naprawdę robi. Po prostu nie nadarzyła się jeszcze okazja.

Ale ten dowcip przestał być śmieszny.

- Przepraszam - powiedział. - Za wszystko.

- Za późno, do cholery! - krzyknęła i przez chwilę myślał, że rzuci się na niego z pięściami.

Potem zwyczajnie się załamała.

Złapał ją za ramiona. Nie mógł znieść tego widoku. Musiał to wszystko naprawić.

- Wydostanę nas stąd - obiecał.

Wpatrywał się w tunel jej kaptura. Oczy Kellie zmieniły się w szparki. Zupełnie nie przypominała kobiety, którą zaledwie kilka godzin wcześniej widział idącą wzdłuż starej kei.

- W takim razie zrób to - powiedziała.

Pięć minut. Tyle dawał im czasu. Potem będą musieli się zatrzymać i znaleźć jakieś miejsce - cokolwiek, jakąś jaskinię albo kolejne powalone drzewo - żeby się zaszyć i spróbować to przeczekać. Siłą woli powstrzymywał się przed wpadaniem w panikę. Modlił się, żeby do tego nie doszło.

Jeszcze raz wyruszyli w stronę białego krajobrazu. Idź prosto, powtarzał sobie. Jeśli będziesz szedł prosto, może dostrzeżesz jakiś charakterystyczny punkt.

Ale im dalej szli, tym bardziej miał wrażenie, że nadal są blisko morza. W jednej chwili teren się wznosił, lecz potem znowu opadał. Przypominało to sunięcie łodzią po falach. Tak bardzo ciążyły mu buty. Miło byłoby usiąść, pomyślał, tylko na chwilę, żeby dać sobie szansę na złapanie oddechu. Śnieg pod stopami wydawał się miękki i zachęcający. Gdyby się teraz położył, pewnie poczułby się jak w łóżku.

Usłyszał coś, co brzmiało jak warknięcie.

I znowu.

- Tam.

Zdał sobie sprawę, że to Kellie.

- Tam! - krzyknęła po raz drugi. - Popatrz! Tam!

Jej wyciągnięte ramię machało w powietrzu. Spojrzał w kierunku, który pokazywała, lecz niczego nie zobaczył. Pewnie wszystko jej się pomyliło, pomyślał, wyobraża sobie rzeczy tam, gdzie ich nie ma. On nie widział niczego z wyjątkiem śniegu.

Wtedy i on to dostrzegł: wysoko nad nimi ciemny pionowy kształt. Potem na szczycie mignęło jakieś światło, tylko na chwilę. Następnie zniknęło. Patrzył zdezorientowany. Wtedy światło rozbłysło ponownie.

Zrozumiał, co to takiego.

- Latarnia morska! - wrzasnął.

Wiatr stłumił jej odpowiedź, ale i tak się nie przejął. Poczuł przyływ energii, a senność zniknęła.

- Chodź! - Pociągnął ją za sobą. Wstąpiły w niego nowe siły.- To latarnia morska. To przystań w Zielonej Zatoce. Jesteśmy prawie na miejscu. Prawie nam się udało.

## Rozdział dziesiąty

Lunch był długi i rozwlekły. Zasiadła do niego cała rodzina Thorne'ów i Michael. Wiatr za oknem wył jak zraniony zwierz i nieustannie sypał śnieg, lecz w środku było spokojnie.

Michael, Simon, stary pan Thorne, Taylor i jej rodzice siedzieli w salonie. Elliot czytał gazetę, pan Thorne książkę, i obydwaj siedzieli w fotelach przy kominku. Isabelle siedziała po turecku na podłodze, malując paznokcie długimi starannymi pociągnięciami jaskrawoczerwonego pędzelka. Davida słyszeć było w kuchni. Ostrzył noże.

Michael siedział przy stole, przerzucając bez entuzjazmu kartki gazetowych dodatków i magazynów, które Elliot rzucił tam jakieś piętnaście minut wcześniej z myślą o Michaelu i Taylor. Taylor siedziała naprzeciwko niego, nakręcała włosy na palec i bez końca nuciła melodię z *Wielkiej ucieczki*, obserwując ojca kątem oka.

Nie odzywała się od dziesięciu minut, nawet do Michaela. Nadal była zła na Stephanie za to, że ciotka nie uległa jej żądaniom wypuszczenia Simona i nie zamierzała pozwolić na to, aby Elliot o tym zapomniał. Możliwe, że nawet nie miała już ochoty na wychodzenie na dwór. Michael z pewnością jej nie miał. Domyślał się, że robi to dla zasady, a zasada opiera się na tym, że ktoś powiedział jej nie.

Michael czuł się jak schwytyany w pułapkę, uwięziony, jak w szkole w środku podwójnej lekcji matematyki, kiedy w gorący letni dzień spoglądał na puste boiska. Był gotów na powrót do domu. Tam przynajmniej mógłby pograć na komputerze. Może nawet Taylor poszłaby razem z nim? A gdyby tak się stało -

popuścił wodze wyobraźni i od razu ujrzał ich razem, w jego pokoju, przycupniętych na krawędzi łóżka w nagłym, krepującym milczeniu...

Westchnął. Samo myślenie o tej potencjalnie bombowej alternatywie było dla niego torturą. Nigdzie się nie wybierali, dopóki nie przestanie padać śnieg.

- Co powiesz na jeszcze jeden mecz ping-ponga? - zapytał, lecz Taylor tylko głośno ziewnęła. Nie zamierzała tak łatwo odpuścić ojcu. Znowu zaczęła nucić.

Elliot położył gazetę na kolanach.

- Chyba dłużej tego nie zniosę - powiedział. Isabelle odchrząknęła. - Idę wziąć kąpiel - oznajmiła. Wstała i przeciągnęła się, patrząc przez okno w kierunku

tej samej kępy jodeł, w której wcześniej zaszył się Elliot, żeby gdzieś zadzwonić. Ściemniało się i nawet padający śnieg stawał się niewidoczny. Michael pomyślał o tym, jaka blada wydaje się Isabelle i jaka zmęczona, lecz wtedy posłała Elliotowi słodki uśmiech i całe jej zmęczenie błyskawicznie zniknęło. Podeszła do niego i pociągnęła go ku sobie, a gdy wstał z fotela, oplotła go rękami w pasie i mocno przytuliła.

- Może ty też powinienes się na chwilę położyć - powiedziała. Przebiegła palcami po tylnej części jego uda, po czym w końcu ruszyła w stronę drzwi.

- Może zagramy w jakąś grę? - zaproponował Elliot córce. - W quiz z wiedzy ogólnej?

- Nienawidzę tego.

- Państwa i miasta?

- To też jest do kitu. Jak wszystkie gry planszowe. Właśnie dlatego nazywają je grami planszowymi - dodała beznamiętnie. - Gwarantują zabawę płaską jak ich plansze.

- W takim razie zagrajcie w coś innego. Wiem. Może w chowanego.

- A może w „po moim trupie”? - odparła.

Michael zasłoni! uśmiech dłonią.

- W chowanego bawią się dzieci - oznajmiła.

- Nawet ja to wiem - zgodził się Simon. - Bawią się w to tylko najmłodsze dzieciaki ze szkoły i nikt więcej, dlatego że jest za proste i nie ma przy tym zbyt dużo zabawy, zwłaszcza kiedy pomyślisz o wszystkich innych grach, które masz do wyboru i które są o wiele lepsze i...

- W takim razie w sardynki - powiedział Elliot.

- Co to takiego? - zapytał Simon.

- Pamiętasz, prawda, Taylor? Kilka lat temu bawiliśmy się w to w Ameryce.

Michael też znalazł tę grę. Zasady były proste. Jedna osoba chowała się w jakimś miejscu, które było wystarczająco duże, żeby pomieścić inne osoby. Pozostali zaczęli jej szukać. Ten, kto pierwszy znalazł ukrywającą się osobę, chował się razem z nią. I tak dalej. Przegrywał ten, kto znajdował wszystkich jako ostatni.

- Sześć lat temu - poprawiła Taylor swojego ojca. - Kiedy miałam osiem lat.

- Właśnie o to mi chodzi - rzekł Elliot. - Byłaś wtedy dokładnie w wieku Simona.

- Zapomnij - powiedziała.

Elliot spojrzał na Michaela w poszukiwaniu wsparcia, ale Michael dostał już nauczkę czekającą tych, którzy sprzeciwiają się Taylor, i tym razem odwrócił wzrok.

- Słuchaj - ciągnął Elliot. - Może propozycja będzie bardziej kusząca, jeśli dam piątaka temu, kto ukryje się najlepiej?

- Dwadzieścia i umowa stoi - powiedziała Taylor. Elliot uśmiechnął się, zadowolony, że postawił na swoim

- albo też przez szacunek dla decyzji córki o podjęciu negocjacji. Michael niecierpliwie czeka! na jego odpowiedź. Dwadzieścia funtów to mnóstwo pieniędzy

dzy. Matka Michaela płaciła mu dwa funty za godzinę zmywania naczyń i gotowania posiłków w pubie. Zatem była to szansa na błyskawiczne zarobienie kwoty, która w innym przypadku wymagałaby dziesięciu godzin ciężkiej pracy. Elliot musiał się tylko zgodzić.

Stary pan Thorne poruszył się w fotelu i odwrócił się, żeby popatrzeć.

- Piętnaście - powiedział Elliot, wyciągając spięty plik banknotów z kieszeni, i poślinił palec, przygotowując się do odliczania ustalonej kwoty.

- Siedemnaście pięćdziesiąt - powiedziała Taylor. Elliot zastanawiał się przez chwilę, po czym odrzekł: - Załatwione.

- Super - powiedział Simon, wyrzucając w górę zaciśniętą pięść. - To całkiem mnóstwo forsy. Można za to kupić wiele rzeczy. Zabawki, komiksy, chipsy i cukierki, a i tak zostanie trochę pieniędzy, które będzie można odłożyć na coś innego, na przykład na jakąś grę albo...

- Michael? - zwróciła się do niego Taylor.

- Wchodzę w to - powiedział bez wahania. Co z tego, że sardynki to zabawa dla dzieci? Kasa to kasa. Proste.

Uzgodnili, że zagrają trzy razy, żeby wyłonić zwycięzcę. Będą się chować po kolei, a osoba, której najdłużej nie będzie można znaleźć, dostanie pieniądze. Ciągnęli zapalki, żeby zdecydować, kto schowa się jako pierwszy, i Michael wyciągnął najkrótszą, więc Taylor i Simon zostali w kuchni. Simon zaczął odliczać do stu.

Nie chcąc wyjść na sztywniaka, pomimo że postanowił wygrać pieniądze, Michael wolnym krokiem wyszedł z kuchni, a potem cicho wszedł po schodach, próbując nie dopuścić do skrzywienia desek, żeby nie zdradzić faktu, iż obrał właśnie tę drogę.

Dosyć dobrze orientował się w domu Thorne'ów - bywał tu tak często. W każdym z dwóch korytarzy na piętrze, które rozpoczynały się u szczytu schodów,

były trzy sypialnie. Dalej schody wiodły na poddasze. Michael poszedł korytarzem w lewo, mijając galerię oprawionych w ramki czarno-białych zdjęć zawieszonych na bladożółtych ścianach.

Jakaś część niego zawsze chciała tutaj mieszkać, jeszcze zanim jego tata opuścił dom i wprowadził się do nich Roddy. Nie czuć tu było gryzącego smrodu rozlanego piwa ani kłębow stęchłego dymu, do których przyzwyczał go jego dom. Na szczęście brakowało tu też gwaru barowych rozmów, przy których dorastał Michael. Tutaj człowiek miał poczucie prywatności i nie czuł się jak w miejscu publicznym, czego przeważnie doświadczał u siebie w domu.

Michael przystanął przed drugimi drzwiami do sypialni. Jeśli dobrze pamiętał, zazwyczaj spali tu rodzice Simona, a ponieważ widział ich na dole (David był w kuchni, a Stephanie i Nat w salonie), uznał, że nie będą mieli nic przeciwko temu, żeby się tutaj schował. Z dala od Taylor i Simona czuł się jeszcze bardziej idiotycznie, kiedy skradał się korytarzami, ale pomyślał sobie, że powinien myśleć o pieniądzach i nie oglądać się za siebie.

Już w chwili, w której wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, był pewien, że pokój należy do dorosłych. Panowała w nim nieskazitelna czystość. Podłogi nie zaśmiecały żadne ubrania, aparatura nagłaśniająca ani gry. Michael rozejrzał się szybko w poszukiwaniu miejsc, gdzie można by się ukryć, od razu rezygnując z chowania się pod podwójnym łóżkiem, w zabytkowej szafie i za kremowymi zasłonami, gdyż to byłoby zbyt oczywiste.

Po drugiej stronie pokoju znajdowały się inne drzwi, które - jak się domyśla! - prowadziły do przyległej łazienki. Już miał tam pójść i zajrzeć do środka, kiedy zauważył sosnową skrzynię na koce przysuniętą do łuszczącej się wapiennej ściany z kamienia. Miała prawie metr głębokości, prawie metr szerokości i półtora metra długości.



Otworzył ją i zobaczył, że jest pusta. Nie było zbyt dużo miejsca, ale wystarczało dla dwóch osób, a tylko tyle wymagały zasady gry. Gramoląc się do środka - czuł się trochę jak palant, ale nie aż tak bardzo, żeby przekreślić możliwość zdobycia łatwej kasy - zastanawiał się, co będzie, jeśli pierwsza znajdzie go Taylor. Czy wciśnie się tu obok niego. I co wtedy? Co się stanie, jeśli w końcu utkną tu sami w ciemności? Czy nadal będzie to przypominało dziecięcą grę?

Światło przygasło, kiedy przykrył się wiekiem, ale nie było zupełnie ciemno. Z przodu skrzyni, u góry, znajdował się rząd małych dziurek wentylacyjnych. Zmieniając pozycję, oparł się na łokciu i spojrzał przez jedną z nich na pusty pokój.

Nos wypełnił mu zapach lawendy. Słyszał swój oddech i przypomniał sobie, jak kilka godzin wcześniej stał w tunelu awaryjnym. Zadrżał. Tamto miejsce przyprawiało go o gęsią skórę i miał nadzieję, że Taylor zmieni zdanie na temat odwiedzenia go po raz kolejny.

Na korytarzu rozległo się dudnienie czyichś kroków. Drzwi od sypialni otworzyły się z impetem i trzasnęły o szafę.

- Och, Michaaaelll! - zawołał Simon upiornym głosem, wchodząc do sypialni. - Jesteś tuuuu?

Michael patrzył przez dziurki, jak Simon podchodzi do łóżka, klęka i zagląda pod spód. Potem wyprostował się i rozejrzał po pokoju. Wtedy Michael zmarł w bezruchu. Nie dlatego, że dostrzegł go Simon, lecz ponieważ sam zobaczył coś innego. Za plecami Simona otworzyły się drzwi do łazienki i ze środka wyszła Isabelle.

Miała na sobie biały szlafrok, zawiązany w pasie na elegancką kokardę. Jej jasne włosy były mokre i zaczesane do tyłu. Wydawały się ciemniejsze niż wcześniej. W drzwiach łazienki unosiła się para. *O, cholera* - pomyślał Michael *- jestem w złym pokoju. Ona była tu cały czas, brała kąpiel.*

- Co ty tu robisz? - zapytała Simona, zaskakując go tak bardzo, że aż podskoczył.

- Szukam Michaela - powiedział Simon, gwałtownie stając na baczność.

RS

- Michaela?

- Bawimy się w sardynki - wyjaśnił.

- Cóż, tutaj go nie ma, skarbie.

- Nie, ciociu Izzy. Przepraszam, ciociu Izzy. - Simon wycofał się w stronę drzwi. - Pójdę sprawdzić w innych pokojach. Do zobaczenia później.

- Dobrze, słonko - zawołała za nim. Zamknęła drzwi.

Michael poruszył się, żeby podnieść wieko, myśląc, że im prędzej powie, że się tu ukrywa, tym lepiej. Jednak dokładnie w tym momencie Isabelle odwiązała kokardę w talii i pozwoliła, aby szlafrok opadł na podłogę.

Stała tam nago.

*Cholera* - pomyślał. - *Cholera, cholera, cholera, cholera, cholera...*

Co u diabła powinien był teraz zrobić? Próbował nie oddychać, nie wpadać w panikę, ale przez to tylko oddychał głębiej i bardziej panikował. Co będzie, jeśli go usłyszy? Powinien był postąpić przyzwoicie i wygramolić się na zewnątrz. Powinien był zasłonić oczy. Jeśli go teraz nakryje, będzie po nim. Powinien był ją przeprosić. Ale nie zrobił tego. Nie potrafił. Ledwie był w stanie myśleć o kłopotliwej sytuacji, która niechybnie nastąpi, a już z pewnością nie potrafił sprowadzić na siebie tego nieszczęścia osobiście.

Więc zamiast tego po prostu się gapił.

Nigdy wcześniej nie widział nagiej kobiety - w każdym razie nie na żywo - a Isabelle w niczym nie przypominała retuszowanych zdjęć striptizerek, które przeglądał w internecie, ani dziewczyn z lat siedemdziesiątych, z wielkimi włochatymi cipami i tapirowanymi fryzurami, występujących w starych numerach „Playboya”, które przechowywał pod łóżkiem.

W normalności Isabelle kryło się coś niemal szokującego, prawie jak gdyby była zbyt realna, lecz jednocześnie dostrzegał w niej pewne piękno i nienawi-

dził siebie za uczucia, jakie w nim wzbudzała - za to, że teraz podobała mu się nie tylko Taylor, lecz również jej matka.

Poza tym nie był jedyną osobą, która uważnie się jej przyglądała. Zauważył, że sama przygląda się sobie w wielkim lustrze na drzwiach szafy. Przemknęła palcami po swojej twarzy, dotykając lekkich zmarszczek w kącikach oczu. Następnie odwróciła się bokiem do lustra, bezwiednie stając twarzą do Michaela, a on zobaczył, jak napina się jej brzuch. Wzięła piersi w dłonie i przycisnęła je do siebie tak, że dzielący je rowek zrobił się głębszy i ciemniejszy. Jej skóra nadal była zaróżowiona po kąpieli. Gapił się na starannie przystrzyżoną pionową linię włosów w kolorze ciemny blond, która widniała między jej nogami.

Potem rozległy się czyjeś kroki. Drzwi sypialni otworzyły się z cichym szcękaniem.

Isabelle sięgnęła po szlafrok, lecz po chwili się odprężyła. W przeciwieństwie do Michaela. On poczuł się jeszcze gorzej. Nie był to Simon, jak poprzednio, ani Taylor, którą miał nadzieję zobaczyć. Był to Elliot, który teraz wszedł do sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Miałam nadzieję, że do mnie przyjdiesz - powiedziała Isabelle.

- Myślałem, że bierzesz kąpiel.

- Brałam, ale przeszkodził mi Simon. Węszył tu.

- Mea culpa. Dałem im trochę pieniędzy, żeby się pobawili. To brzydko, wiem, ale byłem gotów zrobić wszystko, byleby tylko powstrzymać Taylor od nucenia tej cholernie denerwującej melodii.

- To uparta dziewczyna.

- Zupełnie jak jej mama, co? - powiedział Elliot. Ruszył w kierunku drugiej strony łóżka, gdzie Michael zobaczył leżącą na podłodze otwartą torbę, lecz Isabelle zwinnie stanęła przed nim, blokując mu drogę.

- Zgadnij, na co uparłam się teraz? - zapytała.

Wpatrywał się w nią z pustym wyrazem twarzy.

- Na ciebie - powiedziała.

- A co z dziećmi? - zapytał Elliot. - Któreś z nich znowu może tu przyjść.

- Nie zrobią tego. Ale jeśli to cię martwi, możemy zamknąć drzwi.

Michael nie mógł uwierzyć w to, co się działo, a już z pewnością nie potrafił pogodzić się z tym, co może stać się za chwilę. Jeśli teraz go tu znajdą, nigdy mu tego nie wybaczą. Nigdy więcej nie będzie w stanie rozmawiać z nimi i z Taylor ani nawet patrzeć im w twarz.

Isabelle podeszła do Elliota i przywarła do niego ciałem, lecz on szybko się odsunął.

- Teraz nie mogę - powiedział. - Gdzie jest mój sweter? Obiecałem Davidowi, że pomogę mu przynieść z szopy trochę drewna.

- Ale, Elliot...

Jednak on już ukląkł przed swoją torbą. Rozłożył wyblakły sweter w zielono-białą kratę. - Na zewnątrz jest strasznie zimno. Czułbym się okropnie, gdybym pozwolił, żeby David robił to sam.

Isabelle podniosła z podłogi swój szlafrok.

- Cóż, w takim razie przyjdź później - powiedziała. - To nie potrwa zbyt długo, prawda? Mogę poczekać.

Elliot się skrzywił. - Myślę, że Stephanie chce już niedługo podać kolację, kochanie. - Pocałował Isabelle w czoło. - Zobaczymy się na dole, dobrze?

Isabelle pokiwała głową i patrzyła, jak wychodzi. Drzwi sypialni zamknęły się z cichym trzaskiem. Stała i patrzyła za nim tak długo, że Michael zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zasnęła.

Kiedy się poruszyła, wyglądała tak, jak gdyby wyszła z jakiegoś transu. Usiadła na łóżku, uniosła szlafrok do ust i zacisnęła na nim zęby. Całe jej ciało napięło się, a potem zaczęło drżeć.

Kiedy opuściła dłonie, zobaczył jej twarz. Była skrzywiona bólem, a po policzkach płynęły łzy.

Mocno zacisnęła powieki, a potem otworzyła oczy i poszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Michaelowi zdrewniały nogi i ręce, ale musiał się ruszyć. To była jego szansa. Teraz. Uniósł pokrywę skrzyni na koce. Spojrzał na gałkę w drzwiach do łazienki i modlił się, żeby się nie przekręciła. Potem wyszedł ze skrzyni i opuścił jej wieko. Cicho, powoli ruszył w kierunku drzwi. Ostrożność zniknęła, gdy tylko do nich dotarł. Natychmiast wypadł na korytarz.

Ledwie zamknął za sobą drzwi, zza rogu wyłoniła się Taylor. Stała jak wryta, po czym splótła ręce na piersi i utkwiała w nim wzrok.

- Gdzie ty się, kurwa, podziewałeś? - zapytała. - Szukałam cię wszędzie. - Zauważyła, że nadal trzyma klamkę. - Czy to tam byłeś? - zapytała. - W pokoju mamy i taty?

- Nie. Po prostu zajrzałem tam, żeby zobaczyć, czy was nie ma, ale pokój jest pusty. Myślałem, że daliście za wygraną, robicie mi kawał i zaczęliście się przede mną chować.

Zmierzyła go wzrokiem. - Dlaczego się czerwienisz? - zapytała.

- Wcale się nie czerwienię. Po prostu mi gorąco.

- Poszukajmy Simona - powiedziała. - Nadal jest kasa do wygrania.

Kiedy szli razem korytarzem, przechyliła głowę w jego kierunku.

- Pachniesz kwiatami - powiedziała. - Lawendą albo czymś w tym rodzaju.

Kim ty właściwie jesteś? Jakimś pedziem czy co?

## Rozdział jedenasty

Kellie wślizgnęła się do baru Wiatrówka, uważając, aby zasuwa nie zrobiła za dużo hałasu. Wzięła wdech i schowała się za grubą aksamitną kotarą, odchylając ją tylko odrobinę, żeby zobaczyć, co dzieje się w środku. Nie mogła ryzykować. Musiała się upewnić, że na wybrzeżu jest bezpiecznie i że w pubie nie zjawił się Elliot ani nikt z jego rodziny. Po chwili przyszło jej do głowy, że nawet gdyby tu siedzieli, nie byłaby w stanie ich rozpoznać.

Teren wydawał się bezpieczny. Ściany przystrojono czerwonymi i złotymi dekoracjami, a w dwóch frontowych oknach mknął elektroniczny renifer ciągnący sanie. Niskie belki stropowe zdobiły ryzy grubych lamet. Podłoga z linoleum upstrzona okrągłymi stołami z drewna wiodła ku ogniu buzującemu na kominku, obok którego dwóch miejscowych klientów grało w rzutki.

Wiedziała, że zachowuje się jak paranoiczka, lecz z drugiej strony znajdowała się niespełna milę od miejsca, w którym był Elliot. Na zewnątrz nadal sypał śnieg, więc miała nadzieję, że przynajmniej nie jest teraz w drodze do baru. Zastanawiała się, czy dostałby szalu, gdyby wiedział, że ona tu jest. Jakaś jej część pragnęła go spotkać, paść mu w ramiona, wyjaśnić, co się stało i jak bardzo się bała, lecz wiedziała również, że byłby na nią wściekły i wcale by jej nie współczuł.

Miałby wszelkie prawo, żeby się rozzłościć. Mogła zostać na St. John's. Nigdy nie powinna była wchodzić na pokład tej łodzi. Przypomniała sobie słowa Bena, kiedy nabierając prędkości, sunęli w kierunku otwartego morza. - Trzymaj się mocno - powiedział. - Czeka nas ostra jazda. Nie przypuszczała wtedy, jaką trafną przepowiednią okażą się te słowa.

Sally, właścicielka pubu, miała na sobie czarny sweter polo z wizerunkiem Świętego Mikołaja na obfitym biuście. Pucowała szklanki, stojąc za barem. W plastikowej popielniczce przed nią płonął papieros. Wijący się dym unosił się ku rzędowi cynowych kuflów z pokrywką, które zwisały z haków nad jej głową. Dźwięki radia grającego świąteczny hit z wersją a cappella klasycznego utworu Motown z lat sześćdziesiątych, którego Kellie tak bardzo wczoraj nienawidziła, dolatywały z otwartych kuchennych drzwi za jej plecami. Dziś wydały jej się całkiem pozytywne.

Ben stał przy radiotelefonie w drugim końcu baru. Nieśmiało uśmiechnął się do Kellie, kiedy weszła do środka, lecz ona nie odpowiedziała mu tym samym. Pomimo tego, co razem przeszli, nadal byli obcymi sobie ludźmi. Nawet gorzej, pomyślała. Skłamał, nie mówiąc, kim naprawdę jest i co robi. Wiedziała o nim prawie tyle co nic i to sprawiło, że ich wspólne bycie w tym miejscu wydało jej się śmieszne. Ben wprowadził ją w zakłopotanie. Nie wiedziała, czy ma być zła, czy wdzięczna. Prawie przez niego zginęli, lecz jednocześnie uratował im życie.

Sally również się do niej uśmiechnęła i wyszła z baru. - Wszystko w porządku? - zapytała. - Lepiej się czujesz? Pasują ubrania?

- Tak, dziękuję - powiedziała, zastanawiając się, jak mogłaby odwdziżyć się Sally za jej uprzejmość. Chociaż welurowa bluza i elastyczne dzinsy to chyba najbardziej niemodne ciuchy, jakie kiedykolwiek miała na sobie Kellie, były jednak ciepłe i suche - zresztą komu miałyby tu imponować wyglądem? Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jest w pubie bez makijażu.

Odpowiedziała Sally uśmiechem, instynktownie pochylając się, żeby pocałować ją w policzek. Właścicielka baru pachniała papierosami i tanimi perfumami. Przypominała Kellie matkę.

Spędzanie świąt Bożego Narodzenia z mamą, w Paryżu, nagle przestało wydawać jej się kiepskim pomysłem. Przynajmniej знаła tam parę osób. Nawet jeśli



nie zawsze dogadywała się z matką, to nadal ją kochała i, co równie ważne, przy niej mogła być sobą. Tu było to niemożliwe.

- Roddy ugotował pomidorówkę - powiedziała Sally, popychając Kellie w stronę małego stolika przy kominku. - Jest z puszki, ale szybko cię rozgrzeje. Zaczekaj, zaraz przyniosę.

Kellie zastanawiała się, czy ktokolwiek w jej lokalnym miejskim pubie wykazałby się taką dobroczynnością.

- Ratujesz mi życie - powiedziała, siadając na krześle, podczas gdy Sally wróciła za bar.

Kellie czuła się dziwnie. Na zewnątrz szalała dzika śnieżycą, lecz tutaj wszystko było normalne i niesamowicie spokojne, jak w próżni. Miała wrażenie, że nigdy nie było tej burzy. Tylko że oczywiście burza była i teraz uziemiła ją w tym miejscu.

Kellie i Ben dotarli tu przemarznięci i mokrzy kilka godzin wcześniej, wpadając frontowymi drzwiami, odrętwiali z zimna. Sally przyjęła ich i pospiesznie posadziła przy kominku. Kellie była strasznie zła na Bena: wściekła, że w ogóle zawiózł ją na Brayner, wściekła, że przez niego się zgubili, i wściekła na siebie, że była taka głupia.

Próbowała pocieszyć się tym, że przynajmniej nie jest już na zewnątrz, że dotarli tu bez żadnych obrażeń i nie potrzebują pomocy lekarza, ale o mało nie wybuchnęła płaczem, kiedy Ben wyjaśniał Sally i Roddy'emu, co się stało. Ben nadal zamierzał spróbować dostać się do łodzi, żeby ją naprawić, ale Roddy powiedział, żeby nawet o tym nie myślał, bo wkrótce będzie ciemno. Spróbują ponownie rankiem. Ben zmartwił się, mówiąc, że nie może nadwerężyć ich gościnności w święta i że musi odwieźć Kellie z powrotem, ale Sally tylko na nią spojrzała i postawiła veto. zaproponowała, żeby zajęli przybudówkę. Roddy powie-

dział Benowi, że Sally miała rację: nie mają innego wyjścia, jak tylko przemocować na Brayner. Nie było szans, żeby łódź dowiozła ich na ląd w łaką pogodę.

Kellie niechętnie się zgodziła. Nie była w stanie stawić czoła perspektywie ponownego wyjścia na zewnątrz i pragnęła jedynie się ogrzać. Okazało się, że przybudówka to rząd jednopokojowych domków, z których każdy posiadał małą łazienkę i kuchnię. Sally wynajmowała je latem, lecz teraz nikt tam nie mieszkał i Roddy był w trakcie reperowania dachu. Wpuściła ich do najbliższego domku i włączyła elektryczny kaloryfer. Potem pożyczyła Kellie ubrania oraz termoaktywne skarpety i stare trampki.

- Dodzwoniłeś się do rodziców? - zapytała Kellie Bena, gdy odłożył słuchawkę radiotelefonu i usiadł obok niej przy stoliku. Tutaj, w cieple, nie mogła uwierzyć, że w ogóle znaleźli się w prawdziwym niebezpieczeństwie, lecz tak właśnie było, a on ich z tego wyciągnął. Wybrnęli z tego razem.

- Tak - powiedział. - Do twojego hotelu też. Powiadomiłem ich, że jesteś bezpieczna.

Zastanawiała się, czy zadzwoni Elliot i dowie się, że zaginęła. Czy odkryje również, że jest na wyspie? Czy będzie się o nią martwił? To chyba nie miało znaczenia. Nawet jeśli się dowie, że tutaj jest, nie zaryzykuje spotkania. Równie dobrze mogła być setki kilometrów stąd.

- Dzięki. Jak twoje ręce?

- Już w porządku - powiedział, unosząc dłonie, żeby mogła je zobaczyć. - A ty, jak się czujesz?

- O wiele lepiej - odparła.

Nagle poczuła zakłopotanie. Zastanawiała się, czy jest na nią zły za to, że nakrzyczała na niego, kiedy się zgubili, i czy sama powinna być na niego zła za to, że ją okłamał.

Z pewnością była zła, gdy tu dotarli. Ledwie mogła na niego patrzeć, kiedy Sally pokazywała im przybudówkę.

Ben miał na sobie coś, co mogło być tylko jednym z akrylowych swetrów Roddy'ego ozdobionych kolorową aplikacją z głową łośia. Czuła się jak egoistka, kiedy wzięła pierwsza prysznic, w ogóle nie troszcząc się o dobro towarzysza.

- Ładny image - powiedziała.

- A, chodzi ci o sweter. Tak, no cóż, to część mojej nowej kolekcji, którą nazywałem „Ciuchy wczorajsze” albo *Vêtements d'Hier*, ponieważ zdecydowałem się na francuski tytuł.

Uśmiechnęła się.

- Rozmawiałem już o tym z Jeanem Paulem Gaultierem

- ciągnął - i rozważa wykorzystanie tego w swojej zimowej kolekcji, albo w *Collection d'Hiver*, jak zwykły mawiać. - Jak się zastanowić - dodał - w tym stroju możesz zapoczątkować linię dla kobiet.

Zatem nie był na nią zły. No cóż, to zawsze coś.

- Proszę bardzo - powiedziała Sally, podchodząc do nich z dwiema wielkimi parującymi talerzami czerwonej zupy.

- To powinno postawić was na nogi.

Zostawiła ich samych. Na chwilę zapadło krępujące milczenie.

- Posłuchaj, Ben - zaczęła Kellie - przepraszam, że tak bardzo się na ciebie wściekłam.

Pokręcił głową. - To była moja wina. Wszystko. Przywiezienie cię tutaj...

- Nikt mnie nie zmuszał do wsiadania do łodzi. Nie powinnam być taka nie-miła. I dzięki, że nas z tego wyciągnąłeś.

Patrzyła, jak Ben je, lecz ją apetyt opuścił. Nadal była poruszona. Ben zauważył, że bawi się łyżką.

- Nie jesteś głodna? - zapytał.

Równie dobrze mogła mu powiedzieć, co ją gnębi. Nie było sensu udawać, że nic jej to nie obchodzi.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś z Londynu? - zapyłała.

- Czy to cokolwiek zmienia?

- Nie, niezupełnie. Po prostu zastanawiałam się, dlaczego nic nie powiedziałaś.

- Myślałem, że jesteś jedną z tych osób, dla których Londyn to pępek świata, i nie chciałem ci psuć turystycznej przygody. Bo chyba właśnie po to przyjeżdżają tu ludzie, prawda? Żeby zakosztować trochę prowincjonalnego klimatu.

- Chyba tak...

- Zresztą - dodał - ty też byłaś bardzo tajemnicza... nie chciałaś zdradzić, co robisz tutaj sama... no cóż, to przypominało jakąś grę, więc pomyślałem, że stworzę sobie tajemnicę, żeby wyrównać wynik...

Widziała, że czeka na jej reakcję, że on również chciałby uzyskać jakieś odpowiedzi, lecz mimo to nie dała się podpuścić.

- Ale przepraszam - ciągnął. - Nie powinienem był cię oszukiwać. Nie teraz, kiedy wiem o tobie trochę więcej.

- A niby co takiego?

- Że jesteś Australijką z mnóstwem ikry.

- Ikry?

- Tak mówi moja mama. Byłaś dziś bardzo dzielna. Tam było strasznie, a ja zdecydowanie wierzę w to, co mówią o poznawaniu ludzi w kryzysowych sytuacjach... Wybaczyłaś mi?

Zadrzała, przypominając sobie po raz kolejny, jak tam, na klifie, ryzykował dla niej życie.

- Nie wiem. Skąd mam mieć pewność, że pozostałe rzeczy, o których mi opowiadałaś, nie są kłamstwem?

- Nie są. Ani jedno słowo. - Uśmiechnął się. - Chociaż, oczywiście, teraz też mogę kłamać.

Rozzłoszczona rzuciła w niego barową podstawką pod szklanę. - Mówię poważnie - powiedziała.

- Ja też. Wszystko, co ci powiedziałem, to prawda.

- Wszystko.

- Jasne.

- Na przykład... - Wymieniła pierwszą rzecz, jaka przyszła jej na myśl: - Na przykład to, co powiedziałeś mi w chacie o swoim rozwodzie... czy to rzeczywiście prawda?

Ale nie zdążył odpowiedzieć, gdyż do baru wpadł ogromny mężczyzna, przynosząc ze sobą powiew mroźnego powietrza. Strzepnął śnieg z włosów i ramion.

- A niech mnie! - wrzasnął Ben. - Dajcie mi aparat. Właśnie zobaczyłem yeti!

- Ben! - krzyknął w odpowiedzi mężczyzna, unosząc olbrzymie dłonie. Miał zarumienione policzki, był ubrany w futrzany skafander i podróbkę czapki świętego Mikołaja. - Patrzcie - ciągnął. - Bezrobotny milioner znowu jest w mieście. Stawiasz kolejkę, co, bogaty chłoptasiu?

Kellie wpatrywała się w niego, nie mając pewności, czy przypadkiem się nie przesłyszała. Bezrobotny kto?

Ben spojrzał na nią i przewrócił oczami. - Cześć, Jack - powiedział, po czym wstał i pozwolił się uściskać.

Kellie przez chwilę analizowała nowe informacje. Wszystko, co myślała na temat Bena - jej założenia - okazało się kompletnie nieprawdziwe.

- A to kto? - zapytał Jack, uśmiechając się do Kellie.

- To Kellie. Moja przyjaciółka - powiedział Ben. To określenie dziwnie jej pochlebiło.

- W dodatku bardzo ładna. Chyba rozwód ma jednak swoje dobre strony, co?

- Widzisz! - powiedział Ben do Kellie. - Mówiłem ci, że to prawda. - Odwrócił się w stronę Jacka. - Pozwól mi to skończyć, dobra? - Wskazał na zupę. - A potem nadrobimy zaległości.

- W porządku. - Jack pokiwał głową, a następnie wyciągnął ręce w stronę baru. - Sally, mój aniele. Wesołych świąt!

- Jack! Już zaczynałam się martwić, że nikt dzisiaj nie przyjdzie. Jak jest na zewnątrz? Dalej pada śnieg?

- Trochę się uspokaja i zelżał wiatr. Niedługo wszyscy się zjawią. A teraz chodź tutaj i daj buziaka swojemu najlepszemu klientowi.

Kellie przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, po czym skosztowała zupy.

- Wygląda na to, że zaczynasz zapoznawać się z tubylcami - powiedział Ben. Rumienił się.

- Bezrobotny milioner?

- A, tak. To...

- Dalsza część prawdy?

- Tak jakby.

- Tak jakby...?

- Moja żona - była żona - Marie... prowadziła pewien biznes. W każdym razie dosyć dobrze nam szło i zarobiliśmy trochę pieniędzy, ale mówiąc w skrócie, nie byłem szczęśliwy, więc po prostu wykupiła moje udziały. Niedawno dostałem pieniądze. Jednak miliony to lekka przesada, chyba że przeliczyłabyś je na rupie. Nie wystarczy na godną emeryturę, ale wystarczy na rozkręcenie czegoś innego. Chociaż na razie nie mam żadnego pomysłu. W każdym razie nie mam pojęcia, w jaki sposób Jack się o tym dowiedział.

Marie. Po raz pierwszy Kellie usłyszała jej imię. To było jak poznanie części tajemnicy i sprawiło, że zapragnęła dowiedzieć się więcej. W przypadku tego faceta nie mogła pomylić się bardziej, nawet gdyby próbowała.

- Co to był za interes? Mówiłeś coś o mediach, prawda? Kiedy byliśmy na zewnątrz...

- Nie chodziło o nic wielkiego - przyjmowaliśmy od ludzi amatorskie filmy wideo i robiliśmy z nich profesjonalne nagrania, z muzyką i całą resztą, ale korzystaliśmy z odpowiedniego sprzętu i na końcu wszystko wyglądało jak dzieło zawodowca.

- Jak dla mnie, brzmi świetnie.

- Bo takie było, tylko że Marie znudziła się robieniem filmów o cudzych dzieciach. Skusił ją świat biznesu. Chciała stworzyć korporację. Kręcić filmy szkoleniowe. Nudy. Myślałem, że cały pomysł opiera się na prostocie. Chciałem uszczęśliwiać ludzi, sprawiać, żeby na ich twarzach gościł uśmiech.

- A ona nie?

- Nie. Przynajmniej jeśli chodziło o moją twarz.

- Rozumiem.

- To skomplikowane - powiedział Ben.

- Nie jest ci smutno z tego powodu? Dlatego że to wszystko zostawiłeś?

- Raczej nie. Nigdy nie zależało mi na pieniądzach. Zależało mi na nas, na mnie i na Marie. Kiedy się rozstaliśmy, umarło również tamto.

Osuszył kufel z resztki piwa.

- Jeszcze jedno? - zapytała.

Stojąc przy barze i czekając, aż Sally ją obsłuży, Kellie zerknęła na Bena, który właśnie witał się z kolejnymi przybyszami. Pogoda musi się poprawiać, pomyślała. Wioska wreszcie otrząsała się z letargu, podobnie jak ona otrząsała się ze złudzeń dotyczących Bena.

Cała opowieść o Marie i ich firmie wprawiła ją w zdumienie. Przedstawił ją w czarno-białych barwach, lecz ona nie dawała temu wiary. Z własnych gorzkich doświadczeń wiedziała, jak skomplikowane jest prawdziwe życie. Naprawdę nie zależało mu już na Marie czy tylko udawał? Czy rzeczywiście z taką łatwością od niej odszedł? Zastanawiała się, ile lat ma Marie i jak wygląda. Z niepokojem spostrzegła, że nagle zaczęło ją to interesować.

Sally rozmawiała przez radiotelefon. Uśmiechnęła się i uniosła palec, prosząc Kellie, żeby chwilę zaczekała.

- Wszystko w porządku z Michaelem? - Kellie usłyszała jej słowa. - To dobrze. Dobrze...

RS



Sally zasłoniła dłonią słuchawkę i szepnęła do Roddy'ego.

Terry Thorne mówi, że Michael nadal jest u Taylor, ale niedługo wróci do domu.

Roddy się uśmiechnął. - On i ta jego Taylor! No cóż, skoro jest tam bezpieczny...

Sally ponownie skupiła się na rozmowie. - Dzięki - powiedziała.

Na dźwięk nazwiska Thorne'ów Kellie cała się spięła. Najwidoczniej Sally i Roddy znali rodzinę Thorne'ów, a ich syn przyjaźnił się z córką Elliota. Wyglądało na to, że są bliskimi przyjaciółmi.

Kellie zawsze wyobrażała sobie Taylor w odosobnieniu: samotne potulne dziecko. Jednak wiadomość, że ma tu przyjaciół, wzbudziła jej niepokój. W jakiś sposób zdawało się to umacniać rodzinę Thorne'ów, zespalać ich z wyspą i ze sobą nawzajem.

Przez krótką irracjonalną chwilę chciała zdradzić im własny związek z rodziną Thorne'ów, lecz zdusiła ten impuls. Zastanawiała się, jak by ją potraktowali, gdyby dowiedzieli się o jej relacjach z Elliotem. I co pomyślałaby rodzina Elliota, gdyby odkryto jej obecność na wyspie? Jak by zareagowali, gdyby się wydało, kim naprawdę jest?

I, co gorsza, jak taką informację przyjąłby Ben? Czy poczułby się wykorzystany albo oszukany? Myślał, że jest tylko nieszczęsną turystką, ale jak by się poczuł, gdyby się dowiedział, że przybyła na wyspę ze względu na Elliota? Tylko dlatego, że kierując się egoistycznymi pobudkami, chciała zobaczyć miejsce, w którym przebywa jej kochanek?

Kellie zamówiła u Roddy'ego dwa kolejne piwa.

- A teraz zaśpiewasz dla Roddy'ego, prawda? - powiedziała Sally, podchodząc bliżej. - Jest Wigilia, więc zaraz przyniesie sprzęt do karaoke. Poprawiła się pogoda i lada chwila wpadnie jeszcze parę osób. Musisz się przyłączyć.

- O, nie. Naprawdę nie potrafię śpiewać.

- Nikt nie potrafi. Właśnie o to chodzi. To po prostu zabawa.

Pomimo panującej na zewnątrz pogody okazało się, że Jack miał rację. Wszystko wskazywało na to, że cała wioska przedziera się przez śnieg, aby wpaść do pubu i trochę się zabawić. Wkrótce pub wypełnił się śmiechem i świąteczną muzyką. W małym barze musiało zebrać się co najmniej trzydzieści osób. Pomieszczenie jaśniało migoczącymi bożonarodzeniowymi światełkami.

Kellie znowu zaczęła się martwić, że przyjdzie Elliot, lecz ponownie przekonała samą siebie, że to niemożliwe. Przyjechał tu po to, żeby być z rodziną. Taki był cel jego wizyty. Ostatnim miejscem na ziemi, gdzie mógłby się znaleźć w Wigilię Bożego Narodzenia był pub, zwłaszcza taki, który specjalizował się w karaoke. Elliot nie cierpiał czegoś takiego.

Wkrótce Kellie i Ben przenieśli się do większego stolika, przy którym cały tłum tubylców popijał piwo. Rozmowa płynęła wartkim strumieniem żarcików i chwilę później, stojąc przy barze z zamiarem zakupu kolejnych piw, Kellie zdała sobie sprawę, że od ciągłego śmiechu bolą ją policzki.

Wszystko wydawało jej się tu bez troskie i nieoceniające. Dokładnie takie powinny być imprezy w pubie, choć rzadko rzeczywiście są. Przypomniało jej to studenckie lata w Sydney. Wtedy ludzie po prostu akceptowali innych bez zastrzeżeń. Nikt nie musiał niczego udowadniać.

Zdała sobie sprawę, że nie pamięta, kiedy po raz ostatni czuła się tak swobodnie w towarzystwie rówieśników, a co dopiero starszych ludzi. Dawniej, po pracy, chodziła z przyjaciółmi na piwo, lecz odkąd zaczęła spotykać się z Elliotem, przestała uczestniczyć w grupowych spotkaniach. Jej związek z Elliotem zawsze był bardziej intymny, nie taki swobodny i dynamiczny, a w dodatku - czy odważy się to powiedzieć? - znacznie mniej spontaniczny i zabawny.

Kiedy wróciła do stolika z tacą zastawioną kuflami piwa, wszyscy rozmawiali o świętach.

-Lubię prezenty i tego typu rzeczy, całe to podniecenie - powiedział Ben, uśmiechając się do Kellie, po czym odsunął ile, żeby zrobić dla niej miejsce na ławce. Usiadła obok niego.

-Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł rozpieszczać własne dzieci.

Kellie spojrzała na Bena, czując ukłucie zazdrości - a może /niu? Spotkanie mężczyzny, który pragnął dzieci, stanowiło dla niej miłą odmianę. W jego ustach brzmiało to tak prosto i nieuchronnie. Szkoda, że w jej przypadku nie było podobnie. Nawet nie rozmawiała z Elliotem o dzieciach.

Przyląpała się na tym, że patrzy na Toni, która trzyma przy piersi swojego synka, Olivera, tulącego twarz do jej szyi. Co będzie, jeśli Kellie nigdy nie dostanie podobnej szansy?

- Och, przestań. Nie sądzisz, że to zwykła komercja, która wymknęła się spod kontroli? Wszyscy pozostali właśnie tak uważają - powiedział Jed, jeden z facetów, z którymi Ben chodził do szkoły. Przynajmniej wydawało jej się, że ma na imię Jed. Trudno było spamiętać te wszystkie nowe imiona.

- Nie, podoba mi się to, że ludzie muszą ruszyć dupska, chodzić po sklepach i myśleć o innych. Właśnie o to chodzi. O bycie razem - powiedział Ben. - Zgodzisz się ze mną, Kellie? Uwielbiasz święta, prawda?

Kellie pomyślała o swojej liście świątecznych utworów z iPod'a. Tutaj Boże Narodzenie było zdecydowanie innym doświadczeniem niż wszystko, co podczas pobytu w Londynie budziło w niej taki cynizm. Poczula, że w obliczu entuzjazmu Bena jej antyświąteczne nastawienie zaczyna słabnąć.

- Chyba tak - powiedziała.

- -Zawsze byłeś wielkim starym pocziwiną, Ben. A ty, Kellie? Dlaczego spędzasz tu święta? - zapytał Jed.

- To długa historia - powiedziała, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

- Lubimy długie historie - stwierdziła Toni, odsuwając się, żeby zerknąć na twarz pogrążonego we śnie Olivera, po czym uniosła kufel.

- Po prostu... - Kellie spojrzała na twarze zgromadzonych, czując do nich sympatię za to zainteresowanie, za to, że traktują ją jak jedną z nich. Żałowała, że nie może być szczerą, lecz powiedziała: - Mam kogoś w rodzaju chłopaka. - Unikała wzroku Bena. - Ale on wyjechał i... sama nie wiem... organizowanie czegośkolwiek bez niego wydawało mi się głupie, więc pod wpływem chwili przyjechałam na urlop do St. John's, a potem wylądowałam tutaj.

Kogoś w rodzaju chłopaka! Dlaczego to powiedziała? - zastanawiała się. - Dlaczego wypaczyła prawdę tak bardzo, że stała się równoznaczna z kłamstwem? Zerknęła na Bena, próbując zobaczyć, co on o tym myśli. Nie była pewna.

- Co to za chłopak? - powiedziała Toni, zwracając się do pozostałych. - Kto mógłby zostawić taką dziewczynę samą w święta?

Kellie się uśmiechnęła. - Tak, przez to narobiłam sobie mnóstwo kłopotów.

- A co z twoją rodziną? - zapytał Ben. - Nie będą za tobą tęsknić?

- Moi rodzice mieszkają za granicą, więc i tak byłam przygotowana na samotne święta.

- No cóż, nie martw się, kochana, wygląda na to, że tych świąt tak szybko nie zapomnisz - powiedziała Erin, jedna ze starszych kobiet, uśmiechając się do nich i mrugając w stronę Bena.

Kellie spojrzała na Bena, pociągając łyk piwa, zakłopotana tą insynuacją. Dlaczego nie wyjaśniła wszystkiego w odpowiedni sposób? Dlaczego nie powiedziała, że jest zakochana? Dlaczego przedstawiła swój związek jako mało ważny i przelotny, skoro było zupełnie odwrotnie? Spuściła wzrok na stół, żałując, że nie powiedziała czegoś więcej, lecz odpowiednia chwila już minęła.

- Aha! - powiedział Jed, kiedy stojący obok sprzętu do karaoke Roddy zaczął wzywać zgromadzonych.

Sally wcale nie żartowała, gdy mówiła, że nikt nie potrafi śpiewać, ale nie miało to żadnego znaczenia. Kiedy lało się piwo, wszyscy czuli się odważniejsi, i w końcu Kellie również poddała się nieuchronnemu losowi, zgadzając się zaśpiewać *Last Christmas* Wham!

Być może sprawiły to kufle piwa albo szklaneczka grzanego wina od Roddy'ego, albo po prostu Ben, który ciągle ją rozśmieszał, ale kiedy wpadła we właściwy rytm i zaczęła śpiewać do mikrofonu, zdała sobie sprawę, że nie potrafi przestać się uśmiechać.

Posłała szeroki uśmiech Benowi, po czym spojrzała na resztę zgromadzonych. Nie mogła uwierzyć, że to robi. Co pomyśleliby jej przyjaciele, gdyby ją teraz zobaczyli? Śpiewającą piosenkę Wham! w elastycznych dżinsach? Zdecydowanie nie była to najfajniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła, ale nagle przestało ją to obchodzić. Ogarnęła ją ta świąteczna atmosfera, której nigdy nie cierpiała, i zalała ją falą życzliwości, gdy wszyscy śpiewali razem z nią. Czują się wspaniale.

- *Special, special* - śpiewała, naśladując George'a Michaela i wypełniając muzyczną przerwę udawanym echem.

I wtedy szeroki uśmiech zamarł jej na ustach, ponieważ ujrzała wpatrzonego w nią Elliota Thorne'a. Opierał dłoń na ramieniu wysokiego jasnowłosego nastolatka, wpychając go delikatnie do pubu, ale nawet na chwilę nie spuszczał Kellie z oczu.

Czuła, jak płoną jej policzki, kiedy z trudem śpiewała ostatni refren. Odłożyła mikrofon i wróciła do stolika, ignorując brawa. Jej ciało pokryło się gęsią skórka, jak gdyby ktoś oblał jej plecy zimną wodą.

Ludzie coś do niej mówili. Ben gratulował, mówiąc coś o konkursie Eurowizji, ale żadne z tych słów nie miały dla niej sensu.

Patrzyła, jak Elliot podchodzi do baru i wita się z Sally, która ściska chłopca. To musi być Michael - pomyślała - syn Sally.

Potem Elliot odwrócił się w stronę Kellie i podszedł do stolika. Wstrzymała oddech, gwałtownie biło jej serce.

- Witam ponownie - powiedział, trzymając w dłoni czarne skórzane rękawiczki i patrząc na Bena, który siedział na skraju ławki. Elliot miał na sobie granatowy płaszcz z kaszmiru i elegancki szalik w szarą kratę. Jego gładkie policzki były zaróżowione od panującego na zewnątrz zimna. W ciemnych włosach nadal widniały płatki śniegu. Stojąc wśród lokalnych mieszkańców, wydawał się jakiś inny i zbyt oficjalny, niczym grabarz na pogrzebie.

Kiedy przelotnie spojrzął na Kellie, a potem przeniósł wzrok na Bena, rozpoznała ten wyraz twarzy. Przybierał go podczas przesłuchań osób, które występowały przeciwko jego klientom.

- O, cześć - powiedział Ben, nie zwracając na Elliota większej uwagi, ponieważ uśmiechał się do Erin, która właśnie weszła na scenę. Rozległo się wycie zgromadzonych, kiedy ze sprzętu do karaoke popłynęły dźwięki dzwonek u sań, rozpoczynające *Merry Christmas Everybody* Slade.

- Myślałem, że wracasz do Feet Town? - powiedział Elliot, udając dezorientację.

- I wróciłem, ale potem przyplłynęliśmy tu jeszcze raz i teraz jesteśmy uziemieni - powiedział rozproszony Ben.

- Z powodu pogody?

- Tak. Hej, Kellie, popatrz na Erin. - Ben parsknął śmiechem. - Jest jeszcze gorsza niż ty!

Elliot skinął głową i wycofał się, najwyraźniej zbity z tropu. Kellie wiedziała, że nie przywykł do tego, aby ludzie ignorowali go tak jak Ben. Czowała, że jest wściekły.

- Będę się zbierał, Sally - zawołał Elliot, przekrzykując muzykę i pomachał w kierunku baru. Zerknął w stronę Kellie.

Kellie ledwie mogła oddychać, patrząc, jak Elliot wychodzi z baru.

- Idę do toalety - powiedziała, wstając. - Za chwilę wrócę.

Na zewnątrz księżyc świecił jasno jak reflektor nad Gotham City. Śnieg przestał padać, lecz leżał wszędzie dookoła i odbijał światło. Połyskujące niebo miało fioletową barwę. Na ziemi widniały czarne ślady butów.

Elliot oparł się o mur w alejce oddzielającej pub od rzędu zewnętrznych toalet. Wyglądał tak, jak gdyby rozpuszczał się w cieniu. Czerwone oko papierosa zamigotało, opadając na ziemię.

Było strasznie zimno. Kellie zadrżała. Od mrozu bolało ją gardło. Nie wzięła ze sobą płaszcza i po wyjściu z ciepłego pubu lodowate powietrze błyskawicznie przedarło się przez sweter Sally.

- Co ty tu robisz? - zapytał Elliot, chwytając ją za ramię. Zza chmury pary, którą jego oddech wytworzył w powietrzu, nie widziała, czy jest wściekły, czy zachwycony. Pachniał papierosami. Wiedziała, że pali tylko wtedy, gdy coś naprawdę nim wstrząśnie.

- To był prawdziwy koszmar. Wybrałam się na wycieczkę łodzią i utknęliśmy na wyspie. Potem musieliśmy przedostać się do baru przez śnieg...

- Wycieczka łodzią? - przerwał jej. - W co ty ze mną pogrywasz?

Kellie wyszarpnęła ramię z jego uścisku. Po wszystkim, przez co przeszła, jego reakcja zupełnie ją zaskoczyła.

- Tak na marginesie, nic mi nie jest - powiedziała. - Cały kraj utknął w martwym punkcie przez arktyczne warunki pogodowe, a mnie złapała najgorsza śnieżycyca, jaka zdarzyła się tu w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Aha, i prawie spadłam z klifu, ale hej, przeżyłam.

- Na to wygląda. Cóż, nie będę ci psuł zabawy.

- Elliot - powiedziała. - Sam mnie w to wpakowałeś, prosząc, żebym przyjechała...

- Nie prosiłem, żebyś przyjeżdżała tutaj. Nie tutaj.

Na chwilę obydwójce zamarli w bezruchu, gdyż z rzędu toalet za plecami Elliota wyszedł jakiś mężczyzna, ale wrócił do pubu.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała, kiedy znowu mogli bezpiecznie rozmawiać. - Czy nawet odrobinę nie ucieszył cię mój widok?

- Tak, ale...

- Ale co?

- Nie spodziewałem się, że zobaczę, jak bawisz się z mieszkańcami wyspy.

- Z Benem?

- Tak. Z nim. W tym pubie.

Zrozumiała, o co chodzi. Elliot był zazdrosny. Niewzruszony obojętny Elliot Thorne był zazdrosny o Bena. Patrzyła na niego zdumiona, ponieważ nigdy wcześniej go takim nie widziała.

- Cóż, właśnie dzięki „niemu” żyję i to jedyny powód, jedyny powód, dla którego w ogóle z nim rozmawiam.

Elliot odwrócił wzrok.

- El? - zapytała, próbując spojrzeć mu w oczy. - Jesteś śmieszny.

- Naprawdę?



- Tak! Oczywiście, że tak! To j a, pamiętasz? - powiedziała, dając mu lekkiego kuksańca w pierś, jak gdyby chciała mu przypomnieć. - Może byś się przywitał?

Elliot gwałtownie wypuścił powietrze i mocno ją przytulił. - Po prostu szalałem ze zmartwienia. Z powodu tej pogody. Dlatego że nie mogłem z tobą porozmawiać.

- Naprawdę?

- Oczywiście. I wtedy zobaczyłem cię tutaj. Zafundowałaś mi taki szok.

- Przepraszam.

- Na dodatek w tych ubraniach. Boże, wyglądasz paskudnie. Uderzyła go żartobliwie. - Wielkie dzięki.

- Och, kochanie, tak się cieszę, że jesteś bezpieczna. Pozwoliła, żeby ją przytulił i sama również go objęła, czując na policzku zimny dotyk jego płaszcza.

- Nie powiedziałaś mu, prawda? O nas? - zapytał Elliot, odsuwając się.

- Komu?

- Jak on ma na imię? Ten chłopak z łodzi?

- Nie. Oczywiście, że mu nie powiedziałam. - Poczowała nagły przypływ oburzenia. - A dla twojej informacji, Ben wcale nie jest żadnym chłopakiem ani nie pracuje na łodzi. Prowadzi firmę w Londynie. Przyjechał tu tylko po to, żeby odwiedzić rodziców.

- Nic mnie to nie obchodzi. Obchodzisz mnie tylko ty. Elliot ukradkiem rozejrzał się wokół, po czym przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta. - Tęskniłem za tobą - szepnął. - Jak wariat.

W końcu wyswobodziła się z jego uścisku, bojąc się, że ktoś ich przyłapie.

- Wracasz dziś do hotelu? Łodzią? - zapytał.

- Nie. To niemożliwe. Łódź się zepsuła, więc jestem tu uziemiona. Powrót byłby zbyt niebezpieczny. Zresztą nocą nigdzie się nie wybieram. Nie cierpię tych cholernych ciemności.

- Gdzie w takim razie się zatrzymasz?

- Sally udostępniła nam przybudówkę.

- Nam?

- Tak. Mnie i Benowi.

- Spędzicie razem noc?

- Elliot, na miłość boską! Przestań się tak zachowywać. Mnie też wcale się to nie podoba. - Widocznie zapomniał, że sam spędza noc z żoną.

RS

- W takim razie spotkajmy się jutro.

- Gdzie?

- Rano, przy szopach na łodzie nad keją. Obok tej zielonej. Na pewno ją znajdziesz.

- Kiedy?

Otworzyły się drzwi pubu i ze środka wyszedł Jack. - Cześć - powiedział, machając w stronę Kellie i Elliota. Odskoczyli od siebie, udając obcych ludzi.

- Wpół do jedenastej - powiedział Elliot, jak gdyby odpowiadał na pytanie o godzinę.

- W porządku - wymamrotała. - Wesołych świąt. Szybko skinęła mu na pożegnanie, po czym spuściła głowę.

Kiedy wracała do ciepłego wnętrza pubu, łomotało jej serce.

## Rozdział dwunasty

Była już prawie północ i głowa ciążyła Stephanie z wyczerpania i od czerwonego wina. Stała samotnie przy kominku w jadalni, patrząc na stojące na gzymsie zdjęcie matki.

W dzieciństwie Stephanie i Elliot zawsze wywieszali skarpety na prezenty obok łóżka. Pamiętała to uczucie, kiedy się budziła, a jedna z nylonowych pończoch jej matki, wypchana prezentami, przygniatała jej opatulone kocami i kołdrą stopy. Każdego roku robiła to samo dla własnych dzieci, pragnąc, aby one również poznały to uczucie.

Jednak przy kolacji Isabelle się uparła, że skarpety należy wywiesić przy kominku, wzbudzając w Nat gorączkowy entuzjazm wobec kominów, reniferów oraz tego, czy Święty Mikołaj może się zaklinować i w jaki sposób wywabi sadzę ze swojej śnieżnobiałej brody. Stephanie była zła, że jej ojciec pozwolił na taką zmianę tradycji, lecz David oskarżył ją o przesadną małośćkowość.

Teraz, gdy wpychała czekoladowe monety do skarpet Nat i Simona, serce Stephanie wypełniła pustka. Zauważyła, że Isabelle pozostawiła przy kominku okopcone „ślady reniferów”.

Wiedziała, że powinna cieszyć się z obecności Simona i Nat. Powinna z niecierpliwością oczekiwać jutrzejszego ranka, kiedy ujrzy ich twarze. Nie potrafiła jednak patrzeć w przyszłość - spoglądała tylko wstecz. I za każdym razem, kiedy to robiła, prawda powalała ją jak silny cios: przecież powinna wpychać prezenty do trzech skarpet. Nie do dwóch. I im dłużej nie było z nimi Paula, tym bardziej za nim tęskniła. Czas nie leczył ran. Zwłaszcza teraz. Zwłaszcza że Paul zawsze uwielbiał święta Bożego Narodzenia.

Z oczu zaczęły jej płynąć łzy. Co się z nią działo? Dlaczego nie potrafiła po prostu o tym zapomnieć jak wszyscy pozostali? Dlaczego nie mogła znaleźć sposobu, który pozwoliłby jej sobie z tym poradzić, tak jak poradził sobie David i jak jej ojciec poradził sobie po stracie matki?

Ponieważ Paul powinien tutaj być. Oto dlaczego. Właśnie do tego okropnego faktu nieustannie powracała. Znowu i znowu. David mógł temu zapobiec. Poczula, jak rośnie w niej gorzki żal, gdy z kuchni, w której jej mąż pił ostatniego drinka przed snem wraz z Elliotem i jej ojcem, dobiegł jego śmiech.

Nie wolno jej tego robić, pomyślała. Musi jakoś przetrwać te święta. Nie może wpaść w tę czarną dziurę i zrujnować rodzinnego spotkania. Wepchnęła do skarpet kolejne prezenty, próbując wzbudzić w sobie wiarę w magię świąt, próbując uwierzyć, że to wszystko jest coś warte. Jednak wspomnienie Paula - tego, co go spotkało - ciągle do niej powracało. Mocno zacisnęła powieki i ujrzała to jeszcze raz...

Wszystko działo się szesnaście miesięcy temu, na początku drugiego tygodnia pierwszych rodzinnych wakacji, które po długiej przerwie spędzali za granicą. Pierwszy tydzień był cudowny. Stephanie pamiętała upał i pamiętała, jak bardzo szczęśliwi byli z Davidem. Codziennie siedzieli do późnej nocy na francuskim kempingu i kochali się w lesie za namiotami, pod gwiazdami.

A potem wszystko się popsuło.

Obudzili się wcześnie rano, gdyż jaskrawy żar przebijający się przez namiot uniemożliwiał dłuższy sen. To był cudowny ranek. Śpiewali piosenki, jadąc nad pobliskie jezioro, gdzie Simon chciał wynająć łódkę.

- Zostanę z Nat i przygotuję piknik - powiedziała Stephanie do Davida, kiedy zaparkowali samochód. - Weź chłopców i idźcie się trochę rozerwać.

David szybko ją pocałował i przewrócił oczami, patrząc na Nat, która zaczęła wrzeszczeć i drapać małymi paluszkami ślady po ukąszeniach komarów. Po-

wodzenia, powiedział, bezgłośnie poruszając ustami, kiedy oddalał się z Simonem i z ślicznym Paulem. Stephanie krzyknęła coś na pożegnanie, ale Paul już gonił Simona między drzewami, biegnąc wyschniętą ścieżką w kierunku szopy na łódki. Osłoniła oczy przed słońcem, śmiejąc się z pięcioletniego Paula w małych szortach khaki i czerwonej czapeczce, który starał się nadążyć za bratem.

Minęły całe wieki, zanim udało jej się uspić Nat w spacerówce. Stephanie zawiozła ją do piknikowych stolików nad jeziorem, mocując nad wózkiem parasolkę, żeby osłonić jej buzię przed słońcem. Stała nad brzegiem i patrzyła na pływające po jeziorze łódki, próbując zobaczyć Davida i chłopców. Patrzyła, jak słońce zasłania różowa chmura, której cień przemyka po kamieniach. Fale objażyły się o brzeg pod ostrym kątem. Było idealnie. Cieszyła się z życia.

I wtedy, dokładnie w chwili, gdy się odwróciła, żeby przygotować piknik na jednym ze stołów, usłyszała krzyk. Zobaczyła Davida, który wiosłował do brzegu. Zbyt szybko. Wiosłował zbyt szybko. Zdała sobie sprawę, że krzyk wydobywa się z ust Simona, który wołał ją i wołał.

Upuściła szklanę, którą trzymała w dłoni, i wbiegła do wody. Jej cienka bawełniana spódnica przykleiła się do nóg, kiedy potykając się, brnęła ku łodzi. Zobaczyła Simona, który wrzeszczał, siedząc na dziobie. I Davida, całkiem przemokniętego. Ale gdzie był Paul? Nigdzie nie widziała Paula. Nigdzie nie widziała swojego małego synka. Rzuciła się ku łodzi, gdy tylko się do niej zbliżyła, i zajrzała do środka. Paula nie było.

I ta twarz Davida. Błade przerażenie. Kiedy spojrzała mu w oczy, już wiedziała.

Potem wszystko potoczyło się tak szybko.

Popędzili do szopy, żeby podnieść alarm. Ratownik pobiegł razem z Davidem do łodzi ratunkowej i patrzyła, jak mkną na środek jeziora.

Ale było już za późno. Wiedziała to, miała całkowitą pewność.

Kiedy łódź ratunkowa wróciła, Stephanie niczego nie czuła. Tulila w objęciach łkającą rodzinę, ale miała wrażenie, że wcale jej tam nie ma.

Ujrzała ciało Paula kilka godzin później, nabrzmiałe i sine. Znaleźli je wplątane w trzcinę, pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym wpadł do wody. Przytuliła go. Nie chciała wypuścić. Chciała zasnąć razem z nim i nigdy się nie obudzić.

Kiedy w końcu go jej zabierali, przywarła ustami do jego ust. Przypomniała sobie idealnego małego chłopca, którym był. Przypomniała sobie chwilę, w której trzymała go po raz pierwszy. Wydała jej się najszczęśliwszą chwilą w życiu.

Potem zapadła cisza. Rozejrzała się wokół i zobaczyła Simona owiniętego w koc, mocno zaciskającego powieki. Poczowała dotyk Davida, który rozpaczliwie przywarł do jej ramienia. Patrzyła na usta Nat zastygłe w nieustannym krzyku.

Patrzyła, jak mężczyźni w żółtych kurtkach zabierają jej ciało Paula i niosą je do karetki. Patrzyła na zgromadzony tłum, który jednocześnie kulił się ze strachu i gapił na nich, z przerażeniem zasłaniając usta dłońmi.

Wtedy ponownie odzyskała słuch i opadła na kolana.

Dopiero potem poznała szczegóły tego, co się stało. Dopiero później David spróbował jej wytłumaczyć ten niewytłumaczalny horror.

Powiedział, że chłopcy kłócili się o wędkę i o to, czyja jest kolej na łowienie ryb, a Paul gmerał przy swojej kamizelce ratunkowej. Nie mógł zrzucić wędki ubrany w kamizelkę. Więc ją zdjął.

*David pozwolił na to, aby jej syn, który nie potrafił pływać, zdjął kamizelkę ratunkową.*

Tylko na chwilę spuścił Paula z oczu.

Na tę chwilę, *na jedyną chwilę, która miała jakieś znaczenie.*

Pomagał Simonowi rozplatać siatkę podbieraka, a kiedy się odwrócił, Paula już nie było.

Nie słyszeli, jak wpadał do wody. Ani Simon, ani David nie słyszeli nawet plusku. David od razu rzucił się do jeziora i po omacku szukał Paula, lecz prąd był zbyt silny.

Resztę: koronera, policję, szpital, kostnicę-wszystko pamiętała jak przez mgłę. Podróż samolotem do domu. Nawet pogrzeb.

A potem wszystko zaczęło się dziać w zwolnionym tempie. Czas płynął wolniej niż przedtem. Każdy dzień stawał się nieznośnie długi, czarny i ciężki od prawdy. Jej dziecko zginęło. Paul zginął. Jej mały synek nie żył.

- Cześć.

Isabelle, która stanęła w drzwiach jadalni, trzymając w dłoni kubek gorącej czekolady, wytrąciła ją z zamyślenia. Miała na sobie komplecik w postaci piżamy z kremowego jedwabiu i jedwabnego rozchylonego szlafrocza. Włosy zaczesła do tyłu i nie miała makijażu, lecz mimo to wyglądała idealnie. Stephanie szybko się odwróciła, żeby Isabelle nie dostrzegła jej łez.

- Będą tacy podekscytowani - powiedziała Isabelle.

- Kto?

- Nat i Simon, oczywiście. I mam nadzieję, że w przypadku Taylor i Elliota będzie podobnie. Zwłaszcza w przypadku Ela. W tym roku szykuję dla niego bardzo wyjątkową niespodziankę.

Stephanie nic nie odpowiedziała. Zwyczajnie nie miała siły dzielić z Isabelle jej podniecenia i entuzjazmu.



- Stephanie? Wiesz, cieszę się, że zastałam cię samą... Stephanie wiedziała, na co się zanosi, lecz nie mogła znieść współczucia. Nie od Isabelle. Od nikogo.

- Cóż. Ja już skończyłam. Idę do łóżka - powiedziała, przerywając jej.

- Naprawdę chciałabym z tobą porozmawiać o... - powiedziała Isabelle, lecz Stephanie już wychodziła na korytarz.

- Będę bardziej przydatna rano. Mówię szczerze, Isabelle. Jest bardzo późno. Dobranoc - odparła i wbiegła po schodach.

RS

## **Dzień drugi Pierwszy dzień świąt**

### **Rozdział trzynasty**

- Co za syf - powiedział Roddy.

Roddy, Michael i jego mama byli w Wiatrówce. Wybiła dziesiąta rano, ale odnosiło się wrażenie, że jest noc. Śnieg zasypał okno tak gęstą warstwą, że do środka przedzierało się jedynie słabiutkie światło, jak gdyby ktoś trzymał świeczkę za zasłoną z materiału. Michael się pocił. Kaloryfery buchały gorącem, lecz mimo to zadrżał na myśl o kopalni cyny, zastanawiając się, czy Taylor nadal chce tam iść; miał nadzieję, że nie.

- Bezżyteczny grat - powiedział Roddy, waląc dłonią w zamontowany na ścianie telewizor, który syczał jak kot i nie pokazywał niczego z wyjątkiem śniegu.

Był pierwszy dzień świąt, ale niczym nie różnił się od innych dni. Podobnie jak każdego ranka bar sprawiał wrażenie, jakby wyssano z niego życie. Na dywanie widniały plamy czerwonego wina. Wyglądało to niczym scena morderstwa, w której wleczono zakrwawione ciało. Szafa grająca milczała. Światła automatu do gry zgasły. Trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka godzin temu w barze roiło się od pijanych ludzi radośnie śpiewających kolędy i stare świąteczne szlagiery.

Pub miał zostać ponownie otwarty za kilka godzin, żeby zwabić tych, którym przyjdzie ochota na chwilowe uchylenie się od rodzinnych zobowiązań i wypicie szybkiego piwa. Roddy uważał, że trzeba wycisnąć z baru tyle, ile można, póki nadarza się okazja.

Kiedy tata jeszcze z nimi mieszkał, Michael nigdy nie wchodził do baru w pierwszy dzień świąt. Pierwszy mąż Sally zawsze był fanem Bożego Narodzenia i całej jego świątecznej otoczki. Jako pijak miał sentyment do takich rzeczy.

Michael uśmiechnął się na wspomnienie dawnych czasów. Zawsze zostawiał sprzątaną w pubie na drugi dzień świąt. Zamiast tego długo wylegiwali się w łóżkach, a potem otwierali prezenty i szli się bawić. Pewnego razu tata uczył go puszczać latawce i zaczepił jednym o drzewo. Kiedy indziej upadł na tyłek i skręcił kostkę, próbując pokazać Michaelowi, jak wskakuje się na krawężnik na jego pierwszej deskorolce. Po południu Michael pomagał tacie i mamie przygotować lunch, który był tak wielki, że pewnie widać go było z kosmosu, a potem sadowili się na kanapie przed kominkiem i oglądali powtórki programów, które jego tata uwielbiał w dzieciństwie: *Dwóch Ronnich* i *Monthy Pytona*. Albo zasiadali do oglądania jakiegoś filmu, jednego z klasyków, na przykład *Mostu na rzece Kwai* albo *Przeminęło z wiatrem*.

To wszystko ustało na rok lub dwa lata przed odejściem taty. Święta Bożego Narodzenia zaczęły upływać pod znakiem pustych butelek po winie i whisky oraz spożywanych w milczeniu posiłków. Michael, jego mama i tata gapili się tylko przez okna, jak gdyby były w nich kraty.

A teraz obchodzenie świąt skończyło się na dobre. Wszystkie okolicznościowe gadzety uwielbiane przez jego ojca - tańczący bałwan, lody na patyku w kształcie choinki i włochata wróżka na czubku iglastego drzewka - leżały na strychu upchnięte w workach na śmieci obok zżartych przez mole ubrań, po które nigdy nie wrócił.

Rano, podczas śniadania, Michael słuchał wraz z mamą krajowych wiadomości radiowych. Ogłoszono wszem i wobec, że w Wielkiej Brytanii nastąpiły białe śniegi. Posypały się tradycyjne ostrzeżenia: nie jedź samochodem, chyba że to

absolutnie konieczne, trzymaj dzieci z dala od kanałów i zamarzniętych stawów, ubieraj się ciepło i jeśli możesz, zajrzyj do starszych sąsiadów.

W okolicach Newquay zaginął statek. Czerwono-biały helikopter morskiej straży granicznej przeczesywał wybrzeże w poszukiwaniu wraku, lecz niczego nie znaleziono. Cały kraj praktycznie utknął w martwym punkcie. Drogi były zablokowane, a ludzie całą noc tkwili w samochodach na autostradach. Nie wspomniano jednak o St. John's ani o Brayner. Wszystkie wiadomości skupiły się na Londynie, Cardiff, Hdynburgu i ich mieszkańcach. Michael miał wrażenie, że cały świat odwrócił się plecami od niego i jego rodziny. Jak gdyby o nich zapomniano lub jakby przestali istnieć.

- Dobrze, że to przynajmniej ostatnie święta, w które musimy to robić - powiedział Roddy, pchając szary mop po czerwonej podłodze z linoleum przy barze i pozostawiając błyszczące jak lód pasmo.

Miał kaca. Mocno pociągał nosem i ostentacyjnie odchrząkał w proteście przeciwko chemicznym oparom, które unosiły się nad wiadrem spienionej brązowej wody, gdy zanurzał w niej mopa. Michael miał wrażenie, że narzeka tak przez całe wieki, i posłał mu wściekłe spojrzenie z rogu baru, gdzie mokrą szmatką wycierał stół.

Sprzątanie baru nie należało do ulubionych czynności Michaela, lecz z drugiej strony wcale tego nie nienawidził. Stanowiło to po prostu część codziennego mechanizmu, podobnie jak mycie zębów, i nie znosił Roddy'ego za to, że robi z tego taki problem. Michael tu dorastał. To był jego dom. Miał wrażenie, że Roddy, który tak bardzo tego nie cierpi, nie cierpi również jego.

Pieprzyć go - pomyślał Michael - i pieprzyć jego zjełczałą pieprzoną herbarciarnię i zjełczałe pieprzone Truro. Co on sobie myśli? Że tam będzie inaczej? Że nie trzeba będzie sprzątać?

Michael miał ochotę nawrzeszczyć na Roddy'ego i swoją mamę, oznajmić im, że nie zamierza z nimi jechać, ale nie potrafił. Nie chciał zranić mamy - a powiedzenie jej, co naprawdę myśli o przeprowadzce do Truro, z pewnością by ją zraniło, ponieważ Roddy zdołał ją przekonać, że opuszczenie Brayner jest czymś, czego sama pragnie. Każde słowo Roddy'ego przekazywała Michaelowi jak ewangeliczną prawdę: że w Truro będzie im się lepiej żyło, że będą mieli większy dom, że Michael wkrótce znajdzie nowych przyjaciół, że wszyscy będą mieli więcej pieniędzy i w następne święta Bożego Narodzenia wybiorą się na Karaiby.

Ale Michael znał prawdę. Nie jechali do Truro z żadnego z tych powodów. Jechali tam dlatego, że tak chciał Roddy. Zamierzał zgarnąć pieniądze za pub i kupić to, na co nie mógł sobie pozwolić, kiedy mieszkał w Truro sam.

- Co za chlew - powiedział Roddy.

Tylko dlatego, że wczoraj się schlałeś i zamknąłeś dopiero po pierwszej, pomyślał Michael.

- Tylko dlatego, że nikt nie zadał sobie trudu, żeby posprzątać wczoraj wieczorem - powiedział.

- Na przykład ty - powiedział Roddy.

- Ja byłem już w łóżku. Jestem dzieckiem, pamiętasz?

- Tak, dzieckiem, które ma problemy z zachowaniem. Michael otworzył usta, żeby powiedzieć „spierdalaj”. Zrobił

to już kiedyś, kiedy mama nie mogła usłyszeć, i doprowadziło to do wybuchu cholernie wielkiej kłótni, na której końcu Michael wrzasnął na Roddy'ego, że nie jest jego ojcem, a Roddy krzyknął, że przynajmniej za to może dziękować swojej pieprzonej szczęśliwej gwiazdzie.

- Przestaniecie się w końcu kłócić? - zainterweniowała matka Michaela. Pracowała za barem, zapełniając szklankami zmywarę i zmagając się z kacem (ta-

kim samym jakiego miał Roddy). Biały szlafrok miał rękawy upstrzone brązowymi plamami po kawie. Na twarzy matki widać było smugi wczorajszego makijażu. Michael przygotował jej alka seltzer, gdy tylko się obudziła, ale widocznie nie zadziałało.

- To on zaczął - powiedział Michael.

Roddy pochylił się nad kominkiem i odpalił papierosa od wczorajszych nadal rozżarzonych węgielków. Jego oczy na-biegły krwią, a wiszące pod nimi worki miały barwę surowego ciasta.

- Mówię tylko tyle, że im szybciej ktoś kupi od nas to miejsce, tym lepiej.

- Nie ty będziesz je sprzedawał - stwierdził Michael. Mama Michaela zmierzyła go surowym spojrzeniem i natychmiast pożałował, że się odezwał.

- Przepraszam - powiedział.

- Nie mnie przepraszaj - odparła.

- Pójdę przynieść trochę drewna - oznajmił Roddy.

- Nie - powiedział Michael. - Ja to zrobię.

Wypadł z baru, zanim Roddy zdążył zaprotestować, zły na siebie za to, że otwarcie przeciwko niemu wystąpił. To było bezsensowne, dziecinne. Roddy uszczęśliwiał jego matkę - upominał samego siebie tak, jak upominał się co najmniej dziesięć razy dziennie. Tylko to powinno się liczyć. Co z tego, że to nie Roddy będzie sprzedawał pub? I tak go sprzedawali i Michael po raz kolejny pomyślał, że nic, co mógłby powiedzieć, nie jest w stanie tego zmienić.

Popchnął ciężkie drzwi pożarowe, które oddzielały pub od reszty domu. Po drugiej stronie linoleum zastępował czerwony dywan, a kiedy skrzypiące drzwi zamknęły się za jego plecami, swąd z baru ustąpił miejsca zapachowi porannej jajecznicy na bekonie, którą przyrządził dla siebie i mamy, a którą ona przewracała na talerzu, jak gdyby pokrywała ją pleśń.

Tu też skończyły się święta. Wśród klienteli Roddy miał więcej świątecznego ducha niż całe stado reniferów, ale działało się tak tylko dlatego, że to rozmięczało ich portfele i skłaniało do wydawania pieniędzy. W rodzinnej części budynku ani Roddy, ani mama Michaela nie poczynili zbyt wielkich świątecznych wysiłków.

W kuchni jedynym ustępstwem na rzecz pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia była maleńka gwiazda betlejemka w czerwonej plastikowej doniczce ustawionej pośrodku stołu i kilka kartek rozrzuconych na mikrofalówce. Michael wciągnął powietrze i westchnął, marszcząc nos. W gniazdku przy drzwiach tkwił odświeżacz. Widniejąca z przodu nalepka reklamowała świeży zapach leśnej polany, ale zdaniem Michaela woń kojarzyła się raczej z ubikacją.

Na pokrytej białą terakotą podłodze stało jedzenie dla kota, a obok niego kocia miska. W plastikowym opakowaniu po lodach, na powierzchni centymetra mętnej wody, unosiła się ruda sierść. Mama Michaela i Roddy byli zawsze zbyt zajęci utrzymaniem porządku w barowej części budynku, żeby przejmować się tym, co działo się tutaj. Każdego wieczoru, kiedy oni pracowali w barze, Michael robił tu małe porządki, ale rano, gdy schodził na dół, przeważnie odnosił wrażenie, że po jego sprzątnięciu nie pozostał nawet ślad. Wyobraził sobie dom Thorne'ów, starannie przygotowany lunch, w którym brał wczoraj udział, lśniące sztucce i błyszczące szkło oraz unoszący się w powietrzu czysty słodki zapach.

Usiadł na kuchennej macie obok trzech żeberek elektrycznego grzejnika i zaczął wkładać buty.

Przyszła matka i stanęła nad nim, wyciągając rękę, żeby zmierzwić mu włosy.

- Głowa do góry - powiedziała. - Wszystko będzie dobrze. Mocno pociągnął sznurowadła. - Wiem.

- Po wyprowadzce będzie nam łatwiej... Obiecuję.

Michael ostentacyjnie skupił się na sznurówkach, zawiązując je na idealną kokardkę. Za każdym razem, kiedy matka poruszała ten temat - kiedy mówiła o sobie, o nim i Roddym oraz o tym, gdzie niebawem zamieszkają - zaczynał czuć się jak małe dziecko, które za chwilę się rozpłacze. Miał ochotę krzyknąć, że to niesprawiedliwe.

- Wiem, że nie chcesz stąd wyjeżdżać - ciągnęła - ale po prostu musimy to zrobić. Nie możemy tu zostać. To nie w porządku wobec Roddy'ego. W tym miejscu zostało zbyt wiele wspomnień i żadne z nich nie należy do niego.

Michael rozwiązał sznurówki, które przed chwilą zawiązał na kokardkę. Nie chciał podnosić głowy, nie chciał jej pokazywać, że jest smutny. Jak mógłby jej wytłumaczyć, że pragnie tu pozostać właśnie dla tych wspomnień, od których ona pragnęła odejść? Czasami, kiedy chodził po domu, czuł się tak, jak gdyby jego tata nigdy nie wyjechał, jak gdyby tylko popłynął łodzią do St. John's i wkrótce miał wrócić do domu. Michael nadal nienawidził go za to, że ich opuścił, lecz jednocześnie kochał go wystarczająco mocno, żeby pragnąć jego powrotu.

- Ja i twój tata stworzyliśmy to miejsce takim, jakie teraz jest - powiedziała matka. - Ale to już koniec. Czas ruszyć dalej. Zrozumiesz to, kiedy będziesz starszy.

Michael podwinął dzinsy, odsłaniając cholewy butów. Sześć tygodni wcześniej zadzwonił do ojca i powiedział mu, że przenoszą się na ląd. Zapytał, czy mógłby zamieszkać razem z nim i z Carol, młodą nauczycielką, dla której jego tata zostawił mamę, ale usłyszał tylko, że już teraz ledwo mieszczą się w mieszkaniu i nie mają zbyt dużo pieniędzy. Ojciec powiedział mu, że będzie mu się powodziło znacznie lepiej, jeśli zostanie z mamą.

- Dziękuję, że pomagasz Roddy'emu - powiedziała matka Michaela.



Wcale mu nie pomagam - pomyślał Michael. - Po prostu nie chcę przebywać w jego towarzystwie.

Z poczuciem winy podniósł głowę i zobaczył, że jej twarz rozjaśnia uśmiech. Uśmiechała się coraz szerzej.

- O co chodzi? - zapytał.

- O ciebie. Dorastas. - Musnęła jego brodę. - Powinnam ci była sprezentować elektryczną maszynkę do golenia, co?

Wstał zakłopotany i poczuł, że się czerwieni. Nic tak bardzo nie odejmowało mu poczucia męskości jak komentarze mamy pod adresem jego wyglądu.

- Robię Roddy'emu herbatę - powiedziała. - Chcesz też?

- Nie. Nie trzeba.

Wyjęła z kosza z warzywami torbę brukselki i położyła ją na kuchennym stole.

- Kiedy skończysz z drewnem - powiedziała - czy mógłbyś załatwić sprawę tego kurczaka? Pamiętaj, ma być duży. Żeby zostało trochę na jutro.

- Jasne. - Michael włożył płaszcz.

Wyszedł na zewnątrz i zatrzasnął za sobą drzwi. Z kuchni wychodziło się na długie prostokątne podwórze, które prowadziło w górę, na tyły pubu, i otoczone było wysokim murem z czerwonej cegły. Na końcu podwórza stała szopa na drewno, a obok niej kurnik. Był dziełem jego taty. Michael uważał, że mama trzyma go tam tylko dlatego, że wie, iż likwidując kurnik, sprawiłaby mu przykrość. Skubanie kurczaków strasznie ją nudziło i dla klientów przyrządzała mrożone porcje z gotowym sosem. Jedynym powodem, dla którego w ogóle gotowała dziś prawdziwego kurczaka, było to, że wczoraj wieczorem skończyły im się mrożone.

Zazwyczaj było tu paskudnie - mokre ściany porastał mech, a popękany beton znaczyły kurze kupy rozrzucone niczym znaki interpunkcyjne, lecz teraz

wszystko wydawało się nieskazitelnie czyste, jak gdyby cały świat pokryto świeżą warstwą białej farby. Na jednolitej kołderce śniegu o grubości kilkunastu centymetrów widniały maleńkie ślady ptaków.

Michael wyciągnął z kieszeni wełnianą kominiarkę i włożył ją na głowę, podwiniętą jak zwykła czapka, po czym wziął szpadel oparty obok tylnych drzwi i zabrał się do odśnieżania ścieżki biegnącej obok pubu, a potem przez podwórze.

Stał tam, łapiąc oddech, i patrzył na wioskę. Fale śniegu pokrywały dachy pobliskich domków. Spoglądając w tył, zobaczył zasypane pod tylną ścianą pubu i podwórkowym murem. U nasady komina, gdzie w nocy ciepło rozpuściło śnieg, przezierały łupkowe kamienie. Na rynnach szczyrzyły się lodowate zębiska sopli.

Z wnętrza kurnika, który znajdował się za jego plecami, dobiegło wścibskie gdakanie kur. Nakarmi je i napoi, ale najpierw przyniesie drewno. Wyprowadził taczki z wnętrza drewnutni, załadował na nie wielką górę drewna, po czym popchnął je w stronę domu.

Jego uwagę przykuł jakiś ruch i stanął jak wryty. Zobaczył swoją mamę i Roddy'ego, widocznych za kuchennym oknem, które ukazywało ich od pasa w górę, jak gdyby na zdjęciu. Kiedy patrzył, jak się całują, poczuł wstyd: za to, że się na nich zdenerwował, za to, że miał im za złe chęć rozpoczęcia nowego życia.

Nagle zrozumiał, że to nie oni stanowią problem. Chodziło o niego. To on przestał tu pasować.

Odwrócił wzrok, po raz kolejny przypominając sobie to, co dzień wcześniej ujrzał w domu Thorne'ów. Jeszcze raz zobaczył, jak Elliot odwraca się od Isabelle i jak marszczy się jej twarz, kiedy zaczyna płakać, kryjąc ją w szlafroku.

Kryształek lodu załśnił na palcu Michaela niczym pierścionek. Spojrzał w niebo z nadzieją, że Taylor nie zapomniała o obiecanej wizycie. To śmieszne, że tak bardzo za nią tęsknił, skoro od ich ostatniego spotkania nie minęło nawet

dwanaście godzin. Wyobraził sobie siebie w Truro, wraz z mamą i Reddym w ich nowym domu. Wtedy będzie tęsknił za Taylor Thorne o wiele bardziej niż teraz.

Rozgrzewał się pracą - przewiózł trzy pełne taczki drewna pod pub i wyładował je przed frontowymi drzwiami. Potem wniósł polana do środka i zgrabnie ułożył je po bokach kominka. Na koniec zaprowadził taczki z powrotem do drewnutni.

Właśnie wtedy dostrzegł kurczaka. Jego powykręcana noga wystawała z otworu wentylacyjnego pod kurnikiem. Był zupełnie sztywny. Michael podniósł go, a zamrożone pióra skruszyły się w jego dłoniach niczym suche gałazki.

- Wesołych świąt.

Michael podskoczył zaskoczony, odwrócił się i zobaczył Taylor. Uśmiechała się do niego szeroko, a jej oczy były równie jasne i błyszczące jak śnieg. Poczuł ucisk w żołądku i ponownie zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jej pragnie, lecz właśnie wtedy dostrzegła martwego ptaka.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech - nieco przerażony i zaciekawiony zarazem. - Mam nadzieję, że to nie jest mój prezent.

Roześmiał się. - Jasne, że nie.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Ale chyba go nie...

- Co?

- ... zabiłeś?

- Nie. Zamarzł. Pewnie wczoraj wieczorem nie zdążył schować się w kurniku.

Przez Roddy'ego, pomyślał Michael. To Roddy musiał zamykać kurczaki w kurniku, kiedy Michael był u Thorne'ów. Ten kurczak zginął przez niego.

Wrzucił zdechłego ptaka do czerwonego kubła stojącego obok drewnutni. Taylor wpatrywała się w jego puste dłonie, po czym klasnęła. Miała na sobie ja-

skrawozieloną kurtkę narciarską O'Neilla, srebrną czapkę z różowym pomponem i coś, co wyglądało na nowe dzinsy.

- Myślałem, że ty i Simon przyjdziecie dopiero później - powiedział.

- Przyjdziemy, ale teraz tato musiał wybrać się do wioski, a ja miałam akurat ochotę na spacer.

- Gdzie on jest?

- U handlarza w przystani.

- Przecież dzisiaj nikt nie pracuje...

- Też tak pomyślałam, ale powiedział, że jest umówiony. Odbiera prezent dla dziadka. Mam się z nim spotkać przy wejściu do pubu za pół godziny. - Wbiła czubek buta w śnieg. - Dostałeś coś fajnego pod choinkę? - zapytała.

Miała zaróżowione policzki. Wcale nie wydawała się zaspana. Wyobrażała sobie, jak musiały wyglądać święta w jej domu. Całkiem inaczej niż u niego. Przytulne i miłe jak bajka Disneya, domyślił się. Skarpety na niespodzianki i kolorowy papier walający się po dywanie, wszyscy rozpakowywali prezenty, siedząc przy kominku. Właśnie tego pragnął, kiedy dorośnie. Jeśli kiedykolwiek założy własną rodzinę, będzie pragnął, żeby była właśnie taka: doskonała, jak rodzina Taylor.

- Lornetkę - powiedział. - Od taty. A ty?

- My otwieramy prezenty dopiero później. Załatwiłeś latarki? - zapytała.

W jego umyśle otworzyło się wielkie mroczne wejście do kopalni.

- Dwie - odpowiedział. - Ale mogę zdobyć więcej. - Mama trzyma ich mnóstwo za barem, dla gości. Schowałem je na górze, w pokoju. Ale czy nie sądzisz, że powinniśmy o tym zapomnieć? Przynajmniej dopóki nie stopnieje śnieg...

- Dlaczego? Przecież udało mi się tu przyjść z domu dziadka, prawda? Jeśli znowu nie zacznie padać, nic nam się nie stanie. Myślę, że powinniśmy wyruszyć po lunchu. Dasz radę wpaść po nas o wpół do trzeciej?

W ubiegły wieczór leżał w łóżku, przerzucając strony *Ker-rang!* i ze słuchawkami na uszach słuchał ostatniego albumu Good Charlotte, żeby zagłuszyć hałas dochodzący z pubu. Wyobrażał sobie Taylor, która stoi przed tą ziejącą dziurą prowadzącą w głąb ziemi, i widział, jak sękaty pazur wyłania się z ciemności i ciągnie krzyczącą dziewczynę w siną dal. Ocknął się zlany zimnym potem.

- Czy nie będziecie jedli wtedy lunchu? - zapytał.

- Oni tak, ale my się wymkniemy. Wiesz, jak to jest. Będą zbyt pijani, żeby cokolwiek zauważyć. Jeśli chcesz, zwędzę dla nas trochę alkoholu, ale będziemy musieli wypić go po kryjomu, żeby nie zobaczył nas Simon.

- Fajnie - powiedział, chociaż myślał zupełnie inaczej.

- Co powiesz na szybkiego... - Wykonała ruch naśladujący palenie papierosa, pukając palcami o usta.

- Muszę... - Zawahał się, nie wiedząc, jak to powiedzieć.

- Co? - zapytała Taylor.

Michael skinął głową w kierunku kurnika. - No wiesz... na lunch...

- Jecie na lunch jajka?

- Nie...

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę z a b i j e s z kurczaka?

- Raczej nie liczę na to, żeby sam popełnił samobójstwo

- powiedział.

Spojrzała na kubek. - A co z tamtym? Nie nadaje się?

- Lepiej nie. W nocy mogły po nim łązić różne paskudztwa.

Wpatrywała się w kurnik. Za drucianą siatką można było dostrzec zarys kurych łebków kiwających się w przód i w tył.

- Jak to zrobisz? - zapytała. - Nożem?

Odsłonił górne zęby. - Albo małym ukąszeniem - powiedział swoim najlepszym transylwańskim głosem.

- Ha, ha. Nie, mówię poważnie. Jak? Ukręcasz im szyje?

- Można i tak. W ten sposób jest... najszybciej... najdelikatniej, pod warunkiem, że wiesz, co robisz.

Zazwyczaj załatwiał to właśnie w ten sposób. Nauczył go ojciec, który unieruchamiał ciało kurczaka ramieniem, a potem przekręcał kurzy łeb i gwałtownie, mocno szarpał. Tak naprawdę Michael nigdy się nad tym zbytnio nie zastanawiał - aż do dzisiaj. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że zabijanie kurczaków może stanowić źródło fascynacji, a już z pewnością nie dla kogoś tak światowego jak Taylor. Dla Michaela nie różniło się niczym od wykopywania ziemniaków z warzywnego ogródka za wioską, który uprawiał jego tata. Ptaki były jedzeniem, niczym więcej. Żaden z nich nie miał nawet imienia.

Jednak Taylor wcale się nie przejęła. - To tylko kurczak - powiedziała.

Michael wyjął z kieszeni nóż Leathermana. Wysunął ostrze i patrzył, jak oczarowana Taylor wlepia w nie wzrok. - Można też zrobić to nożem - powiedział, uszczęśliwiony jej fascynacją i ciesząc się poczuciem władzy, które dawała mu jego tajemna wiedza.

- I to też robiłeś? - zapytała.

- Pewnie.

Spojrzała w jakiś punkt leżący pomiędzy Michaeliem a kurnikiem. Wyglądało na to, że nad czymś się zastanawia. Potem popatrzyła mu prosto w oczy.

- Pozwól mi to zrobić - powiedziała. - Pozwól mi zabić go nożem.

- Ale czy ty przypadkiem...

- Co?

- Sam nie wiem... większość dziewczyn, które znam... one są, byłyby... - Nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Chciał powiedzieć „wrażliwe” albo „przerażo-

ne", „zniesmaczone", lecz żadne z tych słów nie pasowało do Taylor, ponieważ ona była inna.

- Chcę zobaczyć, jak to jest - powiedziała. - Chcę, żebyś mnie nauczył.

Coś w jej oczach, coś, czego nigdy wcześniej nie zauważył, sprawiło, że jego serce zaczęło bić szybciej. Sposób, w jaki na niego patrzyła, z podziwem, z szacunkiem, sprawiło że poczuł się starszy i silniejszy. Poczuł się jak ktoś, kogo mogłaby zechcieć.

- Jesteś pewna?

- A czemu nie? - Roześmiała się nerwowo. - Z radością kupuję je w supermarkecie owinięte w folię, gdy brudną robotę załatwia za mnie ktoś inny, no nie? Więc dlaczego nie miałabym zrobić tego sama?

- W porządku - powiedział i otworzył drzwi do kurnika. - W takim razie zapraszam.

Kurczaki grzebały w ziemi, kiedy Michael sięgnął do środka i wyjął jednego z nich. Wybrany ptak przycupnął nieruchomo na jego przedramieniu i mrugającymi ślepiami patrzył na przemian na niego i na Taylor.

Michael objaśnił Taylor zasady. Wy tłumaczył jej, w którym miejscu przystawić nóż, o tak, tuż pod dziobem. Potem pokazał jej, jak odchylić łeppek kurczaka odrobinę w lewo i przycisnąć szyję ostrzem noża, po czym przeciągnąć nim gwałtownie wzdłuż żyły. Przypuszczał, że w tym momencie się wycofa, powie, że tylko żartowała i nawet nie będzie chciała patrzeć, jak sam zabija kurczaka, a już z pewnością nie zrobi tego własnoręcznie.

Ale nie zawahała się. Nawet nie poprosiła, żeby wyjaśnił jej wszystko jeszcze raz. Trzymała już w dłoni nóż, a teraz wzięła od niego kurczaka i mocno go chwyciła.

- Tutaj? - upewniła się, przystawiając ostrze noża do miejsca, które jej pokazał.

Trzymała go bezbłędnie. - Tak - powiedział niemal szeptem, wstrząśnięty tak szybką zmianą sytuacji, zdumiony tym, że nagle to on wpatrywał się w nią z nabożnym lękiem, a nie odwrotnie.

W skupieniu zmarszczyła brwi, odchylając głowę kurczaka. Potem śmignęła nożem z gracją i dokładnością skrzypaczki przesuwającej smyczek.

Kiedy trysnęła krew, oczy Taylor załśniły. Uklękła i położyła ptaka na podłodze, a potem patrzyła, jak podskakuje w spazmach obok jej stóp. Krew poplaściła jej palce i śnieg.

- Dlaczego jeszcze nie umarł? - zapytała.

- To może potrwać nawet trzy minuty - powiedział. Kiedy ptak umierał, zaczął spazmatycznie bić skrzydłami o ziemię.

- Jak gdyby próbował odfrunąć... - powiedziała Taylor. - Jak gdyby próbował stąd odlecieć, zanim będzie za późno...

Ptak umarł i upadł bokiem na śnieg.

- To było fantastyczne - powiedziała Taylor. - Chyba nigdy w życiu nie widziałam czegoś piękniejszego.

Potem, kiedy zaniósł świeżo zabitego kurczaka mamie, żeby sparzyła go i oskubała, a następnie - na usilną prośbę Taylor - zwędził zza baru dwa breezery bacardi, Michael powiedział matce, że idą na dwór wypróbować jego nową lornetkę. Zaprowadził Taylor przed pub i sprawdził, czy nikogo tam nie ma, po czym schowali się za rozłożystą choinką i podпалиł ich papierosy. Odkręcili breezery.

- Chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się upić o tak wczesnej porze - powiedziała Taylor. - Ale pieprzyć to - dodała, pociągając łyk. - W końcu są święta...

Michael poszedł za jej przykładem.



Następnie stuknęli się szyjkami butelek i każde z nich pociągnęło kolejny łyk. Przez chwilę ujrzał ją za szkłem, zniekształconą i uwięzioną niczym dżin w zielonej flasce. Obydwoje odchyliłi głowy i trwali w tej pozycji, dopóki nie opróżnili butelek. Taylor beztrąsko wyrzuciła swoją przez ramię i Michael zrobił to samo.

Głęboko zaciągnął się dymem z papierosa i uniósł lornetkę do oczu. Próbował śledzić mewę wzbijającą się wysoko ku niebu, a potem przyjrzał się pustej drodze. Śnieg sprawiał, że wioska wyglądała jak coś z innej planety, jak gdyby zwykły świat zmienił się w science fiction i wszystko mogło się wydarzyć.

- Daj spróbować - powiedziała Taylor.

Przez chwilę obserwowała wioskę, po czym odwróciła się w stronę przystani.

- Jeju - powiedziała. - Niezła jest. Hej, popatrz... To mój tato...

Miała rację. Michael zobaczył postać w jaskrawoczerwonej kurtce przeciwdeszczowej, którą - jak pamiętał - Elliot miał na sobie dzień wcześniej, kiedy cały zaśnieżony wrócił do domu z podwórka. Szedł wzdłuż rzędu szop na łódzie, w których ludzie z wyspy trzymali swoje małe żagłówki i sprzęt do wędkowania. Zatrzymał się przy szopie z zielonymi drzwiami, otworzył je i wszedł do środka. Drzwi zamknęły się i przystań znowu była opuszczona, jak gdyby wcale się tam nie pojawił.

- Co on robi w szopie dziadka? - głośno zastanawiała się Taylor. - Przecież miał być u handlarza. Chyba nie zamierza wyprowadzić łodzi...

- Nawet gdyby chciał, to niemożliwe. Popatrz... - powiedział Michael.

Taylor opuściła lornetkę, a on wskazał na morze.

- Nikt nigdzie się nie wybiera - powiedział Michael. - Na pewno nie dzisiaj.

Coś było zdecydowanie nie w porządku z szarymi połaciami wody. Granica, gdzie morze stykało się z lądem była płaska, nieruchoma, pokryta pęknięciami.

Iskierki światła rozbłyskiwały na niej i znikwały, ulotne niczym skaży wewnątrz szlachetnego kamienia.

- Morze zamarzło - wyjaśnił jej Michael.

Lód zgromadził się przez noc, osobliwy i twardy niczym kamienny taras. Wcześniej pokazała mu go mama.

- Popatrz, jak daleko sięga - powiedziała Taylor. Odwróciła się do niego z uśmiechem. - To niesamowite. Jest wystarczająco gruby, żeby po nim chodzić?

Zapragnął ją pocałować, właśnie tu i teraz.

- Cześć! - zawołał jakiś głos.

Głos należał do Bena idącego w ich kierunku z przybudówki, przed którą nie osłaniała ich choinka. Śnieg skrzypiał pod ciężarem jego butów.

Taylor pospiesznie wyrzuciła papierosa.

- Mną się nie przejmujcie - powiedział Ben, mierząc wzrokiem niedopałek, który stopił trochę śniegu u jej stóp i ostatecznie zgasł.

Mimo to Michael wyrzucił papierosa i zgniótł go butem.

- Wygląda całkiem nieźle - powiedział Ben, patrząc na lornetkę.

- To jego - powiedziała Taylor.

- Dostałem pod choinkę - wyjaśnił Michael.

- No więc kogo szpiegujecie? - zapytał Ben.

- Nikogo - odpowiedziała Taylor. - Po prostu patrzyliśmy na lód.

Ben był o kilkanaście centymetrów wyższy od Michaela i miał na sobie stary czarny szynel, który dawniej należał do jego taty. Mama Michaela pożyczyła mu go tego ranka, kiedy Ben zawitał do nich w poszukiwaniu herbaty i mleka, które zamierzał zanieść do domku, gdzie zatrzymał się wraz z tą elegancką kobietą.

Michael dosyć dobrze znał rodziców Bena, ale jego spotkał tylko kilka razy w życiu. Miał miłą twarz i rozśmieszał mamę Michaela, więc Michael uważał, że jest raczej w porządku.

- Dlaczego nie wróciłeś na St. John's? - zapytała Taylor. - Myślałam, że właśnie tam mieszkasz.

Przez chwilę Michael się zastanawiał, skąd Taylor zna Bena, lecz później zdał sobie sprawę, że to Ben musiał przywieźć Taylor i jej matkę na wyspę.

- To długa historia - powiedział Ben. - Zepsułem łódź i miałem nadzieję, że ktoś zdoła ją naprawić, ale wygląda na to, że nic nie da się zrobić, nie na takim lodzie.

- Biedaczysko - powiedziała Taylor.

- O, nie przesadzaj - powiedział tajemniczo Ben. - Mogło być gorzej.

Czekali na jakieś wyjaśnienia, ale na próżno.

Zamiast tego powiedział do Taylor. - Mogę spróbować?

Podawała mu lornetkę, a on przyjrzał się morzu i przystani.

- O, patrzcie - powiedział. - Tam jest Kellie.

Michael przyglądał się innej postaci, tym razem drobniejszej i ubranej na czarno, idącej przystanią w kierunku szop, pośród których wcześniej zniknął Elliot Thorne.

- Kto to jest Kellie? - zapytała Taylor.

- To moja przyjaciółka. Ta, z którą mieszkam w przybudówce. Jest turystką. Kiedy wczoraj pokazywałem jej wyspę, popsuta się łódź. O rany! - powiedział. - Nawet stąd wygląda świetnie.

Ben mrugnął w stronę Michaela i oddał Taylor lornetkę. Potem odwrócił się od Kellie i od przystani.

- Właśnie rozmawiałem z twoją mamą - powiedział do Michaela. - Zgodziła się wyświadczyć mi pewną przysługę, ale będę potrzebował twojej pomocy.

- O co chodzi? - zapytał Michael.

- Chcę wynagrodzić Kellie te problemy. Miała wrócić do hotelu we Fleet Town, a przeze mnie utknęła tutaj, więc chcę, aby te święta były dla niej jak naj-

lepszego. Twoja mama zaprosiła nas na lunch, ale nie chcę wam przeszkadzać, więc wymyśliłem własny plan...

- Mów - powiedział Michael, ale nawet słuchając Bena, zdawał sobie sprawę, że Taylor znowu patrzy przez lornetkę. Miał wrażenie, że zamarła w bezruchu i skupiła uwagę na przystani. Wtedy zobaczył dlaczego. Mała postać Kellie przystanęła przed zielonymi drzwiami szopy jej dziadka. Coś tu było nie tak. Nagle zobaczył co. Kellie otworzyła drzwi i weszła do środka.

- Zgadzasz się? - zapytał Ben.

- Proszę? - powiedział Michael.

Ben uśmiechnął się, widząc, że go nie słuchał. - Chcesz, żebym opowiedział ci wszystko od początku? - zapytał.

- Eee... Tak...

Michael znowu wbił wzrok w keję. Tym razem Ben również odwrócił się w tamtym kierunku, lecz nikogo nie dostrzegł. Podobnie jak wcześniej Elliot Thorne, Kellie weszła do szopy i zniknęła.

Taylor opuściła lornetkę. Była blada, a jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Stała między Michaeliem a Benem.

- Ta twoja przyjaciółka Kellie... - powiedziała. - Mówiłeś, że po co tu przyjechała?

RS

## **Rozdział czternasty**

Elliot smakował dziwnie, nieznajomą mieszanką miętówek i kawy, a w jego włosach utrzymywał się zapach cygara, lecz kiedy przytulił do siebie Kellie, odczekała z ulgą. W jego ramionach nagle poczuła się bezpieczna. Należał do niej, a ona należała do niego. Tuląc go w objęciach, znowu czuła się pewnie, jak gdyby z powrotem połączył ją ze wszystkim, co znała i rozumiała.

Chciała odsunąć się od niego, porozmawiać, ale ją powstrzymał, całując tak, jak gdyby ich rozłąka trwała wiele lat, a nie kilka godzin, i jakby nie potrafił się nią nasycić. Wziął jej dłonie i przycisnął je do ściany, przywierając do niej ciałem. Odwzajemniała jego pocałunki, a on objął ją i mocno przytulił. Kiedy mu się poddała, poczuła się tak, jak gdyby ponownie oddawała mu się w posiadanie.

- Hej, wesołych świąt - powiedział w końcu. Przystawił czoło do jej czoła.

Szopę oświetlała jedna goła żarówka. W powietrzu połyskiwały drobinki kurzu.

- Wesołych świąt. - Uśmiechnęła się do niego, przyglądając się jego twarzy. Kiedy na nią patrzył, czuła się tak, jakby reszta świata nie istniała i nic innego nie miało znaczenia.

- Wspaniale cię tu widzieć.

- Tak - powiedziała. - Wspaniale. Nie sądziłam, że tu zawitam, wierz mi.

- No cóż, cieszę się, że tak się stało - odparł, po czym odsunął się i czule zawiązał jej za ucho kosmyk włosów.

- Naprawdę? Myślałam, że jesteś wściekły.

- Nie bądź niemądra. Wczoraj wieczorem byłem po prostu trochę zaskoczony. Umiliłaś mi święta. Tak bardzo się bałem, że spędzisz je sama i nawet się nie zobaczymy.

Jeszcze raz ją pocałował. Ostatecznie wszystko było między nimi w porządku.

Po ich wczorajszym spotkaniu nie mogła się pozbierać. Było tak niebezpiecznie. Co by się stało, gdyby Elliot przyszedł w towarzystwie kogoś z rodziny? Co by się wtedy stało? I co z Benem? Po wyjściu Elliota czuła się przy nim tak paskudnie. Przez cały wieczór traktował ją cudownie, a ona odwdzieczyła mu się kłamstwem.

Wypiła jeszcze jedno piwo, po czym zaczęła szukać wymówek, usprawiedliwiała się wyczerpaniem i nalegała, by Ben został z przyjaciółmi. Wycofała się do przybudówki i przez całe wieki nie mogła się zdecydować, jak powinni rozstrzygnąć sprawę spania. Zazdrość Elliota o Bena wyprowadziła ją z równowagi. Czy naprawdę myślał, że mogłaby flirtować z innym mężczyzną? Czy naprawdę był na nią aż tak zły, jak się z początku wydawało? A skoro Elliot, który dobrze ją znał, mógł dojść do takiego wniosku, to może Ben zrobił podobnie. Lubiła go, ale nic więcej, i nie chciała stwarzać wrażenia, że jest inaczej.

W końcu posłała Benowi na dole, a sama zajęła pokój na piętrze, lecz pomimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Leżała rozbudzona i obserwowała cienie na suficie, wsłuchując się w przytłumioną muzykę z pubu i żałując, że nie może też tam być.

Po pierwszej usłyszała, że Ben wraca. Potknął się o coś, a potem chichocząc, uciszał samego siebie. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie jego twarz. Przez chwilę kusilo ją, żeby zejść na dół i porozmawiać. Było tyle spraw, o które chciała go jeszcze zapytać: jak czuł się po rozstaniu z żoną, jakie było ich małżeństwo, skąd wiedział, że zmierza ku końcowi, kto ostatecznie zaproponował rozwód i jak teraz widział swoją przyszłość. Ale się powstrzymała. Jak na jeden dzień ciekawość przysporzyła jej wystarczająco dużo problemów. Zresztą - tłumaczyła sobie - ledwie go znała. Jaki był sens zadawać mu pytania? To nie była jej sprawa.

Uważnie nasłuchiwała w ciemności, czekając, aż Ben zaśnie, lecz on wiercił się na małej skrzypiącej kanapie na parterze i wiedziała, że nie śpi. Bała się poruszyć, żeby nie odebrał tego jako zaproszenia, i bała się rozmowy, której nie chciała z nim przeprowadzić - bała się odpowiedzi, których musiałaby udzielić na pytania, jakie z pewnością chciał jej zadać.

Teraz, gdy ponownie całowała Elliota, była zadowolona, że zaufała instynktowi. W zimnym świetle dnia bardzo się cieszyła, że nie odbyła z Benem nocnej sesji prawdy. Zadrzała, a Elliot pomasaował jej ramiona.

- Chciałbym móc tu z tobą zostać cały dzień - powiedział Elliot. Kellie wiedziała, że powstrzymał się od dodania: „ale nie mogę”. Spuściła wzrok na ich dłonie i ich palce instynktownie się splotły.

- Ja też, ale straszne tu przeciągi, prawda?

Elliot się roześmiał. - Wiem. Co teraz zrobimy? Patrzył na nią z czułością. Jeszcze raz pogładził ją po policzku.

- Na zewnątrz jest cholernie zimno. Nie ma szans na przedostanie się do St. John's. Wygląda na to, że zostanę tu na święta.

- Nic ci nie będzie?

- Chyba nie, ale trochę się martwię. To taka maleńka wyspa, prawda? Co będzie, jeśli ktoś mnie zobaczy? Co się stanie, jeśli natknę się na twojego tatę albo na ciebie i Isabelle? Co miałabym wtedy powiedzieć?

- Nic. Oni cię nie znają. Nikt nie ma o nas bladego pojęcia. Nikt nigdy nie widział nas razem.

- Ale...

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Mamy wielki świąteczny lunch, więc wszyscy będą siedzieli w domu. Musisz jedynie unikać rozgłosu. Po prostu to przeczekaj i wyjedź stąd pierwszą poranną łodzią. Dołączę do ciebie jutro w porze lunchu. Nikt z mojej rodziny nigdy się nie dowie, że tutaj byłaś.

Kellie wiedziała, że ma rację, ale wcale jej się to nie podobało. - To takie cholernie śmieszne, prawda? To całe ukrywanie się. Szkoda, że nie może być inaczej.

A mogłoby, pomyślała, gdybyś o nas powiedział Isabelle przed świętami, bylibyśmy teraz daleko stąd.



- Ja też żałuję.

- Nie cierpię okłamywać ludzi. Sally i Roddy są dla mnie tacy mili. Czuję się jak oszustka.

- Zapomnij o nich. Dlaczego w ogóle przejmujesz się tym, co pomyślą?

Nie odpowiedziała. Ale przejmowała się. Wyobraziła sobie, jak wraca tu za rok z Elliotem, aby odwiedzić jego ojca. Wszyscy ludzie, których poznała ze-  
szłego wieczoru, ją rozpoznają, uznają za kłamczuchę i tak też potraktują. A co z  
ojcem Elliota? Co sobie pomyśli o kobiecie, która oszukała jego sąsiadów i przy-  
jaciół?

Ale możliwe, że Elliot miał rację. Może zupełnie nie powinna się nimi  
przejmować. Jakie znaczenie będzie miało to, co sobie o niej pomyślą, skoro ona  
i Elliot będą już razem?

Odsunęła się od niego.

- A tak w ogóle co to za miejsce? - zapytała.

- Szopa na łodzie mojego ojca.

Po raz pierwszy znalazła się w miejscu, które bezpośrednio wiązało się z ro-  
dziną Elliota. Drewniane drzwi na końcu szopy były w kiepskim stanie i z ze-  
wnątrz przezierały cienkie pasemka białego zimowego światła. W ścianie tkwiły  
różne haki, podtrzymujące dziwny asortyment płaszczy i zniszczonych kurtek.  
Niektóre były w dużych rozmiarach, a inne w dziecięcych. Pod sufitem podwie-  
szono na linach bom i deskę surfingową.

Pośrodku szopy stała biała zdezelowana łódka z opuszczonym masztem i  
zwiniętymi żaglami.

Podeszła do niej. - Więc to tutaj spędzasz lato? - Jeszcze raz spojrzała na  
małe kamizelki ratunkowe. Jedna z nich musiała należeć do Taylor. Nagle zdała  
sobie sprawę z całej rodzinnej historii, którą dzieliła ze sobą familia Thorne'ów,  
ze wszystkich wspomnień Elliota, których częścią nigdy nie będzie.

Elliot przytaknął. - Dawniej tak było. Kupiłem tacie tę łódź, kiedy przeszedł na emeryturę, ale chyba nie korzysta z niej zbyt często.

Kellie przesunęła dłonią po boku łodzi wykonanym ze szklanego włókna i odsunęła się od Elliota.

I wtedy to zobaczyła. Zatrzymała się i odsunęła rękę od łódki, jak gdyby się sparzyła. Zamaszyste niebieskie litery układały się w imię *Isabelle*.

Elliot kupił ojcu łódź i nazwał ją Isabelle?

- Co się stało? - zapytał Elliot.

Odwróciła się i posłała mu wymuszony uśmiech, zmusiła się do ukrycia zazdrości, którą właśnie poczuła. Czy łódka zawdzięczała swoją nazwę Elliotowi, czy jego ojcu? Nie wiedziała, co byłoby gorsze. A może - ta myśl tak bardzo ją wstrząsnęła, że natychmiast ją odpędziła - a może Elliot wcale nie kupił jej dla ojca, lecz dla Isabelle? Czy to możliwe, że ją okłamuje?

- Nic - powiedziała.

Musiała być silna. Przypomniała sobie, jaki śmieszny wydał jej się Elliot wczoraj wieczorem, kiedy okazał zazdrość, i postanowiła, że ona nie popełni tego błędu. Zresztą, pomyślała sobie, jeśli nadal miała być z Elliotem, mnóstwo rzeczy będzie jej przypominać o Isabelle. Nie może reagować w ten sposób na każdą z nich. Gdy zdobędzie Elliota, nie będzie powodów do zazdrości.

- Po prostu chciałabym, żebyśmy byli już w domu - powiedziała, pragnąc tego bardziej niż kiedykolwiek. Ledwie mogła pojąć, że w ciągu niespełna czterdziestu ośmiu godzin zdążyli przenieść się z ich londyńskiego mieszkania do komfortowego hotelu z wielkim łóżem, a skończyło się na szeptach w zimnej szopie na łódki, gdzie czuli się jak zbiegowie.

Jak mogła mu powiedzieć, że to miejsce przyprawia ją o gęsią skórkę? Że to wszystko, co on tak doskonale zna, jej jest zupełnie obce. Być może gdyby przyjechała tu tak, jak to sobie wyobrażała, jako gość jego ojca, któremu została już

oficjalnie przedstawiona, czułaby się inaczej. Wtedy mogłaby przechadzać się po szopie i pytać Elliota o jego wspomnienia, nie czując tej strasznej niepewności. Zamiast tego przebywała tu w tajemnicy, co sprawiało, że ich wspólne życie w Londynie wydawało się bardziej odległe niż kiedykolwiek.

- Chodź tu - powiedział z tym znajomym szatańskim uśmiechem na twarzy. - Znam wspaniały sposób na poprawienie ci humoru.

- Elliot - powiedziała, nie ruszając się z miejsca. - Tu jest strasznie zimno.

- Nigdy wcześniej ci to nie przeszkadzało. Pamiętasz nasz pobyt w Moors<sup>19</sup>? Spędzili tam weekend kilka miesięcy temu, kiedy pracowali nad pewną sprawą w Yorkshire.

- Naprawdę chcesz to zrobić tutaj? Teraz?

- Dlaczego nie? Są święta.

Elliot próbował ją pocałować, ale dla niej nie była to żadna gra- i nie była w nastroju na takie zabawy.

- Co się dzieje? - zapytał.

Wytarta usta wierzchem dłoni. - Nie mogę.

- Dlaczego nie? - Spojrzał na nią zmieszany, urażony.

- Dlatego... dlatego że to szopa twojego ojca. To po prostu nie wydaje się w porządku.

- Nikt nas nie przyłapie - powiedział Elliot.

- Nie o to chodzi.

Spojrzała na niego, pragnąc, żeby zrozumiał, pragnąc, żeby to wszystko naprawił. Wiedziała, że odmawianie mu w ten sposób stanowiło złamanie pewnej niepisanej umowy, lecz teraz nie mogła już tego cofnąć.

- Chcę, żeby wszystko było... w porządku - powiedziała.

---

<sup>9</sup> Jeden z parków narodowych Wielkiej Brytanii mieszczący się w północnym Yorkshire.

- Chcę być z tobą na poważnie. Nie tak.

- Będziemy razem. Wiesz, że będziemy.

- Bo musisz wiedzieć, że to nie są moje idealne święta Bożego Narodzenia - powiedziała, bliska łez. - Tak naprawdę są całkiem i zupełnie do dupy.

Całkiemspieprzone, pomyślała nagle, przypominając sobie, jak Ben rozśmieszał ją na łodzi. Pomyślała o niebie, o morzu i o całym tym świetle - lecz teraz stała w obskurnej szopie. Rzeczywiście, te święta były zupełniecałkiemspieprzone.

Elliot ciężko westchnął, po czym delikatnie ją przytulił.

- Nie smuć się. Daj spokój...

- Będziesz musiał wracać - powiedziała. - Czekają na ciebie, prawda?

Myślała, że zaprzeczy, znajdzie jakąś błyskotliwą wymówkę, dzięki której spędzą razem więcej czasu, lecz zamiast tego pocałował ją w czubek głowy.

- Dobra - powiedział, a następnie uniósł jej brodę koniuszkiem palca, żeby spojrzeć jej w oczy. - Chyba masz rację, ale daj mi jeszcze jeden uśmiech, żebym miał co wspominać.

Zdobyła się na coś w rodzaju uśmiechu, ale nie był to uśmiech, jakim zwykła go żegnać.

- Dobra dziewczynka - powiedział.

Ciągle powracała myślami do tego zdania, jeszcze długo po tym, jak odszedł i zostawił ją samą pośród mroku.

Kiedy Kellie wyszła z szopy i wracała na główną drogę, wsadziła ręce do kieszeni. Wiał zimny wiatr, a na ziemi nadal leżała gruba warstwa śniegu. Niebo

---

miało jasną fioleto-różową barwę, lecz mimo to świeciło słońce. Czerwone i zielone drzwi kamiennych domów wyróżniały się na białym tle.

Myślała, że po spotkaniu z Elliotem będzie szczęśliwa, lecz teraz była bardziej zaniepokojona niż kiedykolwiek wcześniej. Jeszcze kilka dni temu ich wspólna tajemnica napawała ją optymizmem, jak gdyby świadomość tego, że się kochają, była światłem, które płonęło w jej wnętrzu. Teraz przypominała raczej robaka trawiącego jej duszę.

Kiedy doszła do drogi, spojrzała w dół, na przystań, gdzie łodzie pokrywała warstwa śniegu. Wzięła głęboki oddech, patrząc na płaską powierzchnię wody. Szary lód nadawał przystani wygląd wiejskiego stawu. Było tak pięknie, że czuła się jak bohaterka powieści Dickensa. Osobiście nie była jego wielbicielką, ale Ben, który przeczytał chyba każdą zekranizowaną książkę, bez wątpienia miałby na ten temat coś do powiedzenia.

- Hej, jak twoja głowa? - zapytał Ben, wyłaniając się nagle zza rogu, co sprawiło, że aż podskoczyła. Zastanawiała się, czy widział, jak wychodziła z szopy. Poczwała, że się rumieni, lecz on się uśmiechał. - Pomogło ci świeże powietrze?

Rano wyolbrzymiła swojego kaca, żeby wydostać się z domu i spotkać z Elliotem.

- Wszystko w porządku - powiedziała i ruszyła razem z nim drogą.

- Musimy przestać na siebie wpadać - odparł. - Ludzie zaczną gadać...

Nie była w nastroju na żarciki, a tym bardziej na flirtowanie. - Jakież sukcesy w zmaganiach z łodzią?

- Dopóki wszystko jest skute lodem, nawet o tym nie myślę. - Podtrzymał ją, kiedy poślizgnęła się na ubitym śniegu pokrywającym drogę. - Łap równowagę.

Ben zobaczył jakąś parę, która wychodziła z jednego z przydrożnych domów, i pozdrowił ją okrzykiem, wymieniając życzenia wesołych świąt.

- Zupełnie nie czuję, że są święta. Czuję się tutaj tak dziwnie - powiedziała Kellie.

- Chyba nie dziwniej, niż gdybyś siedziała sama w hotelu, co?

Zwolnili kroku i zatrzymali się.

Czuła, że wydaje mu się dziwaczna. Dotarło do niej, jakie osobliwe musi sprawiać wrażenie, pomimo nieśmiałych prób wyjaśnienia, które podjęła zeszłego wieczoru w pubie. Jego ciekawość wcale jej nie dziwiła. Przecież gdyby sytuacja była odwrotna, sama miałaby setki pytań. Przez krótką chwilę pragnęła powiedzieć mu prawdę. Wyjaśnić, że jest tu z jakiegoś powodu. Że jest racjonalną ludzką istotą potrafiącą dobrze wytłumaczyć swoje zachowanie i kierującą nią bardzo szlachetne motywy, ponieważ podąża za głosem miłości, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Spróbowała zatem obrócić to w żart.

- W hotelu dostałabym przynajmniej świąteczny lunch - powiedziała.

- Ale nie miałabyś nikogo, kto pociągnąłby za drugi koniec strzelającej niespodzianki<sup>110</sup>...

- Użyłabym obydwu rąk i pociągnęłabym go sama.

Ben wyciągnął rękę, sprawdzając praktyczne szanse na realizację takiego zamiaru. - Ale mogłabyś uderzyć kelnera łokciem.

- Nie, mam zbyt skoordynowane ruchy.

- Mimo to nie miałabyś komu przeczytać czerstwego dowcipu - zauważył.

- To prawda - przyznała.

---

<sup>10</sup> Bożonarodzeniowa tradycja kultywowana w Wielkiej Brytanii: dwie osoby ciągną za przeciwległe końce strzelającej niespodzianki, która wyglądem przypomina przerośniętego cukierka owiniętego w celofan. Gdy niespodzianka pęka, rozlega się odgłos podobny do wystrzału z pistoletu na kapiszony. W środku znajdują się min. karteczki z dowcipami.

- No cóż, nie musisz się martwić o to, że ominie cię świąteczny lunch - powiedział - bo nie zamierzamy umierać tu z głodu. Udało mi się wycygnąć parę smakowitych kasków z pubu.

Mogła się domyślić, że oceni ją w taki sposób. - Nie jestem złą kucharką - powiedziała. - Mogę ci pomóc.

- Nie, nie. Zostaw to mnie. Wszystko załatwię. To tylko fasolka na grzance. Później możemy wpaść do pubu i zjeść na deser kilka chipsów.

Fasolka na grzance... starała się ukryć rozczarowanie. Zresztą to bez znaczenia - pomyślała szybko. Święta Bożego Narodzenia i tak są nieważne, prawda? To tylko etykieta nadana pewnemu dniu przez wiarę, której ona nie wyznawała.

- Fasolka na grzance brzmi całkiem nieźle - powiedziała Benowi. - Co będziemy robić w tak zwanym międzyczasie?

- Cóż, muszę wpaść na chwilę do Jacka. Obiecałem, że rzucę okiem na komputer jego taty, który niedawno się zepsuł. Zaprosiłbym i ciebie, ale raczej nie zapowiada się na dobrą zabawę. Prawdę mówiąc, jego ojciec ma trochę nierówno pod sufitem.

- Więc zobaczymy się w porze lunchu?

- Tak. Przyjdę po ciebie.

- Dobra. W takim razie do zobaczenia. - Lekko się do niego uśmiechnęła i ruszyła w swoją stronę, lecz kiedy tylko się odwróciła, poczuła, jak coś uderza ją prosto między łopatki.

Wydała z siebie stłumiony okrzyk, a gdy się odwróciła, zobaczyła roześmianego Bena, który już lepił następną kulkę.

- Ty świnió! - powiedziała.

- O, daj spokój - powiedział Ben. - Jesteś idealnym celem. Nie można ci się oprzeć.

Mówiąc to, rzucił w nią następną kulką. Uchyliła się w ostatniej chwili i śnieg wylądował na ścianie za jej plecami.

- Hej! - Rzuciła się do ucieczki, pospiesznie lepiąc kulkę, żeby się obronić, lecz Ben był o wiele szybszy i po chwili nakrył jej głowę kapturem i kompletnie zrujnował fryzurę. Pociła się i śmiała, biegnąc za Benem, i chwyciwszy go za rękę, przytrzymała na tyle długo, aby podskoczyć i wepchnąć mu kulkę za kołnierz.

Upadł na ziemię, krzycząc i szarpiąc kurtkę. - Poddaję się, poddaję się, dośyć - błagał.

Kellie roześmiała się i zrobiła krok do tyłu, otrzepując rękawice. Z wysiłku nie mogła złapać tchu. Dopiero kiedy wyciągnęła rękę, żeby pomóc Benowi wstać, zobaczyła Elliota, który tkwił przed pubem. Przez chwilę wpatrywał się w nią z kamiennym wyrazem twarzy, a potem się odwrócił.

- Załatwiłaś mnie - powiedział Ben, po czym stanął i wy-trzepał śnieg z włosów. Uśmiechnął się do niej. Miał zaczerwienione policzki, a w jego oczach połyskiwało słońce.

- Sam zacząłeś - powiedziała, lecz nie myślała już o ich wojnie na śnieżki i nie odpowiedziała mu uśmiechem.

- Wszystko gra? - zapytał.

Zmusiła się do uśmiechu. Nie może się dowiedzieć, że właśnie zobaczyła Elliota, ani choćby przeczuwać, jakie to dla niej ważne. Musiała udawać, że wszystko jest w porządku. - Po prostu nagle zrobiło mi się zimno. Wracam do przybudówki, żeby się ogrzać.

- Do zobaczenia za jakiś czas - zawołał za nią, kiedy szła w kierunku pubu. Pomachał jej, a ona bez większego zaangażowania odpowiedziała mu tym samym.



Kiedy szybkim krokiem szła do przybudówki, jej myśli zaprzętał Elliot. Było jej tak bardzo wstyd, że zobaczył jej śnieżną bitwę z Benem. Jego mina świadczyła o tym, że najwyraźniej nadal jest zazdrosny, a ona czuła się winna, jak gdyby przyłapał ją na gorącym uczynku. Nie mogła tego znieść. W jego głowie pozostał obrazek, na którym ona podtrzymuje Bena. Opatrznie to zrozumie. Ogarniała ją panika. W jaki sposób mogłaby się z nim skontaktować i go uspokoić?

Z drugiej strony, po co miałyby go uspokajać? Powinien ufać jej tak, jak ona ufa jemu. W końcu od niej wymagał większego zaufania. To on spędzał ten czas z rodziną. To on nazwał łódź imieniem swojej żony, na miłość Boską! Zresztą jak miała się zachowywać, kiedy był razem z Isabelle? Nie śmiać się? Nie bawić?

Rozejrzała się wokół. Wszystko wydawało się takie białe i niewinne, a jednak ona czuła się winna jak nigdy dotąd. Ale nie było powodów, dla których powinna mieć poczucie winy, pomyślała sobie. A już z pewnością takim powodem nie był Ben.

Wróciła myślami do spotkania z Elliotem, które miało miejsce zaledwie dziesięć minut wcześniej, i wszelkie resztki otuchy, jakiej dodał jej pocałunkiem, zniknęły. Tamta łódź była namacalnym śladem obecności Isabelle. Kellie zawsze sobie wyobrażała, że Isabelle cichutko zniknie, gdy tylko ona i Elliot zaczną naprawdę być razem, lecz teraz zrozumiała, że wcale nie będzie tak łatwo. Czy rodzina Elliota obarczy ją winą za rozbitcie jego małżeństwa? Oczywiście, że tak. Czy zaakceptują ją na tyle, że pewnego dnia spędzą wspólnie święta Bożego Narodzenia? Tylko czas może odpowiedzieć na to pytanie.

Nagle zdała sobie sprawę, że idzie wprost na jakichś ludzi stojących na drodze. Zatrzymała się i od razu rozpoznała nastoletniego chłopca. Wpatrywał się w

nią. Był to syn Sally, chłopak, którego wczoraj wieczorem Elliot przyprowadził do pubu.

- Ty musisz być Michael - powiedziała Kellie.

- Tak. - Odwrócił wzrok. Zauważyła jego lekki wąsik i tyczkowate niezgrabne kończyny, które przypomniały jej o dotkliwym zażenowaniu, jakie wiązało się z jego wiekiem.

- Tak myślałam. Twoja mama była dla mnie bardzo miła. Mieszkam w przybudówce.

- Wiem.

Uśmiechnęła się do niego, ale nie odpowiedział jej tym samym. Kellie odwróciła się w stronę młodej kobiety stojącej obok niego. Ścisnęło ją w żołądku, kiedy spojrzały na nią oczy przerażająco podobne do oczu Elliota.

- Chodź, Taylor - powiedział Michael. - Idziemy. Kellie poczuła, jak zasycha jej w ustach, ponieważ Taylor

nie spuszczała z niej wzroku. Wyglądała o wiele doroślej niż w wyobrażeniach Kellie. Musiała być w wieku Michaela, lecz już teraz przypominała dorosłą osobę. Miała dumną postawę i spojrzenie tak pewne, że wręcz aroganckie.

Kellie pospiesznie przeszła obok i prawie pobiegła w kierunku drzwi domku. Kiedy je otworzyła i weszła do środka, zrobiło jej się słabo, a gdy zatrzęsnęły się za jej plecami, bezwładnie się na nie osunęła.

Kiedy rozglądała się wokół, płonęły jej policzki. Spojrzała na skotłowaną narzutę przy kominku, w miejscu, gdzie Ben spędził noc. Pragnęła tylko tego, żeby znaleźć się jak najdalej stąd.

To była katastrofa. Nie w taki sposób miała poznać Taylor: bez Elliota, przed jego rozstaniem z Isabelle. Poczula się tak, jak gdyby jej wszystkie plany wymknęły się spod kontroli.

Co gorsza, czuła jeszcze coś. Choć wydawało się to niemożliwe, była pewna, że Taylor wie.

## Rozdział piętnasty

W jadalni Geralda Thorne'a trwała w najlepsze gorączka rozpakowywania prezentów. Płynęły dźwięki płyty Isabelle zatytułowanej *Święta z paparazzi* i Frank Sinatra nucił „*Have yourself a merry little Christmas*” przy akompaniowaniu syczącego i strzelającego ognia. Pomimo panującego na zewnątrz zimna, w pokoju było duszno i gorąco. Z kuchni dolatywała woń pieczonego indyka i gotowanych ziemniaków, mieszając się z mdlącym zapachem świeczek „o zapachu Bożego Narodzenia”, które Isabelle rozstawiła w całym pokoju.

Elliot, stojąc przy pianinie w rogu jadalni, otworzył szampana i rozlał go do kieliszków ustawionych na srebrnej tacy. Stephanie, która klęczała na podłodze obok choinki, marzyła o tym, żeby się pospieszył. Jeśli wkrótce nie otworzą pozostałych prezentów, nie wróci do kuchni na czas i przepadnie cały lunch.

Może zmienia się w Isabelle, pomyślała ponuro, denerwując się na siebie za to, że tak się denerwuje, lecz nic nie mogła na to poradzić. Przez poranną wycieczkę Elliota i Taylor otwieranie prezentów trochę się opóźniło, a Stephanie miała lepsze rzeczy do roboty niż czekanie na brata, zwłaszcza że Gerald nalegał,

aby lunch rozpoczął się o pierwszej, i każdy, kto miał ochotę, mógł później wyjść. To, dokąd się wybierał, pozostawało dla Stephanie tajemnicą, a zresztą po wczorajszej śnieżycy i tak było o wiele za zimno.

Elliot sprawiał wrażenie, jakby wcale mu się nie spieszyło. Patrzyła, jak roz-  
daje szampana. Chociaż w ostatnich latach

zupełnie przestała interesować się modą, nadal była dobrze zorientowana dzięki przeglądany w poczekalni kolorowym magazynom, więc zauważyła, jak żałośnie szykowne i typowe dla wyższych sfer jest zestawienie granatowej marynarki i spodni. Choć po tych wszystkich latach wydawało się to raczej nieunik-  
nione, naprawdę przeistoczył się w idealnego sztucznego męża Isabelle. Dziś, na przykład, z okazji świąt wystroił się w stylu, w jakim nie widziała go nigdy wcześniej. Nawet wziął prysznic i się ogolił.

Miał dopiero trzydzieści dziewięć lat, na miłość boską - był młodszy od niej. Skąd się wzięła ta podróbka patriarchy z klasy średniej w średnim wieku? Co się stało z tym zbuntowanym nastolatkiem, który wyliczał jej zalety Buzzocksów i Sex Pistols? Z tamtym dzieciakiem, którego zawieszono w prawach ucznia za to, że trzymał na ławce egzemplarz *Men Only*, z chłopakiem, którego nauczyła palić papierosy i przeklinać, i który siedział w dżinsach w wannie, dopóki nie przykleiły się do jego kościstych nóg jak kora do dwóch drzew?

Czy chodziło tylko o wiek? Wiedziała, że ona również się zmieniła, ale w ciągu ostatnich dwóch lat Elliot zmienił się w większym stopniu. Być może gdyby bardziej uważała, nie dopuściłaby do zwiększenia się dystansu, który ich teraz dzielił. Miała wrażenie, że nie jest już w stanie dotrzeć do niego i przypomnieć mu o tym, jacy byli sobie bliscy. Teraz ogarniał ją smutek na myśl, że tak naprawdę wcale go nie zna i nie ma pojęcia, co dzieje się w jego głowie.

Elliot spojrział na nią, jak gdyby wyczuł, że o nim myśli. Uśmiechnął się i unióśł brwi, próbując zrobić przyjazną minę. Może nadal jest tamtym dawnym Elliotem, pomyślała, ale nie była tego pewna.

Co czuł, kiedy na nią patrzył? - zastanawiała się, doświadczając nagłego zakłopotania. Współczucie? Nie wiedziała. Sama rzadko patrzyła teraz w lustro, nie mówiąc o strojeniu się z myślą o tym, żeby zrobić na kimś wrażenie. Dawniej uwielbiała modne ubrania. Sposób, w jaki zwyczajne włożenie krótkiej spódniczki i butów na obcasach dawało jej kiedyś poczucie pewności siebie i elegancji - nawet po całym dniu spędzonym na badaniu niezidentyfikowanych wysypek i wypisywaniu recept - wydawał jej się teraz czystą magią. Uśmiechnęła się lekko, przypominając sobie wyprawy na zakupy w towarzystwie swojej najlepszej przyjaciółki, Tessy.

Wtedy jej uśmiech zbladł. Nadszedł czas, kiedy ubrania straciły wszelki wpływ na jej nastrój. Jej uczucia zamarły jak wskazówki popsutego zegara i nic nie było w stanie ponownie ich poruszyć.

Oddałaby wszystko, żeby znowu coś poczuć, ale nie wiedziała, jak tego dokonać.

Uszczypnęła się mocno w grzbiet dłoni, odganiając te myśli. One nikomu nie przyniosą żadnych korzyści, pomyślała. Zamiast tego wpatrywała się w bałagan, który powstał rano, gdy Nat i Simon otworzyli swoje skarpety z prezentami. Pomimo jej prób utrzymania porządku po całej podłodze walał się kolorowy papier i puste pudełka.

Spojrzała na swoje dzieci, które siedziały obok siebie przy kominku, podczas gdy David otwierał przegródkę na baterie w miniaturowym zdalnie sterowanym samochodzie Simona. Nat była zajęta zdrapywaniem świecących naklejek z papieru i przyklejaniem ich do dywanu. Wtedy Stephanie dostrzegła tuż obok siebie

Geralda przyglądającego się swoim stopom obutym w zielone kapcie z wizerunkiem Shreka, które podarował mu Simon.

Podał Stephanie kieliszek szampana. - Bycie ogrem jest całkiem przyjemne - powiedział. - Czy w ramach prezentu urodzinowego mogę liczyć na pozostałą część kostiumu?

Stephanie uściśnęła jego rękę. - Zrobię, co będzie w mojej mocy, tato - powiedziała, wiedząc, że po prostu próbuje ją rozweselić.

- Och! *Canapés!* - powiedziała Isabelle i rzuciła się w stronę kuchni, jak gdyby właśnie wybuchł tam pożar.

Gdy tylko otworzyła drzwi do salonu, do środka wpadł pies i skoczył na nogi Elliota.

- Daj spokój, Rufe. Zrób sobie przerwę w składziku na narzędzia, dopóki nie załatwimy sprawy prezentów - powiedział, zerkając na Stéphanie, która odprowadziła psa za obrożę w kierunku drzwi i wypchnęła go na zewnątrz. -1 lepiej nie rób tego po raz drugi.

Gdy tylko Elliot się odwrócił, Taylor poderwała się ze skórzanego fotela i szybko pochwyciła kieliszek z tacy, po czym opróżniła go jednym haustem i ponownie opadła na fotel, podkurczając nogi.

- Chwileczkę - powiedział Gerald. - Wolno ci pić szampana, kochanie?

- Piję go bez przerwy - poinformowała go Taylor. Gerald zachichotał. - Naprawdę? No cóż, ta porcja należała

chyba do Davida. - Podszedł i napełnił kieliszek, po czym poda! go Davidowi. Stéphanie usłyszała, jak mówi do niego ściszym głosem. - Tu trzeba mieć refleks.

- Zatem na zdrowie - powiedział Elliot, kiedy wróciła Isabelle i położyła na stole talerz z chińskiej porcelany.

Stéphanie patrzyła na bliny z wędzonym łososiem przygniecione *crème fraîche* i szczypiorkiem. Były doskonałą gwarancją, że wszystkim minie apetyt. W tle rozległo się głośne wycie psa, który tkwił za drzwiami.

- Życzę wszystkim wesołych świąt - powiedział Gerald.

- Wesołych świąt - odpowiedziała sumiennym echem Isabelle, po czym przyjęła od Elliota kieliszek i westchnęła z zadowoleniem, jak gdyby efekt końcowy był w stu procentach wart wysiłku, jaki wcześniej wykonała.

Tego ranka Isabelle promieniała. Miała idealny makijaż, lśniące oczy. Ubrana była w szyte na miarę kremowe spodnie i beżowy moherowy sweterek, który zacierał krawędzie jej postaci i nadawał wygląd kobiety z nieostrej fotografii. Wyglądała na odprężoną i szczęśliwą, lecz była to zapewne zasługa dwugodzinnej kąpieli, którą urządziła sobie tego ranka, podczas gdy Stephanie faszerowała indyka. Grunt to dobra organizacja pracy, a Isabelle opanowała tę sztukę do perfekcji.

Przy niej Stephanie czuła się jak kocmołuch. Zdała sobie sprawę, że nadal ma na sobie umazany mąką fartuch. Prawie w ogóle nie spała. David, który późno położył się spać, przez całą noc chrapał, a o świcie obudzili ją Nat i Simon, którzy chcieli iść otworzyć prezenty. Stephanie pospiesznie włożyła to, co miała na sobie dzień wcześniej, i podjęła nieśmiałą próbę obudzenia Davida, lecz on tylko coś burknął i przewrócił się na drugi bok, więc sama popędziła na dół. Zanim dotarła do salonu, dzieci zdążyły otworzyć większość prezentów. Stephanie wiedziała, że David będzie zawiedziony, lecz zlekceważyła go. Dlaczego to on miałby przypisać sobie wszystkie zasługi? Z pewnością nie pełnił w rodzinie funkcji Świętego Mikołaja - a jeśli nie był nawet tym, to właściwie co mu pozostawało? Stephanie nie była pewna.

- Może powinniśmy wznieść toast za kochanych nieobecnych? - powiedziała Isabelle, spoglądając wyczekująco najpierw na Stephanie, a potem na Geralda.

- Powstrzymajmy się z toastami do czasu lunchu, dobrze? - powiedział Gerald, zerkając na Stephanie, jak gdyby chciał jej przypomnieć o tym, że obiecała się nie denerwować.

A trudno było się powstrzymać. To nie Isabelle powinna proponować takie toasty - Emma Thorne nie była jej matką, a Paul nie był jej synem. Nie miała bladego pojęcia o tym, co czuje Stephanie lub jej ojciec.

- Taylor, przestań, kochanie - powiedziała Isabelle, powracając do swojej normalnej roli. - To bardzo irytujące.

Taylor nie zwróciła na nią uwagi i nadal testowała dzwonki swojej nowej komórki, bezwiednie kopiąc wielką górę drogich prezentów upchniętych obok jej fotela.

- Mogę dostać trochę bąbelków? - zapytała Nat, wpychając paluszki do kieliszka Stephanie, żeby później zlizać z nich płyn.

- Nie. Nie za dużo - powiedziała Stephanie, próbując odsunąć od niej kieliszek. - Może poczęstujesz dorosłych tar-tinkami?

- Rozdawaj prezenty, Steph - powiedział Elliot.

- Ten jest od nas dla ciebie i Isabelle - powiedziała Stephanie, podnosząc krzywo zapakowane pudełko skrywające szklaną misę z *potpourri*.

Isabelle upiła spory łyk szampana, pomachała dłonią i ominęła resztki kolorowego papieru, podchodząc do Stephanie, która położyła prezent na dywanie.

- Zróbmy to razem. Tam leżą nasze prezenty dla ciebie i Davida. O, ten jest twój - powiedziała, przechodząc obok Stephanie, żeby wręczyć jej prezent o sporych gabarytach. - David, to dla ciebie - ciągnęła, udając, że traci równowagę podczas wręczania mu wielkiego pakunku.

David posłał Stephanie wymowne spojrzenie. Doskonale wiedziała, co ono oznacza: był zakłopotany z powodu prezentu. Obydwoje wiedzieli, że ma rację. Prezent był zbyt mizerny. Stephanie zamierzała powiedzieć Isabelle, co się stało



z kieliszkami, lecz teraz, czując na sobie wzrok Davida, stchórzyła. Nie chciała ryzykować, że Isabelle również uzna ją za idiotkę, która kupiła prezent ze szkła. Po prostu później będzie musiała powiedzieć o wszystkim Elliotowi.

- No, śmiało, najpierw wy - powiedziała Isabelle, a jej twarz rozjaśniła się w oczekiwaniu, gdy uklękła obok szwa-gierki.

Stephanie rozpakowała wielki prezent. W środku był flakon perfum i pasujący do niego balsam do ciała. Taki komplet musiał kosztować fortunę. Była tam również modna książka o zabiegach pielęgnacyjnych, którą Stephanie chciała sobie kupić jakiś czas wcześniej, lecz uznała to za zbyt nie poważne. Poczula przypływ innego zakłopotania. Czy wyglądała aż tak okropnie, że ludzie czuli się w obowiązku kupować jej książki na temat pielęgnacji urody?

- O... mój Boże... - powiedziała Stephanie.

- Moja przyjaciółka twierdzi, że książka jest fantastyczna

- powiedziała Isabelle. - Zupełnie odmieniła jej życie. Trudno wyczuć, w co należy się ubierać, kiedy człowiekowi przybywa lat, prawda? Trzymasz się dawnego stylu...

Stephanie cieszyła się, że Isabelle sama kopie sobie dół.

W tle zdalnie sterowany samochód Simona obudził się do życia. Siedząca obok niej Taylor zaczęła podrzucać w górę orzeszki i próbowała łapać je w otwartą buzię. Elliot, jego ojciec i David wybuchnęli śmiechem, kiedy jeden z nich opowiedział dowcip.

- ... mam na myśli to, że, no wiesz, miałam wielkie szczęście, że spotkałam Lucy. Od lat kupuje mi ubrania w Self-ridges i dokładnie zna mój gust... ale inni ludzie... - ciągnęła Isabelle.

- Na pewno się przyda - powiedziała Stephanie, dając jej wreszcie spokój, i pochyliła się, żeby pocałować ją w policzek.

Isabelle się uśmiechnęła. - No cóż, zobaczmy, co tu mamy

- powiedziała, podnosząc prezent od Stephanie z podłogi. Zważyła go w dłoni jak małe dziecko, które próbuje zgadnąć, co jest w środku.

Stephanie zwinęła drogi papier ze swojego prezentu i poczuła, że robi jej się słabo. Ponownie próbowała sformułować odpowiednie zdanie i powiedzieć Isabelle, że to tylko drugorzędny, rezerwowy prezent, lecz i tym razem nie mogła znaleźć właściwych słów, które nie brzmiałyby jak wymówka. Jeszcze bardziej dobijało ją to, że Isabelle specjalnie przedłużała całą ceremonię, ostrożnie zdejmując tani papier, aż w końcu ukazała się misa z *potpourri*.

- Ojej! - powiedziała, po czym wstała z klęczek i pocałowała Stephanie. Albo była wyjątkowo dobrą kłamczucha, albo naprawdę jej się podobał. - Będzie idealnie pasować do naszego salonu.

- Właśnie tak myślałam - powiedziała Stephanie, czując się jak kompletna jędza.

Uśmiechnęła się lekko do Isabelle, a ona odpowiedziała jej tym samym i nastąpiła chwila milczenia. Otóż to. Całe podniecenie i ekscytacja Isabelle ulotniły się w ciągu jednej sekundy i zniknęły niczym bańka mydlana przekłuta szpilką. Tak po prostu. Żadna z nich nie mogła dłużej udawać, że mają do czynienia z czymś więcej niż tylko zwykłym rozczarowaniem.

To wszystko jest bez sensu, pomyślała Stephanie. Wszyscy udają, że święta są wspaniałe i mają ogromne znaczenie, ale żadne z nich nie poszło do kościoła. Chociaż nie było nabożeństwa, Stephanie żałowała, że po prostu nie poszła zmówić modlitwy. Dobrze byłoby zabrać ze sobą dzieci. Nie panowała tam ta gorączka wybujałego konsumpcjonizmu, którą wyczuwało się w domu. Spojrzała na Simona, który wpychał do buzi chipsy, waląc w klawisze małego pilota. On nie miał pojęcia, co to wszystko znaczy. Bo i skąd miałby je mieć? Co takiego zrobiła, żeby rozwinąć jego duchowość? Kiedy nowy samochodzik mknął pod stołem, czuła się jak ostatnia ofiara.

- A ty, tato? - zapytała Taylor. - Nie powinieneś dać dziadkowi jego prezentu? W końcu p o t o poszliśmy dziś rano do miasteczka. - W jej głosie była jakaś zaczepna nuta, złośliwość, która nie uszła niczyjej uwagi.

Isabelle zaczęła niecierpliwie cmokać i wstała ze śmiechem, żeby podejść do Davida, który otwierał swój prezent. - Widzisz, Gerry, tak to jest, kiedy zostawia się zakupy na ostatnią chwilę.

Elliot uśmiechnął się do Taylor i Isabelle. - Hej, wy dwie, przestańcie się nade mną pastwić. Wesołych świąt, tato - powiedział, podając ojcu małe pudełko. - Przepraszam, że nie pomyślałem o odpowiednim opakowaniu.

- To kompas, który chciałem kupić do łodzi - powiedział Gerald, otwierając pudełko. Najwyraźniej był bardzo zadowolony. - Dziękuję, synu.

- Kupił go w porcie, od handlarza - powiedziała Taylor.

- Prawda, tato? - Właśnie tam byłeś dziś rano.

- Eee... - zaczął Elliot.

- U Phila? - zapytał Gerald. - Chyba nie pracuje w pierwszy dzień świąt.

- Ależ tak - powiedziała Taylor. - Byłbyś zdumiony, gdybyś się dowiedział, co robią ludzie w pierwszy dzień świąt. Prawda, tato?

Elliot niepewnie się do niej uśmiechnął. - Może poczęstujemy się blinami? - zapytał.

- O rany! Jest wspaniała! - powiedział David, rozwijając kurtkę z miękkiej brązowej skóry, którą podarowała mu Isabelle.

- Podoba ci się? - zapytała Isabelle. - Pomyślałam, że ten kolor będzie dla ciebie idealny.

Stephanie też kupiła Davidowi kurtkę. Rozpakował ją wcześniej i od razu wyczuła, że mu się nie podoba. Jej też raczej nie przypadła do gustu, ale kupiła ją na wyprzedazy.

- A to coś dla ciebie, Nat - powiedziała Stephanie, odwracając uwagę od Davida, który przymierzał kurtkę, podczas gdy Isabelle skakała wokół, wygładzając jej rękawy.

- Ooo, jakiś ty przystojny - rzekła Isabelle i roześmiała się, kiedy David pocałował ją w policzek.

Stephanie ponownie skupiła się na Nat, która rozerwała opakowanie i wyciągnęła ze środka długą suknię księżniczki z błyszczącymi bucikami do kompletu. Nat przytuliła ją do siebie, wydając stłumiony okrzyk zachwytu.

- Ciociu Isabelle, to najlepszy prezent w moim życiu - powiedziała.

Stephanie odczuła tę reakcję jak kopnięcie w brzuch. Wczoraj Isabelle napawała Nat przerażeniem, a dziś miała zachowywać się tak, jakby ciocia była jej idolką.

RS

- Suknia księżniczki dla prawdziwej księżniczki - powiedziała Isabelle, uśmiechając się do Stephanie, po czym podeszła do Nat. - Po prostu nie mogłam się oprzeć.

- Czy to też jest moje? - zapytała Nat, wyciągając małą błyszczącą lalkę z różowej szeleszczącej bibułki. Z niedowierzaniem otworzyła oczy, patrząc na Stephanie.

- Przecież nie mogłam zostawić jej samej w sklepie, prawda? - powiedziała Isabelle.

- Co się mówi? - upomniała córkę Stephanie.

- Dziękuję - powiedziała Nat, zarzucając rączki na szyję Isabelle.

- Naprawdę, Isabelle, to zdecydowanie zbyt hojne prezenty - powiedziała Stephanie i rzeczywiście tak uważała.

Isabelle zaczęła pomagać Nat przy wkładaniu sukienki.

- Och, daj spokój! Dzieckiem jest się tylko raz. Trzeba je rozpieszczać.

Elliot podszedł bliżej, żeby podziwiać Nat w jej nowej sukience. - Jak leci? Czy znajdzie się tam jakiś prezent dla Isabelle? - zapytał.

Isabelle klasnęła w dłonie jak podekscytowane dziecko.

- Czy to moja kolej? - zapytała.

Stephanie pogrzebała w stercie pozostałości po prezentach, lecz niczego nie mogła znaleźć.

Elliot odstawił całe przedstawienie i chodząc na czworaka, w końcu znalazł pod choinką maleńkie pudełeczko.

- Bingo! - wykrzyknął tryumfalnie, podając je Isabelle. Stephanie domyśliła się, że to jakaś biżuteria, gdyż na

małym pudełeczku dostrzegła logo Tiffany'ego. Zdusiła ogarniającą ją zazdrość i złość na brata, który tak szpanował pieniędzmi. David nigdy nie kupił

Stephanie niczego tak ekstrawaganckiego. W tym roku w ogóle nie dał jej prezentu.

- Ojej! - wykrzyknęła Isabelle, patrząc na pudełeczko, które następnie otworzyła. Pisnęła z radości, zanim wyjęła ze środka jego zawartość.

Stephanie nienawidziła się za tę ciekawość. Dlaczego w ogóle interesował ją prezent Isabelle? Jakie to miało znaczenie? Ale nie mogła się powstrzymać. Gapiła się na Isabelle, która wyjmowała z pudełka piękny naszyjnik. Był to diamentowy wisiołek w kształcie serduszka, zawieszony na skręcanym platynowym łańcuszku.

Isabelle odwróciła się w stronę kominka i podziwiała swoje odbicie w stojącym tam zdobionym lametą lustrze. Głaskała palcami diamenty spoczywające na jej nieskazitelnej skórze.

- Och, kochanie, jest cudowny - powiedziała i odwróciła się do Elliota, żeby zarzucić mu ręce na szyję. Był zadowolony z jej reakcji. Poklepywał ją po plecach i uśmiechając się do wszystkich ponad jej ramieniem, kręcił głową i przewracał oczami, jak gdyby nie stało się nic wielkiego.

Stephanie nie mogła dłużej na to patrzeć. Isabelle była tak nieznośnie zadowolona z siebie. Nie miała pojęcia, jakie ciężkie jest życie innych ludzi. Jak mogła tak otwarcie szpanować? Zachowywała się tak, jak gdyby cały czas występowała w reklamówce De Beers.

- Czy ktoś mógłby to posprzątać i nakryć do stołu? - zapytała. Wstała i po tak długim klęczeniu jej zdrętwiałe nogi przeszły ciarki. - Zabieram się za lunch.

- Poczekaj! Nie otworzysz tego? - zapytał David, machając w jej stronę źle zapakowanym cienkim czerwonym prezentem. W skórzanej kurtce od Isabelle wyglądał obco, jak bohater jakiegoś detektywistycznego serialu z lat siedemdziesiątych.

- Co to takiego? - Nie potrafiła powstrzymać podejrzliwości. Była zia, kiedy myślała, że David nie zadał sobie trudu, aby kupić jej prezent, lecz teraz zdała sobie sprawę, że było to lepsze niż znalezienie się w centrum uwagi.

- Otwórz, a zobaczysz.

Wzięła od niego małą paczuszkę.

- Przepraszam za opakowanie - powiedział.

W środku znajdowała się koperta z logo biura podróży. - Co to jest?

- To bilety do opery. W Wiedniu - powiedział, rumieniąc się.

Wpatrywała się w kopertę, która spoczywała w jej dłoni, lecz nie otwierała jej. Nie mogła w to uwierzyć. Odniosła wrażenie, że nagle w pokoju zapadła zupełna cisza. Zauważyła, że odtwarzacz płyt kompaktowych utknął na „White Christmas” i Dean Martin bez końca śpiewa: „Dlaczego, dlaczego, dlaczego, dlaczego?”. Patrząc na lśniąca białą kopertę, czuła na sobie wzrok wszystkich zgromadzonych.

Bilety do opery w Wiedniu. Zawsze marzyła o tym, żeby tam pojechać. Dawniej często na ten temat rozmawiali, lecz później zupełnie zapomniała o Wiedniu, który nagle stracił znaczenie. To marzenie należało do osoby, którą była przed śmiercią Paula. Do osoby, która kochała swojego męża, która myślała, że czeka ich szczęśliwa przyszłość, a nie życie wypełnione bólem.

- Skarbie? - zapytał David.

Poczuła przyływ złości. Nie była jego skarbem. Jak David mógł robić coś takiego? I to publicznie. Jak jakiś tchórz. Bo bardzo dobrze wiedział, co by powiedziała, gdyby wręczył jej te bilety na osobności.

Czego on właściwie chciał? Żeby udawali, że to święta Bożego Narodzenia sprzed dwóch lat? Żeby cofnęli się w czasie? Zachowywali się tak, jak gdyby śmierć Paula nigdy się nie wydarzyła? Albo jakby Paul w ogóle nie istniał? Żeby

udawali, że nadal są parą, która może sobie pozwolić na weekendowy wypad do opery?

- Nie cieszysz się? - zapytał. - Powiedz coś.

- Chyba nie będziemy mogli tam pojechać. - Stephanie tarła powieki, po czym oddała mu bilety. Nie mogła powiedzieć, jak czuje się naprawdę. Nie tutaj. Nie teraz, nie przy wszystkich. Nie była pewna, czy nie poniosłyby jej emocje.

- Dlaczego nie? - David nie mógł się z tym pogodzić.

- Wiesz, że nie możemy. Nie możemy zostawić dzieci. „Dlaczego, dlaczego, dlaczego, dlaczego?” - nadal śpiewał Dean Martin.

- Ależ oczywiście, że możecie - powiedziała Isabelle, wyplątując się z ramion Elliota i posyłając Davidowi szeroki uśmiech. - To już załatwione. Nat i Simon mogą przyjechać do nas. Taylor wróci do domu na wakacje, więc pomoże nam się nimi zająć.

- Ale...

- Wasz samolot wylatuje z Heathrow, więc nie ma problemu - ciągnęła pod-ekscytowana Isabelle. - Wszystko zostało już ustalone. Omówiłam to z Davidem.

„Dlaczego, dlaczego, dlaczego, dlaczego?” - krzyczał Dean Martin do ucha Stephanie. Zamaszystym krokiem podeszła do odtwarzacza i uderzyła przycisk stopu.

- Spokojnie, Steph - powiedział Eliot.

- Dlaczego nie mogę jechać razem z wami? - zapytał Davida Simon.

- Już ci mówiłem. To ma być romantyczna wycieczka dla dwojga, mały, oto dlaczego - powiedział David, markując cios w ramię Simona.

- Porozmawiamy o tym później - rzekła Stephanie lodowatym tonem.

Nagle rozległ się huk, ponieważ Taylor przewróciła swoją stertę prezentów. Rozejrzeli się wokół.



- Wszystko w porządku, pączusiu? - zapytał Elliot, kucając obok córki. Wyciągnął rękę, jak gdyby chciał zmierzwić jej włosy, ale odskoczyła od niego i pozbierała prezenty.

- Nudzę się - powiedziała, wstając z fotela. - Idę się położyć.

- Poczekaj chwilę - poprosiła Isabelle.

Taylor odwróciła się i spojrzała jej w twarz. - Na co?

- No cóż, kochanie - rzekła Isabelle, zasłaniając usta dłońmi. - Chcę, żebyś przy tym była. Nie zamierzałam oznajmiać tego w ten sposób, ale skoro już wszyscy tu są i mają takie dobre humory, równie dobrze mogę...

- O co chodzi? - zapytał Elliot.

- Muszę ci coś wyznać - powiedziała Isabelle, splatając dłonie. - Miałam przed tobą pewną tajemnicę.

- Och, kochanie - zażartował Elliot. - Mówiłem, że nie musisz kupować mi tego porsche.

- Mówię poważnie - odparła Isabelle. - Mam pewną nowinę, kochanie, i chciałam zatrzymać ją w tajemnicy aż do tej chwili. Sama dowiedziałam się o tym zaledwie kilka dni temu i, cóż, chciałam powiedzieć o tym wam wszystkim. Ponieważ są święta Bożego Narodzenia, a w święta Bożego Narodzenia liczy się rodzina. No więc...

Szeroko się uśmiechnęła i sięgnęła w stronę Taylor, żeby wziąć ją za rękę.

- Elliot... Taylor... kochani. W naszej rodzinie pojawi się nowa osoba. Spodziewam się dziecka.

## Rozdział szesnasty

RS

- Kellie! - zawołał Ben, stojąc na schodach. - Jesteś tu?

Właśnie minęła pierwsza, a Ben pocił się tak, jakby znajdował się na karaibskiej plaży, choć przed chwilą wszedł do przybudówki z okropnej zimnicy, jaka panowała na zewnątrz.

Wcześniej zaciął się w palec i zabandażował ranę kawałkiem papierowego ręcznika, który okleił taśmą znaną w szufladzie. Zerknął w zawieszone na ścianie owalne lustro w drewnianej ramie i zauważył, że uśmiecha się nerwowo jak jakiś uczeń, co tak naprawdę wcale go nie zaskoczyło, gdyż tak się dokładnie czuł. Ogolił się. Odgarnięte z twarzy włosy były jeszcze wilgotne. Patrzył na

tanie zdarte schody z sosnowych desek, które prowadziły do małej sypialni, gdzie zeszłej nocy spała Kellie.

Czy to, co zamierza! jej pokazać, wystarczy, żeby zmieniła zdanie na jego temat? - zastanawiał się. Czy dzięki temu bardziej go polubi?

Prawie wyśmiał samego siebie. To nie były myśli dorosłego człowieka, lecz - znowu - jakiegoś dzieciaka. Był szefem firmy - a przynajmniej byłym szefem firmy - menedżerem. W przeszłości zatrudniał ludzi, a czasami nawet zwalniał ich z pracy. Właśnie wygrzebał się z zagmatwanego rozvodu i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było angażowanie się w inny związek, zwłaszcza z kimś, kogo prawie nie znał i kto miał już pewne zobowiązania, choć dotyczące jedynie „kogoś w rodzaju chłopaka”.

A może Kellie była właśnie tym, czego p o t r z e b o w a ł , gdyż tęsknił za nią od chwili, w której się rozstali? Jej brak odczuwał jak uderzenie w twarz. Właśnie kiedy myślał, że lepiej ją pozna, wyslizgnęła mu się z rąk niczym przelatujący przez palce piasek.

Jeden krok do przodu, dwa w tył - dokładnie tak się przy niej czuł. Tak jak podczas porannej bitwy na śnieżki: w chwili kiedy udało mu się ją rozweselić, znowu zamknęła się w sobie.

Cóż, nie zamierzał tak łatwo dać za wygraną. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin częściej się uśmiechał, więcej czuł i bał się o życie innej osoby. Po raz ostatni doświadczył czegoś podobnego, kiedy poznał swoją byłą żonę, lecz nawet przy niej nie czuł takiej potrzeby zrobienia dobrego wrażenia jak teraz przy Kellie. Może winny był jej brak zainteresowania? Może energii dodawał mu sam fakt, że Kellie go opuści, ponieważ w domu czeka na nią ktoś inny? Może to ta rywalizacja z mężczyzną, którego nigdy wcześniej nie spotkał i który zostawił Kellie samą na święta, sprawiała, że rozpaczliwie pragnął zwrócić na siebie jej uwagę, marzył o tym, aby zatrzymała się i na niego spojrzała? Odnosił jednak

wrażenie, że to coś głębszego. To, co nim kierowało, miało mniej wspólnego z dumą, a więcej z nadzieją.

- Kellie! - zawołał jeszcze raz.

Usłyszał skrzypnięcie podestu i po chwili się pojawiła, pocierając oczy grzbietem dłoni i przeczesując palcami swoje falowane brązowe włosy. Miała na sobie obszerny biały sweter z dekoltem w serek, długi szary blezer, wyblakłe dzinsy i grube wełniane skarpety. To wszystko pożyczyła jej Sally. Na jej szyi, w blasku jasnego światła, połyskiwał naszyjnik.

- Nie musisz mówić - powiedziała, ziewając - doskonale wiem...

- Co?

- Że wyglądam jak kloszard... albo postać z rewii.

- Powiedziałbym raczej, że jak Robin Williams w *Fisher King* albo prezen-terka programu dla dzieci... Może z Ulicy Sezamkowej, gdzieś z siedemdziesiątego dziewiątego...

Uśmiechnęła się zaspana i ostrzegła go: - Tylko nie nuć mi tej melodyjki, Ben. Jak ci poszło? - zapytała, schodząc na dół. Poły blezeru ciągnęły się za nią jak ślubny welon.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Mówię o komputerze taty Jacka.

- Aha - powiedział - o tym. Tak, wszystko naprawione.

Stała obok kaloryfera i zerknęła w kierunku zwieńczonych małym łukiem drzwi pod schodami, które prowadziły do maleńkiej kuchni. Na blacie leżał bochenek chleba i puszka fasolki.

- Lunch? - zapytała.

- Niczego innego nie udało mi się zdobyć.

- Lepsze to niż nic. Zresztą robię świetną fasolkę na grzance.

- A gdybyś mogła zjeść coś innego? - zapytał.

- Na przykład co?

- Cokolwiek. Gdybyś mogła pstryknąć palcami jak dżin i coś wyczarować...

Z czego składałby się twój idealny świąteczny lunch?

- Przy takiej pogodzie? Z pieczeni. Zdecydowanie. Z wołowiny, kurczaka albo indyka. Obojętnie.

- Z ziemniaczkami - powiedział - i sosem...

- Z fasolką szparagową...

- Z marchewką i groszkiem...

Roześmiała się. - Przestań. Już cieknie mi ślinka. - Odsunęła się od kaloryfera i przeszła do kuchni, gdzie uniosła puszkę z fasolką. - Fasolka na grzance dla dwojga - powiedziała. - Już się robi.

- Poczekaj.

- Słucham?

- Piekarnik... trzeba wymienić butlę z gazem. Sally powiedziała, żebyśmy wzięli pełną z sąsiedniego domku, ale jest ciężka, więc będę potrzebował pomocy.

- W porządku. - Odłożyła puszkę, włożyła sfatygowany tweedowy płaszcz oraz zbyt duże, pochłapane farbą trampki.

Kiedy wyszli na zewnątrz, smagnął ich wiatr, ale drzwi do następnego domku w przybudówce były już otwarte i Ben szybko wepchnął ją do środka.

Domek miał identyczną wielkość i rozkład jak ten, w którym spali, lecz wcale nie wyglądał na niezamieszany. Światła i kaloryfery były włączone. Dzięki ogniowi, który palił się w kominku, było tu znacznie cieplej niż w drugim domku. Ben zamknął drzwi i stali obok siebie w milczeniu.

Czekał na jakiś komentarz z jej strony, lecz nie wydusiła z siebie ani słowa. Był bardzo zdenerwowany. Dlaczego musiał rzucić palenie właśnie teraz?

- Proszę, tylko mi nie mów, że jesteś jak tamta dziewczyna z *Gremlinów* - powiedział - ta, która nie cierpiała świąt, bo kiedy była mała, jej ojciec próbował wejść przez komin w przebraniu Świętego Mikołaja, poślizgnął się i skrzył sobie kark?

- Eee...

- Albo że jesteś zdeklarowaną fanką *Grinch* - świąt nie będzie, albo członkinią jakiejś fundamentalistycznej chrześcijańskiej sekty, która wierzy, że świąteczny lunch to here-tyczne święto łakomstwa zesłane przez samego diabła?

- Cóż... nie, ale...

- W takim razie - powiedział - mogę jedynie dojść do wniosku, że brak uśmiechu na twojej twarzy wynika wyłącznie z faktu, iż jesteś prawniczką i jako prawniczka masz instynktowną i przemożną awersję do wszelkich niespodzianek...

Objęła go i mocno przytuliła.

Ten gest zaskoczył go tak bardzo, że jego ręce zawisły bezwładnie obok ciała. Zanim pomyślał o tym, żeby zrobić z nich jakiś użytek i też ją uściskać, ta chwila już minęła.

Puściła go i odwróciła się, żeby spojrzeć na pokój. Na czarnej drewnianej belce zamocowanej pod niskim sufitem wisiały kartki papieru formatu A4 z nabazgranymi niebieskim długopisem literami. Razem tworzyły napis: WESOŁYCH ŚWIĄT!

W kominku, pod jasnymi płomieniami, żarzył się węgiel. Powietrze przesycał zapach pieczonego mięsa, wydobywający się z kuchni, gdzie stał nakryty stół. Były tam dwa wyszczerbione kubki, kilka niepasujących do siebie talerzy i otwarta butelka białego wina.

- Pieczony kurczak - oznajmił Ben, wykonując dłonią teatralny gest. - Ziemniaki, marchewki, kalafior, ser i groszek. Wszystko powinno być gotowe za ja-

kieś dziesięć minut. Z góry chciałbym przeprosić za nadzienie, które pochodzi z torebki, i za sztucce, które składają się z dwóch wygiętych widelców i jednego noża na spółkę, ponieważ w szufladzie nie znalazłem niczego więcej...

Tym razem jej milczenie sprawiało mu przyjemność. Była to dokładnie taka reakcja, na jaką liczył, pracując tu jak mrówka przez kilka ostatnich godzin.

- Ale jak to możliwe? - zapytała w końcu.

- A czy David Elaine zdradziłby ci, w jaki sposób wytrzymał aż tyle czasu w szklanym pudełku nad Tamizą, i to bez jedzenia?

- Nie...

- A czy Houdini powiedziałby ci, jak sprawił, że zniknął słoń?

- Nie.

- Właśnie. Dobry magik nigdy nie zdradza swoich sekretów. Po prostu uznajmy, że jestem lepszym śmieciarzem niż sternikiem.

Jak Tom Hanks w *Cast Away. Poza światem?* - podsunęła. Uśmiechnął się, przypominając sobie ten film i pamiętając również o tym, że wymieniła Hanksa jako jednego ze swoich ulubionych aktorów.

- Otóż to - zgodził się. Potem przypomniał sobie piłkę do siatkówki, z którą bohater *Cast Away. Poza światem* rozmawiał, jak gdyby była prawdziwym człowiekiem, żeby uchronić się przed szaleństwem. - Mam tylko nadzieję, że będziesz lepszym towarzyszem rozmowy niż...

- Tamta piłka - powiedziała, najwidoczniej myśląc o tym samym co on. - Ta, którą nazwał...

- Wilson - dodał.

- Właśnie, Wilson.

Podniosła gałązkę ostrokrzewu leżącą w rogu stołu i obróciła ją w palcach.

- To z a d z i w i a j a c e - powiedziała. - Jesteś... - Ale nie dokończyła zdania, tylko odwróciła się w drugą stronę.

- Dzięki, Ben - ciągnęła. - To, co zrobiłeś, jest takie urocze. Przeszedł za nią przez kuchnię. Przesunęła palcem po

krawędzi stołu. Spojrzała na tanie, poobijane, parujące garnki ustawione na migoczących niebieskich palnikach, na starą plastikową deskę do krojenia i złamany obierak do ziemniaków pozostawiony na poplamionym białym blacie. Wszystkie pokryte tanią okleiną drzwi kuchennych szafek były otwarte na oścież, jak gdyby splądrował je jakiś złodziej, lecz w środku stały jedynie różne kubki, zakurzone spodeczki i talerze. Obok tylnych drzwi cicho buczała pożółkła lodówka, która wyglądała tak, jakby przywleczono ją ze złomowiska, a na niej stał mały zegarek z radiem przypominający mechanizm prymitywnej bomby. Przez zakłócenia dobiegał dźwięk kolęd. W oknach wisały pajęczyny, a w rogu pokoju stał pomarańczowy kubek z otwartą klapką, z którego wystawała góra ziemniaczanych obierków. Nad nim, na ścianie, wisiał wyblakły kalendarz ze zdjęciem Fleet Town. U góry widniał napis: „Czerwiec 1986”.

- Obawiam się, że to wszystko pochodzi z innej epoki - powiedział Ben. - Jak coś rodem z *Doctora Who*.

Kellie przycisnęła dłoń do ściany. - Tylko otoczenie jest znacznie bardziej stabilne. - Wpatrywała się w beżowe prążkowane lambrekiny nad oknem. - Niektóre z tych rzeczy wyszły z mody tak dawno temu, że zdążyły już do niej powrócić - powiedziała. - Ale kto by się tym przejmował, nie? - Biorąc głęboki oddech, uklękła i zerknęła przez przykopconą tłustą szybkę piekarnika na piekącego się w środku kurczaka. - A rozbratel pachnie wspaniale. Tylko jak u diabła udało ci się...

- To zasługa Michaela - wyjaśnił Ben. - Tego dzieciaka z pubu. On to dla mnie zorganizował. Sally i Roddy chcieli nas zaprosić na lunch, ale powiedziałem, że wolę sam coś dla ciebie ugotować.

- Ale dlaczego?



- Dlatego że chciałem. W ramach przeprosin za to, że zepsułem ci święta.  
- Koniec z przeprosinami - powiedziała. - Dobra? - Wyciągnęła rękę, żeby uścisnąć mu dłoń. - Po prostu uznajmy tę sprawę za zamkniętą.

- Jak na prawniczkę bardzo łatwo mi odpuszczasz.

- A jak na biznesmena dosyć kiepsko znasz zasadę, że trzeba się wycofać, dopóki ma się przewagę.

Uścisnął jej dłoń.

- Jesteś zziębnięta - powiedział, kiedy ją wypuścił. Zatarła dłonie, lecz wtedy coś leżącego na stole przykuło

jej uwagę i pochyliła się, żeby podnieść karteczkę z imieniem, którą zrobił z prostokątnego kawałka opakowania po farszu. Wpatrywała się w nią w milczeniu. Na karteczce widniał napis: „Kellie ???”.

- Mój tajemniczy gość - powiedział. - Enigma owinięta w -zagadkę, w pożyczonych trampkach na nogach i zjedzonym przez mole płaszczu. A skoro o tym mowa - powiedział.

Odwróciła się do niego plecami, a on zdjął jej płaszcz.

- Boże - powiedziała. - Jak miło pobyć w końcu w cieple. Nie do wiary, że udało ci się tak tutaj nagrzać.

Gdy odwróciła się z powrotem w jego stronę, Ben dokładniej przyjrzał się naszyjnikowi, który wkomponował się w jej dekolt w taki sposób, że nie sposób było nie patrzeć. Niewiele wiedział o biżuterii, miał z nią do czynienia tylko wtedy, gdy kupował coś dla Marie. Nawet w jaskrawym fluorescencyjnym świetle diamenty błyszczały na szyi Kellie jak lód w promieniach słońca. Spojrzała mu w oczy.

- Wspaniały naszyjnik - powiedział.

Nieśmiało dotknęła wisiora, jak gdyby zapomniała, że tam jest.

- To prezent. Od przyjaciela.

Nic więcej nie dodała, ale nie musiała. Po sposobie, w jaki to powiedziała, po tęsknocie w jej głosie poznał, że prezent był od niego: od „kogoś w rodzaju” jej chłopaka. A teraz o nim myślała. Ben powiesił jej płaszcz na oparciu krzesła.

- To dziwne - powiedziała, wpatrując się w karteczkę z imieniem, którą nadal trzymała w dłoni. - Nawet ludzie, którzy przysyłają mi rachunki za gaz i prąd, znają moje nazwisko, a ty nie.

- Zatem powiedz mi - powiedział. - Następnym razem, kiedy zepsuje ci się bojler, wpadnę go naprawić.

- Nazywam się Vaughan. A ty? Niech zgadnę: Docker.

- Jako prawniczka marnujesz swój talent. Powinnaś pracować w kabarecie - powiedział z uśmiechem. - A może jeszcze lepiej odnalazłabyś się w przemyśle produkującym strzelające bożonarodzeniowe niespodzianki.

- Wielkie dzięki.

- Naprawdę nazywam się Stone<sup>11</sup>. Ben Stone.

- Pasuje do ciebie - powiedziała.

- Serio?

- Tak. Jest solidne. Jak skała. Tak jak ty wczoraj, kiedy musiałeś wyciągnąć nas z tarapatów. Zaprowadzić nas w bezpieczne miejsce.

- Nawet jeśli to przeze mnie się zgubiliśmy?

- Pewnie, bo potem znowu znalazłeś właściwą drogę. Odwrócił wzrok, zakłopotany, i podgłośnił radio. Z głośników popłynęło *The Little Drummer Boy* Rolfa Harrisa.

Roześmiała się. - Ojej, załatwiłeś nawet australijską muzykę? Czegóż więcej może chcieć dziewczyna?

---

<sup>11</sup> Po angielsku: kamień

-Może świątecznego drinka? - zapytał. - Nie mogę ręczyć za rocznik, ale tylko takie wino znalazłem w pubie.

Nalał im po kubku wina i usiedli naprzeciw siebie przy stole.

- Wznieśmy toast - powiedziała. - Za ciebie. Za cały wysiłek, który w to włożyłeś. Za to, że dzięki tobie ten dzień stał się przyjemny i na twarzy pewnej dziewczyny pojawił się uśmiech.

- Ten uśmiech jest tego wart.

I rzeczywiście. Wciągało go coraz bardziej. Dzięki Kellie przypomniał sobie, jakie przyjemne potrafi być flirtowanie. Im bardziej ją rozweselał, tym bardziej pragnął, żeby ponownie się uśmiechnęła, i tym wyraźniej czuł, że coś między nimi zaiskrzyło. Chciał się dowiedzieć, jak by to było: ich dwoje jako prawdziwa para. Wyobrażał sobie, że byłoby idealnie. Czy kiedykolwiek miał się o tym przekonać? Cóż, Kellie była dla niego jak zgadywanka, w której nie znalazł żadnych odpowiedzi. Pozostawało mu tylko starać się najlepiej jak potrafi i czekać.

Przechyliła kubek, jak gdyby siedziała w wykwintnej restauracji i chciała mu się przyjrzeć przez pryzmat eleganckiego kryształowego kieliszka.

- Zabawne, prawda? - powiedziała.

- Co takiego?

- To, jak szybko potrafimy, no wiesz, jako ludzie, dostosować się do nowych okoliczności. Siedzenie tu z tobą, w tym domku, przy lunchu... wydaje mi się teraz prawie normalne.

- Może właśnie na tym polega normalność: na możliwości zrelaksowania się.

- Ale zazwyczaj nie relaksuję się w towarzystwie ludzi, których nie znam.

- Być może - powiedział - znasz mnie lepiej, niż myślisz.

- Poznaliśmy się zaledwie wczoraj.

- Poznawanie kogoś z pewnością nie zależy tylko od długości wspólnie spędzonego czasu. Chodzi mi o to, że możesz spędzić z jakimś człowiekiem całe życie i wcale go nie poznać. Z drugiej strony możesz się również zaprzyjaźnić z kimś innym - pstryknąć palcami - tak po prostu.

- Czy właśnie tym teraz jesteśmy? - zapytała. - Przyjaciółmi?

- Chciałbym tak o nas myśleć.

- Zazwyczaj nie zawieram nowych przyjaźni - powiedziała.

Znowu ją sobie przypomniał: zimną jak lód damę przechodzącą obok niego we Fleet Town. Poczuł jednak, że coś się w niej zmieniło. Nawet tutaj, w ciągu ostatnich pięciu minut, miał wrażenie, że ten lód zaczął wreszcie topnieć.

- Dlaczego nie? - zapytał.

- Ponieważ zazwyczaj nie czuję takiej potrzeby. Mam już przyjaciół.

- Na przykład tego „kogoś w rodzaju” chłopaka?

- Tak. - Zamyśliła się. Była zaskoczona tą odpowiedzią. Czekał, aż powie coś więcej. - Właśnie tak go nazwałam, prawda? Wczoraj wieczorem... w pubie...

- Tak...

Rozległ się dźwięk dzwonka kuchenki i na twarzy Kellie pojawił się uśmiech.

- Upiekło mi się - powiedziała, odsunęła krzesło i wstała. Podeszła do kuchenki i potarła dłonie. - Dobra. Co mam robić? - zapytała.

## **Rozdział siedemnasty**

Stephanie spojrziała na zegar stojący na kominku i obliczyła, że zjedzenie świątecznego obiadu zajęło im zaledwie trzydzieści trzy minuty. Trzydzieści trzy minuty. Popatrzyła na bałagan na stole: resztki indyka, ostatni pieczony ziemniak, krople sosu na białym obrusie, sos chlebowy, którego nie tknął nikt z wyjątkiem jej ojca, przypalone „diabły na koniach”<sup>12</sup> zwiędła kapusta i zakrzepłe marchewki w polewie. Tyle wysiłku, a wszystko zostało pożarte w ciągu trzydziestu trzech minut. Co za okropne marnotrawstwo.

Spojrziała na swoją rodzinę, czerwoną na twarzach i rozdętą. Każdy miał na głowie przekrzywiony kapelusz z otwartych wcześniej strzelających zabawek z niespodzianką. Na drugim końcu stołu Elliot rozśmieszał wszystkich anegdotą o jednej ze swoich spraw. Nieco bliżej Simon wydrapywał w nodze od stołu rowek za pomocą znalezionej w niespodziance zestawu małych śrubokrętek. Nat, równie znudzona, próbowała wepchnąć migotliwą laleczkę od Isabelle do jednego z najlepszych kieliszków do wina swojego dziadka.

Jeszcze nigdy w życiu Stephanie nie była w tak mało świątecznym nastroju. Wypiła resztkę swojego czerwonego wina i ponownie napełniła szklanę. Zdecydowanie przesadzała z alkoholem, lecz świąteczny prezent od Davida i szokująca nowina Isabelle wzbudziły w niej zbyt wiele mieszanych emocji. Czuła się jednocześnie upokorzona, rozżalona, winna i smutna, lecz nie mogła tego okazać. Musiała zacisnąć zęby i pogratulować Isabelle i Elliotowi. Potem szybko wycofała się do kuchni, gdzie podczas gotowania dla uspokojenia wychyliła wielki kieliszek wina. Od tamtej chwili piła bez przerwy.

Pochyliła się, żeby podnieść z podłogi serwetkę. Zobaczyła, że pod stołem Rufus oblizuje pieczony ziemniak, a Taylor bawi się ułożonym na kolanach iPodem. Kiedy Stephanie znowu się wyprostowała, zauważyła, że w uchu brata-

---

<sup>12</sup>Przystawka z bekonu i śliwek.

nicy tkwi słuchawka, a jej biały kabelek sprytnie skrywa się wśród włosów. Nic dziwnego, że była tak cicho.

Simon coraz mocniej naciskał na śrubokręt i Stephanie słyszała paskudne chrobotanie. Jej syn rozparł się na krześle.

- Simon, przestań - powiedziała.

David oderwał uwagę od Elliota. - Przestań się na nim wyżywać - wyszeptał.

- O co ci chodzi tym razem?

Nienawidziła go za to, że jej nie poparł. Dlaczego zawsze to ona musiała być dla Simona tym złym rodzicem? Dlaczego David nie stosował wobec niego żadnej dyscypliny? Próbowwała tylko wychować dzieci na porządnych ludzi, a jednak na każdym kroku lekceważył jej wysiłki.

- Okay - powiedziała. - Simon, twój ojciec nie widzi nic złego w wierceniu dziury w zabytkowym stole dziadka. Zatem nie przeszkadzaj sobie.

- Na miłość boską - jęknął David.

Simon odłożył śrubokręty na stół i wcisnął dłonie pod uda. - Przepraszam, mamu - wymamrotał.

David zmierzwił mu włosy i wrócił do rozmowy z Elliotem. Stephanie upiła kolejny duży łyk wina.

- Czy mogę odejść od stołu? - zapytał Simon.

- Nie.

- Mamusiu, myślisz, że Święty Mikołaj chodzi na lunch do McDonalda? - zapytała Nat.

Stephanie tak bardzo kusiło, żeby powiedzieć jej prawdę, że nie ma żadnego Świętego Mikołaja, że Świętym Mikołajem jest jej mama, żeby wyjaśnić córce, że to wszystko jest tylko wielkim kłamstwem mającym na celu naciągnięcie ludzi na wydanie większej ilości pieniędzy na chybione prezenty, a powodem, dla którego wszyscy oszukują swoje dzieci, jest chęć odwrócenia ich uwagi od nie-

uniknionej prawdy, jaką odkryją one w dorosłym życiu: że Boże Narodzenie jest do kitu, że to tylko straszne przedstawienie złożone z wymuszonych uśmiechów i niezdrowego jedzenia. Chciała powiedzieć Nat, że jeśli ma trochę oleju w głowie, powinna już teraz zacząć odkładać kieszonkowe, aby w przyszłości spędzać święta Bożego Narodzenia na plaży z przyjaciółmi, ponieważ od tej pory może być już tylko gorzej.

- Myślę, że na biegunie północnym nie ma McDonalda - powiedziała zamiast tego.

- Wszędzie indziej jest - powiedział Simon.

- Pewnie je lunch razem ze wszystkimi pomocnikami - powiedziała Nat. - Może przychodzi też Królowa Śnieżka i Dzwoneczek.

- Wcale nie, ptasi mózdku. - Nat wrzasnęła: - On mnie kopnął.

- Wcale nie - powiedział Simon.

- Właśnie że tak.

- Idę do toalety - powiedziała Stephanie, wstając od stołu. W łazience usiadła na krawędzi wanny i ukryła twarz

w dłoniach. Co się z nią działo? Dlaczego nie potrafiła tego wytrzymać? To wszystko wina Davida. Gdyby nie podarował jej tych biletów, byłaby w stanie jakoś wytrwać do chwili powrotu do domu. On jednak umyślnie potęgował napięcie. Specjalnie przewrócił wszystko do góry nogami. A teraz nie pozostawił jej wyboru - wiedziała, była tego absolutnie pewna, że nie mają przed sobą żadnej przyszłości. Nie mogli pojechać na weekend do Wiednia. Nie potrafili nawet spędzić pięciu minut w tym samym pomieszczeniu, nie wszczynając kłótni. Nie, przyszłość była dla takich par jak Elliot i Isabelle, którzy spodziewali się następnego dziecka. Nie dla niej i Davida. Ona nie potrafiła nawet patrzeć mu w twarz, nie czując nienawiści.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. Musiała wziąć się w garść, jeszcze tylko na parę godzin. Święta dobiegną końca. Mogła udać zmęczenie i pójść do łóżka. Mogła ogłuszyć się kilkoma proszkami na sen, a kiedy się obudzi, trzeba będzie szykować się do wyjazdu. A potem?

Potem powie to Davidowi wprost. Rozwieje wszystkie jego złudzenia. Ale do tamtej pory musi nad sobą panować. To święta jej ojca. Święta Simona. Święta Nat. Nawet święta Isabelle, Elliota i Taylor. Nie chodzi tu wyłącznie o nią i jej małżeński kryzys. Musi o tym pamiętać.

Zeszła z powrotem na dół, przytrzymując się poręczy. Czuła, że zrobiła się czerwona, jest pijana i niepewnie trzyma się na nogach. Już zamierzała wrócić do jadalni, kiedy przez uchylone drzwi do kuchni zobaczyła, że Isabelle i Elliot wkładają naczynia do zmywarki.

- Wydałam na to fortunę w Lidagates - mówiła Isabelle. - Musiałam złożyć zamówienie sześć tygodni wcześniej.

- Spaliła go na wiór - powiedział Elliot.

- Mówiłam jej, że za długo trzyma go w piekarniku, ale nie chciała słuchać. Większość mojej porcji oddałam Rufu-sowi. Przynajmniej on to docenił.

Stephanie poczuła, że płoną jej policzki. Jej serce galopowało.

- Chciałem coś powiedzieć, ale ona jest tak cholernie przewrażliwiona - powiedział Elliot.

- Doskonale o tym wiem. Nie mogłam uwierzyć, kiedy zobaczyłam jej reakcję na wycieczkę do Wiednia. Biedny David, włożył w to tyle wysiłku. To znaczy, wiem, że sama zrobiłam rezerwację, ale pomysł był jego. Sam rozumiesz, to taki wspaniały facet, a ona tak podle go traktuje...

- To nie nasza sprawa - powiedział Elliot. - Nadal jest bardzo przygnębiona po śmierci Paula. Chyba nie powinnaś była wspominać o dziecku.



- Wczoraj wieczorem próbowałam z nią porozmawiać, ale to i tak niczego by nie zmieniło. Ona po prostu utknęła w tym strasznym negatywnym punkcie. Musi żyć dalej. Dla siebie samej. Dla nich wszystkich. Jest dla tych dzieci po prostu okropna. Ledwie pozwala Simonowi oddychać i praktycznie ignoruje biedną Nataszę, która rozpaczliwie pragnie jej zainteresowania. Nawet twój ojciec przyznał mi rację.

- Kiedy z nim rozmawiałaś?

- Jeszcze nie rozmawiałam, ale widzę, jak się czuje. Jak patrzy na Stephanie, gdy ona warczy na Davida albo na dzieci. Wszyscy mamy podobne zdanie na ten temat, prawda?

- Nie możemy wydawać pochopnych wniosków. Powinniśmy trzymać się od tego z daleka.

- Wiesz, kiedy widzę, jacy oni są nieszczęśliwi i jak okropnie wygląda Stephanie, dziękuję Bogu, że my mamy siebie.

- Wiesz, Izzy, szkoda, że nie powiedziałaś mi o tym wcześniej. O tym, że jesteś w ciąży.

- Chciałam, żeby to była idealna świąteczna niespodzianka.

- Cóż, z pewnością ci się udało.

- To dobrze.

- Mimo to powinnaś mi była powiedzieć. Taylor też. Widziałaś, jaką miała minę?

- Przyzwyczai się. Zawsze chciała mieć rodzeństwo.

- Ale nie sądziła, że kiedykolwiek do tego dojdzie - powiedział. - Sam nie sądziłem, że to jeszcze możliwe. Myślałem, że właśnie dlatego uznałaś odstąpienie pigułek za bezpieczne.

- Bo tak było, ale myliłam się, skarbie. Czy to nie ekscytująca wiadomość? Wyobraź sobie. Znowu będziemy rodzicami. Za pierwszym razem byliśmy tacy

młodzi. Teraz wiemy o wiele więcej. Pomyśl tylko. Mały dzidzius. Będzie wspa-  
niale...

Stephanie wróciła do jadalni i zajęła swoje miejsce. Była tak wstrząśnięta, że  
czuła się sparaliżowana, jakby patrzyła na siebie z rogu pokoju. Mimo to ponow-  
nie dołała sobie wina.

Elliot wrócił, niosąc ze sobą świąteczny pudding. Pospiesznie postawił go na  
podkładce przed Stephanie.

- Może go nałożysz? - powiedział do niej z uśmiechem. Wziął salaterki, któ-  
re podała mu Isabelle, i położył je obok

Stephanie. Musiała bardzo się starać, żeby nie rzucić mu ich w twarz. Za-  
miast tego wstała, opierając się o stół dla utrzymania równowagi. Podniosła kie-  
liszek i upiła duży łyk wina.

- Steph, może już wystarczy? Chyba powinnaś wypić szklankę wody - po-  
wiedziała ze śmiechem Isabelle, próbując obrócić to w żart.

Stephanie rąbnęła kieliszkiem o stół, uderzając przez przypadek w brzeg mi-  
sy z puddingiem. Nóżka kieliszka pękła, a wino wsiąkło w obrus jak krew w  
śnieg. Wszyscy zamilkli.

- Jak śmiesz mówić mi, co mam robić? - Stephanie cedziła każde słowo.  
Wiedziała, że łamie święty niewypowiedziany regulamin rodziny Thorne'ów.  
Nigdy nie kłócić się w święta Bożego Narodzenia. Była to złota zasada jej matki.  
Jednak po tym, co przed chwilą usłyszała, Stephanie czuła się tak, jakby wypo-  
wiedziano jej wojnę. Nagle w pokoju zapanowała zupełnie inna atmosfera.

Isabelle przesunęła językiem po zębach. Ostentacyjnie wzięła głęboki od-  
dech. - Wiesz co, Stephanie, mam już dosyć twojej opryskliwości. Siedzisz na  
końcu stołu spowita jakąś czarną chmurą. Bez względu na to, co cię tak wkurza...  
może po prostu zachowasz to dla siebie, dobra?

- Chyba wszyscy powinniśmy się uspokoić - powiedział David. - Myślę, że...

- Zamknij się! Po prostu się zamknij!

Słowa wydobyły się z ust Stephanie, zanim zdążyła je przemyśleć. Jak jakiś niekontrolowany wrzask. Zapadła straszna cisza.

Gerald odsunął się od stołu. - Stephanie, nie życzę sobie, żebyś zachowywała się w ten sposób przy posiłku. Nie przy dzieciach.

- Nic nie rozumiesz - powiedziała. - Wy wszyscy niczego nie rozumiecie.

- Mamusiu, przestań! - powiedziała Nat. Mówiła płaczliwym głosem. Stephanie nie potrafiła na nią spojrzeć. Wpatrywała się w świąteczny pudding, a obraz przed jej oczami wirował.

- Nie przejmuj się, kochanie - powiedział David do Nat. - Wszystko jest w porządku.

Rozległ się dźwięk dzwonka.

- To pewnie Michael - powiedziała Taylor, po czym poderwała się z miejsca i rzuciła serwetkę na krzesło. - Otworzę.

- Chodźcie, dzieci. Może otworzymy drzwi wszyscy razem? - powiedział Gerald. Wstał i wziął Nat za rączkę. Obrócił się w stronę drzwi, a następnie dał znak Simonowi. Na Stephanie spojrzał lodowatym wzrokiem. - A potem pójdziemy sprawdzić, czy znajdzie się trochę brandy do świątecznego puddingu - ciągnął. - Miejmy nadzieję, że kiedy tu wrócimy, dorośli będą zachowywać się jak należy.

Stephanie wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął jej ojciec. Złamała obietnicę i zawiodła go, lecz nie była w stanie się powstrzymać. Wiedziała, że powinna przeprosić, usiąść i trzymać język za zębami, ale nie potrafiła się do tego zmusić.

- Dobra robota, Steph - powiedział Elliot, powoli bijąc brawo. - W końcu dlaczego miałabyś nie popsuć świątecznego lunchu?

- Naprawdę potrafisz być świętoszkowatym draniem - powiedziała. - Co z tego, że popsułam świąteczny lunch? On od początku był popsuty. Wiem, co sobie myślicie. Przed chwilą słyszałam waszą rozmowę w kuchni.

Wystraszony Elliot spojrzął na Isabelle, lecz ona przeszła do ataku.

- No cóż... może dobrze ci zrobi usłyszenie kilku słów prawdy - powiedziała.

- Stephanie - zaczął David. - Nie mieszaj w to Elliota i Isabelle. Wiem, jaka jesteś uczuciowa...

- Nic nie wiesz o moich uczuciach.

- Wiem.

- Nie, nie wiesz. Nie wiesz nawet, czym są uczucia. Ty nie masz uczuć.

- Co to ma znaczyć?

Czyżby naprawdę nie rozumiał?

- Gdybyś miał jakieś uczucia albo chociaż krztynę intuicji, nie siedziałbyś tutaj, śmiejąc się, kiedy...

- Kiedy co?

- Kiedy nie ma z nami Paula - krzyknęła Stephanie. Potem zwróciła się w stronę Isabelle. - Och, tak, jasne, myślisz, że powinnam się z tym pogodzić, prawda? Że powinnam żyć dalej? - powiedziała, cytując słowa, które padły w kuchni. - A może się przesłyszałam?

- Nie wmawiaj mi czegoś takiego - zaprotestowała Isabelle. - To nieprawda.

Tego było za wiele. - A może po prostu się ode mnie odczepisz, ty pewna siebie, wścibska suko? Mam dosyć twojego panoszenia się, tego, jak chełpisz się swoim pieprzonym idealnym małżeństwem i swoim pieprzonym idealnym życiem. Wiesz co? Możesz je sobie wsadzić prosto w swoją pieprzoną idealną dupę!

Isabelle przygryzła policzki. - Widzę, że nie zachowujesz się racjonalnie - powiedziała. - Może zamiast skupiać złość na mnie, powinnaś wyjaśnić sobie z

Davidem parę spraw. Chodźmy, Elliot. - Wstała, żeby wyjść z jadalni. Elliot poszedł za jej przykładem.

- Proszę - powiedział David. - Czy nie moglibyśmy po prostu...

- I dla twojej informacji, Isabelle... - ciągnęła Stephanie, nie zwracając na niego uwagi. Cała się trzęsała. - ... Kocham moje dzieci. I to bardzo. Jestem diabelnie dobrą matką. Przynajmniej nie wysłałam ich do szkoły z internatem i nie płacę innym ludziom za to, żeby się nimi opiekowali. Zanim zaczniesz oceniać mnie jako matkę, powinnaś spojrzeć na siebie.

Isabelle zrobiła się czerwona. - Taylor do tego nie mieszaj. Jesteś po prostu zazdrosna.

- O co? O to, że nie potrafisz zapanować nad własną córką? Ja przynajmniej jestem przy dzieciach. Co zamierzasz zrobić z tym drugim dzieckiem, Isabelle? Będziesz je traktować jak modny dodatek? Oddasz je niani, tak jak Taylor? Nie na tym polega macierzyństwo...

- Ty... - zaczęła Isabelle, ale Elliot wziął ją za ramię i szybko wyprowadził z pokoju.

- Chodźmy - powiedział, posyłając Stephanie ponure wściekłe spojrzenie.

Pozostawiona sam na sam z Davidem, poczuła, jak do oczu cisną jej się łzy oburzenia. Czekala, aż jej mąż coś powie. Była gotowa z nim walczyć. Chciała z nim walczyć. Powiedziałyby mu prawdę. O tym, co sądziła o Isabelle i Elliocie. I o nim samym.

David podszedł do niej. Przez chwilę myślała, że uderzy ją w twarz - chociaż nigdy wcześniej tego nie robił - ale kiedy się odezwał, mówił łagodnym głosem.

- Mnie też jest ciężko.

Wydała z siebie stłumione łkanie. - Nieprawda.

- Brakuje mi go równie mocno jak tobie, ale to go nie wskrzesi.

Stephanie od dawna chciała porozmawiać z Davidem o śmierci Paula, ale teraz, kiedy ta chwila rzeczywiście nadeszła, zrozumiała, że to nie ma sensu. Dla niej już dawno skończył się etap, w którym mogli wspólnie rozwiązywać problemy. Współczucie w jego głosie było nie do zniesienia. Łzy, które prawie wypłynęły na powierzchnię, znowu zniknęły i ustąpiły miejsca zacieklej determinacji.

- Ja nie potrafię o tym zapomnieć - powiedziała.

- Paul był również moim synem. Ale nie jesteśmy w stanie zmienić tego, co się stało.

- Ty mogłeś.

Jej słowa zawisły między nimi niczym pocisk. Wiedziała, że nie sposób ich cofnąć. David wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

Odwróciła się, przerażona tym, co powiedziała. Miała dziwne uczucie w żołądku, jak gdyby właśnie zeskoczyła z dachu jakiegoś budynku i leciała w dół.

David obrócił ją, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Masz pojęcie, co właśnie powiedziałaś? Masz pojęcie? - krzyknął.

Wpatrywała się w niego i nadal leciała w dół... Po jego twarzy popłynęła łza.

- Odwołaj to. Ale nie mogła. - To prawda.

- Wcale tak nie myślisz. Nie możesz tak myśleć. Przecież cię znam...

- Nie, nie znasz mnie. Nie wiesz, jak się czuję. Nic nie rozumiesz.

- Ale...

- Nie mogę na ciebie patrzeć.

- Dlatego, że twoim zdaniem ponoszę winę - powiedział. Powoli podniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Myślisz, że to była moja wina? - zapytał, po czym złapał ją za ramiona. - Stephanie, proszę, nie rób tego. Proszę. Kocham cię.

- Ty nic nie rozumiesz, prawda? - powiedziała, wyswobodzając się z jego uścisku.

- Czego nie rozumiem?

- To koniec, David. Chcę rozwodu.

Odsunął się od niej, jak gdyby go uderzyła. Potem odwrócił się i wyszedł z jadalni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Siedzący pod stołem pies zaczął wymiotować.

RS

## Rozdział osiemnasty

Pójdę pierwszy - powiedział Michael, wpatrując się w mrok tunelu ewakuacyjnego.

-Nie.

Taylor precyzyjnie przycisnęła się obok niego. Opróżniła jedną z miniaturowych buteleczek z alkoholem, które ukradła z domu dziadka, a potem mocno cisnęła nią o ścianę tunelu i patrzyła, jak rozpryskuje się na kawałki. Włączyła latarkę. Potłuczone szkło błysnęło w ich stronę jak oczy kota.

I to by było tyle, jeśli chodzi o ukrywanie przed Simonem faktu posiadania wody, pomyślał Michael.

Od chwili kiedy dwadzieścia minut temu wyszli z domu jej dziadka, Taylor nie odezwała się słowem ani do Michaela, ani do Simona.

Michael wpadł po nich po lunchu, zgodnie z umową. Taylor i Simon otworzyli drzwi w towarzystwie dziadka, który pozwolił im wybrać się na spacer. Do-



piero kiedy oddalili się od domu, Michael zauważył, że oczy Simona są opuchnięte od płaczu, a Taylor wściekle zaciska zęby.

- Co się stało? - zapytał Michael, kiedy Taylor ruszyła w stronę Solace Hill, nie mówiąc mu nawet cześć.

Odpowiedział mu Simon: - Moi rodzice się kłócą, a ciocia Izzy jest w ciąży. Nie wiem, dlaczego ciocia Izzy chce...

- To dupki - krzyknęła w ich stronę Taylor. - Oni wszyscy. A największym dupkiem jest mój tata. - Odwróciła się i wrzasnęła w kierunku domu: - Elliot Thorne to największy dupek ze wszystkich!

Potem Taylor znowu zachowywała się tak, jakby miała to wszystko gdzieś. Maszerowała naprzód i nie oglądała się za siebie. Była pijana. Ostatnia buteleczka, ta z whisky, to już czwarta z kolei. Po drodze wypła wódkę, drambuie i baileysa.

Michael nie miał jednak prawa jej krytykować. Jego również paliło w żołądku. Wypił wódkę i sznapsa, opróżniając obydwie buteleczki jeszcze przed Taylor, zaledwie kilka minut wcześniej. Wyobraził sobie swoją mamę i Roddy'ego, którzy zabierali się już pewnie za otwieranie pubu. Żałował, że nie jest razem z nimi. Wolałby być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Potrząsnął głową i spróbował wytrzeźwieć. Dziecko? Isa-belle spodziewa się dziecka. Przypomniał sobie, jak stała wczoraj w sypialni, przyglądając się w lustrze swojemu brzuchowi. Ale dlaczego płakała. Dlaczego się nie cieszyła?

- Trzymaj się mnie - powiedział do Simona - a jeśli się wystraszysz albo zrobi się zbyt niebezpiecznie, wszyscy wracamy. - Spojrzał na Taylor, ale ona już go wyprzedziła i spowiła ją ciemność. Słyszał tylko cichnące odgłosy jej kroków. Michael włączył latarkę i w mroku znalazł przejście, tunel w tunelu, którym ruszyli wraz z Simonem.

Podłoga się lepiała. Wrażenie i odgłosy były takie, jak gdyby szli po gumie do żucia. Echa ich oddechów wracały tak szybko i były tak głośne, jakby maszerowali wraz z całym tłumem. Tunel brzydko pachniał - nie pustką, jak sobie wcześniej wyobrażał, lecz czymś obcym i żywym.

- Nie boję się - zaczął szeptać Simon. - Nie boję się. Nie boję, nie boję, nie boję...

Oczy i uszy Michaela wyławiały różne szczegóły: pęknięcia i występy skalne, echa i odgłosy kapania. Otaczające ich gładkie, wypolerowane przez wodę ściany z kamienia pokrywała lśniąca warstwa, jak gdyby oblizwał je jakiś olbrzymi jęzor, i Michael przypomniał sobie, że z początku wejście do tunelu przywiodło mu na myśl gardło. Cóż, właśnie do niego wchodzili, właśnie pozwalali, aby to coś połknęło ich żywcem.

- Poczekaj - krzyknął Michael w ślad za Taylor, kiedy tunel zaczął skręcać w lewo, lecz odpowiedziało mu tylko drwiące echo, kiedy wróciły do niego jego własne słowa. Potem z przodu rozległo się jakieś szuranie, jak gdyby ktoś potrząsał pudełkiem pełnym piasku. Podłoże zrobiło się nierówne. Światło rzucane przez jego latarkę przeskakiwało z boku na bok, jak gdyby huštało się na linie.

Po chwili zatrzymało się na Taylor. Jej sylwetka była niewyraźna. Widzieli jedynie zarys pleców. Zatrzymała się, a kiedy podeszli bliżej, bez trudu zrozumieli dlaczego. Tunel był tu szerszy, lecz niższy. Michael musiał się schylić. Oświetlił latarką to samo miejsce, na które świeciła Taylor, i zobaczył, jak wygląda dalsza droga. Mieli przed sobą dziurę szerokości około półtora metra, która wyglądała tak, jak gdyby coś rozdarło ziemię. Ze względu na niski sufit dziura była zbyt szeroka, aby można ją było przeskoczyć. Michael pochylił się i zajrzał do środka.

Pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślał, była śmierć. Gdyby weszli tu wczoraj bez latarek, któreś z nich wpadłoby tu i zginęło. Dziura prowadziła w dół niczym studnia, prosto w otchłań nicości.

Wzrok Michaela sięgał sześciu, może dziewięciu metrów, a dalej widział już tylko ciemność, jak gdyby wcale nie było dna. Taylor oświetliła drugi brzeg dziury, gdzie tunel prowadził w górę i skręcał w lewo. Następnie skierowała światło latarki na prawy kraniec, gdzie ukazał się trzydziestocentymetrowej szerokości występ skalny.

- O cholera, nie ma mowy - powiedział Michael, czytając jej w myślach.

- A niby dlaczego, kurwa? - Roześmiała się Taylor. - Drugie dziecko już w drodze. Będzie mogło mnie zastąpić.

Ruszyła prosto w tamtym kierunku. Michael zawołałby „Stój!”, ale było za późno. Już stała przy rozpadlinie. Trzymając latarkę, przycisnęła dłonie do ściany tunelu. Weszła na występ skalny. Skierowała światło latarki w dół, żeby oświetlić sobie drogę. Podłoże było lśniące, mokre. Jej białe trampki zabłyśły na tle węgla jak śnieg. Jeden niewłaściwy ruch i spadłaby jak kamień.

- Nic wielkiego - powiedziała, kiedy stanęła po drugiej stronie. Światło latarki Michaela padło na jej uśmiechniętą twarz. - Dobra - ciągnęła. - Kto następny?

- Ojej! - Simon wydał z siebie zduszony okrzyk. - Oje-jejeje!

Michael chciał, żeby z powrotem znalazła się obok niego. Czy sytuacja się powtórzy, rozmyślał, kiedy za kilka dni się pożegnają i będzie odprowadzał ją wzrokiem, a ona zmierzy go kpiącym spojrzeniem? Wkrótce musi jej powiedzieć, że wyjeżdża z Brayner. Musi zobaczyć, jak na to zareaguje.

- Wracaj - powiedział.

- Nie.

Michael zaklął pod nosem. Powinien był po prostu ją okłamać, powiedzieć, że latarki są popsute, a nawet popsuć je po cichu samemu, a później zademonstrować jej efekt końcowy. Wtedy by tutaj nie przyszli. Byliby teraz u niej w domu, być może tylko we dwoje, a Simon bawiłby się gdzieś indziej. A wtedy...

Ale nie było żadnego wtedy. Czyż nie chodziło właśnie o to? Czy nie po to tu przyszedł? Dlatego, że nie mieli przed sobą żadnego następnego tygodnia ani roku, ponieważ jego matka i Roddy postanowili go stąd wywieźć. Jeśli nie zbadają tego tunelu dzisiaj, Taylor po prostu przyjdzie tu sama i zrobi to .podczas następnej wizyty na wyspie. A on nie chciał, żeby to było jej miejsce. Chciał, żeby przypominała go sobie za każdym razem, kiedy będzie tu wchodzić albo myśleć o kopalni. Chciał, żeby to miejsce było ich.

- Nie możemy zabrać Simona - oznajmił.

- Dlaczego? - zapytał Simon.

W jego głosie pobrzmiewała złość i zaczepność, którą Michael poznał już wcześniej, gdy Simonowi zdarzało się tracić panowanie nad sobą. Michael czekał na interwencję Taylor, ponieważ ona również musiała wyczuć niebezpieczeństwo, lecz mimo to uparcie milczała.

- Dlatego że jeśli tam wpadniesz, skręcisz sobie kark - powiedział do Simona - i dlatego że w ogóle nie powinieneś tu z nami być, bo jesteś...

- Tylko mi nie mów, że jestem za mały - przerwał mu Simon - bo to wcale nieprawda. Nie jestem małym dzieckiem i nie powinieneś mówić mi, co... Zresztą, sam zobacz!

Simon podbiegł do występu skalnego i zanim Michael zdołał go zatrzymać, ruszył w kierunku Taylor.

- Dalej, Simon, potrafisz to zrobić - wołała Taylor z drugiej strony.

Coś szurnęło, jak gdyby po kamieniu przesuwiał się jakiś pazur i Simon się poślizgnął. Jednak Taylor była już tuż obok. Złapała go za ramię i przytrzymała. Michael odetchnął z ulgą. Jeszcze dwa kroki i Simon był bezpieczny.

- Ha! - krzyknął Simon. - Udało mi się. Udało mi się. Widziałeś to, Michael? Zrobiłem to zupełnie sam. A mówiłeś, że nie potrafię. Ale zobacz: udało się!

- Idziesz czy nie? - zapytała Taylor.

Michael podszedł do występu skalnego i spojrzał na jego lśniąco wypolerowaną powierzchnię. Czy zdoła go utrzymać? Był cięższy niż Simon i Taylor. Wpatrywał się w dziurę. Była tu tylko dlatego, że osunęła się ziemia, pomyślał. A to oznaczało, że w całym tunelu jest niebezpiecznie.

Nikt nie wiedział, że tutaj są. Gdyby coś się stało, byli zdani tylko na siebie.

Jednak pragnienie bycia z Taylor i chronienie jej były silniejsze niż strach i pragnienie wyjścia na zewnątrz. Jeśli za nimi nie pójdzie, nie będzie nikogo, kto się nią zaopiekuje w razie jakiegoś niebezpieczeństwa.

Postawił na wystającej skale jedną stopę, a potem następną. Oparł się o ścianę, podobnie jak jego poprzednicy. Światło latarki padało na dach tunelu. Skała była zimna i śliska. Powoli przeszedł na drugą stronę.

- Widzisz - powiedziała Taylor. - Łatwizna.

Szli tunelem. Prowadziła Taylor, za nią podążał Simon, a na końcu szedł Michael. W pewnej chwili odwrócił się i skierował światło latarki do tyłu. Tunel nie był już prosty i Michael ujrzał jedynie skały. Droga, którą szli, coraz bardziej opadała. Zastanawiał się, jak głęboko byli pod ziemią. Nie był w stanie powiedzieć. Od jak dawna nikt tędy nie chodził? Od miesięcy? Lat?

Wtedy Taylor powiedziała: - O Boże!

Michael zrównał się z Simonem, który stał jak wryty.

- Co się stało? - zapytał, lecz w tym momencie zobaczył, co miała na myśli. - Wyłączcie latarki - powiedział.

Kiedy to zrobili, wydali z siebie stłumiony okrzyk. Ujrzeni tysiące świecących punkcików, które tworzyły wokół smugi i ścieżki, fosforyzujące i jaskrawe jak gwiazdy, jak miniaturowa Droga Mleczna. Czuli się tak, jakby patrzyli na nocne niebo przez teleskop, tylko że te gwiazdy były na wyciągnięcie ręki.

- Co to takiego? - zapytał Simon.

- Nie wiem - powiedział Michael. - Chyba jakiś rodzaj mchu...

- To niesamowite - powiedziała Taylor.

- Niezwykłe - przyznał Simon.

Taylor zbliżyła się do Michaela. - Zdziwiałe - szepnęła mu do ucha.

Następnie poczuł na twarzy jej zimne palce i alkoholową woń oddechu. Szybko musnęła ustami jego usta.

- Piękne, prawda? - powiedziała, po czym pospiesznie się odsunęła. - Co to było? - zapytała.

Jakie t o? Michael niczego nie słyszał. Ale po chwili dobiegł go jakiś jęk - cichy, żalony i daleki.

- Boję się - wyznał Simon. - Teraz się boję. Teraz się boję. Teraz się boję.

Na dźwięk jego głosu Michael aż podskoczył. Zupełnie zapomniał, że jest z nimi mały kuzyn Taylor.

- To nic - powiedział Michael. - Pewnie tylko wiatr.

- Ale skąd wiesz? To może być jakiś...

- Michael ma rację - powiedziała Taylor. - Po prostu idźmy dalej.

Ruszyli, lecz Michael nadal nie mógł dojść do siebie. Nie chodziło o ten dźwięk, ale o to, co stało się chwilę wcześniej. Myśli w jego głowie wirowały jak światełka barowego automatu do gry - zagmatwane i zbyt szybkie, aby jego umysł mógł nadać im jakiś sens.

Co właściwie miało znaczyć to, co przed chwilą zrobiła Taylor? Ten pocałunek. Czy to był pocałunek? Czy Taylor naprawdę pocałowała go w usta? Ciemność przysłoniła jej twarz. Czy to stało się przypadkiem? Czy jej usta dotknęły go tylko dlatego, że było ciemno i go nie zauważyła? Wtedy przypomniał sobie jej palce, które przesunęły się po jego twarzy w poszukiwaniu ust. Czy nawet pomimo tego całe zajście mogło być jedynie przypadkiem? Słyszał głośne bicie swego serca. Zastanawiał się, czy słyszą je również Taylor i Simon.

Wtedy zobaczył, że tunel się rozgałęzia.

- Którędy teraz? - zapytał Simon. - Zabłądziliśmy, prawda? Prawda? Zabłądziliśmy?

Michael odpowiedział: - Nie wiem.

- Chodźmy tędy - powiedziała Taylor, ruszając w lewo. Oświetliła tunel latarką. Prowadził w górę, a potem skręcał w prawo. - Czujecie? - zapytała. - Pachnie jak...

Usłyszeli kolejny jęk, tym razem głośniejszy, jak gdyby dobiegał z niedaleka, jak gdyby wydobył się z ust kogoś z nich. Simon pisnął i uchwycił się kurtki Michaela, lecz tym razem Michael był pewien, że nie mają się czego bać.

- To z pewnością wiatr - powiedział. - Wieje znad morza. Czuję słony zapach.

Dopiero teraz, kiedy zaszła jakaś zmiana, zdał sobie sprawę z tego, jakie duszne i stęchłe było powietrze, którym oddychali w tunelu. Przesunął dłonią po czole. Było mokre od potu.

Ruszył przodem i poczuł, że z każdym krokiem bryza staje się silniejsza, biegnie ku niemu tunelem i zaczyna przypominać zimną strużkę płynącą po twarzy. Potem ciemność zaczęła się zmieniać. Czerń, którą przecinało światło jego latarki, stała się mniej zwarta. Szarzała, robiła się bardziej przejrzysta. Kiedy Michael zrozumiał, dlaczego tak się dzieje, ogarnęła go radość.

- To wyście! - krzyknął do pozostałych. - Patrzcie. Tam. Widać światło.

Jak się okazało, miał rację, ale nie do końca. W tunelu rzeczywiście był otwór, ale znajdował się bardzo wysoko. Żeby się tamtędy wydostać, potrzebna była siedemdziesięciometrowa lina albo umiejętność latania.

Tunel kończył się głęboką szeroką jaskinią osadzoną na zboczu klifu. Była co najmniej dziesięć razy szersza niż sam tunel i wiatr zawodził w niej jak stado wściekłych wilków. Michael przykucnął i poczołgał się do przodu, gdzie jaskinia otwierała się na ogromne niebo. Leżał na brzuchu i patrzył, oddychając lodowatym powietrzem, szczęśliwy, że opuścił wąski korytarz tunelu.

Poczuł rosnące uczucie ulgi, kiedy rozpoznał okolicę. W dole, z lewej i z prawej, rozciągała się Piekielna Zatoka. Tutaj również ziemię skuł lód, biegnąc po niej niczym brukowana ulica z kosmosu. W oddali po morzu sunęły wzburzone białe fale. Plaża zniknęła pogrzebana pod lodem i śniegiem.

Taylor podczołgała się i zatrzymała obok niego. - Nie do wiary, że jesteśmy aż tak wysoko - zawołała, przekrzykując wycie wiatru.

Widział jej twarz po raz pierwszy od tamtego pocałunku, lecz patrząc na nią, nie umiał stwierdzić, czy przypadkiem nie był on wytworem jego wyobraźni.

- Nie możemy zejść na dół - krzyknął w odpowiedzi.

- Nie tędy.

- Jak myślisz, ile czasu zostało jeszcze do zmroku? Spojrzał na zegarek, a potem na szare popołudniowe niebo.

- Chyba powinniśmy zacząć kierować się...

- Patrz, co to takiego?

Wskazywała starą rybacką chatę wzniesioną na skałach przy plaży. Obok, na śniegu, widniały czerwone plamy.

- Wygląda na krew - krzyknęła. - Jakby ktoś stąd zeskoczył i się zabił.



- Albo coś - zawołał Simon, wciskając się między nich. Kołnierzyki i rękawy ich kurtek łopotały na wietrze.

- Na przykład co? - przedrzeźniała go Taylor. - Duch? Simon gwałtownie pokręcił głową. - Duchy nie krwawią

- krzyknął. - One są martwe. To pewnie jakaś owca albo pies... Ha! A może nawet pies pasterski!

- Chyba...

Michael nie usłyszał jednak odpowiedzi Taylor, gdyż zagłuszyło ją wycie wiatru. Dał znak, że wycofuje się z powrotem, a oni poczołgali się za nim na środek jaskini. Wstali dopiero wtedy, gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości od krawędzi, a potem poprowadził ich w kierunku czarnej dziury, znaczącej początek tunelu, z którego przed chwilą wyszli. Ukucnął, a oni poszli za jego przykładem, zbijając się w małą gromadkę. Tutaj wiatr był nieco słabszy. Słyszeli swoje słowa.

- Ta czerwona plama na śniegu to nie żadna krew - stwierdził. - To łódź. Musi należeć do Bena, tego faceta, który przywiózł tu Kellie.

- Tę sukę - powiedziała Taylor. Splunęła na ziemię. - Tę podłą pieprzoną sukę...

- Kto to jest Kellie? - zaczął się dopytywać Simon. - I dlaczego jest...

- Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy - ostrzegła go Taylor. Rozległ się syk wiatru, a Taylor wstała i poszła w głąb

jaskini, w stronę widocznej w rogu płaskiej kamiennej wychodni. Simon posłał Michaelowi pytające spojrzenie, lecz ten tylko wzruszył ramionami. Nie miał prawa mówić Simonowi o tym, co tamtego ranka zobaczyli z Taylor na przystani - zresztą, o czym tu mówić? Kellie i Elliot weszli do tej samej szopy na łódzie i zamknęli za sobą drzwi. To było wszystko, co wiedział na ten temat Michael. Można się było jedynie domyślać, co zaszło między nimi później.

- Zostań tu - powiedział do Simona. Podniósł z ziemi ostry kamień, który leżał między jego stopami. - Weź to i postaraj się wydrapać w skale swoje imię albo jeszcze lepiej imiona nas wszystkich.

Simon wziął od niego kamień. - Po co? - zapytał.

- Nie wiem - powiedział Michael. Sam nie był pewien. - Może dzięki temu to miejsce stanie się nasze i każdy, kto przyjdzie później, będzie wiedział, że to my dotarliśmy tu wcześniej.

- Że wygraliśmy - powiedział Simon.

- Właśnie. Dokładnie tak jak twoja drużyna w szkolnym meczu.

Simon zważył kamień w dłoni, a potem nieśmiało spojrzał Michaelowi w twarz. - Po prostu chcesz z nią porozmawiać, prawda? - powiedział. - I wolałbyś, żeby mnie przy tym nie było... żebyście mogli być sami, żebyście...

^ Nie - zaprzeczył Michael. - To wcale nie...

- W porządku - zgodził się Simon. - Nie szkodzi. Odwrócił się od Michaela i zaczął trzeć kamieniem o skalistą ścianę.

- Całkiem jak prawdziwy jaskiniowiec, co? - powiedział Michael do Taylor kilka sekund później, siadając obok niej.

- Dziecko jaskiniowca - poprawiła go.

Nawet tam, w głębi jaskini, wiatr był na tyle silny, że mierzwił jej włosy niczym ptasie piórka. Od alkoholu i wysiłku Michaelowi zaschło w gardle.

- Jestem cholernie zła - powiedziała.

- Chodzi ci o twoją mamę, dziecko...

- Nie, chodzi mi o nią. Co ona tu do cholery robi?

- Kellie... - domyślił się.

- Kim ona właściwie jest? Skąd się tu wzięła? I nie mów mi, że jest tu dlatego, że przywiózł ją Ben. To już wiem.

- Wiem o niej równie mało jak ty. Sam fakt, że mieszka w przybudówce, nie oznacza, że...

- Ty jej nie znasz, ale zna ją mój ojciec...

- Tego nie możesz być pewna.

- Och, bądź poważny, Michael. Sam widziałeś. Byli tam razem. W szopie. Co? Myślisz, że to zbieg okoliczności? Obydwoje weszli do tej samej szopy w odstępnie minuty?

Nie, wcale nie uważał tego za zbieg okoliczności - jednak nie potrafił znaleźć innego wytłumaczenia.

- Oni się znają - powiedziała Taylor. - Nie ma wątpliwości. A on okłamał nas wszystkich. Mnie. Mamę. Dziadka. Skłamał, podając powód porannej wyprawy do wioski. Powiedział, że wybiera się do handlarza. A wcale tak nie było. Od początku miał prezent dla dziadka. Widziałam, jak przed wyjściem z domu wkładał do kieszeni paczuszkę - tę z prezentem dla dziadka. Musieli się tutaj umówić. On i ta suka. Nie wiem tylko w jaki sposób.

Wtedy Michael zrozumiał. - W pubie - powiedział. - Mogli spotkać się w pubie wczoraj wieczorem. Była tam, podobnie jak twój tata, po tym, jak odpro- wadził mnie do domu.

W jej oczach pojawił się błysk zrozumienia. - A więc to tak.

- Ale to nadal nie wyjaśnia, dla czego umówili się na spotkanie.

Ona nie miała wątpliwości. - Jest tylko jeden powód, dla którego umawiasz się z kimś w tajemnicy - powiedziała.

Czy mówiła również o sobie i o nim? Wiedział, że to samolubne pytanie i że teraz jest pewnie ostatnią osobą, która zaprzęta jej myśli, lecz mimo to nie mógł przestać się nad tym zastanawiać.

Taylor spojrzała Michaelowi w oczy. - To by ją zabiło, wiesz? Moją mamę. Ona tak bardzo go kocha... Przecież nawet wysłała mnie do szkoły z internatem,

żeby spędzać z nim więcej czasu... w dodatku teraz spodziewa się drugiego ba-chora. Chryste, szkoda, że nie widziałeś miny taty, kiedy się o tym dowiedział. To by ją zabiło, jestem tego pewna. O ile moje przypuszczenia są trafne... jeśli w jakiś sposób tata i Kellie...

- Niczego nie wiesz na pewno - przypomniał jej Michael. - Wiesz jedynie, że się spotkali. To mógł być zbieg okoliczności. To całkiem prawdopodobne. Mogła tam za nim pójść, żeby zobaczyć, co robi.

- W takim razie dlaczego skłamał w sprawie prezentu? Michael nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

- Ona płacze, wiesz? Moja mama. Widziałam. Robi to, kiedy myśli, że nie patrzę. Wiesz, kiedy płacze?

- Kiedy?

- W nocy. Podczas wakacji, kiedy jestem w domu, ale nie ma taty. W weekendy też. Kiedy on musi iść do pracy...

Michael również widział, jak mama Taylor płakała, kiedy myślała, że nikogo nie ma w pobliżu. Przypomniał sobie, jaki był jego ojciec tuż przed rozwodem. Zostawił matkę samą. Zostawił ją samą z jej łzami.

Powiedział wprost:

- Zatem uważasz, że twój tata ma romans...

- Tak.

- Z Kellie...

- Tak.

- Ale ona przypląnęła tu z Benem. To był zwykły przypadek. Ta sprawa nie trzyma się kupy.

- Wiem. Ale ona jest z Londynu. A tata przyjechał tu później niż my. Wiem, że to szalone, ale mógł...

Nagle odwróciła wzrok, a on podążył za jej spojrzeniem. Na ścianie jaskini widniały niemal półmetrowe litery wyryte przez Simona:

SIMON I TAYLOR I MIKEL NA ZAWSZE

Simon wpatrywał się w Michaela i Taylor, a po jego twarzy płynęły łzy.

Michael zerwał się na nogi, gdy Simon puścił się biegiem w kierunku skraju jaskini. W jego dłoni spoczywał kamień, którym wyrył ich imiona. Cisnął nim z całej siły w kierunku łodzi. Michael złapał go i pociągnął w głąb jaskini.

- Nie zachowuj się jak wariat - wrzasnął, wlekąc go za sobą. - Mogłeś wypaść!

Simon próbował mu się wyrwać. - Puszczaj! - krzyknął.

Michael ciągnął go dalej, w stronę mrocznego tunelu. Praktycznie zaniósł go w bezpieczniejsze miejsce. Tam wiatr ucichł i Michael słyszał jedynie Simona, który syczał na niego jak kot.

- Co się stało? O co ci chodzi?

- O nic - krzyknął Simon, wyswobodzając jedną rękę, którą następnie ze złością i wstydem wytarł oczy.

- Chcesz wracać do domu?

Po twarzy Simona popłynęły łzy. - Oni mnie nienawidzą. Nie chcą mnie tam.

- To nieprawda - powiedział Michael.

- Prawda. Chcę umrzeć. Szkoda, że nie zginąłem zamiast niego.

Mówił o Paulu. O swoim zmarłym bracie. Taylor odciągnęła Simona od Michaela i objęła go. Michael bezradnie patrzył, jak Simon drży w jej ramionach.

- Myślę, że to była moja wina - powiedział Simon.

- Wcale nie. Nikt tak nie myśli.

- Właśnie że tak! Zawsze będą tak myśleć.

- Nie, Simon. Obiecuję.

- Będą! To zawsze będzie moja wina. Lekarka, do której mnie posyłają, mówi, że tak nie jest, ale to nieprawda. Mówi, że wszystko się zmieni, ale nic takiego się nie dzieje. I bez końca zadaje mi te same pytania, a ja opowiadam jej o tych samych rzeczach, ale nic nie zmienia się na lepsze i nigdy się nie zmieni, a teraz mama nienawidzi mojego taty równie mocno jak mnie...

- Nie - powtórzyła Taylor. - Oni cię kochają, Simon. Kochają cię całym sercem.

- Chciałem go tylko uratować - łkał Simon. - Niczego więcej nie chciałem. - Między jego ustami rozciągnęła się strużka śliny, która po chwili pękła. Mocno zacisnął powieki.

- Zrobiłbym wszystko, żeby go uratować. Zrobiłbym wszystko, żeby było lepiej.

- Obiecuję ci - powiedziała Taylor. - Wszystko będzie dobrze.

- Nie chcę, żeby się rozwiedli.

- Nikt nie powiedział...

- Nie chcę, żeby to zrobili - krzyknął Simon, odsuwając się od niej.

Taylor trzymała go za nadgarstki i patrzyła mu w oczy.

- Spójrz na mnie, Simon - powiedziała. - Nikt się nie rozwodzi. Słyszysz? Nikt.

W jej spojrzeniu musiała tkwić jakaś iskra determinacji, jakaś siła, ponieważ ciało Simona rozluźniło się i padł jej w ramiona, tuląc twarz do jej piersi.

Kiedy spojrzała na Michaela, on również zobaczył tę iskłę, tę siłę, która teraz skierowała się ku niemu. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko jej uwierzyć.

- Już dobrze - szepnęła do Simona. - Wypłacz się. Wypłacz się, a potem wszyscy razem pójdziemy do domu, zanim się ściemni.

RS

## Rozdział dziewiętnasty

I to już koniec - powiedział Ben, przechylając butelkę i patrząc, jak kilka ostatnich kropeł wina stacza się do kubka Kellie.

Siedzieli w maleńkim salonie przybudówki na sfatygowanej dwuosobowej kanapie, którą wcześniej ustawili przed kominkiem. Rondle i talerze piętrzyły się w zlewie w oczekiwaniu na zmywanie. Na kuchennym stole, obok sześciokątnej wazy, która posłużyła Kellie i Benowi za dzbanuszek na sos, oraz zaśniedziałej łyżki do lodów, pełniącej rolę chochelki, leżały resztki kurczaka.

Zazwyczaj, pomyślał Ben, patrząc w ogień, po dobrym posiłku w tak doborowym towarzystwie zapaliłbym papierosa, aby zapisać w pamięci doskonałość tej chwili. Jednak nikotynowy głód, który gnębił go przez cały dzień, znacznie zmałał. Wiedział, że to dzięki niej, dzięki Kellie, która nie paliła. Możliwość oparcia się pokusie dmuchania dymem w jej twarz napawała go zadowoleniem i dodawała sił.

- Boże, czuję się wspaniale - westchnęła Kellie, wypijając z kubka ostatni łyk wina. Postawiła go na granicy utworzonej z czarnych i białych płytek, która oddzielała ogień od przetartego i wyblakłego niebieskiego dywanu. - Dziwnie się czuję, myśląc o tym, co robiliśmy wczoraj o tej porze.

- Masz na myśli to, że prawie umieraliśmy?

- Właśnie. A mimo to teraz jesteśmy tutaj. Wypoczęci, bezpieczni i syci.

- Nie jest to wprawdzie Dorchester...



- Nie, ale nie można powiedzieć, że zadowolamy się byle czym. A pod pewnymi względami jest nawet lepiej niż w luksusowym hotelu.

- Jak to?

- No cóż - powiedziała. - Gdybyś był w Dorchester, oczekiwałbyś czegoś wyjątkowego, prawda? Chciałbyś najlepszego jedzenia, najlepszego wina, wspaniałego pokoju z nieziemską łazienką, wypchaną fantastycznymi balsamami i miksturami. Oczekiwałbyś czegoś doskonałego, prawda? Ponieważ właśnie za to byś płacił.

- Tak...

- I strasznie byś się wkurzył, gdyby było inaczej, mam rację? Dlatego że miałbyś bardzo wygórowane oczekiwania. A tutaj? Dzisiaj, kiedy się obudziłam, a ty podstępem sprowadziłeś mnie w to miejsce, moje oczekiwania były praktycznie zerowe. Byłam przekonana, że ten dzień może mi zaoferować jedynie puszkę fasoli i parę grzanek oraz popołudnie marznięcia przy tym gównianym olejowym kaloryferku w moim pokoju. - Spojrzała na napis, który Ben zawiesił na belce pod sufitem. - Ale byłam w błędzie. Okazało się, że jest milion razy lepiej, niż się spodziewałam. Zatem tak - powiedziała. - Mogą sobie zatrzymać Dorchester, ponieważ dzisiaj, w tej chwili, nie chciałabym być nigdzie indziej. Tylko tu.

- Zaczynam odnosić wrażenie - powiedział - że gdybyś była kotem, dosyć głośno byś teraz mruczała.

- Zaczynam odnosić wrażenie, że masz rację.

Wolno przeczesła włosy palcami. Gdyby był w stanie sprawić, aby ten dzień trwał wiecznie, z pewnością by to zrobił. Cieszył się każdą mijającą chwilą. Jednak ten dzień musiał się skończyć. Kellie wyjedzie - jutro albo pojutrze. Zniknie w tej samej chwili, w której z morza zniknie lód.

Powinien był się cieszyć, cieszyć się czasem, który z nią spędził, cieszyć się, że wybrnął z bagna introspekcji, w którym grzął przez kilka ostatnich miesięcy, cieszyć się, że tak dobrze rozumie się z obcą osobą, a nawet z tego, z czego cieszyła się ona - że są bezpieczni, syci i nie grozi im mróz.

Jednak teraz pragnął czegoś więcej. W Londynie ich drogi nigdy nie przecięłyby się w ten sposób. Nigdy nie zbliżyliby się do siebie w tak krótkim czasie. Pragnął, żeby ten dzień przeobraził się w jutro, a potem w pojutrze i w ich wspólną przyszłość. Chciał jak najlepiej wykorzystać serię szans, które zawiodły ich w to miejsce.

- Zatem niczego nie żałujesz? - zapytał.

- Niczego.

Wstała i ściągnęła blezer, a po namyśle również sweter. Pod spodem miała znoszony czarny podkoszulek, który powędrował w górę, kiedy ściągała bluzkę przez głowę. Dostrzegł czarny pieprzyk tuż nad jej lewym biodrem - małą niedoskonałość na tle jej skóry. Rzuciła bluzkę na fotel i z powrotem usiadła. Koszulka podkreślała zarys jej piersi. Kiedy na niego spojrzała, odwrócił się i utkwiał wzrok w ogniu.

- Wiesz, co zamierzam teraz zrobić? - zapytała.

- Co takiego?

Podciągnęła nogawki dżinsów i zdjęła skarpetki. Następnie wysunęła nogi w kierunku kominka i pomachała palcami u stóp.

Rozparła się na kanapie i zamknęła oczy. - Będę udawać, że leżę na plaży... i wachluje mnie ciepła karaibska bryza...

- Hej - zaprotestował. - Myślałem, że powiedziałaś, że nie chciałybyś być nigdzie indziej.

Jej oczy pozostawały zamknięte. - Miałam na myśli rzeczywistość - powiedziała. - A to tylko fantazja. Zresztą - dodała - możesz się przyłączyć. Ten lot jest darmowy i jedyne, co musisz ze sobą zabrać, to twoja wyobraźnia.

- Lecimy business class?

- Nie, to marzenia, lecimy pierwszą.

Przebiegł wzrokiem wzdłuż zgrabnej linii jej łydek, aż do kostek. Następnie i on zamknął oczy.

- Wiesz, co lubię najbardziej? - zapytała. - Najbardziej na świecie?

- No cóż - powiedział. - Sądząc po zaskakująco wszechstronnej znajomości kinematografii, stawiałbym na leżenie na kanapie i oglądanie naprawdę dobrego filmu. A o tej porze roku wybrałabyś pewnie *To wspaniałe życie* albo *Wesołych świąt, pułkownika Lawrence*.

- Pudło. Nie to lubię najbardziej. Ale co do filmów masz rację. Gdybym mogła, oglądałabym teraz któryś z nich.

- W takim razie co lubisz najbardziej?

- Nie oglądać niczego. Po prostu być. Leżeć na piasku, przesiewać go przez palce, słuchać, jak fale delikatnie obijają się o brzeg...

Wyobraził ich sobie na plaży ze swoich marzeń, leżących tuż obok siebie. Miał na sobie szorty, a ona zielone bikini. Jej szyję oplatał naszyjnik z ciemnych koralików i czuł zapach kokosowego olejku na jej włosach. Po obu stronach ciągnęły się kilometry plaży i oprócz nich nie było widać żywej duszy. Nad głowami pochylały się palmy. Cienie drzew rozciągały się na białym piasku, sięgając aż do lazururowej płytki.

- Poszedłbym popływać - powiedział. - Wolnym krokiem wchodziłbym do morza, coraz dalej i dalej, aż fale uniosłyby moje ciało.

- I zostawiłbyś mnie samą na plaży? - zaprotestowała. Uśmiechnął się. Zatem i ona widziała go na tym obrazku...

- Wróciłbym - powiedział - po chwili... Może nawet złapałbym trochę ryb.

- Gołymi rękami?

- Dlaczego nie? Przecież to marzenia, prawda? Byłbym najszybszym pływakiem o najzwinniejszych dłoniach na świecie.

Zachichotała. - Coś jak połączenie *The Man From Atlantis* i Bruce'a Lee...

- Bruce Atlantyda. Oto pomysł na nowy serial... A co powiesz na *Walcząc z Nemo*?

- A tymczasem na plaży... - przypomniała mu. - Co robilibyśmy później? - zapytała.

- Później...

Wyobraził sobie, że leży obok niej na ręczniku, bierze ją za rękę, a potem kładzie się na niej. Połyskujące krople wody spadają z jego twarzy i lądują na jej policzkach...

- Poczekalibyśmy na zachód słońca, a potem rozpalilibym ognisko - powiedział.

Zastanawiał się, jakie byłyby w dotyku jej usta i jak by się \* czuła tak blisko niego. Co mogłaby szepnąć mu na ucho?

- A potem...

Gwałtownie się wyprostowała.

- To głupia gra - powiedziała, odwijając nogawki spodni. Podniosła skarpetki i zaczęła naciągać je na stopy.

- Przepraszam - powiedział. - Czy zrobiłem coś...

- Nie. - Wydawała się zdenerwowana. - To moja wina. Słuchaj, czy moglibyśmy porozmawiać o czymś innym?

- Jasne. - Jednak po raz pierwszy od chwili, w której ją poznał, zabrakło mu słów. - Na przykład o czym? - zapytał w końcu.

- O czymkolwiek - powiedziała. - Może o jedzeniu? - Zaczęła opowiadać mu o najlepszym daniu, jakie kiedykolwiek jadła, w restauracji zwanej Pawilonem Pływaka w Sydney.

I znowu znaleźli się na bezpiecznym gruncie. Zupełnie jak podczas posiłku, kiedy gawędzili o teatrze, muzyce i podróżach, o miejscach, w których byli, i rzeczach, jakie widzieli. O tym, że obydwójce mieszkają w Londynie - on w Kentish Town, a ona w Chancery Lane. Opisywali swoje mieszkania, mówili o tym, że nigdy nie znajdowali dosyć czasu ani ochoty, aby hodować kwiaty w oknie albo urządzać kuchnie w tak modnym stylu jak ich przyjaciele. Zeszli na neutralne tematy - mówiąc inaczej, zaczęli gawędzić tak, jak gawędzi się na jakiejś imprezie z zupełnie obcym człowiekiem, ze zwykłej uprzejmości.

- ... i mówię ci - powiedziała - tamten szef kuchni powinien otrzymać tytuł szlachecki. Hej! - Nagle wyciągnęła rękę i dała mu kuksańca w bok. - Wcale mnie nie słuchasz. Niech zgadnę - ciągnęła. - To zazdrość zawodowa.

- Co takiego?

- Sam też nieźle gotujesz. Naprawdę mnie zaskoczyłeś przygotowaniem napędce takiego lunchu. Najwidoczniej ukrywasz wiele talentów.

- Niczego nie ukrywam - powiedział. - Nie mam żadnych tajemnic. Nie przed tobą.

Nie zamierzał tak gwałtownie zwrócić ich rozmowy z powrotem na osobiste tory, lecz kiedy to się stało, poczuł zadowolenie. Nie miał ochoty na pogawędki. Nie z nią. Nie dzisiaj.

Przyjrzała mu się z zaciekawieniem. - Dlaczego nie przede mną? - zapytała.

- Nie wiem. Dlatego że ci ufam. Wiem, że nie ma ku temu żadnych powodów, ale tak właśnie jest. - Uśmiechnął się. - Zresztą - dodał - nie znasz moich znajomych. Jesteś niegroźna. Mógłbym powierzyć ci wszystkie moje nadzieje i

obawy i zupełnie by mi to nie zaszkodziło, bo nie mamy wspólnych przyjaciół, więc nikomu nie mogłabyś tego powtórzyć.

- Coś jak zwierzenie się na bezludnej wyspie.

- Właśnie - powiedział. - To nawet trochę pasuje do sytuacji. Chyba w jakimś sensie jesteśmy rozbitkami.

- Jak Robinson Crusoe i Piętaszek, co? Albo Hanks i jego piłka o imieniu...

- Wilson.

- Tak, jak Hanks i Wilson...

- Dwoje nieznanomych, którzy idealnie się rozumieją...

- Chyba czasami łatwiej rozmawiać z kimś, kogo się nie zna - powiedziała. - Czasami jest to również bardziej interesujące. - Spojrzała mu w oczy. - Ale mówiąc poważnie, czy naprawdę nie masz przede mną żadnych tajemnic? Powinam cię ostrzec, że bywam bardzo wścibska...

- Możesz pytać, o co tylko chcesz.

Splotła ręce na piersi i przyjrzała mu się. - Nie jestem pewna, od czego zacząć. Może od twojej żony? Byłej żony. Od Marie. Od tego, dlaczego nie jesteście razem...

Już chciał odpowiedzieć, lecz ona uniosła palec do ust.

- A może przeniesiemy się na zewnątrz? - zaproponowała.

- Jeśli jeszcze trochę posiedzę przy kominku, z pewnością zasnę. - Na dowód przeciągle ziewnęła. - A nie chciałabym, byś pomyślał, że mnie nudzisz - powiedziała - bo wcale tak nie jest.

Poszli w kierunku jaskrawych szop na łodzie, a śnieg skrzypiał pod ich stopami jak styropian. Było strasznie zimno. Wystarczyło kilka sekund, żeby Ben

zupełnie się rozbudził. Zatrzymali się przy drewnianej ławce i spojrzeli na przystań. Nieliczne zacumowane tam kutry otaczał lód, unieruchamiając je w nienaturalnych pozycjach, jak gdyby osiadły na mieliźnie.

- To wygląda jak scena z *Whisky Galore!* - powiedziała.

- Albo ze *Scott of the Antarctic*.

- Wiesz, w naszych głowach kłębi się zdecydowanie za dużo filmowych szczegółów. To może być szkodliwe dla zdrowia.

- Może obydwójce mieliśmy o wiele za dużo wolnego czasu.

Nie myliła się - przynajmniej jeśli chodziło o niego - ponieważ prawda była taka, że głównym powodem, dla którego obejrzał tyle filmów, był nadmiar wolnego czasu spędzonego w samotności. Zastanawiał się, czy w jej przypadku było podobnie.

- Może jest jakiś związek pomiędzy samotnością a oglądaniem filmów - powiedział.

- Możliwe.

W oddali zaszczekał pies, a Ben postawił kołnierz płaszcza, gdyż znowu przypomniał mu się ubiegły dzień - to, jak przytulali się do siebie w poszukiwaniu ciepła podczas morderczej przeprawy do wioski z Piekielnej Zatoki.

Teraz też mógł ją objąć. Byłby to dla niego najbardziej naturalny gest na świecie. Jednak dotykanie jej w tej chwili byłoby inne, intymne, niepraktyczne - pamiętał, jak szybko wyprostowała się na kanapie, jak gwałtownie zakończyła ich grę.

- Zatem jeśli chodzi o Marie i mnie - powiedział, powracając do miejsca, w którym przerwali rozmowę - przestaliśmy być razem, ponieważ... ponieważ ona zaczęła być z kimś innym. Z kimś, kogo kiedyś znałem.

- Z twoim przyjacielem?

- Z byłym przyjacielem.

Z Dannym. Były przyjaciel miał na imię Danny. Ben dowiedział się o wszystkim od jego żony. Podejrzewała Danny'ego o romans i wynajęła detektywa, żeby dowiedzieć się, z kim zdradza ją mąż. Pokazała Benowi zdjęcia Marie i Danny'ego całujących się pod pomnikiem Piotrusia Pana w Regent's Park. Tamten obraz nadal przyprawiał Bena o mdłości. Wyglądali tak, jak gdyby byli ze sobą od lat.

- Zaskoczyłeś mnie - powiedziała Kellie.

- Czym?

- Myślałam, że było odwrotnie. Myślałam, że to ty ją zostawiłeś.

- Dlaczego? - zażartował. - Mam w sobie coś z bezwzględnego cudzołożnika czy jak?

- Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie.

- Chcesz powiedzieć, że wydaję się niegroźny? - zapytał, niepewny, jak ma zareagować.

- Nie. Sprawiasz wrażenie pewnego siebie i opanowanego. Chyba po prostu chodzi o to, że nie potrafię wyobrazić sobie ciebie w sytuacji, nad którą nie panujesz. To wszystko.

Roześmiał się.

- O co chodzi? - zapytała.

- Szkoda, że nie widziałas mnie o tej porze rok temu...

- Było ciężko?

- Tak. Byłem w zupełnej rozsypce. Szczerze mówiąc, wcale nie panowałem nad sytuacją.

- Cóż, wygląda na to, że masz to już za sobą.

- Dzięki - powiedział Ben. - Rzeczywiście zaczynam ci przyznawać rację. - Kiedy ruszyli dalej, dodał: - W moim związku z Marie wcale nie chodziło o kontrolę. Od samego początku zależało nam na partnerstwie i równości.



- Czyż nie do tego dążą wszyscy ludzie?

- Tak, ale nam naprawdę się udało. Przynajmniej na jakiś czas. Kiedy wróciliśmy z miesiąca miodowego, obydwójce rzuciliśmy pracę - ja w branży filmowej, a ona w reklamie. Założyliśmy własne przedsiębiorstwo i nazwaliśmy je „Karu-zela”. Idea opierała się na tym, żeby zarobić więcej pieniędzy na czymś, co lubimy robić, aby później to coś dało nam możliwość cieszenia się resztą życia. Abyśmy nigdy nie musieli gonić za pieniądzem. Ani pracować w weekendy. Ani robić żadnej z tych rzeczy, których wymagała nasza wcześniejsza praca. - Uśmiechnął się. - Marie zaprojektowała logo przedstawiające krąg ludzi trzymających się za ręce. Właśnie tak miało być: spójność, harmonia, współpraca... Miało być zabawnie. Mieliliśmy uszczęśliwiać ludzi, przekształcając ich wspomnienia w filmy, i dzięki temu my sami również chcieliśmy odnaleźć szczęście.

- Ale tak się nie stało?

- Nie. W końcu okazało się, że powinniśmy byli nazwać firmę „Huštawka”. Bo właśnie tak się to wszystko skończyło. Kłóciliśmy się z Marie jak pies z kotem o każdą najmniejszą decyzję.

- Niech zgadnę - powiedziała Kellie. - W końcu praca zatruła wasze prywatne życie.

- To dosyć powszechne zjawisko, zwłaszcza kiedy pracuje się w tym samym miejscu, nie sądzisz?

Wzruszyła ramionami. - Nie wiem. To chyba zależy od ludzi. Myślę, że czasami wspólna praca może stworzyć podstawę fantastycznego związku.

- Możliwe.

Patrzyli na mewę, która wylądowała na lodzie i ślizgała się na nim, aż w końcu osiągnęła względną równowagę.

- To, co się wydarzyło... pomiędzy Dannym a Marie... - powiedział Ben - to naprawdę mnie zabolalo. Fakt, że go znałem, dodatkowo pogorszył sprawę.

- Nie wątpię.

- Musiałem zadać sobie mnóstwo pytań: o to, kim są moi przyjaciele, lecz również o siebie samego. O to, kim jestem i czego pragnę.

- Do jakich doszedłeś wniosków?

- Uznałem, że tak naprawdę od dawna byłem nieszczęśliwy. Chociaż to Marie zostawiła mnie dla Danny'ego, nie tylko ona zakończyła nasz związek. Skończy! się - my się skończyliśmy - na długo przed tym, zanim Marie i Danny zrobili to, co zrobili. I wiesz co?

- Co?

- Nigdy więcej nie pozwolę, żeby coś takiego się powtórzyło. Nigdy nie będę siedział z boku i patrzył, jak umiera coś, co mogło być cudowne. A właśnie tak wtedy zrobiłem. I wreszcie to zrozumiałem, od tamtej pory strasznie mnie to dręczy. Zabrakło mi wytrwałości. Stałem się kimś, kim nigdy nie chciałem być.

- Wcale nie sprawiasz takiego wrażenia.

- To dobrze - powiedział. - Bo już taki nie jestem. Zostawiam to wszystko za sobą. Idę do przodu i pnę się w górę. Bez względu na to, z kim połączy mnie los, dam z siebie wszystko.

Dotarli na drugą stronę przystani i stanęli odwrócenii plecami do muru, spoglądając w stronę wioski.

- Mówisz o tym wszystkim z takim spokojem - powiedziała. - Biorąc pod uwagę to, że...

Uśmiechnął się. - Miałem mnóstwo czasu, żeby to sobie przemyśleć. Rozwód był długi. Wiesz, jak adwokaci uwielbiają dolewać oliwy do ognia - żartował.

- Hej! - Dała mu kuksańca w ramię. - To tylko praca. Zresztą nie zajmuję się rozwodami. - Spojrzała mu w oczy. - Miałeś kogoś od tamtej pory? - zapytała. - To znaczy od czasu rozstania z Marie?

Od chwili, w której po raz ostatni uprawiał seks, minęły już prawie trzy miesiące. Była to druga kobieta, z którą przespał się od czasu rozstania z Marie i wszystko skończyło się niezręczną pokracczną katastrofą. Nazajutrz obudził się w łóżku koleżanki z dawnej pracy. Miał kaca, a jego dłoń spoczywała w jej dłoni. Wyszwolecił się z tego uścisku, a kiedy się obudziła, on był już ubrany.

- Było parę przypadków - powiedział. - Jednorazowe przygody. Dawna dziewczyna z zamierzchłej przeszłości i kobieta, z którą kiedyś pracowałem. Nic poważnego. Chyba chodziłem po omacku, próbując odnaleźć stały grunt.

- Nosisz przy sobie zdjęcie Marie? - zapytała Kellie. Zaskoczyła go szczerść tego pytania. - Gdzie? W portfelu?

Dlaczego pytasz?

- No cóż, na tej podstawie zawsze można sprawdzić...

- Co takiego?

- Czy człowiek naprawdę wyleczył się z dawnej miłości, czy może nadal ma do niej słabość.

Ben wyciągnął portfel z kieszeni džinsów i z za stosu kart kredytowych wysunął paszportowe zdjęcie Marie. Była blondynką i uśmiechała się w ten nienaturalny sposób, w jaki uśmiechają się ludzie na zdjęciach, które towarzyszą im przez długie lata.

- Eksponat numer jeden - powiedział, podając jej zdjęcie.

- Bardzo młodo wygląda - zauważyła Kellie.

- Bo była młoda. Podobnie jak ja. To zdjęcie zostało zrobione w Australii, wiele lat temu. Musiała wyrobić sobie nowy paszport, kiedy na plaży skradziono jej torbę.

- Jest piękna - powiedziała Kellie. - Ale to wcale mnie nie dziwi. Ty też jesteś przystojny.

Był to pierwszy komplement, jaki mu powiedziała, i trochę ją to zaniepokoiło. Oddała mu zdjęcie.

-Dzięki. - Wyciągnął dłoń, pozwalając, aby fotografię porwał wiatr.

Kellie wydała z siebie zduszony okrzyk, patrząc, jak zdjęcie wiruje w powietrzu. Wylądowało na lodowej powierzchni zatoki. - Dlaczego to zrobiłeś?

-Twoje pytanie przypomniało mi o tym, że nadal noszę w portfelu jej zdjęcie. Poza tym nic nie ugasi starego płomienia lepiej niż kilkaset ton morskiego lodu.

Patrzyli na zdjęcie, które kilka razy uniosło się na wietrze, a potem przyczepiło do lodu. Ben mrugnął i po chwili nie mógł go już dostrzec. Ucieszyło go to.

-I oto moja opowieść o rozwodzie w stylu *Sprawy Kramerów* dobiega końca - powiedział. - Znowu jestem prawie młody, wolny i do wzięcia. Mam byłą żonę, byłego przyjaciela, przerośniętą kolekcję filmów i nie mam żadnej dziewczyny, o której można by opowiadać. Nawet - dodał, starannie dobierając słowa - „kogoś w rodzaju” dziewczyny...

Przewróciła oczami, jak gdyby właśnie opowiedział bardzo kiepski żart. - To z kolei zgrabnie kieruje rozmowę na mój temat... na temat mojego „kogoś w rodzaju” chłopaka - powiedziała. - Twoja subtelność nie zasługuje na komplement.

-Rzeczywiście, nigdy nie była moim największym atutem. Oplotła się ramionami i wbiła wzrok w przezroczystą mozaikę wody i lodu.

-Mężczyzna, z którym się spotykam - wyznała - jest żonaty.

Ben pokiwał głową, ponieważ teraz wszystko ułożyło się w sensowną całość: jej samotny pobyt na wyspie... To dlatego, że „ktoś w rodzaju” chłopaka towarzyszył żonie. Niechęć Kellie do świąt Bożego Narodzenia... Ponieważ jej kochanek postanowił spędzić je z kimś innym. Ben zdążył już się domyślić, że w związku Kellie z tym mężczyzną są jakieś komplikacje, ale zakładał, że wiążą się z tym, g d z i e ten mężczyzna pracuje lub mieszka, a nie z k i m .

- To dlatego jest „kimś w rodzaju” chłopaka - powiedziała. - Ponieważ nie jest do końca mój. Jeszcze nie.

- Ale będzie już wkrótce?

- Lepiej, żeby tak się stało. Kocha mnie, a ja czekałam już wystarczająco długo.

- Jak długo?

- Rok.

Ben powiedział: - Skoro tak bardzo cię kocha, to dlaczego nadal jest z żoną?  
- Jednak już w chwili, w której zadał to pytanie, wiedział, jak brzmi odpowiedź. - Niech zgadnę - powiedział. - Dzieci.

- Jedno. Córka.

- Której nie chce zawieść, prawda? To dlatego tak długo odkłada chwilę rozstania z żoną... - W głosie Bena pobrzmiwał niezamierzony sarkazm, ale właśnie tak myślał. Co do słowa. Nagle poczuł złość. Nie na nią, lecz na niego - na tego mężczyznę, którego nigdy nie widział, a który manipulował Kellie jak kuleczką.

Kellie powiedziała: - Wiesz, wcale nie czuję się z tym dobrze, więc proszę, nie praw mi morałów.

- Ale czy cały sens bycia z kimś nie polega właśnie na tym, żeby czuć się dobrze?

- Chodziło mi o to, że nie czuję się dobrze z powodu tych okoliczności. Wolałabym, żeby nie miał dziecka i żeby nie był żonaty. Żałuję, że kiedy się poznał, nie był wolny tak jak ja. Ale tak czy siak, rozstaje się z żoną. Zdecydowałyby się na separację bez względu na to, czy pojawiłabym się w jego życiu, czy nie.

Czy właśnie tak było w przypadku Marie i Danny'ego? - nagle Ben zaczął się zastanawiać. Czy rozmawiali o nim w taki sam sposób, w jaki Kellie mówiła

teraz o żonie swojego kochanka: jak o pewnym utrudnieniu, osobie, której należy się pozbyć?

- W takim razie jak to możliwe, że jeszcze nie są w separacji? Jak to się stało, że jeszcze się na to nie zdecydowali? Dlaczego on nadal trzyma cię w niepewności?

- Nie masz prawa - powiedziała, czując nagłą złość. - Nie masz pojęcia, jak jest naprawdę. On mnie kocha, Ben. Jesteśmy w sobie zakochani.

Dla Bena nie brzmiało to jak miłość.

- Wiem, że to wszystko sprawia złe wrażenie - powiedziała - ale...

W jego umyśle ukształtowały się słowa i wypowiedział je, zanim zdążył zastanowić się nad ewentualnymi konsekwencjami.

- Gdybyś była moja - powiedział - nie trzymałbym cię w niepewności nawet przez chwilę.

Wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Ale nie jestem twoja, Ben - powiedziała.

- Nie - powiedział. - Ale gdybym miał...

- Co?

Co właściwie zamierzał powiedzieć? - zastanawiał się. Wiatr przybierał na sile, a on patrzył jej w oczy. Co mógłby powiedzieć? Przecież ona powiedziała już wszystko. Jesteśmy zakochani. Właśnie tak to ujęła. Powiedziała mu, że kocha innego mężczyznę.

I właśnie dlatego słowa: „Ale gdybym miał cię teraz pocałować, wiem, że oddałabyś mi pocałunek” zamarły, niechciane, na jego ustach.

Wbił wzrok w taflę wody i leżąca w dole wioska zmieniała się w niewyraźną plamę. Cóż on mógł wiedzieć o miłości? On, który był już po rozwodzie. On, który spędzał czas z tą kobietą dzięki zwykłemu przypadkowi.

*Ale nie jestem twoja, Ben.*

Czuł się tak, jakby ktoś kopnął go w brzuch.

- Nieważne - powiedział. - Powinniśmy już wracać. Zimno tu.

Szli, ramię przy ramieniu, z powrotem wzdłuż szop na łodzie, w kierunku przybudówki pubu. Zaczął kropić zimny deszcz. Ben otworzył jaskrawoczerwony parasol, który przyniósł ze sobą, i trzymał go nad ich głowami. Ścisnęli się pod nim jak ludzie w windzie.

Przypomniawszy sobie poprzedni wieczór, kiedy obserwował ją w pubie. Był dumny z niej i z faktu, że dotrzymuje jej towarzystwa, a także z tego, że pozostali uważają go za jej przyjaciela. Przypomniawszy sobie, jaka była czarująca dla Jacka, Toni i innych ludzi w pubie oraz to, z jaką łatwością dopasowała się do towarzystwa. Może właśnie to go zmyliło. Może dla niego również była jedynie czarująca i może od chwili, w której ktoś obcy poczuł do niego sympatię, upłynęło tak dużo czasu, że zwyczajnie wziął to za coś więcej.

Czuł na sobie jej wzrok. Wiedział, że powinien przerwać to nagłe skrepowanie. Mieli za sobą cudowne popołudnie. Nie należało kończyć go w ten sposób. Posłał jej wymuszony uśmiech.

- Słyszałaś dowcip o tym, co dmuchany nauczyciel w dmuchanej szkole powiedział do dmuchanego chłopca, który trzymał w dłoni szpilkę? - zapytał.

- Nie.

Przybrał ton surowego belfra: - Chłopcze, doprowadzisz do zguby mnie, siebie i całą szkołę.

Jednak kiedy Kellie się śmiała, wiedział, że najśmieszniejszą postacią jest w tym wszystkim on sam.

## Rozdział dwudziesty

Kellie stała sama w kuchni przybudówki, myjąc letnią wodą i szamponem naczynia po lunchu, a jej myśli krążyły wokół Bena. Wszystko między nimi poszło nie tak. W chwili, w której przyznała się do swojego romansu, cała sytuacja uległa zmianie. Wyrosła między nimi jakaś bariera i zniknęła swoboda, z jaką wcześniej rozmawiali.

Żałowała, że powiedziała mu o Elliocie, ponieważ wyraźnie było widać, że Ben tego nie pochwała - zresztą nic dziwnego. Po tym, jak żona zostawiła go dla jego przyjaciela, słuchanie o każdym romansie musiało być dla niego trudne. Mimo to uważała, że nie powinien oceniać jej w ten sposób, i cieszyła się, że stała w swojej obronie. Nie miał prawa odnosić do siebie jej osobistych wyborów.

Mimo to nie potrafiła przestać myśleć o tym, że być może, gdyby dokładniej wyjaśniła mu sytuację z Elliotem, Ben lepiej by ją zrozumiał. Powinna była zrobić coś więcej, żeby przekonać Bena o tym, że ona i Elliot naprawdę się kochają. Powinna była przedstawić mu rodzinną sytuację Elliota i nie dopuścić do tego, aby Ben pomyślał, że jest jedynie egoistką, która rozbija czyjaś rodzinę.

Teraz było już za późno. Zresztą możliwe, że tak było bezpieczniej, ponieważ bariera, która między nimi wyrosła, uniemożliwiała dalsze pogłębianie ich znajomości. A musiała przyznać, że dzisiejszy dzień był wspaniały. Jeszcze nikt nie zrobił dla niej czegoś tak... romantycznego.



I właśnie tu tkwił problem. W romantyczności. Dla niej była czymś odruchowym, instynktownym - więc być może Ben traktował to podobnie.

Czy właśnie to zamierzał powiedzieć, kiedy oznajmiła mu, że nie należy do niego? Czy zamierzał powiedzieć coś o jej związku? Czy zamierzał przyznać, że żywi wobec niej jakieś uczucia? Nie wiedziała i już nigdy nie miała się tego dowiedzieć.

Pokręciła głową, denerwując się, że w ogóle o tym myśli. Ten mętlik w głowie wzbudzał w niej złość. Dlaczego przejmowała się tym, co pomyśli o niej Ben? Była z Elliotem. To, czy Ben uważa ją za atrakcyjną kobietę, czy też nie, nie powinno mieć dla niej żadnego znaczenia.

- Z kim rozmawiasz?

Podskoczyła wystraszona, a kiedy się odwróciła, zobaczyła w drzwiach Bena. Poczowała, że się rumieni.

- Mówiłam na głos?

- Raczej mamrotałaś coś bez sensu.

Wzruszyła ramionami. Była speszona, lecz jednocześnie jej ulżyło. Przeraziłaby się, gdyby rzeczywiście usłyszał, o czym myślała. - Chyba zaczynam wariować.

- Jesteś pewna, że nie potrzebujesz pomocy przy zmywaniu?

- Nie ma tu miejsca dla nas dwojga - powiedziała. - Poza tym i tak dużo już zrobiłaś. Poradzę sobie.

Pokiwał głową, wkładając ręce do tylnych kieszeni spodni. - W takim razie pozostawię to zadanie tobie. Idę do pubu.

- Och, w porządku - powiedziała i przygryzła usta. Wyglądało na to, że nie zamierza dotrzymać jej towarzystwa.

Odwrócił się w kierunku wyjścia.

- Ben - zaczęła.

Spojrzał w jej stronę. - Słucham?

Patrzył na nią badawczo. Bez złości. Po prostu badawczo.

- Nic takiego - powiedziała.

Kiedy wyszedł, poczuła się samotna. Ale przypomniała samej sobie, że tak jest lepiej. Będzie bezpieczniej, jeśli znowu wytworzy się między nimi dystans. Skończyła zmywać i posprzątała. Następnie zdjęła napis „Wesołych świąt”, zmięła kartki i wrzuciła do kominka. Patrzyła, jak się palą. To nie powinno mieć żadnego znaczenia - i zamierzała dopilnować, żeby go nie miało.

Kiedy ubrana w płaszcz stała przy drzwiach, spojrzała na pusty domek, próbując przypomnieć sobie leniuchowanie przy kominku w towarzystwie Bena oraz uczucie zadowolenia i szczęścia, którego doświadczała zaledwie kilka godzin wcześniej. To wszystko wydawało jej się jakimś snem.

Po powrocie do sąsiedniego domku przejrzała stary magazyn „Country Life”. Była znudzona i poirytowana. Lecz cóż innego miała do roboty? Nie mogła iść do pubu, bo tam był Ben, a nawet gdyby chciała do niego dołączyć - chociaż wcale nie chciała - wyraźnie dał do zrozumienia, że chce iść sam. Po raz pierwszy od przybycia na wyspę poczuła, że jest zdana na siebie.

Pomyślała o Elliocie i jego pretensjonalnych rodzinnych świątach. Usiłowała sobie wyobrazić, jak siedzi w domu, a wszyscy śmieją się przy ciepłym kominku. Pewnie pili cherry i grali w różne gry. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej pragnęła po prostu tam wejść, powiedzieć wszystkim o sobie i Elliocie i zakończyć wreszcie tę farsę. Elliot obiecał jednak, że zrobi to sam, i musiała mu zaufać.

Wstała i położyła dłoń na oparciu kanapy. Kołdra, pod którą spał Ben, leżała skotłowana, a jego wczorajszy sweter spoczywał na podłodze. Kellie zostawiła swój pokój na piętrze w identycznym stanie. Przypomniała sobie, że podczas lunchu powiedział, że życie jest zbyt krótkie, aby tracić czas na używanie nici dentystycznej. Roześmiała się wtedy i przyznała mu rację. Lubiała go za tę spon-

taniczność, podziwiała za uznawanie wyglądu za coś znacznie mniej ważnego niż samopoczucie. I właśnie to najlepiej charakteryzowało Bena, myślała. On czuł. Mnóstwo rzeczy. I nie bał się mówić o swoich uczuciach. Nie posiadał drugiego oblicza, nie ukrywał tego, kim naprawdę jest.

Nagle przyłapała się na myśleniu o tym, jak Elliot przycina włoski w nosie za pomocą nożyczek do paznokci, o prasownicy do spodni stojącej w korytarzu ich londyńskiego mieszkania i o jego koszulach dostarczanych co tydzień w plastikowych opakowaniach. Pomyślała o włosach na jego ramionach, na które starała się nie zwracać uwagi. Pomyślała o jego ruchach podczas tańca i o tym, że sprawia wtedy wrażenie, jakby za bardzo starał się zatrzymać młodość.

Przestań, upomniała się, czując nagły przyływ paniki. Nie wolno ci myśleć o Elliocie w tak negatywny sposób. Przecież go kochasz. Mimo to powracały do niej słowa Bena: „Gdybyś była moja, nie trzymałbym cię w niepewności nawet przez chwilę”. Nie potrafiła o nich zapomnieć. Dotknęła wisiorka w kształcie serca i stanęła przy oknie. Patrzyła w ciemność, pragnąc, żeby przyszedł Elliot i ją stąd zabrał. Chciała udowodnić Benowi, że się myli. Chciała, żeby wszystko znowu było w porządku. Chciała, żeby Elliot rozwiązał jej wątpliwości.

Nie było jednak sensu liczyć na coś, co jest niemożliwe. Elliot prawdopodobnie zakładał, że Kellie jest teraz z Benem - a z jego wcześniejszej miny wynikało, że zakładał znacznie więcej. Nie było szans na to, że po nią przyjdzie. Musiała poczekać do chwili, aż znowu znajdą się w mieszkaniu we Fleet Town, gdzie będzie mogła wszystko mu wyjaśnić.

Jednak ich luksusowe poddasze we Fleet Town wydawało się teraz odległe o milion kilometrów. Co ona sobie u diabła wyobrażała? Kellie zastanawiała się, dlaczego w ogóle zgodziła się przyjechać na wyspy razem z Elliotem. Wyobraziła sobie ich pusty pokój w hotelu. Czyżby zupełnie oszalała? Jak w ogóle mogłaby tam spędzić trzy samotne dni?

Nagle zaczęło migotać światło, więc podeszła do drzwi i zdjęła z półki latarkę. Dokładnie w tej samej chwili zupełnie zabrakło prądu. Przestraszona ciemnością, wydała z siebie zduszony okrzyk.

Pomyślała, że powinna przestać się wygłupiać. Nie było żadnego powodu do strachu, lecz mimo to, gdy włączyła latarkę i postukała nią, żeby przestała gasnąć, drżały jej ręce.

W ciemności wewnątrz domku przyprawiało ją o gęsią skórkę. Doszła do wniosku, że będzie musiała pójść do pubu i zachowywać się, jak gdyby nic się nie stało. W końcu nie było powodu, dla którego miałaby odchodzić tu od zmysłów. Wcale nie zamierzała wycofywać się z postanowienia o ochłodzeniu stosunków z Benem. Po prostu nie miała innego wyjścia.

Kiedy nacisnęła klamkę, wiatr wyrwał jej frontowe drzwi. Kellie złapała kaptur płaszcza, a rozpuszczone włosy zaczęły smagać jej twarz. Ciągąca się przed nią ścieżka do pubu wyglądała złowrogo w słabym świetle latarki. Zabawne, ale z dala od Bena czuła się bezradna i samotna.

W pubie Sally zapalała świece. Wielki kominek emanował ciepłem. W kominie zawodził wiatr. Bez dźwięków szafy grającej panowała tu dziwna cisza. W rogu jakiś mężczyzna stroił gitarę.

- To wygląda na poważną awarię - wyjaśniła Sally. - Kiedy prąd wysiada w ten sposób, zawsze musi upłynąć trochę czasu, zanim wszystko wróci do normy. Roddy poszedł rzucić okiem na generator, ale jeśli nadal jest zepsuty, wątpię, żebyśmy dziś wieczorem mieli skorzystać z prądu.

Kellie zauważyła Bena, który siedział w kącie przy stole obok kominka. Pomachał do niej.

- Nareszcie przyszedłeś. Już miałem iść sprawdzić, czy nic ci się nie stało. Właśnie sobie gawędzimy - powiedział Ben, wskazując siedzącego naprzeciwko mężczyznę.

Musiał być kolejnym przyjacielem Bena z wyspy. Kellie podeszła bliżej i zakłopotana stanęła przy stole.

- Cześć - powiedział nieznajomy. Był przystojny, musiał mieć czterdzieści kilka lat. Jednak kiedy lekko się do niej uśmiechnął, w jego twarzy dostrzegła jakiś smutek.

- Mogę się przyłączyć? - zapytała Bena. - W domku też wysiadło światło.

- Nie mam nic przeciwko - odrzekł Ben.

Kiedy Kellie usiadła i zdjęła płaszcz, mężczyzna wychylił szklaneczkę whisky. Zapadło długie milczenie. Trzymając kufel piwa w połowie drogi do ust, Ben patrzył, jak Kellie związuje włosy w kucyk.

- A może wolelibyście... - zaczęła, martwiąc się, że przerwała im rozmowę.

- Nie, nie, zostań - powiedział Ben. - Może ty znajdziesz jakieś rozwiązanie. Spojrzenie z kobiecej perspektywy mogłoby bardzo pomóc naszemu przyjacielowi.

- Wielkie dzięki, że mnie wysłuchałeś. Pewnie zanudzam cię na śmierć.

Kellie zorientowała się, że Ben również nie zna tego mężczyzny.

- Wcale nie. Jeszcze po jednym? - zapytał Ben, po czym wstał i podniósł szklaneczkę mężczyzny. Posłał Kellie sugestywne spojrzenie i domyśliła się, że tkwił tu wbrew swojej woli, wysłuchując zwierzeń tego człowieka. - Czego się napijesz, Kellie?

Zdała sobie sprawę, że powinna była przyjść do pubu wcześniej. Wyglądało na to, że wszelkie złe fluidy, jakie unosiły się pomiędzy nią a Benem, zniknęły bez śladu. Najwidoczniej zapomniał już o tym, co go gnębiło, i skupił się na teźniejszości.

- Chyba rumu z colą - powiedziała.

Czemu nie? - powiedział Ben. Pochylił się w jej kierunku i szepnął: - Zanosi się na długi wieczór.

Kellie uśmiechnęła się do Bena, a on puścił do niej oczko. Jaka była głupia, zadrezczając się bez powodu. Byli przyjaciółmi i wszystko pozostawało w najlepszym porządku. Nie istniał żaden powód, dla którego mieliby rezygnować z miłego spędzania czasu w swoim towarzystwie. W pubie poczuła, że znowu tworzą drużynę, i chciała mu pomóc.

- Może ty dasz naszemu przyjacielowi jakąś mądrą radę. Widzisz, dzisiaj jego żona powiedziała mu... - Zaczął mówić, wskazując mężczyznę, żeby zapoznać Kellie z sytuacją.

Gdy Ben oddalił się od stolika i zaniósł ich szklanki do baru, nastąpiło długie milczenie.

- Co takiego powiedziała ci żona? - Nie była pewna, czy powinna zadawać kompletnie nieznanemu człowiekowi tak osobiste pytanie.

- Zażądała rozwodu - powiedział mężczyzna. W migotliwym świetle świecy dostrzegła, że jego oczy są czerwone od nadmiaru emocji i whisky.

- O Boże. Przykro mi - powiedziała Kellie, zdając sobie sprawę z tego, że przez przypadek natknęła się na znacznie większy kryzys, niż się spodziewała.

- Tak. Wierz mi, to było fatalne zakończenie świątecznej kolacji.

Początkowo myślała, że mężczyzna jest mieszkańcem wyspy, lecz teraz coś w sposobie, w jaki mówił, i w jego ubiorze sprawiło, że zmieniła zdanie. Oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach. Jego ramiona zaczęły lekko drgać.

Kellie przyglądała mu się bezradnie. Omal nie poklepała go po plecach.

- Przepraszam - powiedział, wycierając oczy. - To dla mnie po prostu zajebisty szok.

- Nic nie szkodzi - odrzekła ze współczuciem. Historia tego biedaka sprawiła, że na własne problemy spojrzała z dystansem. - Potrafię słuchać ludzi - dodała, posyłając mu łagodny uśmiech. - Mówię to na wypadek, gdybyś miał ochotę o tym porozmawiać.

- Ona myśli, że to moja wina - powiedział.

- Co takiego?

- Półtora roku temu straciliśmy syna. Utopił się. Stephanie uważa, że... że to moja wina. Ale ja próbowałem. Boże, próbowałem...

Kellie nie mogła uwierzyć w to, co właśnie się działo. Poczowała, że jej policzki oblewają się rumieńcem. Ledwie mogła oddychać. Ten mężczyzna był Davidem. Tym Davidem. Mężem Stephanie. Szwagrem Elliota. A także potencjalnym szwagrem jej samej. Zupełnie zaschło jej w ustach.

- Wszystkie problemy, z jakimi borykaliśmy się w ciągu ostatniego roku, nabierają teraz sensu. Stephanie mnie nienawidzi, ponieważ uważa, że powinienem był go uratować. Ale jak może myśleć w ten sposób? - zwrócił się do niej David.

- Ja też go kochałem.

Kellie pospiesznie szukała jakiegoś wyjścia z sytuacji. Powinna była sprawiać wrażenie zatroskanej nieznajomej - naprawdę mu współczuła. Biedak, doświadczał takiego bólu. Nie mogła jednak zdradzić, kim naprawdę jest.

- Pewnie to tylko skutek świątecznego stresu - powiedziała, niespokojnie wierząc się na krześle. W jej umyśle kłębiły się implikacje tego, o czym mówił David. Jak zareagowała reszta rodziny? Nic dziwnego, że Elliot nie przyszedł się z nią spotkać. Runęło jej wyobrażenie ciepłych rodzinnych świąt u Thorne'ów, podczas których wszyscy grają w szarady. - Ludzie zawsze dostają wtedy bzika, prawda? Wiesz, muszą przebywać wraz z całą rodziną. Co dokładnie powiedziała?

Kiedy David zaczął opowiadać jej o kłótni i śmierci Paula, siedzący w kącie gitarzysta zanucił jakąś piosenkę, cicho akompaniując sobie na gitarze. Kellie pomyślała o wrzaskliwym karaoke z ubiegłego wieczoru. Miała wrażenie, że to wszystko działo się rok temu.

- Tak mi przykro - powiedziała, wyciągając rękę, żeby dotknąć dłoni Davida.  
- To musiało być dla ciebie straszne.

Zwłaszcza że są święta. Jak zareagowała pozostała część rodziny? - zapytała.  
- Czy spędzaliście święta w większym gronie? - Starła się, żeby zabrzmiało to jak logiczne pytanie.

- Tylko z moim szwagrem i jego żoną. Stephanie była wściekła również na nich. Powiedziała, że to dlatego, że wtrącają się w nie swoje sprawy. Nazwała moją szwagierkę wścibską suką. Powiedziała jej, żeby wsadziła sobie swoje pieprzone idealne małżeństwo w pieprzoną idealną dupę. A przecież Isabelle chciała tylko pomóc.

- Naprawdę? - powiedziała Kellie. Z trudem ogarniała znaczenie tych słów.

- Ale Isabelle to wytrzyma. Ona wytrzyma wszystko.

- A oto i kolejne drinki - powiedział Ben, stawiając je na stole. Uśmiechnął się do Kellie i lekko poklepał Davida po ramieniu.

- Głowa do góry, stary, wszystko się ułoży.

Kellie upiła głęboki łyk, próbując uspokoić łomoczące serce. Czuła się niepewnie, jak gdyby każdy kolejny krok w przyszłość wiódł przez ruchome piaski. Czuła, jak grzęźnie we wszystkich kłamstwach, które opowiadała. Nie wiedziała, którądy iść dalej. Nie mogła powstrzymać się od samolubnego zastanawiania się nad tym, co kłótnia Davida i Stephanie oznacza dla niej i Elliota. Czy skoro Stephanie i David znaleźli się na krawędzi rozwodu, Elliot będzie w stanie oznajmić bliskim własną decyzję? Cała rodzina jest pewnie pogrążona w chaosie. W dodatku z relacji Davida wynikało, że Isabelle również dostała po głowie za to, że się za nim wstawiła. Zupełnie nie przypominała osoby, którą opisywał Elliot. A najgorsze ze wszystkiego było to, że David określił małżeństwo Isabelle i Elliota jako idealne. I co miał na myśli, mówiąc, że Isabelle to wytrzyma - że potrafi wytrzymać wszystko? Co to miało oznaczać?



Choć Kellie bardzo pragnęła zadać Davidowi serię pytań, wiedziała, że nie wolno jej zrobić niczego, co wzbudziłoby jego podejrzenia. A już z pewnością nie w obecności Bena.

- Jak myślisz, Kellie, co powinien zrobić? - zapytał Ben. Kellie wiedziała tylko tyle, że już dawno straciła grunt pod nogami.

- Nie jestem pewna. Być może żona obwinia cię dlatego, że sama czuje się winna - powiedziała do Davida, przypominając sobie wszystkie rozmowy z Eliotem. - Wiesz, jacy są lekarze.

- Skąd wiesz, że Stephanie jest lekarką? Mówiłem o tym?

- zapytał David.

Kellie pospiesznie upiła łyk drinka. Znad krawędzi szklanki spojrzała na Bena i Davida. - Pewnie tak. Trochę wcześniej. David wyglądał na zmęczonego. - Chyba masz rację.

- W czasie świąt Bożego Narodzenia wszyscy trochę za bardzo poddają się emocjom - uspokoił go Ben, po czym zwrócił się do Kellie. - Gadają głupoty i robią z siebie idiotów.

Kellie zastanawiała się, czy przypadkiem nie nawiązuje do ich popołudniowego spaceru i tego, co wtedy powiedział.

- Nie mam pojęcia, dlaczego wam to wszystko mówię.

- dziwił się David.

- Łatwiej zwierzać się nieznajomym - powiedział Ben, powtarzając wcześniejsze słowa Kellie.

Zerknęła w jego stronę.

- Problem polega na tym, że ja naprawdę kocham Steph

- rzekł David. - Zawsze ją kochałem. Nie robiłem niczego na pokaz. Nie należę do mężczyzn, którzy dają kobietom diamentowe naszyjniki, ale to wcale nie oznacza, że mniej ją kocham.

Dłoń Kellie odruchowo powędrowała w kierunku kołnierzyka zapiętej koszuli, wyczuwając pod nim naszyjnik podarowany przez Elliota.

- W takim razie powinieneś jej powiedzieć, co czujesz - powiedział Ben.

David pokręcił głową. - Ona już mnie skreśliła. Mam wrażenie, że wraz ze śmiercią Paula coś w nas umarło. Jest już za późno. Skoro naprawdę mnie nie kocha, nie ma sensu nadal być razem.

- A co będzie z waszymi pozostałymi dziećmi? - zapytał Ben. David potarł twarz. Potem potrząsnął głową. - Nie wiem.

Naprawdę nie wiem. Myślałem, że wszystko jest w porządku. Że mamy to już za sobą. Ale teraz? Nie mam pojęcia, co robić. Nie wiedziałbym nawet, jak znowu zacząć samotnie żyć. Patrzę na was i...

- Nie jesteśmy parą - poprawiła go Kellie, czując na sobie wzrok Bena.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - powiedział Ben.

- A mógłbym przysiąc... wyglądacie jak... - powiedział David, po czym urwał. - Stephanie ma rację. Nie mam za grosz intuicji. Niczego nie rozumiem.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Stephanie leżała zupełnie rozbudzona w ciemnościach sypialni w domu swojego ojca, słuchając wyjącego za oknem wiatru. Każdy mięsień jej ciała był napięty. W głowie dudnił jej kac po wypitym winie. Czuła suchość w gardle i jakiś dziwny dyskomfort na powierzchni skóry, jak gdyby wstyd wywołany jej wcześniejszym zachowaniem przyprawił ją o wysypkę.

Wyczerpana usiadła na łóżku i spojrzała w stronę drzwi. Od kilku godzin jej zmysły trwały w stanie podwyższonej gotowości. Nasłuchiwała skrzypnięcia frontowych drzwi albo czegokolwiek, co oznaczałoby, że David wraca do domu. Nie chodziło o to, że chciała, żeby wrócił - lecz niepewność dotycząca tego, czy

w ogóle wróci, oraz brak jakichkolwiek informacji o miejscu jego pobytu doprowadzały ją do szału.

W ciemności zatraciła poczucie czasu, próbując odliczać minuty dzielące przemykanie kolejnych cieni w szczelinie pod drzwiami. Teraz była już pewna, że wszyscy poszli spać. Musiało być bardzo późno. Wiedziała, że zamiast zadreżać się w ten sposób, łatwiej byłoby zapalić światło i spojrzeć na zegarek stojący na nocnym stoliku, ale gdyby to zrobiła, ktoś mógłby zauważyć, że nie śpi, i próbować z nią porozmawiać. A to była ostatnia rzecz, jakiej pragnęła.

Ukryła twarz w dłoniach, zastanawiając się, co u diabła powinna teraz zrobić. Wszystko tak bardzo się pogmatwało. Wcześniej, kiedy kładła Nat do łóżka, jej córka nie mogła się uspokoić i tak długo płakała za Davidem, że w końcu Stephanie wpadła w złość. Teraz żałowała również i tego.

Zastanawiała się, jak wydarzenia dzisiejszego dnia wpłyną na przyszłość Nat. Czy zapamięta to, jak pogrążona w mroku płakała za tatusiem? Czy w końcu stanie się okropnie niestabilna emocjonalnie, ponieważ uzna, że Stephanie jej nie kocha? Czy do końca życia będzie nienawidzić świąt Bożego Narodzenia?

A Simon? Cóż, Simon przestał się do niej odzywać, karząc ją swoim milczeniem i urażonym spojrzeniem. Nie wiedziała, co robił dziś po południu, a on nie chciał jej powiedzieć. Nigdy wcześniej nie był aż tak zbuntowany. Miał zaledwie osiem lat, a już bezpowrotnie straciła u niego jakikolwiek autorytet.

Taylor, która stała się nadopiekuńcza i nie odstępowała Simona na krok, nie pozwalając jej porozmawiać z synem w cztery oczy, jeszcze bardziej ją przygnębiała. Nie miała wątpliwości, co jej bratanica sądzi o tej całej sytuacji. Stephanie kusilo, żeby powiedzieć coś, dzięki czemu zostawiłaby ją w spokoju, nawet jeżeli miałyby wspomnieć o tym, że dni Taylor jako rozpuszczonej jedynaczki są już policzone, lecz Gerald nie spuszczał z niej oka i musiała jakoś to znosić.

Dzieci okazywały przynajmniej jakieś emocje, pomyślała. Było to lepsze niż reakcja wszystkich pozostałych.

Kiedy w końcu wyszła z jadalni, nie mogąc dojść do siebie po rozmowie z Davidem, spodziewała się ostatecznego starcia z Isabelle lub z ojcem. Była przygotowana na to, że ktoś coś powie, zażąda wyjaśnień albo przeprosin. Albo przynajmniej zapyta, jak się czuje. Dom miał cienkie ściany. Chyba musieli słyszeć, co powiedziała Davidowi? Chyba byli ciekawi, jak się teraz czuje?

Jednak jak zwykle jej chwilowa utrata kontroli nad emocjami została natychmiast przykryta znajomą powłoką grzeczności. „Nieprzyjemności”, które miały miejsce podczas lunchu, zdecydowanym ruchem wmieciono pod dywan.

Nikt nie wspomniał o tym, że David wyszedł z domu. Nikt nie pytał, dokąd poszedł, choć oczywiste było to, że ona również tego nie wie. Isabelle zniknęła, żeby chwilę odpocząć,

Gerald zabrał psa na długi spacer, Nat usiadła z Elliotem przy kominku i układali puzzle, a Stephanie posprzątała w kuchni, czując zupełny mętlik w głowie.

Później, kilka godzin temu, kiedy Taylor i Simon wrócili do domu, a Isabelle zbudziła się z drzemki, usiedli wszyscy razem w salonie i oglądali *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, jak gdyby nie stało się nic niezwykłego. Wszyscy byli dla siebie bardzo uprzejmi, siedząc przy kubku herbaty i kawałku świątecznego ciasta. Nawet Stephanie przyłączyła się do tej gry, próbując naprawić zburzone mosty poprzez udawanie zainteresowania książką, podarowaną jej przez Isabelle. Padło nawet kilka dowcipów.

Mimo to nieobecność Davida wypełniała chwile milczenia niewypowiedzianymi oskarżeniami. Godziny wlekły się niemiłosiernie. W końcu Stephanie nie była już w stanie znosić dłużej tych pretensji i zajęła się układaniem dzieci do snu. Potem wymknęła się do pokoju, wymawiając się bólem głowy. Teraz, leżąc

w ciemności, miała przed sobą długą noc, podczas której mogła przeanalizować to, co się stało.

Rzecz jasna zdawała sobie sprawę, że zbierała się do powiedzenia Davidowi o rozwodzie już od śmierci Paula. W czasie, który upłynął od tamtej tragedii, skupiła się jedynie na słowach - na słowach, które nabrały rozpędu, stając się tak destrukcyjne, że wiedziała, iż gdy tylko je wypowie, zmienią się w buldożer, który zburzy ich małżeństwo.

Jednak teraz, siedząc na gruzach tego, co zrobiła, wcale nie czuła, że postąpiła słusznie, i wypowiedzenie tych słów nie przyniosło jej ulgi. Miała jedynie wrażenie, że narobiła straszego bałaganu. Zranienie Davida nie przyniosło jej satysfakcji. Wręcz przeciwnie, jego reakcja wprawiła ją raczej w zdumienie. Prawie uwierzyła w to, że kiedy wreszcie zdecyduje się na konfrontację, mąż przyzna, że ich małżeństwo jest już skończone. Aż do ostatniej chwili nie spodziewała się, że David wyzna jej miłość.

Zadrzała w mroku. Bała się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie myślała o konsekwencjach związanych z rozwodem. Nie myślała o tym, co będzie oznaczał dla dzieci i jak bardzo wpłynie na życie ich wszystkich. Nie wiedziała nawet, jak się za to wszystko zabrać. Będą mieli do czynienia z adwokatami. I z rzeczoznawcami. W ich życie wkroczą obcy ludzie.

W jej myśli wtargnął David. Wyobrażenia jego postaci przemykały przez jej umysł jak niekończący się rolodex<sup>113</sup> wspomnień. Czy rozdzielenie ich losów naprawdę będzie takie łatwe?

Wstrzymała oddech, gdy zobaczyła, że na pasmo światła pod drzwiami pada cień.

- Steph. Jesteś tam?

---

<sup>13</sup> Obrotowy stojak na wizytówki.

Drzwi otworzyły się i Stephanie sztywno usiadła na łóżku. Światło z korytarza otaczało sylwetkę jej ojca. Nie wiedziała, czy powinna czuć ulgę, czy rozczarowanie faktem, że nie jest to David.

- Mogę wejść?

Gerald nie czekał na odpowiedź. Zamknął drzwi i podszedł do łóżka. W tym czasie Stephanie podźwignęła się i zapaliła nocną lampkę. Usiadł obok niej, na narzucie. Zawstydziło ją to, że nadal ma na sobie ubranie zamiast piżamy.

- Na dworze szaleje prawdziwa wichura - powiedział.

Poczuła się jak mała dziewczynka. Wiedziała, że zrujnowała święta i wszystkich zraniła. Zastanawiała się, czy ojciec zamierza wygłosić jakiś wykład. Nie miała wystarczająco siły, żeby okazać skruchę.

- Dzwoniła do mnie Sally z pubu - poinformował. - David spędzi tam noc.

Stephanie pokiwała głową. - Aha - powiedziała.

- Widocznie jest trochę pijany. Rano sprawdzę, czy nic mu nie jest.

Ojciec zacisnął dłonie na kolanach. Myślała, że wyjdzie, ale tego nie zrobił.

- Co dokładnie się dzisiaj wydarzyło? - zapytał.

- Nie chcę o tym rozmawiać, tato.

- Och, myślę, że chcesz. Myślę, że taka rozmowa bardzo by ci pomogła.

Z tonu jego głosu wywnioskowała, że nie ma innego wyjścia.

- Pokłóciliśmy się o Paula.

- O Paula?

- Powiedziałałam Davidowi, że moim zdaniem śmierć Paula to... - Urwała, przypominając sobie minę Davida.

- To...? - podpowiedział Gerald.

- Że to była jego wina.

Te słowa, wypowiedziane po raz drugi, wydały jej się irracjonalnie okrutne. Nagle do oczu napłynęły jej łzy.

- Aha. Aha, rozumiem - powiedział. Dotknął jej dłoni. Jego ręka była ciepła i niewzruszona.

Stephanie poczuła, że łzy zaczynają płynąć, jak gdyby ktoś odkręcił kran. Niekontrolowane, przepełnione smutkiem i złością.

- Wiem tylko tyle, że nie potrafię się z tym pogodzić. Za każdym razem, kiedy myślę o Paulu, nie mogę przestać wyobrażać ich sobie w tamtej łódce. - Spojrzała na ojca, błagając, żeby zrozumiał. - Jak David mógł nie zauważyć, że Paul wpadł do wody? Czy tak trudno było go uratować?

- Nie było cię przy tym. To był wypadek.

- Ale...

Przed oczami miała tylko ciało Paula, które trzymała wtedy w ramionach i przytłoczyły ją łzy, których jeszcze nie zdążyła wylać.

Głos ojca był spokojny i łagodny. - Nie sądzisz, że David otrzymał już wystarczającą karę? Nie uważasz, że to go dręczy?

- Nie. On żyje dalej. Dokonał tego, co mnie nigdy się nie udało.

- Myślę, że poradzenie sobie z tym wszystkim jest oznaką jego wielkiej odwagi. Wielu słabszych mężczyzn z pewnością by się załamało, lecz David się pozbierał i poświęcił byciu najlepszym ojcem, jakim można być dla Nat i Simona.

- To tak, jakby Paul nigdy nie istniał. Wiesz... - Urwała, gdyż łzy prawie zupełnie uniemożliwiały jej mówienie. - Tak naprawdę nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Przez tyle czasu żyłam w jakimś odrętwieniu, a teraz...

- Teraz?

Wzięła głęboki spazmatyczny oddech. - Teraz jest już za późno.

Ojciec spojrzał jej w oczy. - Za późno?



- Mogłam ich powstrzymać. Mogłam nie dopuścić do tego, żeby wsiedli do tej łódki.

- Steph, kochanie, nie możesz obwiniać Davida ani samej siebie. Na tamto zdarzenie złożyła się cała kombinacja okoliczności, z których większości nie byłaś w stanie kontrolować.

- Ale to nie powinno było się wydarzyć! - krzyknęła.

- Ale się wydarzyło, co wcale nie oznacza, że ktoś zawinił. I wtedy nareszcie się otworzyła. Płacz, niekontrolowany

i głośny. Wydobywający się prosto z miejsca ukrytego gdzieś głęboko w jej wnętrzu. Jak demon opuszczający ciało. Rozpaczała po stracie swojego małego synka, a łzy tryskały jej z oczu. Ojciec kołysał ją w ramionach i delikatnie gładził po głowie.

Płakała po stracie cudownego małego człowieka, jakim był Paul, i dorosłego mężczyzny, w którego nigdy nie miał się przeobrazić, opłakiwała starszego brata i młodszego braciszka, którym już nigdy nie będzie, oraz dziewczynę, której nigdy nie poślubi. Opłakiwała wszystkie uśmiechy, które już nigdy nie zagoszczą na jego twarzy, i wszystkie łzy, których nigdy nie wyleje.

- Przepraszam - powiedziała w końcu głosem, który był jedynie ochryłym szeptem.

- Nie przepraszaj. Wiesz, teraz powinien być przy tobie David, a nie ja. To jemu powinnaś powiedzieć, jak się czujesz.

- Powiedziałam mu, że chcę rozwodu.

- Rozwodu?

Sposób, w jaki wypowiedział to słowo, nadał mu bardzo drastyczne brzmienie. Stephanie pokręciła głową, odwróciła się.

- Nie potrafię już żyć tak jak dawniej - powiedziała.

- I myślisz, że rozstanie rozwiąże ten problem?

- Wszystko tak bardzo się pogmatwało, tato. Jeśli zostanę sama z dziećmi...

- Jeśli zabierzesz mu dzieci, zniszczysz go. Chyba nie tego pragniesz?

- Nie. Ale...

- Cokolwiek dzisiaj zaszło, wcale nie musisz kończyć waszego małżeństwa.

- Ono i tak jest skończone. Ciągłe się kłócimy. Patrzą na Elliota i Isabelle, na ich idealne małżeństwo, na przyszłość, jaką wspólnie budują. Nie wiem... Kiedy zobaczyłam ich w te święta, zrozumiałam, jak bardzo ja i David się od siebie oddaliliśmy. Już nawet siebie nie lubimy, nie mówiąc o kochaniu się tak jak Elliot i Isabelle.

- Ich małżeństwo nie ma z wami żadnego związku. Musicie po prostu usiąść i porozmawiać.

- Już za późno.

- Prześpij się z tym. Proszę. Obiecuj mi, że zrobisz przynajmniej tyle.

Kiedy Gerald wyszedł z pokoju, Stephanie skuliła się pod kołdrą. Nie licząc odgłosów wiatru, w domu było cicho. Pomyślała o Davidzie, który siedział teraz w pubie. Cóż za okropne zakończenie świąt Bożego Narodzenia. Obróciła się na drugi bok, wiedząc, że i tak nie zaśnie. Wtedy z sąsiedniego pokoju dobiegło ją przytłumione rytmiczne stukanie łóżka o ścianę. Rozlegało się w sypialni Isabelle i Elliota.

Uprawiali seks. Ona szalała z rozpaczy, a oni uprawiali seks.

## **Rozdział dwudziesty drugi**

Nic nie widział. Noc była ciemna jak dno studni. Wył wiatr, pędzący obok pubu niczym rzeka. O mało nie powalał Bena i Kellie na ziemię. Ben poczuł się tak, jakby wyszedł na pokład statku podczas burzy.

- Jezu Chryste! - krzyknęła Kellie, chwytając się Bena, żeby odzyskać równowagę.

Ben też ledwo trzymał się na nogach. Niedawny wstrzemięźliwy styl życia nie przygotował go na taki wieczór, jaki właśnie spędził. Stracił rachubę, licząc wszystkie drinki, które wypił wraz z Kellie i Davidem. W ciągu kilku godzin nastrój Davida przeszedł z depresji w euforię, fatalizm i znowu w euforię, a Kellie i Ben dzielnie dotrzymywali mu towarzystwa. Przed chwilą zakończyli wieczór ostatnią kolejką tequili. I bardzo dobrze, gdyż co najmniej ostatnia godzina upłynęła im na bezsensownym bełkocie.

Za ich plecami, w drzwiach pubu rozbłysł snop słabego blasku świecy, rzucając na pokrytą śniegiem ulicę ich czarne cienie, podobne do cieni papierowego łańcucha w kształcie ludzików trzymających się za ręce. Z tyłu pojawił się David, który kurczowo uchwycił się Bena. Po chwili snop światła zniknął i powróciła ciemność.

- Jesteście pewni, że mogę u was przenocować? - zapytał David po raz dziesiąty w ciągu kilku ostatnich minut. Jego słowa ułożyły się w pijacki bełkot, zlewając się z wyciem wiatru.

- Tak - wybełkotał w odpowiedzi Ben. - Możesz przełamać razem ze mną w salonie.

- A może powinienem wrócić? - zapytał David.

- Zapomnij o tym.

Ben wątpił w to, że David doszedłby do domu, nawet gdyby spróbował - nie w taką pogodę i nie w takim stanie. Poza tym tak naprawdę potrzebował snu, który przywróci mu trzeźwość. Ben widział żonę Davida tylko przez chwilę, kiedy przewoził ją na wyspę, ale domyślił się, że jeśli zobaczy męża w takim stanie - cuchnącego whisky i serowo-cebulowymi chipsami, z przekrwionymi oczami i plamą guinnessa na koszuli - ich problemy jedynie się powiększą. Wyjął z kieszeni latarkę i oświetlił drogę do przybudówki. Wspomnienia dnia spędzonego z Kellie leżały na śniegu pod postacią śladów stóp.

Ben wziął pod rękę Davida i Kellie i razem ruszyli naprzód, szturmując wiatr niczym drużyna rugby. Wyobraził sobie swoje mieszkanie w Londynie. Stary sprzęt grający, fotel i kanapę Smith Brothers oraz gazowy kominek firmy Fuego-tech. Wprowadził się tam zaledwie trzy miesiące wcześniej, gdy jego część pieniędzy ze sprzedaży domu dotarła do banku, ale szybko rzucił się w wir zakupów, żeby poczuć się tam jak w domu - albo przynajmniej, żeby wyglądało to jak dom. Zrekompensował sobie brak więzi z nowym odosobnionym lokum, wypełniając je luksusowymi gadżetami. Otoczył się nimi jak jakimiś podpórkami, tylko po to, żeby wytrwać w pionie, a kiedy wpadali do niego przyjaciele i rozglądali się po luksusowej kawalerce, uśmiechali się z ulgą i mówili o tym, jak dobrze i szybko zdołał się przystosować.

Gdy ubiegłej nocy wychodził z pubu, lekko podchmielony (o wiele mniej pijany niż teraz), Ben miał nadzieję, że pewnego dnia będzie mógł pokazać to mieszkanie Kellie i dzielić je razem z nią. Miał nadzieję, że ona również by się uśmiechnęła, a może nawet zechciałaby zostać.

Ale teraz już wiedział, że nigdy tak nie będzie. Zapędził się w swoich marzeniach o ich wspólnej przyszłości. Zrównała tę fantazję z ziemią podczas popołudniowej rozmowy na przystani. Nie mógł dojść do siebie. Czuł się tak, jak

gdyby dostał kosza. A ona tuliła się teraz do niego, osłaniając się jego ciałem przed wiatrem, co sprawiało, że było mu jeszcze trudniej.

*Idiota - pomyślał sobie - kretyn, frajer, debil, głupek...*

Nienawidził się za to, że nie potrafił się wzdrygnąć i odsunąć. Nienawidził tego, że nadal jej pragnął. Wiedział, że ten fizyczny kontakt wynika jedynie z pragmatyzmu - co najwyżej z tego, że była zbyt podchmielona, aby stać o własnych siłach - a jednak nadal pragnął, żeby to było coś więcej.

Nie powinna go w ogóle interesować. Powinien był ją zignorować, kiedy weszła do pubu - chociażby ze względu na swoje męskie ego. Powinien był odzyskać odrobinę utraconej godności, nie zwracając na nią uwagi i pozwalając, aby samotnie siedziała przy barze.

Ale tego nie zrobił. Zmiękł. Jak jakiś zakochany do szaleństwa trubadur. Uwięziony w swoim własnym *Dniu świstaka* przyłapał się na tym, że znowu czuje do niej słabość.

Dlaczego? Właśnie tego chciał się dowiedzieć. Dlaczego tak się zadręczał? Dlaczego nie potrafił pogodzić się z tym, co powiedziała mu na przystani? Dlaczego nie mógł zapomnieć o niej i o możliwości ich bycia razem? Dlaczego nadal miał nadzieję?

Kiedy dotarli do drzwi domku, odsunęli się od siebie. Brezent na dachu łopotał i wyginał się na wietrze. Nagle rozległ się przeciągły świst i uniósł się niczym jakaś wielka skrzydlata istota. Ben po omacku odszukał klamkę.

Ogromna błyskawica rozświetliła niebo niczym lampa. Ben odsunął się od drzwi, żeby spojrzeć w niebo. Ponownie rozbłysło bielą jak lustrzane odbicie pokrytej śniegiem ziemi. Kiedy się odwrócił, zobaczył zataczającą się w jego kierunku Kellie.

- Czuję się naprawdę niedobrze - powiedziała. - Strasznie się schlałam... Wszystko zaczyna wirować...

- Już w porządku - zaczął ją uspokajać, lecz wtedy, zanim zdążył ją złapać, straciła równowagę. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i z hukiem runęła na plecy.

Nie krzyknęła i nie poruszyła się. Opadł na kolana i skierował światło latarki na jej twarz. Jedno oko miała zamknięte, a drugie lekko uchylone, lecz wyglądało na to, że nie wie, co dzieje się wokół. Jej usta poruszały się, jak gdyby coś mówiła, ale nie słyszał żadnych słów.

Poczuł gwałtowny przyływ adrenaliny, która przywróciła mu trzeźwość. Kręciło mu się w głowie i czuł się tak, jak gdyby właśnie zanurkował w basenie pełnym lodowatej wody. Jego umysł rozjaśnił się, a całe ciało weszło na wyższe obroty. Mocno ścisnął ją za rękę.

- Nic ci nie będzie - powiedział.

Wtedy zauważył strużkę krwi na jej szyi, tuż za lewym uchem, a potem zobaczył, że leży na czymś, co wygląda na metalową tabliczkę. Wiatr targał mu włosy. Jej głowa przechyliła się na bok, a po chwili otworzyła oczy i niepewnie rozejrzała się wokół.

- To ja - powiedział. - Ben.

Przysunął latarkę i przyjrzał się jej głowie. Odnalazł ranę. Tuż pod linią włosów na potylicy rozkwitła zaogniona i świeża opuchlizna. Nacisnął ją palcami. Była obezwładniająco miękka i delikatna jak żółtko jajka. Sprawiała wrażenie, jakby za chwilę mogła pęknąć.

- Moja głowa... - powiedziała. Wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć rany.

- Nie rób tego.

Jeszcze raz przyjrzał się jej twarzy. Wpatrywała się w niego zdezorientowana. Trzeba ją zabrać do lekarza - pomyślał - i to szybko. Prawdopodobnie zemdląca od nadmiaru alkoholu, ale nie wiedział, jak mocno uderzyła się w głowę,

a jego wiedza z zakresu pierwszej pomocy była zbyt uboga, aby mógł stwierdzić, czy naprawdę doznała wstrząsu mózgu.

Jej powieki opadły. Wiedział, że może mieć pękniętą czaszkę i istnieje niebezpieczeństwo wstrząsu pourazowego. Nie miał zamiaru narażać ją na takie ryzyko.

- Pomóż mi wnieść ją do środka - prosił Davida. David ukląkł obok Bena i obydwaj podźwignęli Kellie na

nogi. Dopiero wtedy Ben dostrzegł napis widniejący na tabliczce, na którą upadła: „Niebezpieczeństwo”. Bardzo śmieszne - pomyślał. Skierował światło latarki na dach przybudówki. To stamtąd musiała spaść metalowa płyta, domyślił się.

Szybko wnieśli Kellie do środka.

- Co się stało? - zapytała.

- Potknęłaś się - powiedział Ben. - Albo zemdląłeś. Trudno powiedzieć.

- Cholera - mruknęła. - Ale ze mnie idiotka.

Jej powieki znowu opadły, a potem zupełnie zamknęła oczy. Cała twarz rozluźniła się i w tej chwili Ben zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie widział nikogo równie spokojnego i pięknego. Do niczego między nimi nie doszło, nawet się nie całowali, a jednak stało się bardzo wiele. Jej życie było dla niego równie ważne jak jego własne.

- Znowu odpłynęła - powiedział David.

- Musi ją zbadać jakiś lekarz - powiedział do niego Ben. - Nie wiem, jak mocno uderzyła się w głowę, i wolę być zapobiegliwy, niż później żałować.

- Zgadzam się.

- Czy możesz wrócić do pubu i powiedzieć Sally i Roddy'emu, co się stało? Poproś, żeby podjechali tu samochodem.

- I co potem? - zapytał David.

-Musimy zawieźć ją do lekarza - powiedział Ben. - Albo do jakiejś pielęgniarki. I to szybko.

RS

**Dzień trzeci**

**Drugi dzień świąt**

**Rozdział dwudziesty trzeci**



Gdzie ja u diabła jestem? - Kellie przetarła oczy. Leżała w jakimś wąskim łóżku. Rolety w oknie były opuszczone, ale widziała, że bokiem wkrada się dzień, rozświetlając małą jednoosobową sypialnię. Jej oczy przeszywał silny ból. Głowę również. Kiedy spróbowała usiąść, poczuła mdłości.

Zerkając spod przymrużonych powiek i krzywiąc się z bólu, dostrzegła Bena, który drzemał w fotelu przysuniętym do łóżka. Miał na sobie wczorajsze ubranie. Co to za miejsce? Co ona tu robi? Czowała się tak, jakby jej umysł płynął przez mętną wodę.

W pewnej chwili, gdy wpatrywała się w jego twarz, jej serce zamarło. Ubiegłego wieczoru...

Nagle jej umysł wypełniły oderwane od siebie obrazy, przypominające historię w świetle stroboskopu. Pub... David... alkohol... wiatr. A potem nic.

Po omacku przeszukiwała wspomnienia, próbując przypomnieć sobie, co się stało. Była z Benem na dworze. Pamiętała też, że była pijana. Pomimo bólu poczuła, jak na jej policzkach zaczyna zakwitać rumieniec wstydu.

Czy do czegoś między nimi doszło? Czy ona i Ben...?

- O Boże - powiedziała na głos. Z jej ust wydobył się jedynie jakiś charkot.

Ben otworzył oczy i pochylił się nad łóżkiem. Wyglądał na zmęczonego. Jego czoło zmarszczyło się w grymasie zaniepokojenia.

- Jak się czujesz? - zapytał.

Zakłopotana, zawstydzona, wystraszona, zdenerwowana - wszystkie te słowa były zbyt trudne do wymówienia.

Ben wstał i położył ją z powrotem. Jego dotyk zaniepokoił ją jeszcze bardziej. Wydawał się znajomy.

- Hej, nie wykonuj zbyt gwałtownych ruchów.

- Boli mnie głowa - powiedziała.

- Poczekaj tu chwilkę.

Ułożył ją z powrotem na poduszce i szybko podszedł do drzwi, po czym uniósł staromodną zasuwę.

- Tylko sekundkę - powtórzył i zniknął za drzwiami. Kellie położyła głowę na poduszce i spojrzała w sufit,

a następnie niepewnie dotknęła głowy. Tuż obok ucha wyczuła pękaty i miękki guz. Pomacała opatrunek, który zaszeleścił jak taśma klejąca. Spojrzała na swoje dłonie i zobaczyła, że są brudne, a na paznokciach widnieją zaschnięte krople krwi.

Co się stało? - zaczęła wpadać w panikę. To musiało być coś poważniejszego, niż przypuszczała.

Wtedy do pokoju wrócił Ben w towarzystwie jakiejś kobiety. Była wysoka, miała brązowe włosy i silną inteligentną twarz. Podeszła do Kellie.

- Obudziłaś się, to dobrze - powiedziała. Stała przy łóżku i przyłożyła dłoń do czoła Kellie. - Jak się czujesz? Domyślam się, że fatalnie.

- Zgadłaś - powiedziała Kellie. To musiał być najgorszy kac, jaki kiedykolwiek jej się przytrafił. - Nie jestem pewna, co się właściwie dzieje.

- Ben nic ci nie powiedział? - zapytała kobieta, zerkając w jego stronę.

- Dopiero się obudziła - powiedział.

- Wczoraj wieczorem przewróciłaś się podczas burzy.

- To był znak - powiedział Ben.

Kellie wpatrywała się w niego zdezorientowana. - Znak? Że powinnam coś zrobić?

Ben się uśmiechnął. - Nie, miałem na myśli inny rodzaj znaku. Nie znak od Boga. Po prostu zwykły znak. Potknęłaś się o niego i uderzyłaś w głowę. Nie pamiętasz?

- Nie. - Zupełnie tego nie pamiętała. Jednak słuchając jego słów, czuła się jak kompletna idiotka. Jak mogło do tego dojść?

- Pozwolisz? - Kobieta ujęła Kellie za nadgarstek i ścisnęła go, żeby zmierzyć jej puls.

- Zemdlałaś. Potrzebowałaś lekarza - wyjaśnił Ben - i kilku szwów. Ten zaszczyt przypadł Stephanie.

Stephanie? Ta kobieta to była Stephanie? Senna mgła, która chciała spowić umysł Kellie, gwałtownie ustąpiła.

- Ale... ale ty jesteś siostrą Elliota - wypaliła, zanim zdążyła się powstrzymać.

Stephanie zmarszczyła brwi i spojrzała na Bena, po czym znowu skierowała wzrok na Kellie, jak gdyby nie widziała żadnego związku jej słów z obecną sytuacją.

- Nie wiedziałam, że znasz mojego brata.

- Ja... ja nie... ja...

- Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy z Davidem - wyjaśnił Ben.

Kellie poczuła, że wściekle się rumieni. Przypomniała sobie pub, swoją rozmowę z Benem i Davidem...

- Pamiętam tylko, że rozmawialiśmy z Benem i... Mam nadzieję, że wszystko... - Zamilkła, nie ufając swoim słowom. Ben musiał sprowadzić Stephanie do pubu. To pewnie pokój Michaela. Nie mogła uwierzyć, że poznaje Stephanie w takich okolicznościach. Miały się poznać jak równy z równym. Miała zaimponować Stephanie tym, że zamierza dać szczęście jej bratu. Nie miała leżeć w łóżku utaplana w krwi.

- Teraz potrzebujesz tylko odpoczynku. Myślę, że David będzie się musiał gęsto tłumaczyć, skoro tak bardzo cię upił, ale chyba mogło być o wiele gorzej. Miałaś sporo szczęścia - powiedziała Stephanie.

Czy na pewno? - zastanawiała się Kellie. Z jej punktu widzenia sprawa wyglądała fatalnie. Nie potrafiła oderwać wzroku od Stephanie. Tak bardzo różniła się od jej wyobrażenia. Kellie myślała, że Stephanie jest znacznie starsza od Eliota, może nawet upinała włosy w kok. Sądziła, że jest poważna, pozbawiona gustu i stara. Kellie przypomniała sobie, co ubiegłej nocy powiedział David o swojej kłótni z żoną, lecz nie dostrzegała żadnych oznak wewnętrznego chaosu, który musiała odczuwać Stephanie. Wydawała się za to opanowana, kompetentna, silna i bardzo, bardzo trzeźwa.

- Nic mi nie jest, naprawdę - stwierdziła Kellie, odrzucając kołdrę. - Nie powinienam dłużej was niepokoić.

- Nie - powiedziała Stephanie. - Na razie nigdzie nie pójdziesz.

- Proszę, ja...

- Nie. Zalecenie lekarza. Nie chcę, żebyś za szybko wychodziła z łóżka.

- Tak się cieszę, że nic ci nie jest - rzekł Ben, po czym zasłonił usta dłonią i ziewnął. - Przepraszam.

- Ty też powinieneś odpocząć - powiedziała do niego Stephanie. - Zaopiekujemy się Kellie. Wyglądasz na wyczerpanego.

- Dobra. Jeśli tak uważasz, wrócę do wioski.

- Do wioski? Co masz na myśli? - zapytała Kellie.

- To niedaleko. Po prostu wrócę do pubu. Pamiętasz? - powiedział.

- Przecież jesteśmy w pubie.

- Nie, nie - powiedziała Stephanie. - Ben i David przywieźli cię tutaj wczoraj wieczorem. To dom mojego ojca.

Kellie miała wrażenie, że za chwilę zwymiotuje.

- Mamo? Mogę już wejść?

Kellie podniosła wzrok i zobaczyła chłopca, który otwierał drzwi.

- To mój syn, Simon - powiedziała Stephanie.

Simon się nie uśmiechnął. Gapił się na Kellie. - Kiedy dostanę mój pokój z powrotem? - zapytał zgryźliwie.

- Przepraszam - powiedziała Kellie. - Ben, poczekaj, idę z tobą.

- Jak samopoczucie? - Drobną, śliczną blondynką popchnęła drzwi nogą i weszła do pokoju, niosąc tacę. - Hej, już się obudziłaś. To wspaniale.

Mówiła z amerykańskim akcentem.

M ó w i ła z a m e r y k a ń s k i m a k c e n t e m .

Kellie gapiła się na nią, wiedząc, kim jest ta kobieta, jeszcze zanim Stephanie powiedziała: - To Isabelle, moja bratowa.

- Cześć - powiedziała Isabelle.

Była piękna. Nawet więcej. Była idealna. Wszystko było w niej doskonałe. Miała na sobie obcisłe modne dzinsy i błękitny kaszmirowy sweterek swobodnie zarzucony na ramiona. Wyglądała jak wyretuszowana modelka z katalogu Tommy Hilfinger.

- Robi się tu tłoczno, prawda - powiedziała Stephanie.

- Chodź, Simon.

- Dzięki - wydusiła z siebie Kellie, nie mogąc oderwać wzroku od Isabelle, która kładła tacę na pustym krześle obok łóżka.

- Przyniosłam ci śniadanie, jeśli masz ochotę - powiedziała Isabelle.

- Cóż, zostawię was samych - stwierdziła Stephanie.

- Zostanę z tobą, jeśli chcesz. - Ben najwidoczniej wyczuł panikę Kellie.

- Nie, idź trochę odpocząć - powiedziała Stephanie.

- Chodźmy. Dajmy Kellie trochę spokoju. Nie spiesz się

- zwróciła się do Kellie. - Jestem pewna, że Isabelle z przyjemnością przygotuje ci kąpiel.

- Zobaczymy się później - powiedział Ben, kiedy Stephanie wypychała jego i Simona za drzwi. Kellie chciała krzyknąć, żeby został, błagać, żeby zabrał ją ze sobą, żeby zrobił cokolwiek, byle nie zostawiał jej samej z Isabelle, lecz przerażenie odebrało jej mowę.

Poczuła, jak szybko bije jej serce, kiedy drzwi sypialni zamknęły się z cichym stuknięciem.

- To prawdziwy skarb, prawda? Szczęściara z ciebie - powiedziała Isabelle. - David mi o nim opowiedział. Ben siedział przy twoim łóżku przez całą noc. Powiedział, że nie wybaczy sobie, jeśli coś ci się stanie.

Kellie nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Gdyby to zrobiła, pewnie wybuchnęłyby płaczem.

- Może usiądziesz i coś przekąsisz? - Isabelle podniosła tacę i ułożyła ją na łóżku. Leżało na niej kilka grzanek, szklanka soku pomarańczowego i kubek herbaty.

Gdzie się podziała ta koszmarna jędza z piekła rodem, która zmieniła życie Elliota w udrękę? Gdzie się podziała ta nadęta szychy ze świata biznesu, która była zbyt zajęta, aby okazywać ludziom uprzejmość? Z pewnością nie było jej tutaj. Kellie widziała jedynie zupełnie normalną kobietę.

- Jesteś dla mnie taka miła. - Miała ochotę wypełznąć z własnej skóry jak żmija, którą w istocie była.

- Wyświadczyłaś nam wszystkim przysługę. Przynajmniej David znowu jest w domu. - Isabelle spojrzała na Kellie i machnęła rękę. - Och, mniejsza z tym. Pewnie cię to nie interesuje. Zwykle sprawy rodzinne.

- Aha.

- Wygląda na to, że przytrafiły ci się święta pełne wrażeń? Kellie poczuła ucisk w gardle. Łzy zaczęły łaskotać ją w nos.

- Można by tak powiedzieć. - Jak dużo wiedziała? Co powiedział jej Ben? Czy mówił o tym, że przybyła na wyspę zupełnie sama?

- Hej, przyniosłam ci parę ubrań. Pewnie nosimy ten sam rozmiar. Myślę, że coś dla siebie wybierzesz – powiedziała Isabelle, wskazując stertę ubrań leżącą na komodzie. Złożono je tak starannie, że wyglądały jak nowe.

- Dzięki. Jesteś bardzo miła.

Isabelle pochyliła się nad Kellie, żeby postawić szklanekę z wodą na nocnym stoliku, i Kellie zobaczyła, że na nieskazitelnej szyi Isabelle kołysze się wisiołek w kształcie serca.

- Twój naszyjnik...?

- Prawda, że uroczy? - Isabelle posiała jej uśmiech i prostując się, pogładziła wisiołek. - Mój mąż podarował mi go pod choinkę. Jest taki romantyczny. Szczęściara ze mnie. Ben wspomniał, że jesteś prawniczką. Wiem, że w Londynie prawnicze kręgi są dosyć hermetyczne. Mój mąż nazywa się Elliot Thorne. Jest współnikiem w WDG & Partners. Pewnie go znasz. Albo przynajmniej o nim słyszałaś. W każdym razie poznasz go, kiedy zejdziesz na dół.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Taylor była jak kobra, która obserwuje mysz, czekając na najlepszy moment do ataku.

Dowód. Właśnie to pragnęła zdobyć. Chciała dowodu, który potwierdziłby podejrzenie, że Kellie łączy coś z jej ojcem. Michael również pragnął zdobyć dowód: dowód na to, że Taylor się myli, ponieważ im większa była jej obsesja na tym punkcie, tym mniej uwagi poświęcała jemu. Chciał odzyskać jej zainteresowanie. W całości.

Taylor zadzwoniła po Michaela do pubu o ósmej rano. - Ta suka - tak brzmiały dwa pierwsze słowa, jakie padły z jej ust. - Ta suka jest u nas w domu.



Nic, co zdołał powiedzieć Michael, nie było w stanie przekonać Taylor, że pobyt Kellie w domu Thorne'ów wcale nie jest ukartowanym podstępem. Taylor miała gdzieś burzę i wypadek. Wiedziała tylko tyle, że Kellie wykonała kolejny krok, aby bardziej ingerować w jej życie.

- Rzygać mi się chce - powiedziała Taylor - kiedy pomyślę, że ona tu jest. W naszym domu. Obok mojej mamy. Obok mojej rodziny i mnie. On mógłby być jej ojcem.

Teraz Michael i Taylor siedzieli w salonie Thorne'ów i udawali, że grają przy stole w pokera, chociaż tak naprawdę obydwójce co najwyżej zerkali na karty, które Taylor nieustannie rozdawała monotonnym ruchem.

Kellie siedziała przed kominkiem, obok starego pana Thorne'a, odwrócona do nich bokiem. Na karku miała mały kwadratowy opatrunek. Dziesięć minut wcześniej przyszła Stephanie, żeby podać jej środek przeciwbólowy i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Kellie powiedziała, że chce wracać do wioski, ale Stephanie była nieugięta: chciała mieć ją na oku jeszcze przez kilka godzin, na wszelki wypadek.

Mieć ją na oku - taką ideę realizowała również Taylor. Chociaż w jej przypadku bardziej trafnym określeniem byłaby inwigilacja lub szpiegowanie. Nie odrywała od Kellie wzroku od chwili, gdy intruzka pojawiła się w salonie odziana „w pieprzone ciuchy mojej m a m y”, żeby wraz ze Stephanie i Geraldem wypić w kuchni kawę.

Wysługując się Michaeliem, Taylor podążała za Kellie z kuchni na korytarz, do pokoju z telewizorem i wreszcie obie znalazły się tu, w salonie. Przez cały czas prawie nie zwracała uwagi na obecność Kellie. Nawet kiedy Stephanie próbowała przedstawić ją przybyszce, Taylor powiedziała jedynie: - My już się znamy.

Michael czuł się tu dziwnie, jak gdyby jednocześnie było mu gorąco i zimno. Przez pokryte lodem okno wpadało zimne blade światło, jakby znajdowali się pośrodku arktycznej pustki.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ktoś, kto urodził się w Australii, miałby odwiedzać Wielką Brytanię, a co dopiero zostawać tu na stałe - mówił Gerald. - Kiedyś byłem w operze w Sydney. Z Emmą. Moją żoną. To jeden z najlepszych wieczorów w moim życiu.

Do pokoju wszedł Elliot i podszedł do regału z książkami. Udawał, że szuka czegoś do czytania.

- Tak, to fantastyczny kraj - ciągnął Gerald. - Elliot, wiedziałeś o tym, że kiedyś wraz z twoją matką zastanawialiśmy się nad wyemigrowaniem do Australii? To było jeszcze, zanim urodziłeś się ty i Stephanie. W czasach, kiedy australijski rząd tak rozpaczliwie poszukiwał nowych obywateli, że opłacał koszty podróży.

- Wyobraź sobie - powiedział Elliot, zwracając się do Kellie z uśmiechem. - Mogliśmy być sąsiadami, Kellie. Chociaż z drugiej strony chyba i tak nimi jesteśmy, skoro obydwójce mieszkamy w Londynie.

- Tak - powiedziała. Przez cały czas patrzyła prosto przed siebie.

- W dodatku obydwójce jesteście prawnikami... - powiedział Gerald. - Mówiłaś, że jak nazywa się twoja kancelaria, Kellie?

- Nie mówiłam - odpowiedziała. - To znaczy - dodała nieco łagodniej - to bardzo mała firma. Wątpię, żeby pański syn kiedykolwiek o niej słyszał.

- Och, on zna wszystkich. Prawda, Elliot?

- Oczywiście. - Elliot znowu się do niej uśmiechnął. - Z pewnością czasami będziemy na siebie wpadać. To taki mały świat. Pewnie okaże się, że mamy ze sobą mnóstwo wspólnego.

Odsunął się od regału, nie wybrawszy żadnej książki, i beztrąsko przemaszerował przed swoim ojcem i Kellie, żeby spojrzeć przez okno na biały krajobraz.

Taylor chwyciła Michaela za nadgarstek, ale wcale nie musiała. On też to zauważył, nawet jeśli w przypadku starego pana Thorne'a było inaczej. Na dywanie przed kominkiem leżał kawałek papieru, zwinięty i rzucony tam niby od niechcenia przez Elliota, jak gdyby pierwotnie miał wylądować w kominku i zniknąć pod postacią dymu. Co było całkiem prawdopodobne - pomyślał Michael - ponieważ nadal uważał, że Taylor może się mylić.

- Zabieram Rufusa na spacer - oznajmił Elliot, nie bardzo wiadomo komu.

Wyszedł, a Kellie i pan Thorne rozmawiali dalej.

Wzrok Michaela i Taylor skupiał się na skrawku papieru. Musiał to przyznać: teraz, kiedy byli na krawędzi odkrycia, czy Taylor rzeczywiście ma rację, jego również zaczęło to wciągać.

Czuł się tak jak dawniej, kiedy polował z ojcem. Na wyspie żyły kozy, które kiedyś były udomowione, lecz uciekły z niewoli, rozmnożyły się i zdziczały. Tratowały ogródki za domami i grządki warzywne, więc od czasu do czasu tata Michaela wraz z innymi wyspiarzami uzbrojonymi w pistolety organizowali odstrzał i w ciągu kilku dni dziesiątkowali populację kóz. Michael przypomniawszy sobie tamten dreszczyk emocji związany z tropieniem śladów w lesie, przedostawaniem się przez strumienie, aż w końcu...

No cóż, właśnie na tym etapie znajdowali się teraz z Taylor: nadeszła chwila prawdy. Czy ich ofiara czaiła się tuż za rogiem? Czy Kellie zauważyła karteczkę? Czy była przeznaczona dla niej i czy naprawdę zamierzała ją podnieść? Za chwilę mieli się o tym przekonać.

Michael patrzył i czekał. Liczył uderzenia swojego serca: ... jeden... dwa... trzy... cztery... pięć...

I wtedy Kellie wskazała zdjęcie stojące na kominku.

- Kto to jest? - zapytała. - Ta kobieta na zdjęciu...

- To moja żona - powiedział Gerald, wstając, żeby wziąć zdjęcie. - Emma...

W tej chwili rozwiały się wszelkie wątpliwości Michaela, ponieważ kiedy pan Thorne stanął plecami do Kellie, ona szybko się schyliła i ukradkiem pochwyciła zmięty kawałek papieru, po czym ukryła go w zaciśniętej pięści.

Po chwili wstała i pochyliła się nad kominkiem, jak gdyby chciała ogrzać sobie dłonie. Michael zobaczył, że wrzuca karteczkę w płomienie. Papier zwinął się jak jesienny liść, a potem obrócił się w popiół.

Michael ledwie usłyszał, jak Kellie przeprosza pana Thorne<sup>^</sup>, mówiąc, że musi pójść po coś do swojego pokoju. Michael wstał, żeby pójść za nią, lecz Taylor jeszcze raz ścisnęła go za nadgarstek. Słuchali kroków Kellie, które niosły się echem w korytarzu, a po chwili obydwójce usłyszeli to, czego się spodziewali: odgłos otwierania tylnych drzwi, które następnie zostały zamknięte.

- A nie mówiłam? - syknęła Taylor, kiedy pospiesznie szli za nią korytarzem.

- W dodatku jest pieprzoną prawniczką. Wiedziałam, cholera.

Taylor rzuciła Michaelowi jego płaszcz zdjęty z wieszaka w korytarzu, po czym zaczęła grzebać wśród pozostałych w poszukiwaniu swojego. Wkładając go, uchyliła drzwi, zerknęła przez szczelinę, a następnie wyszła na zewnątrz.

Z początku, kiedy poszedł za nią i w milczeniu zamknął za nimi drzwi, wydawało mu się, że mimo wszystko Taylor może się mylić. Kellie szła jakieś dwadzieścia metrów przed nimi. Maszerowała wzdłuż południowej ściany domu, deptając przysypane śniegiem klomby, a potem ruszyła korytarzem z żeliwnych łuków, na których wiosną kwitły róże. Szła dalej w kierunku podjazdu, który wychodził na drogę i wiódł ku wiosce, podczas gdy Elliot zaprowadził psa do ogrodu i stał zwrócony do nich wszystkich plecami, jak gdyby nie był świadomy ich istnienia. Tkwił w miejscu i ostentacyjnie przyglądał się bukowi, który wygi-

nał się na wietrze niczym pajęczyna na tle ciągle białego nieba. Szyby w szklarni zaparowały jak okna samochodów stojących w zimowym korku.

Wtedy Elliot się poruszył. Podszedł do drewnianego płotu na skraju ogrodu, który dzięki osiadłemu na nim śniegowi wyglądał teraz jak wielka biała fala, i okrążył go. Przyklęknął i spuścił Rufusa ze smyczy, a pies rzucił się biegiem i szczekając, zniknął im z pola widzenia pośród pobliskich drzew. Trzy gołębie poderwały się do lotu. Myszołów przeciął niebo idealnym łukiem niczym papierowy latawiec zaczepiony na końcu sznurka.

- Tędy - powiedziała Taylor, ruszając w pogoń za Kellie, gdy tylko Elliot zniknął wśród drzew. - Musimy trzymać się jak najdalej od Rufusa, bo w przeciwnym razie nas wywęszy.

Najwidoczniej nie obchodziło jej to, czy Michael w ogóle za nią idzie, lecz teraz był zdecydowany zrobić wszystko, co mu każe. Przez jego ciało przebiegł dreszcz podniecenia, które czuł podczas polowań. Słyszał jedynie skrzypienie śniegu pod swoimi butami. Wydawało mu się głośnie jak bicie w bęben.

- Im dalej będziemy się od niej trzymać, tym lepiej - powiedział do Taylor. - Obiecuję, że nie pozwolę, żeby się nam wymknęła.

Kellie przystanęła, kiedy dotarła do skraju podjazdu, gdzie zaczynała się droga. Michael i Taylor również się zatrzymali i przycupnęli za niskimi gałęziami świerka. Obsypał ich śnieg, który wślizgnął się przez szczelinę pomiędzy kołnierzem a karkiem Michaela, i ściekł mu po plecach. Taylor nawet nie drgnęła. Patrzyli, jak Kellie się rozgląda, jak gdyby chciała odzyskać orientację w terenie. Potem ofiara odwróciła się i spojrzała w ich stronę. Michael wzdrygnął się z przerażenia na myśl, że mogłaby ich zobaczyć albo postanović wrócić do domu, co oznaczałoby dla nich wielkie kłopoty. Po chwili wolnym krokiem przeszła kolejne dziesięć metrów w stronę wioski. I przystanęła. Czekwała.

Minęła minuta.

Potem dwie.

I wtedy Kellie potwierdziła ich podejrzenia. Zawróciła i szybko ruszyła podjazdem, kierując się w stronę ścieżki prowadzącej ku temu samemu laskowi, do którego pięć minut wcześniej Elliot poszedł z psem.

Michael i Taylor poszli za nią.

Ziemia pod ich stopami pokryła się gęstymi ciemiernikami i paprociami. Zwarte kępy jeżyn i młode gałęzie ostrokrzewu wyzierały spod śniegu. Z wysokich gałęzi zwisały sople lodu. W powietrzu unosiła się woń, której Michael nie potrafił rozpoznać. Była ciężka i gryząca jak zapach grzybów, lecz miała w sobie jakąś gorycz, która osiadła mu w gardle i sprawiała, że miał ochotę odkaszlnąć.

Nietrudno było ich dostrzec: Kellie, Elliota i psa. Stali w lasku, w połowie drogi na szczyt pagórka, osłonięci grupą dębów. Rufus był przywiązany do drzewa.

Szczekanie i skomlenie psa połączone z delikatną bryzą, która szumiała w krzakach i drzewach, zapewniały Michaelowi i Taylor sporadyczną osłonę, lecz mimo to szli ostrożnie i powoli. Zamarznięte liście chrupały pod butami Michaela jak chipsy rozsypane na podłodze baru. Jego mięśnie były napięte. Czul się tak samo jak dzień wcześniej, kiedy stojąc w jaskini, spoglądał na rozciągającą się w dole plażę. To była adrenalina, wizja swobodnego spadania. To woń niebezpieczeństwa wyostrzała mu zmysły.

W odległości dwudziestu metrów od Elliota i Kellie Michael i Taylor zaczęli się czołgać i powoli przesuwali się naprzód, odpychając się nogami i rękami. Pierwszy zatrzymał się Michael. Dłonie miał sine od ciągłego kontaktu ze śniegiem. Kolana i kostki przeszywał pulsujący ból spowodowany ukłuciami gałęzi i kamieni.

Taylor również musiała czuć ból, gdyż przykucnęła obok niego w kępie postrzępionych paproci. Ich liście były sztywne i pokryte przezroczystą siateczką lodu. Przypominały płetwy jakiejś egzotycznej ryby.

Kiedy tak przycupnęli i zaczęli nasłuchiwać, oni również zamarli w bezruchu. Pies szczekał, a wiatr przekazywał im strzępy rozmowy.

- Nigdy nie chciałam... - To był głos kobiety, głos Kellie, podniesiony, prze-sycony emocjami. - ... nie w ten sposób...

Potem tata Taylor do czegoś ją przekonywał, przekonywali siebie nawzajem, a ich słowa nie miały najmniejszego sensu.

Taylor zaczęła podczołgiwać się w ich stronę, zbliżając się do lodowej rzeźby z paproci. Michael wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać, ale go odepchnęła. Oddalała się od niego, pełznąc jak wąż, i pozostawiała za sobą lodowaty zielony tunel.

- ... nie słuchasz, co do ciebie mówię... - To znowu były słowa Kellie, tym razem jeszcze głośniejsze.

Pies znowu zaczął skomleć i Elliot krzyknął, żeby się zamknął. Rozległ się skowyt i pies zamilkł. Teraz mówił Elliot, tym razem łagodniejszym tonem, z większym przekonaniem, lecz Michael nie mógł dosłyszeć jego słów. Przechylił się na prawą stronę, przywierając do opadłej gnijącej gałęzi. Kępa grzybów dotknęła jego twarzy. Przez siatkę listowia widział Elliota i Kellie jak gdyby zza krat.

- ... Kocham...

Z pewnością padło to słowo, ale Michael nie był pewien, kto je powiedział. Rufus zaszczekał i poderwawszy się z miejsca, zaczął szarpać się na smyczy. Coś wyczuł. Wiedział, że gdzieś niedaleko czai się jakiś człowiek. Jeśli Elliot spuści go ze smyczy, pies dopadnie ich w mgnieniu oka.

Jednak Elliot i Kellie nie zwracali uwagi na Rufusa. Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Znowu coś mówili. Elliot gestykulował, przerywał jej, forsował swoje zdanie niczym adwokat w serialu o prawnikach. Nagle do uszu Michaela dotarły słowa Elliota, wykrzyczane i żarliwe.

- ... i zeszłego lata, przez te wszystkie dni nad zatoką i po powrocie do domu. Wszystko dlatego, że chciałem z tobą być. Dlatego, że się kochamy... - Jego głos nagle ucichł jak sygnał w domowym radiu Michaela. Potem powrócił z większą siłą. - Jutro. Na łodzi. Powiem Isabelle, jej i Taylor... że od nich odchodzę... że...

Strzeliła jakaś gałąź. Rufus zaszczekał i nagle zamarł w bezruchu, kierując węższą pysk w stronę Michaela i Taylor. Michael przywarł do ziemi. Widzieli go? Albo Taylor? Zbliżały się jakieś kroki. Michael tak wolno przewrócił się na bok, że poczuł, jak jego ciało skrzypi niczym gałąź. Centymetr po centymetrze przesunął się głębiej w kierunku listowia.

Snop światła przedarł się przez konary drzew i uderzył go w twarz. Zobaczył tenisówkę Taylor, ukrytą w krzakach na wprost jego twarzy, nieco po lewej, a potem własne przedramię, napięte ścięgna. Było całe w błocie.

Michael trwał w bezruchu, dopóki nie oddaliły się ostatnie kroki. Poczował, jak tężeją mu mięśnie pleców, kiedy podniósł twarz z ziemi i lśniący pęd bluszczu opadł mu na czoło.

Wyobraził sobie parę, która unosi się z jego ciała jak z konia mającego za sobą długi galop. Nie śmiał zrobić wydechu. Gdzieś nad sobą czuł obecność Elliota. Był tak blisko, że gdyby Michael się poruszył, Elliot z pewnością by go dostrzegł. Michael zamknął oczy.

Elliot i Kellie mieli romans. Ta myśl opanowała jego umysł bardziej niż strach przed niechybną wpadką. Elliot zamierza! zostawić Isabelle i Taylor, żeby być z Kellie. Tata Taylor zamierzał odejść od niej na dobre.

Poczował mocniejszy powiew wiatru. Pies zaczął wyć.



- Nic tu nie ma - zawołał Elliot.

Jego kroki znowu się oddaliły. Michael odetchnął. Pozwolił, aby jego głowa opadła na ziemię.

Wtedy obok niego rozległ się trzask lodu i zobaczył Taylor. Miała czerwoną twarz, jak gdyby pływająca we wrzątku. Pełzła do tyłu, oddalając się od niego. Nawet nie spojrzała na Michaela. Podążył za nią, byle dalej od Elliota... dwa metry... pięć...

I w końcu dziesięć.

Wstała z ziemi, kiedy znalazła się za szerokim pniem ja-wora, a potem pobięła prosto do domu Thorne'ów. Biegła, jak gdyby nigdy nie miała zamiaru się zatrzymać.

Michael dogonił ją przy tylnych drzwiach. Ciężko dyszała, a jej twarz była różowa jak guma do żucia.

- Tak mi przykro... - zaczął mówić.

Pocałowała go, mocno, przygniatając do drzwi. Tym razem nie miał wątpliwości, o co jej chodzi - inaczej niż w kopalni.

Mówiła, nie oddalając ust od jego twarzy: - Pomożesz mi - powiedziała. - Pomożesz. Pomożesz mi to wszystko naprawić.

Całowała go jeszcze mocniej. Miała lodowate usta, a jej język wydawał mu się mokry i silny. Zamknął oczy i poczuł, że całe jej ciało napina się, jakby było jednym mięśniem. Mocno przywarła do niego ustami.

Za ich plecami rozległ się szcęk zamka. Ktoś krzyknął. Odsunęli się na bok i drzwi stanęły otworem. Stał w nich Simon. Michael musiał usiąść. Opadł na ścianę obok drzwi.

- Gdzie byliście? - zapytał Simon. - Szukałem was w każdym...

Michael i Taylor nie zwrócili na niego uwagi. Wpatrywali się w siebie.

- Co się dzieje? - ponownie zapytał Simon. - Co robiliście? Co się dzieje?

- Ta kobieta - powiedziała Taylor. - Ona sypia z moim tatą. Pieprzy się z nim. Pieprzy się z nim za plecami mojej mamy.

- Ale...

- Zamknij się, Simon - powiedziała Taylor. Simon spojrział na nich zagubionym wzrokiem.

- Powiem mamie - oznajmił. - Zaraz. Zobaczycie. I... Taylor chwyciła go za ramiona. - Piśniesz słowo - przerwała mu - i zginiesz.

Simon wyglądał na przerażonego, lecz nawet się nie poruszył.

- Co teraz? - zapytał Michael.

Taylor puściła Simona i pomogła Michaelowi wstać. Tak mocno ścisnęła jego dłoń, że prawie krzyknął.

- Poradzimy sobie z tym sami - powiedziała.

Kiedy znowu spojrział jej w oczy i ponownie dostrzegł w nich jaskrawy płomień, wiedział, że zrobi dla niej wszystko, dosłownie wszystko.

## Rozdział dwudziesty piąty

Kellie nie mogła uwierzyć, że stoi w jakimś lesie, na mrozie, chociaż w ciągu ostatnich trzech dni dwukrotnie omal nie rozstała się z życiem. Cóż, być może musiała porządnie rąbnąć się w głowę, żeby odzyskać zdrowy rozsądek. Kellie czuła się tak, jakby widziała Elliota Thorne'a po raz pierwszy - i pomyśleć, że aż do dzisiaj była przekonana, że spędzi z nim resztę życia. Teraz wydawało jej się to niemal śmieszne. Marzenie o związku z Elliotem było jak domek z kart - i w chwili, w której zgodziła się wybrać na wycieczkę z Benem, zaczęła obciążać tę wątłą konstrukcję zbyt wielkim balastem. Wierzyła, że ona i Elliot będą razem pracować, że ich wzajemna miłość odniesie zwycięstwo, lecz kiedy zeszłego wieczoru poznała Davida, poczuła, że cały karciany domek zaczyna się chwiać. Później, kiedy rano obudziła się w łóżku Simona, zaczął trząść się w posadach. A gdy poznała Isabelle, jej marzenie z wielkim hukiem runęło na ziemię. Teraz zniknęły ostatnie resztki nadziei, jakie była w stanie wykrzesać ze związku z Elliotem.

Odkryła coś, czego nigdy nie podejrzewała. Elliot Thorne był zakłamanym podłym oszustem.

- Nie, Elliot - powiedziała.
- Ale...
- Powiedziałam, nie. Nie mogę tego zrobić.
- Co takiego? Kellie... kochanie...
- To dla ciebie tylko gra, prawda?

Wydawał się zdenerwowany, wręcz ogarnięty paniką. Pies zaczął wyć.

- Zamknij się, do cholery! - wrzasnął na niego Elliot. Wpatrywała się w niego. Co było gorsze? To, że odkochała

się w Elliocie, czy to, że tak bardzo zawiodła samą siebie? Jak to się stało, że tak łatwo dała się oszukać? Dlaczego pozwoliła, aby urzekł ją czar Elliota? Udało jej się przybyć tu z drugiego końca świata, zdobyć pracę w wielkiej firmie i ułożyć sobie życie w Londynie. Dlaczego zatem popełniła tak fatalny błąd? Przypomniała sobie to, co powiedziała jej przyjaciółka Jane, która stwierdziła, że Elliot pieprzy swoje ciasteczko i zjada je. Wtedy zaciekle zaprzeczyła i żeby być z Elliotem, zerwała kontakty ze wszystkimi przyjaciółmi, ale okazało się, że Jane miała rację. Elliot postępował dokładnie w taki sposób. Potrząsnęła głową. - Elliot, stoję tu w ubraniach twojej żony.

- Wiem. Dobrze ci w nich.

Kellie wpatrywała się w jego twarz. Był żaloszny.

- Nie - powiedział, błędnie odczytując jej myśli. - Nie to chciałem powiedzieć. Chciałem powiedzieć, że na tobie wyglądają jeszcze lepiej niż na niej.

Wydała z siebie jęk frustracji. - Ty niczego nie rozumiesz, prawda? Nie chodzi o to, kto lepiej wygląda. Chociaż być może właśnie tak ci się wydaje. Ja mówię o upokorzeniu, Elliot. Czuję się upokorzona. Twoja rodzina mnie przyjęła, a ja odpłacałam im jedynie kłamstwami. I po co opowiadałeś swojemu ojcu te wszystkie bzdury? - Z goryczą zacytowała jego słowa: - „Pewnie okaże się, że mamy ze sobą mnóstwo wspólnego”. Myślałeś, że to jest śmieszne? Dobrze się bawiłeś, chichocząc za plecami własnego ojca? Masz pojęcie, jaki to był dla mnie koszmar?

Pomyślała o Geraldzie, o tym, jaki był dla niej miły, o tym, że patrząc mu w twarz, myślała, iż właśnie tak wygląda jej wymarzony teść, i że za to wszystko odpłaciła mu straszliwym kłamstwem.

- Znienawidziłby mnie, gdyby wiedział, dlaczego tu jestem - powiedziała. - A Stephanie? - Twoja siostra opatulila mnie kołdrą jak małe dziecko, do cholery. Czy nie widzisz, w jakiej sytuacji to mnie stawia?

- To tylko rodzina. Oni się nie liczą.

- Owszem, liczą się. Nie rozumiesz? Nienawidzę być oszustką, którą ze mnie zrobiłeś.

- Kochanie, po prostu jesteś trochę zaniepokojona, bo uderzyłaś się w głowę. Położył dłonie jej na ramionach. Strząsnęła je.

- Nie dotykaj mnie.

- Kellie, przestań. To ciebie pragnę. Łączy nas coś bardzo wyjątkowego...

- Jak możesz tak mówić? Okłamałeś mnie. Nie potrafisz się powstrzymać. Nawet teraz kłamiesz. Poznałam twoją żonę.

- Nie kłamię. Przysięgam. Isabelle. Ona... nie wiesz, jak ciężko z nią żyć. Myślisz, że widzisz jej prawdziwe oblicze, ale ona jest zupełnie inna...

- Najśmieszniejsze jest to, że byłam ci wierna - ciągnęła. - Przez ten cały czas, kiedy ty prowadziłeś podwójne życie. Kto podarowałby żonie i kochance taki sam naszyjnik pod choinkę? Jak to było, Elliot? Kupiłeś dwa w cenie jednego?

Elliot odsunął się od niej. - Aha, rozumiem. Wiem, dlaczego to robisz. To przez niego, prawda? Przez tego Bena.

- Nie waż się odwracać kota ogonem. Między mną a Benem do niczego nie doszło, idioto.

- W takim razie dlaczego on zachowuje się tak, jakby było inaczej?

- Nie muszę ci się tłumaczyć. I nie będę tłumaczyć Bena. Jednak Elliot podejrzliwie jej się przyglądał. Nagle zmienił

taktykę. - Założę się, że ułożyłaś ten plan, żeby się mnie pozbyć - powiedział, wolno kiwając głową, jak gdyby odkrył prawdę.

- Co takiego?

- Cóż, czy nie wydaje ci się trochę dziwne, że upiłaś się, zemdlłaś i jedyną lekarką w okolicy była Stephanie? Namówiłaś Davida i Bena, żeby przynieśli cię tu w środku nocy, ponieważ wiedziałaś, że nie będę mógł się sprzeciwić?

- Chyba nie mówisz poważnie, sugerując, że zrobiłam to celowo? Zupełnie ci odbiło?

Elliot wpatrywał się w jej twarz. Po chwili, ku jej zdumieniu, odetchnął z ulgą, jak gdyby przeszła jakiś test.

- W takim razie nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy być razem. Chodźmy - powiedział, po czym odwiązał psa i zaczął schodzić ze wzgórza w kierunku domu. - Święta dobiegły końca i jesteś tu ze mną. Zakończmy tę sprawę. Powiem o wszystkim Isabelle.

Czy mówił poważnie? Patrzyła na niego zdumiona, a on coraz bardziej się oddalał. Czy naprawdę myślał, że... Oczywiście.

- Nie, Elliot! - krzyknęła i pobięła za nim. - Nie chcę, żebyś to robił.

Pociągnęła go za ramię i spojrzała mu w twarz.

- Zupełnie mnie nie słuchasz - powiedziała. - To koniec.

- Przecież właśnie tego chcesz - powiedział.

- Nie. Nieprawda. Chcę, żebyś został z żoną. Spojrzał na nią zaskoczony. -

A co będzie z nami?

- Nie kocham cię, Elliot. Nie kocham cię. Już nie.

Udało się. Powiedziała to. A wtedy zrozumiała, że rzeczywiście tak jest. Człowiek, którego kochała, zniknął. Im więcej dowiadywała się o nim podczas tych świąt Bożego Narodzenia, tym bardziej rozumiała, że tak naprawdę on nigdy nie istniał.

Zadrzała i splotła ręce na piersi. Elliot długo wpatrywał się w jej twarz. Wyczerpały mu się argumenty. Odchrząknął.

- Cóż, wygląda na to, że już podjęłaś decyzję - powiedział. Miał kamienny wyraz twarzy. Patrzył na nią jak na podwładną, którą w istocie była. Czy blefował, grożąc, że powie o wszystkim Isabelle? To nie miało żadnego znaczenia. Miała już dosyć tych ciągłych domysłów. Miała już dosyć jego gier.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś natychmiast opuściła posiadłość mojego ojca - powiedział.

- Bez obaw. Właśnie taki mam zamiar.

Tak też zrobiła. Pragnęła znaleźć się jak najdalej stąd. Przeżyła prawdziwy bożonarodzeniowy koszmar, lecz teraz mogła wreszcie zbudzić się ze snu. Było po wszystkim. Nadszedł czas, żeby zrzucić z siebie te ubrania, opuścić tę wyspę i znowu zacząć być sobą. Tą Kellie, którą była, zanim zadała się z przeklętym Elliotem Thornem.

- Liczę na to, że będziesz na tyle uprzejma, że nie opowiesz o nas Isabelle?

- Po prostu wracaj do rodziny, Elliot.

Nie było żadnego pożegnania. Zerknął na nią, zawołał psa i oddalił się wolnym krokiem, jak gdyby była jedynie obcą osobą poznaną podczas spaceru w lesie.

Patrzyła, jak odchodzi. Zastanawiała się, czy jeszcze się odwróci, ale tego nie zrobił. Zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak czuje się teraz Elliot. Czy będzie żałował? A może zrobi to, czego się po nim spodziewała, i będzie udawał, że nic między nimi nie zaszło?

Po chwili zniknął wśród drzew. Czekala na gwałtowny przyływ emocji, którego powinna była doświadczyć po tak żalosnym zakończeniu ich romansu, lecz czuła jedynie ulgę. Skończyła z Elliotem i była bezpieczna. Nikt się o nich nie dowiedział. Ten cały okropny wstretny romans dobiegł końca.

Postała jeszcze chwilę. Czekwała na przyływ smutku, lecz zamiast tego się uśmiechnęła. Nagle ruszyła z miejsca i co sił w nogach pobiegła w kierunku wioski.

## Rozdział dwudziesty szósty

*Ben* był nagi, mokry i trząsł się po niedawnym wyjściu spod prysznic, w którym dzięki ciągłej awarii prądu płynęła zimna woda. Przynajmniej się obudził i zmył z oczu pozostałości nieprzespanej nocy. Znajdował się w maleńkiej łazience przy sypialni na piętrze przybudówki. Starł parę z łazienkowego lustra i wbił wzrok w swoje odbicie, przecięte na pół brudnym nieregularnym pęknięciem, biegnącym z góry na dół przez sam środek szklanej tafli. Przypomniał mu się symbol teatru, przepołowiona maska w kształcie tarczy, z jedną połową roześmianą, a drugą smutną.

Jedna twarz, dwoje ludzi... czy nie taki był teraz *Ben*? Z pewnością właśnie tak się czuł, bo zupełnie nie wiedział, czy powinien się śmiać, czy płakać. *Kellie* wsadziła mu głowę do pralki, gdzie myśli wirowały jak ubrania - związane i zasupłane, bezładnie upadały jedna na drugą.



Był szczęśliwy i jednocześnie smutny. Cieszył się, że Kellie nadal tu jest, lecz smucił, że niebawem wyjedzie. Cieszył się, że go lubi, ale smucił, że nie lubi go wystarczająco mocno. I cieszył się, że ją znalazł, lecz smucił, że jednocześnie ją stracił.

Rzecz jasna wiedział - przede wszystkim od terapeutki, którą odwiedził kilkakrotnie po tym, jak odkrył romans Marie z Dannym - że szczęście nie jest czymś, co odnajduje się w innych ludziach, lecz w sobie. Wiedział jednak również tyle, że Kellie pomogła mu odzyskać radość życia. Obudziła w nim uczucia, które do tej pory trwały w uśpieniu, pogrzebane jak nasiona w ziemi. Była jego wiosną, katalizatorem wzrostu. To dzięki niej czuł teraz pełnię życia.

Goląc się, nucił melodię *Żyj dalej*, ponieważ właśnie to zamierzał teraz zrobić. Nie zamierzał ponownie stać się leniwym niechlujem, którym był przed świętami. Już nigdy więcej.

To, że Kellie go odtrąciła, bolało, ale postanowił, że mimo wszystko będzie optymistą, ponieważ wydarzenia kilku ostatnich szalonych dni napawały go optymizmem. Gdyby nigdy nie podjął decyzji o rzuceniu palenia i ponownym zaangażowaniu się we własne życie, nigdy nie zaprosiłby Kellie na przejażdżkę łódką. A gdyby tego nie zrobił, nigdy nie odkryłby tego, co wiedział teraz: że nadal posiadał cudowną umiejętność zakochania się w kimś innym niż Marie - i to bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Nadal potrafił to zrobić. Nadal miał w sobie to coś. Życie nadal mogło być niezwykle. Ta świadomość, ta pewność, dała mu siłę, którą wcześniej stracił. Kellie położyła kres jego zimie. Nawet bez niej zamierzał wrócić do Londynu i dalej się rozwijać.

Skończył się golić i spłukał zarost, który osadził się na zlewie. Zerknął na swoje odbicie w lustrze i tym razem jego twarz rozjaśnił uśmiech. Nadal był

młody. Nadal miał wiele do zaoferowania. Cieszył się, że to zrozumiał, zanim było za późno.

Wtedy drgnął. Usłyszał odgłos otwierania drzwi wejściowych. Teraz zatrzasnęły się z hukiem.

- Ben? - krzyknęła Kellie. - Ben, jesteś tu?

Chwyci! ręcznik i pośpiesznie przewiązał się nim w pasie.

- Co się stało? - krzyknął, wychodząc z łazienki na mały podest.

Z początku pomyślał, że musiało stać się coś złego - może wydarzył się kolejny wypadek - jednak kiedy zobaczył stojącą pod schodami Kellie, która najwioczniej szukała go w kuchni, zrozumiał, że nic się nie stało. Wręcz przeciwnie, była cała rozpromieniona, jak gdyby właśnie wróciła z treningu na siłowni. Miała na sobie modne i czyste ubrania, od których nie potrafił oderwać wzroku. Ona również się uśmiechała, spoglądając w jego stronę. Po chwili jej uśmiech zbladł, przygasł i zniknął.

- Co się stało? - zapytał. - O co chodzi? Niepewnie weszła po schodach i przystanęła.

- Kojarzysz ten moment, który zawsze nadchodzi w romantycznych filmach... - powiedziała - ... kiedy jedna osoba postanawia, że pragnie być z tą drugą... ale jeszcze nie wie, czy ona też jest zainteresowana ani jak zareaguje, kiedy dowie się, że...

- Jak w *Lepiej być nie może* - powiedział odruchowo. - Albo w *Oficer i dżentelmen*, albo...

Przysunęła palec do jego otwartych ust, żeby zamilkł. - Albo w jednym z tysięcy innych filmów - powiedziała. - Cóż, to właśnie ta chwila. To jest ta chwila w moim życiu. Nie wiem, czy pragniesz tego samego co ja - ciągnęła - ale mam nadzieję, że tak, bo sama nie mam żadnych wątpliwości.

Potem wspięła się na palce, zbliżyła usta do jego twarzy i delikatnie go pocałowała.

Zamarł w bezruchu i wybałuszył oczy. Jego usta nie odpowiedziały na jej gest. Zdrętwiały mu ręce i plecy. Stał tam zupełnie pozbawiony czucia i nawet nie mrugnął, jak strażnik przed Pałacem Buckingham, aż w końcu Kellie się odsunęła.

- Chyba chciałam to zrobić od chwili, w której cię poznałam - powiedziała. - Po prostu musiało minąć trochę czasu, żebym zrozumiała jak bardzo.

Nie wiedział, co spodziewał się usłyszeć, ale na pewno nie było to to. Jak mógł mieć choćby nadzieję, że kiedykolwiek rozgryzie tę kobietę, skoro za każdym razem, kiedy stawiał na reszkę, wypadał orzeł?

Zamknęła oczy i spróbowała pocałować go drugi raz, lecz znowu nie zareagował. Był w stanie tylko się gapić. Równie dobrze mógłby być bankierem z gumową lufą przystawioną do głowy. Odsunął się.

- O co chodzi? - zapytała.

- Ja...

Spuściła wzrok na buty. - Nic nie szkodzi, jeśli nie czujesz tego, co ja - powiedziała. - Myślałam, że tak jest, ale rozumiem...

- Ty... - Gdy tylko wymówił to słowo, zapomniał, co chciał powiedzieć.

- Nie mam prawa niczego od ciebie oczekiwać - powiedziała, biorąc jego prawą dłoń i mocno ją ściskając. - Spędziliśmy razem miłe chwile i teraz jest mi bardzo przykro. Pragnę ci jedynie powiedzieć, że...

Wreszcie w jego głowie zaświtało logiczne pytanie. - A co z nim? Z mężczyzną, w którym podobno jesteś zakochana...

- Powiedziałam mu, że to koniec.

- Koniec? - Ben zastanawiał się, czy przypadkiem nie śni. Bo z pewnością właśnie tak się czuł.

- Powiedziałam mu, że go nie kocham - oznajmiła. - Bo to prawda. Już go nie kocham. Przez ciebie.

Przeze mnie? - pomyślał Ben. Co ona miała na myśli? Czy to, że odkochała się w tamtym mężczyźnie, oznaczało, że teraz zakochała się w nim?

- Gdzie on jest? - zapytał. - Zadzwoń do niego do domu? - Zamilkł. Jakie znaczenie miało to, gdzie był ten facet albo w jaki sposób zdołała się z nim skontaktować? Liczyło się tylko tyle, że z nim zerwała. Nie potrzebował niczego więcej oprócz tego, że przy nim jest i pragnie go w taki sam sposób, w jaki on pragnie jej.

- Jest kilka spraw, o których muszę ci powiedzieć, Ben. Byłam taką idiotką i nawet nie wiem, jak zacząć...

- Nie - powiedział. - Nie teraz.

- Ale ja muszę. Chcę.

Pocałował ją i już po chwili szamotali się i wirowali wokół, przesuając się w kierunku sypialni. Ściągnęła z siebie płaszcz i sweter, po czym rozpięła bluzkę. Potem odwróciła się do niego plecami i odpięła stanik. Zsunął jego ramiączka i ujął jej piersi w dłonie. Gładził je powoli, instynktownie, delikatnie całując jej szyję. Przywarła do niego całym ciałem, a potem odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz i gładząc jego tors, nie przestawała go całować.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę - szepnęła mu do ucha.

Kiedy zrzuciła buty, w jakiś sposób obydwój stracili równowagę. Ze śmiechem zatoczyli się do tyłu i upadli na łóżko.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. - Wygląda na to, że mam nowy sposób na poderwanie dziewczyny, nie?

- Słucham?

- Wywożę ją na wyspę, omal nie uśmiercam podczas burzy, a potem włączę się z nią tak długo, aż w końcu w środku nocy doznaje wstrząsu mózgu. Na koniec, czary mary, dziewczyna rzuca mi się w ramiona.

- Może powinieneś napisać o tym książkę - powiedziała.

- Albo nawet nakręcić film. Mógłbyś go zatytułować...

- Albo mógłbym po prostu jeszcze raz cię pocałować. Odgarnęła włosy z twarzy i posłała mu szeroki uśmiech.

- I sprawić, że przypomnę sobie wszystkie cudowne święta Bożego Narodzenia.

Delikatnie przyciągnęła go do siebie i zamknęła oczy. Znowu długo się całowali. Zniknęła gdzieś niezręczność, która chwilę wcześniej zaowocowała utratą równowagi. Miał wrażenie, że ich ruchy się zsynchronizowały. Rozkoszował się tym wszystkim, poczynawszy od dotyku jej ust i okrężnych ruchów języka, a kończąc na powolnych zmysłowych wzorach, jakie jej palce i paznokcie kreśliły na jego plecach.

Potem zaczął powoli przesuwając się w dół jej ciała, muskając ustami jej szyję i obojczyk. Wygięła się w łuk i przywarła do niego, chwytając go za ramiona, kiedy nadal znaczył pocałunkami drogę wiodącą wzdłuż delikatnej falistości jej żeber i miękkiej skóry brzucha. Powoli ześlizgnął się z łóżka i stanął obok. Zachichotała, kiedy zrzucił ręcznik. Zaczęła zsuwać dzinsy i majtki, a on ściągnął je i rzucił za siebie.

Potem ukląkł przed nią na łóżku i zaczął gładzić jej uda. Palce Kellie zaciśnęły się na jego włosach i popchnęły jego głowę w dół. Jej ciało zaczęło wolno i rytmicznie wirować. Jęknęła.

Kiedy zadrżała i ścisnęła go jak imadło, poczuł się tak, jakby przez jego ciało przetoczyła się wielka fala, wypłukując z jego życia dawne napięcie, rozpacz i

niepewność. To wszystko przestało mieć znaczenie. Wszystko. Liczyło się tylko to. Tylko ona. Tylko to, co działo się teraz i co mogła przynieść przyszłość.

RS

W Zielonej Zatoce wiał zimny wiatr, lecz niebo było bezchmurne. Kellie trzymała Bena pod rękę, kiedy wraz z Jackiem szli w kierunku pokrytej lodem pochylni. Jack zgodził się zawieźć Bena na drugą stronę wyspy, żeby naprawić popsutą łódź. Ben obiecał Kellie, że jeszcze tego samego wieczoru opuszczą wyspę i znajdą się w bezpiecznym miejscu. Nie mogła się doczekać. Chciała wypłynąć już teraz, ale wiedziała, że musi cierpliwie poczekać jeszcze kilka godzin.

- Jesteś pewny, że to bezpieczne? - po raz kolejny upewniła się Kellie.

- Już ci mówiłem. Lód topnieje. To nie może się nie udać.

- On nie ma zielonego pojęcia o łodziach - powiedział Jack, dając Benowi kuksańca, i wychylił się, żeby spojrzeć na Kellie. - Pewnie nie było żadnej awarii. To tylko jego podstęp, żeby spędzić z tobą święta.

- O, naprawdę? - powiedziała Kellie, wiedząc, że się z nią droczy. Podobało jej się to. Podobało jej się takie uczucie przynależności. Podobało jej się, że inni ludzie akceptują to, że ona i Ben są parą.

Ben przewrócił oczami. - Naprawimy łódź i zaraz będziemy z powrotem.

Kellie uśmiechnęła się. - Dobrze, ale pospieszcie się. Zatrzymali się na szczycie pochylni.

- Czy mógłbym chwilę porozmawiać z Kellie? - zapytał Ben Jacka. - Na osobności.

- Jasne - powiedział Jack i posłał im znaczący uśmiezek, obejmując Bena ramieniem i mrugając do Kellie. - Ale czy Kellie nie będzie czuła się samotna?

- Bardzo zabawne.

- Nie wiesz, co tracisz - powiedział Jack z udawanym żalem. - Świetnie całuję i jeszcze lepiej gotuję. Do zobaczenia, kochana - powiedział do Kellie, po

czym podźwignął skrzynkę z narzędziami na ramię i ostrożnie ruszył w stronę swojego pontonu, który kołysał się na mętnej wodzie przystani.

- Założę się, że ty całujesz lepiej - powiedziała Kellie do Bena i na dowód delikatnie pocałowała go w usta.

Czy naprawdę chciała, żeby sprawy między nią a Benem potoczyły się tak szybko? Nie była pewna, ale i tak nie miało to znaczenia. Czuła się wspaniale. Nadal.

- Pamiętasz, co powiedziałam wcześniej... że muszę z tobą porozmawiać... o...

- Nie ma pośpiechu - przerwał jej. - Wszystko w odpowiednim czasie i miejscu. - Rozejrzał się wokół, patrząc na pustą wioskę, po której hulał wiatr. - Na pewno nie tutaj.

- Ale...

- Może później. Po powrocie do Fleet Town.

- To ostatnia rzecz, jaka będzie zaprzętać moje myśli, kiedy już tam wrócimy...

- Chodź wreszcie - krzyknął Jack.

- Mówię poważnie - powiedziała. - Będziemy w stanie o tym wszystkim porozmawiać, prawda?

- Nie ma takiej rzeczy, o której nie będziemy w stanie rozmawiać - powiedział i pocałował ją.

Wiedziała, że musi mu powiedzieć o Elliocie. Była absolutnie pewna, że musi być szczerą. Nie mogła kontynuować znajomości z Benem, nie mówiąc już o tworzeniu z nim jakiegokolwiek związku - a już z pewnością takiego, na który nieśmiało liczyła - jeśli nie powie mu prawdy. Przede wszystkim musiała mu wy-



jaśnić, dlaczego w ogóle znalazła się na wyspie, i przyznać, że popełniła straszny błąd, obdarzając Elliota zaufaniem.

Czy Ben znienawidzi ją za te oszustwa? Czy przerazi go to, że uwikłała się w związek z Elliotem? Chyba nie, jeśli zdoła mu to właściwie wytłumaczyć, prawda? Nie, jeśli to popołudnie znaczyło dla Bena równie dużo jak dla niej. I nie, jeśli - jak zamierzała - powie mu, co dokładnie do niego czuje.

Chciała powiedzieć Benowi, że jest cudowny. Bardziej niż cudowny. Że czuje, iż postępuje właściwie. A przede wszystkim, że to, co się między nimi działo, było wspaniale, ekscytująco i niebywale prawdziwe.

- Posłuchaj, weź tę latarkę - powiedział Ben, wyciągając ją z kieszeni - i zdobądź w pubie jakieś baterie. Za chwilę się ściemni, a jeśli nadal nie będzie prądu i nie zdążę wrócić na czas, może ci się przydać.

- Pospiesz się. Jesteś pewny, że nie mogę popłynąć razem z wami?

- Tak. Miałaś wystarczająco dużo wrażeń jak na jeden dzień. - Pytająco unióśł brwi, a ona zarumieniła się i roześmiała. - Mówię poważnie. Zostań tu i nigdzie się nie ruszaj, dopóki nie wrócę.

- Zamierzam tylko podrzucić Isabelle te ubrania - powiedziała, wykonując gest w stronę reklamówki leżącej u jej stóp. - Obiecuję, że potem będę na ciebie czekać w pubie.

Nie wiedziała, jak ma się z nim pożegnać. Chciała go przytulić i pocałować.

- Dobra, do zobaczenia - powiedział.

- Do zobaczenia.

Ben oddalał się, schodząc po pochylni. Nagle przystanął, odwrócił się i podbiegł do niej, żeby ponownie ją pocałować.

- Bądź grzeczna - powiedział, trzymając ją w objęciach, jak gdyby nie potrafił się od niej oderwać.

- Będę.

Kellie zacisnęła usta, kiedy szedł w kierunku łodzi, i jej twarz rozjaśnił uśmiech. Miała ochotę podskoczyć z radości jak mała podekscytowana dziewczynka.

Nic dziwnego, że w Wielkiej Brytanii drugi dzień świąt nazywają Dniem Boksowania, pomyślała, machając do Bena, gdy perkoczająca łódź oddalała się w kierunku przystani. Czuła się tak, jak gdyby miała za sobą kilka rund na ringu, ale po tym popołudniu z Benem miała wrażenie, że zdobyła mistrzostwo.

Chciała przystanąć na chwilę i uszczypnąć się, żeby mieć pewność, że to nie sen. Z trudem mogła uwierzyć, że zaledwie w ciągu godziny skończyła z Elliotem i zaangażowała się w związek z Benem. Lecz jeśli miała być szczerą, Ben zawrócił jej w głowie już w chwili, w której ją tu przywiózł.

Patrzyła, jak łódź okrąża mury przystani i znika z pola widzenia. Potem westchnęła radośnie i ziewnęła.

Ruszyła drogą. Miała zamiar zostawić reklamówkę z ubraniami Isabelle pod drzwiami domu Geralda. Napisała już krótki liścik z podziękowaniami dla Isabelle i Stephanie, który włożyła do środka. Jeśli podbiegnie do drzwi i szybko wróci z powrotem, nikt jej nie zobaczy i nie będzie musiała odpowiadać na żadne pytania. To będzie jej ostatnia styczność z rodziną Thorne'ów.

Reklamówka ciążyła jej w dłoni, jak gdyby oprócz ubrań żony byłego kochanka wypełniało ją poczucie winy. Im szybciej wrócą do właścicielki, tym lepiej się poczuje. Tym prędzej znowu poczuje się jak uczciwa, troskliwa i porządna osoba, którą była dawniej. Pocieszała się tym, że przynajmniej to całe absurdalne oszustwo, którego dopuściła się z Elliotem, dobiegło końca i nikomu nie stała się krzywda. Pragnęła jedynie zapomnieć o tym okropnym epizodzie i żyć dalej. Wiedziała już, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi po powrocie do Londynu, będzie zrezygnowanie z pracy, a drugą wyprowadzenie się z dotychczasowego

mieszkania. Nie wyobrażała sobie dalszej pracy z Elliotem ani tego, że nadal mogłoby ich coś łączyć.

Wiedziała, że będzie ciężko. Będzie musiała znaleźć sobie jakieś inne mieszkanie i wymyślić wystarczająco wiarygodny powód rezygnacji z pracy w WDG & Partners, który nie narazi na szwank jej opinii. Zastanawiała się, czy Elliot będzie chciał jej w tym przeszkodzić.

Nie miała pojęcia, gdzie będzie za rok o tej porze. Czy zdecyduje się na pracę w jakiejś innej kancelarii prawniczej - może w tej, która kilka miesięcy temu złożyła jej ofertę? A może zajmie się czymś zupełnie innym? Od niepamiętnych czasów jej kariera była tak dobrze zaplanowana, że brak jakichkolwiek wytycznych dawał jej poczucie lekkości i pełni życia.

Któż mógł wiedzieć, co kryje przyszłość? Tydzień wcześniej z pewnością nie była w stanie przewidzieć, że znajdzie się w takiej sytuacji albo będzie się czuła w ten sposób. Przekonała się, jak nieprzewidywalne bywają ludzkie losy i teraz zamierzała pozwolić, aby życie biegło własnym torem. Przez cały czas czekała, aż Elliot podejmie decyzję - powierzyła mu całą władzę nad swoim życiem, przez co straciła z oczu to, czego naprawdę pragnęła - lecz poznanie Bena otworzyło przed nią świat pełen możliwości.

A co z Benem? Czy będzie chciał planować ich wspólną przyszłość? Miała wrażenie, że nagle znaleźli się w identycznej sytuacji. Może była to szansa na ułożenie wspólnego życia w Londynie? Czy Ben pozwoli na to, żeby z nim została? Czy zakładanie czegoś takiego na tak wczesnym etapie nie było szaleństwem? Może lepiej byłoby spróbować dogadać się z Jane i zapytać, czy przyjąłaby ją na parę tygodni, dopóki nie znajdzie jakiegoś mieszkania?

Zbliżała się do domu Thorne'ów. Dostrzegła zapalone światła w oknach i serce zaczęło jej gwałtownie bić. Wyobraziła sobie Elliota, który siedzi tam z Isabelle, i ucieszyła się, że nikt nie ma pojęcia o tym, co między nimi zaszło. Lu-

biła rodzinę Elliota. Szanowała ją. Jak Elliot śmiał traktować ich z takim lekceważeniem? Nie wiedział, jakim jest szczęściarzem. O niczym nie miał pojęcia. Dzięki Bogu, że udało jej się z tego wyplątać. I dzięki Bogu za Bena. Puściła się biegiem w kierunku frontowych drzwi, uważając, żeby nie poślizgnąć się na lodzie.

Dwadzieścia minut później Kellie pozwoliła sobie na zaczerpnięcie tchu. Udało się. Oddała ubrania tak, że nikt jej nie zauważył, i teraz dom Thorne'ów został daleko w tyle. Uśmiechając się do siebie, ruszyła drogą w stronę przybudówki.

Właśnie wtedy usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciła się i zobaczyła Michaela, który biegł w jej kierunku od strony wzgórza.

Z początku nie miała pojęcia, czego mógłby od niej chcieć, ale kiedy podbiegł bliżej, ogarnął ją niepokój.

Dyszał, próbując złapać oddech. - Szybko! Wydarzył się wypadek - powiedział.

Serce Kellie zabiło gwałtowniej. Wbrew samej sobie od razu pomyślała o Elliocie. Chyba nie zrobił żadnego głupstwa, prawda? W jej głowie kłębiły się myśli.

- O co chodzi? Co się stało?

- W kopalni - powiedział Michael. - Simon. Zaklinował się.

- W jakiej kopalni? Simon? Ja... nic nie rozumiem - powiedziała. Rozejrzała się w poszukiwaniu pomocy, lecz oprócz nich na drodze nie było nikogo.

- Chodź - powiedział Michael i zaczął biec z powrotem. Kellie zastanawiała się, czy naprawdę powinna za nim pobiec. - Michael? Michael? - wołała za nim.

- Stój. Poczekaj. Powinniśmy zawołać twoich rodziców. Albo rodziców Simona.

- Szybko! - krzyknął przez ramię. - Nie ma czasu. To niedaleko.

To było niedorzeczne. I szalone. Jak miała mu pomóc? jednak przestraszyło ją prawdziwe przerażenie widniejące w oczach Michaela. Może stało się coś naprawdę złego? Pomyślała o Stephanie i o tym, jaka była dla niej miła tamtego ranka. Przypomniała sobie jej cichego synka.

Odwróciła się w kierunku przystani, przywołując z pamięci obietnicę daną Benowi. Miała być grzeczna. Nie powinna znowu zbliżyć się do rodziny Thorne'ów. To było zbyt niebezpieczne. Teraz istniały dla niej ważniejsze rzeczy.

- No chodź! - krzyknął Michael.

- Dobra, dobra, już idę - powiedziała, obiecując sobie, że sprawdzi, czy jest w stanie pomóc, a potem wróci prosto do pubu.

Kiedy dziesięć minut później dotarli do kopalni, Kellie zrobiła się słabo. Zatrzymała się i pochyliła, próbując złapać oddech. Była pochlapana błotem z mokrych brejowatych kałuż, w których zaczął już topnieć lód. Była wściekła, że Michael ani razu się nie zatrzymał, chociaż kilkakrotnie go o to prosiła, lecz teraz miała już pewność, że Simonowi grozi prawdziwe niebezpieczeństwo. Z przerażeniem myślała o tym, że mogą przybyć za późno, więc biegła za nim dotąd, aż w gardle poczuła łomot serca- Kiedy Michael zszedł zboczem, ogarnął ją strach.

Znajdowali się w małym wąwozie. Wokół wył wiatr.

- Tędy - powiedział Michael. Dokąd on u diabła szedł? Teraz widziała tylko górną połowę jego postaci, ponieważ przedzierał się przez mokre krzaki.

- Michael, stój! Zaczekaj!

Szła za nim, przeciskając się między krzakami. Krzywiła się, kiedy rozmiękle grudy topniejącego śniegu moczyły jej dżinsy- Wtedy, nie wiadomo skąd, ukazało się wejście do jakiegoś tunelu. Michael wbiegł do niego i zniknął w środku. Poszła za nim.

. Kiedy weszła w ciemność, przez jej ciało przetoczyła się fala adrenaliny. Odgłosy wiatru ucichły, jak gdyby świat na zewnątrz zniknął. Było strasznie zimno. Czowała się tak, jak gdyby pochłonał ją klif. Nieruchome powietrze sprawiło, że usta wypełniły jej się śliną. To miejsce było straszne.

Poza tym zauważyła coś jeszcze. Ta cała sytuacja nie trzymała się kupy. Poczowała, że jej ciało pokrywa się gęsią skórą.

- Michael - powiedziała - gdzie jesteś? - Jej głos brzmiał jakoś dziwnie. Nie wiedziała, w którą stronę poszedł. Jej oczy próbowały przywyknąć do mroku.

Wtedy Michael wrócił, trzymając Simona za ramię.

- Przecież nic ci nie jest! - powiedziała do chłopca. Nie patrzył w jej stronę. Niczego nie rozumiała.

- Co tu się u diabła dzieje? - Już kiedy to mówiła, wiedziała, że instynkt jej nie zawiódł. Coś było tu bardzo nie w porządku. Wtedy Michael mocno ją popchnął i upadła. Pobiegł w kierunku wejścia do tunelu i pociągnął Simona za sobą.

- Zaczekajcie - krzyknęła Kellie, z trudem podnosząc się z ziemi, lecz było już za późno. Byli dla niej za szybcy.

Gdzieś z przodu rozległ się szcęk metalu i dotarła tam w samą porę, żeby zobaczyć, jak Taylor zakłada kłódkę na zamkniętej bramie.

- Co wy u diabła robicie? - krzyknęła Kellie, potrząsając kratą jak uwięzione zwierzę, lecz Taylor, Michael i Simon już się od niej oddalali.

Simon wyglądał na przerażonego.

- Taylor? - wrzasnęła Kellie. - Stój!

Taylor odwróciła się i zmierzyła ją surowym zimnym spojrzeniem.

- Zaslugujesz na nauczkę - powiedziała.

- Co? Nie rozumiem.

- Nie kłam.

Twarz Taylor napawała Kellie przerażeniem.

- Wcale nie kłamię. Dlaczego to robicie? Wypuście mnie. Natychmiast. Proszę. To nie jest zabawne.

- To nie miało być zabawne. Tak samo jak twój romans z moim tatą.

Kellie miała wrażenie, jakby krew w jej żyłach nagle zamarzła. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Skąd Taylor mogła o tym wiedzieć? Zaświtała jej pewna myśl: czy Elliot ostatecznie spełnił swoją groźbę? Czy wrócił do domu i do wszystkiego się przyznał? Całej rodzinie? Czy to dlatego Taylor i Michael zwabili ją w to miejsce?

- Co? - zapytała Taylor. - Myślałaś, że nikt o tym nie wie? Nie jesteś taka sprytna, jak ci się wydaje. Widzieliśmy cię... wczoraj... kiedy spotkałaś się z nim na przystani...

Nagle Kellie przypomniała sobie minę Taylor tamtego dnia. Skondensowaną nienawiść w jej spojrzeniu...

- A dzisiaj... w lesie... spotkałaś się z nim znowu... rozmawialiście o ubiegłych wakacjach we Włoszech... i o tym, jak bardzo się kochacie, ty brudna pieprzona dziwko.

- Mylisz się. Skoro tam byłaś - powiedziała Kellie, czując, jak łomocze jej serce - musiałaś słyszeć, że...

- Słyszałam wystarczająco dużo! - krzyknęła Taylor.

- Przecież powiedziałam mu, że to już koniec. Powiedziałam, że...

- Kłamiesz! Jesteś pieprzoną kłamczucha! Okłamałaś wszystkich. Skłamałaś nawet mojemu dziadkowi, mówiąc o nazwie kancelarii, dla której pracujesz. Och, tak. Tego też się domyśliłam. Bo pracujesz razem z nim, prawda? Pracujesz z moim pieprzonym tatą.

- Tak, ale...

- No cóż, pozwól, że coś ci powiem. Może myślisz, że jesteś kimś wyjątkowym, ale jesteś w błędzie. On nigdy nas nie zostawi, żeby być z tobą. Nie teraz, kiedy moja mama spodziewa się dziecka.

Kellie poczuła się tak, jakby ktoś ją uderzył. Isabelle jest w ciąży? To dziecko Elliota? A on cały czas o tym wiedział?

Czy nigdy nie zamierzał jej powiedzieć? Nie, żeby teraz miało to jakieś znaczenie...

- Taylor, posłuchaj. Źle to wszystko rozumiałaś...

- Wypuść ją, Taylor.

To były słowa Simona. Płakał.

- Nie. Nie wypuszczę jej, dopóki nie dostanie nauczki.

- Przecież już ją dostała, Taylor. Dostała nauczkę - błagał ją Simon. - Mama i tata nas za to zabiją.

- Nie. Nikt nas nie zabije. Ponieważ wcale im o tym nie powiemy.

- Ale ona powie - łkał Simon.

- Nie zrobi tego. Wtedy musiałyby im powiedzieć, dlaczego to zrobiliśmy.

Prawda, ty głupia suko?

- Wypuście mnie stąd. Wszystko wam wyjaśnię. Nie pisnę o tym słowa. Obiecuję. Wyjadę stąd i nigdy tu nie wrócę.

- Wypuszczę cię, kiedy będę gotowa. Jeśli będę gotowa. A do tego czasu - powiedziała Taylor, chwytając Simona za kołnierz płaszcza i ciągnąc go za sobą - możesz tu gnić.

- Taylor! Taylor! - krzyczała Kellie, kiedy Taylor, Michael i Simon powoli się oddalali. - Jezu Chryste, Taylor! - wołała. - Niedługo wróci Ben. Zauważy, że mnie nie ma.



Jednak oni już zniknęli i błagania Kellie stłumił wiatr. Wzięła głęboki oddech. Wróca, pomyślała. To tylko dzieciaki, które próbują ją nastraszyć. Chyba jej tu nie zostawią, prawda? Nie zostawią jej?

Ale już знаła odpowiedź. Wiedziała, jak uparta jest Taylor i po kim odziczyła tę cechę.

- Cholera! Cholera! Cholera! - krzyknęła, z całych sił potrząsając kratą. Wtedy to zauważyła - między gałęziami drzew i krzewów, które otaczały wejście do kopalni, znowu zaczęły wirować płatki śniegu.

RS

## **Rozdział dwudziesty ósmy**

Paluszek Nat popiskiwał na szybie, kiedy kreśliła linie na zaparowanym oknie w kuchni. Wyglądały jak kraty. Jakie to trafne, pomyślała Stephanie, ponieważ odkąd zaczął padać śnieg, dom przypominał więzienie. Co gorsza, nie było szans, żeby się z niego dzisiaj wydostać.

Nie znosiła drugiego dnia świąt. Nie znosiła go od dziecka. Zazwyczaj wszyscy leczyli wtedy kaca i siedzieli napchani wysokokalorycznym jedzeniem, a najlepsze programy w telewizji zostały już pokazane. Teraz ustanowiła się no-

wa tradycja w koszmarze drugich dni świąt. Stephanie miała świadomość, że przede wszystkim to ona ponosi odpowiedzialność za złą atmosferę, ale nie wiedziała, w jaki sposób naprawić sytuację. Myślała, żeby załagodzić stosunki z Isabelle, lecz nie nadarzyła się odpowiednia okazja i w końcu straciła zapał. Powinna cieszyć się z ich dziecka, z tego, że po tych wszystkich latach Isabelle i Elliot dostali drugą szansę, ale wiedziała, że cokolwiek teraz powie, zabrzmiałoby jak fałszywy banan.

Poza tym powinna się cieszyć, że David znowu jest w domu, lecz on był akurat w najgorszym nastroju, w jakim go kiedykolwiek widziała, i żałowała, że jednak nie został w pubie. Ledwie zamienił z nią dwa słowa, kiedy zjawił się w środku nocy i bełkotliwym głosem poprosił, żeby pomogła Kellie. Atmosfera była napięta i niezręczna. Wcale nie pomagało udawanie Davida, że nie jest pijany, oraz to, że ona sama nie była do końca trzeźwa.

Z początku zdenerwowała się, że przyprowadził do domu obcych ludzi, lecz po chwili poznała Bena i zajęła się opatrywaniem głowy Kellie. Gerald nalegał, aby Kellie u nich została, a Stephanie miała ją na oku. Kiedy zatem Simon obudził się i zszedł zobaczyć, skąd to całe zamieszanie, Stephanie zasugerowała, żeby Kellie przespała się w jego pokoju. Później zabrała Simona do siebie. Nie miała pojęcia, gdzie spał David, ale domyśliła się, że na kanapie.

- O, teraz powinno być dobre - powiedział Gerald, odsuwając się od kucharki, na której bulgotał wielki gar jakiegoś płynu. Wytarł dłonie o fartuszek ozdobiony podobizną ponętnej kobiety w bikini. Jej brzuch zdobiła plama sosu pomidorowego. Wyglądała jak rana po ciosie nożem.

Stephanie spojrzała na odpadki walające się na stole i wszystkich kuchennych szafkach. Co roku było to samo - w drugi dzień świąt Gerald oddawał się swojemu absurdalnemu rytuałowi. W nietypowym dla siebie przyływie kulinar-

nego zapachu gotował resztki indyka, żeby zrobić z nich bulion, który następnie zamrażał w małych plastikowych pojemnikach. Obrzydliwie śmierdziało.

Wysiłek, jaki wiązał się z tym zadaniem, był zupełnie niewspółmierny do smaku słonawej cienkiej zupki, lecz ojciec uparcie twierdził, że posiada ona niezwykle właściwości odżywcze i lecznicze, i serwował ją za każdym razem, kiedy zachorował któryś z członków rodziny.

Stephanie musiała skupić całą siłę woli, aby powstrzymać się od stwierdzenia, że gdyby zamiast męczyć się w drugi dzień świąt, rozłożył ten kulinarny wysiłek na cały rok, jego dieta byłaby znacznie zdrowsza.

Zabębnił palcami o pokrywę nowej maszyny do pieczenia chleba i z zadowoleniem spojrzął na zegarek. Wyglądało na to, że szykuje również focaccię z suszonymi pomidorami. Stephanie nie miała serca powiedzieć mu, że fantastyczne bochenki, które do tej pory robił w tym urządzeniu, były niemal niejadalne. Po wczorajszym dniu straciła prawo do wygłaszania negatywnych komentarzy pod adresem pozostałych członków rodziny. Ojca nadal martwiło to, co się stało, i próbował ją rozweselić, ale Stephanie wiedziała, że to go przerasta, że nie przywykł do radzenia sobie z problemami emocjonalnymi. Starła się nie przekreślać jego nieśmiałych wysiłków i nie komentować faktu, że im więcej czasu spędzała w jego towarzystwie, tym bardziej wydawał jej się dziwny i ekscentryczny.

Uśmiechnęła się blado. - Pachnie wspaniale, tato - powiedziała.

- Chyba trochę tu posprzątam, a potem zacznę rozpakowywać te pudła w pracowni. Co ty na to? Chciałabyś mi pomóc? Nat, może i ty się przyłączysz?

- Dobrze - powiedziała Stephanie. Była zbyt wyczerpana, żeby się spierać.

- Cześć, wujku - powiedziała Nat, kiedy do kuchni wszedł Elliot, niosąc zwiniętą gazetę. Gdy otwierał i zamykał kolejne szafki, wyglądał niechlujnie i sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- Cześć, pączusiu - powiedział, lecz w jego głosie brakowało typowej czułości. Stephanie domyśliła się, że on również musi być zmęczony.

Zobaczyła, że wkłada pod gazetę butelkę whisky. Ich spojrzenia się spotkały.

- Co? - zapytał.

- Nic - odpowiedziała. - Nie za wcześnie zaczynasz?

- A co ci to przeszkadza?

Stephanie poczuła na sobie wzrok ojca. Wiedziała, że nie może wplątać się w kolejną kłótnię z Elliotem.

- Jeśli ktoś będzie mnie potrzebował, jestem w jadalni - powiedział Elliot.

- Masz ochotę na talerz bulionu z indyka? - zapytał Gerald.

- Wiesz, że nienawidzę tego cholernego paskudztwa, tato.

- Nie musisz być taki opryskliwy. Pójdę na górę i poczęstuję nim Kellie. Jestem pewien, że będzie jej smakował.

- Już jej tam nie ma - odparował Elliot. - Wróciła do wioski, i to całe wieki temu.

- Cóż, nikt mi o tym nie mówił - powiedziała Stephanie. Uraziło ją to, że Kellie nawet się nie pożegnała. Rzeczywiście, nie widziała jej od dobrych paru godzin. Była pewna, że Kellie bierze na górze kąpiel i odpoczywa, lecz najwiedoczniej się wymknęła - z drugiej strony, pewnie czuła się niezręcznie, pomyślała Stephanie. Pobudka w cudzym domu, na kacu, musiała być okropna. Mimo to postąpiła dziwnie, wymykając się chyłkiem, nie podziękowawszy Geraldowi za to, że zgodził się ją przenocować.

- Ojej - powiedział Gerald z wyraźnym rozczarowaniem. - Chyba chciała być przy Benie.

Obydwoje patrzyli, jak Elliot wychodzi bez słowa. Stephanie przygryzła usta. - Nie jest w najlepszym nastroju, prawda?

- Chyba jak my wszyscy - odpowiedział jej ojciec. - A teraz pomóż mi, dobrze?

Chciała powiedzieć przepraszam, ale nie powiedziała. Nie potrafiła. Nie do końca wiedziała, za co powinna przepraszać. Może za to, że zrujnowała święta w domu ojca? Albo że zrobiła scenę? Z tonu jego głosu jasno wynikało, że jedynym sposobem, w jaki mogłaby to naprawić, jest powstrzymanie się od stwarzania kolejnych problemów. Sprzątając w kuchni, znowu czuła się jak nastolatka.

Na piętrze, w pracowni Geralda, było chłodno, więc Nat zeszła na dół, żeby poszukać swetra, który mogłaby włożyć na połyskliwą sukienkę księżniczki Barbie. Nadal miała ją na sobie.

- Możemy zacząć na przykład od tego pudła - powiedział Gerald do Stephanie, kiedy włączył światło. - Sprawdź, czy nie ma tam niczego, co chciałabyś zatrzymać. Mam zamiar zrobić wielkie sprzątanie. Są tu głównie stare zdjęcia.

Stephanie otworzyła pudło. Było wypełnione zdjęciami z jej ślubu i starymi fotografiami jej dzieci. Westchnęła. - Wiem, co próbujesz zrobić, tato.

Wzruszył ramionami i zrobił niewinną minę. - Po prostu pomyślałem, że chciałabyś rzucić na nie okiem. Jeśli wolisz je wszystkie po prostu wyrzucić...

Położyła dłoń na pudle. - Powiedziałam ci wczoraj w nocy. Już podjęłam decyzję.

- Wiem. Po prostu myślałem... cóż... chodzi o to... - Urwał i podszedł do niej. - Chcę ci coś powiedzieć.

- O co chodzi? - Czuła ogromne zmęczenie. Czy zamierzał wygłosić wykład na temat świętości małżeństwa?

- Widzisz, czekałem na odpowiedni moment. I chciałem powiedzieć to wczoraj, ale... - Spojrzał na nią, po czym szybko odwrócił wzrok.

Teraz sobie posłucham, pomyślała Stephanie, splatając ręce na piersi jak dziecko otrzymujące reprimendę.

- Chodzi o to, że spotykam się z pewną kobietą. Tu, na wyspie.

Stephanie zastygła w bezruchu. Gapiła się na niego z otwartymi ustami. Były to ostatnie słowa, jakie spodziewała się od niego usłyszeć.

- Co masz na myśli? Jak to „spotykasz się”? - wykrztusiła w końcu.

Gerald wziął głęboki oddech. - Pozostali jeszcze o tym nie wiedzą. Najpierw chciałem powiedzieć tobie.

Stephanie poczuła, że drżą jej kolana. Pragnęła, żeby przestały. Jak to możliwe? Jak mógł jej o tym mówić właśnie teraz?

- Czy to coś poważnego? - zapytała.

- Raczej tak. Ona nazywa się Tina Belling. W zeszłym roku wprowadziła się do dawnego domku Steadmanów i... no cóż, lubi te same rzeczy co ja i...

Stephanie ledwie słyszała jego słowa. Była jakaś kobieta, z którą widywał się jej ojciec? Co to oznaczało? Nie miała pojęcia, jak ma przyswoić informacje, którymi właśnie się z nią dzielił.

- Na święta przyjechała do niej rodzina. Jej córka Toni i wnuk Oliver. Jeszcze ich nie poznałem, ale myślałem, że jutro zaproszę Tinę na drinka. Jeśli nie macie nic przeciwko. Tylko że teraz, kiedy wrócił David, doszedłem do wniosku, że...

Na dźwięk imienia Davida Stephanie ponownie skupiła się na słowach ojca. Zatem to wielkie wyznanie było tylko po to, aby jej ojciec mógł się pochwalić kochającą, szczęśliwą rodziną? Myślał, że dobrze wypadnie w otoczeniu Stephanie i Davida oraz Elliota i Isabelle. Lekarka i prawnik. W szczęśliwych związkach małżeńskich. Właśnie tak myślał. Widziała to w jego oczach.

Czyżby w ogóle nie rozumiał, przez co ona właśnie przechodzi?

Wytarła usta dłońmi. Czowała się jak skończona idiotka. Teraz, kiedy w końcu to powiedział, wszystko stało się tak cholernie oczywiste. Cały czas miała przed nosem wskazówki, lecz ich nie dostrzegała. Pomyślała o tym, jak dobrze wyglą-

da, jak zniknął gdzieś z psem - tuż po ich przyjeździe i ponownie, po wczorajszym lunchu. Nie zwracała na to większej uwagi, lecz teraz zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie urządzał sobie za ich plecami potajemnych spotkań. Czy wybrał się na spotkanie z tą Tiną, żeby pozalić się na własną rodzinę? Czy to dlatego zeszłej nocy rozmawiał z nią tak racjonalnie i życzliwie? Czy skonsultował się w tej sprawie z Tiną?

Od rana nie odstępował jej na krok. Teraz zrozumiała, że siedział jak na szpilkach, szykując się do tego, żeby jej o wszystkim powiedzieć.

- No cóż, tato, hmm...

Zabrakło jej słów. Myślała, że ojciec jest dla niej oparciem, skałą. Ale nie był. Należał do kogoś innego.

- Polubisz ją - zapewnił ją Gerald.

Przypomniała sobie jego zachowanie podczas świąt. Wydawał się taki zadowolony. Taki silny. Czy była to zasługa Tiny? Czy to dlatego przeprowadził się tu na stałe? Żeby być blisko niej? A Stephanie przez cały czas się o niego martwiła...

Nagle poczuła się tak, jakby świat stanął na głowie, a ona niczego nie zauważyła. Wszystko wyglądało inaczej. Los wydarł jej wszelkie założenia dotyczące przyszłości rodziny.

Próbowała przywołać wspomnienie matki, które mogłoby jej pomóc, lecz widziała jedynie ojca, stojącego przed nią jak zdenerwowany nastolatek. Nerwowo skubał dłonie.

- Chcę, żebyś cieszyła się moim szczęściem, Steph. Stephanie nie wiedziała, czy ma się rozplakać, uderzyć go

w twarz, czy może jedno i drugie, lecz zmusiła się, żeby tego nie robić. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, że jej ojciec musi na chwilę przestać być rodzi-

cem, a ona powinna zachować się jak dorosła osoba. Wbrew wszelkim instyktom podeszła do niego i uściskała go.

- Myślę, że mama byłaby zadowolona - szepnęła, a po jej policzku potoczyła się łza. - Nie chciałyby, żebyś żył samotnie.

- Możesz poznać Tinę. Sama zobaczysz - powiedział. Czują, jak w jej objęciach jego ciało powoli się rozluźnia. Stephanie z trudem połknęła łzy i odsunęła się.

Wtedy za jej plecami otworzyły się drzwi.

- O, David. Wejdz, wejdz - powiedział Gerald, jak gdyby wcale nie zasunął przed chwilą bomby, jak gdyby wszystko było zupełnie normalnie, i Stephanie zrozumiała, że to wszystko kręci się wokół niego. Że to jest jego świat. - Właśnie rozmawialiśmy...

David odchrząknął. Nie poruszyła się. Przez chwilę Stephanie zastanawiała się, czy przypadkiem ojciec nie ukartował tego spotkania, żeby mogli ze sobą porozmawiać.

- Na dole jest Ben - powiedział David, natychmiast rozwiewając wszelkie wątpliwości Stephanie co do zaangażowania jej ojca. Mówił cierpkim tonem. Obojętnym. Jak gdyby nie chciał przebywać w pobliżu Stephanie ani Geralda. - Mówi, że Kellie przyszła do niego po południu, potem on wyruszył naprawić łódź, ale kiedy wrócił, okazało się, że Kellie zniknęła. Martwi się o nią i pyta, czy przypadkiem tu nie dzwoniła.

- Nie, nie widzieliśmy jej - powiedział Gerald. Stephanie minęła Davida, wychodząc na korytarz, a on gwałtownie odsunął się na bok, żeby go nie dotknęła. Przebywanie w tak bliskiej odległości wydawało jej się nie do zniesienia. Jak gdyby obydwójce odpychali się niczym przeciwne krańce magnesu. Stephanie zaczęła schodzić na dół, a on poszedł za nią.



- Pytałem tylko, czy jej nie widzieliście. Sam potrafię to załatwić, Stephanie - powiedział.

Pomyślała o zdjęciach, które trzymała w dłoni zaledwie kilka minut wcześniej. Czy to naprawdę były zdjęcia jej i Davida? Jak to możliwe, że dwoje tak szczęśliwych i żytych ludzi skończyło w ten sposób?

- Powinnam jej poszukać albo przynajmniej dowiedzieć się, co się stało - powiedziała Stephanie. - To moja pacjentka. Jeśli istnieje ktoś, kto powinien jej szukać, to tym kimś jestem ja. Ona ma na głowie paskudnego guza. Mogła zemdleć albo upaść.

- Cóż, może w takim razie nie powinnaś była tak szybko jej wypuszczać.

- A może to ty powinieneś był zaopiekować się swoimi nowymi przyjaciółmi, David? Wczoraj wieczorem tak ochoczo im się zwierzałeś - dziwne, że nie poszedłeś po kolejne rady. - Nadal denerwowało ją to, że opowiedział Kellie i Benowi o ich problemach. Skąd w przeciwnym razie Kellie wiedziałyby aż tyle o niej i jej rodzinie?

Pożałowała swoich słów już w chwili, gdy je wypowiedziała - nie dlatego że nie była to prawda, lecz dlatego, że wszystkie komentarze podsycaly tylko rozżalenie Davida, przez co wydłużała się ich rozmowa. Nie miała mu już nic do powiedzenia. Wszystko, co mogła mu powiedzieć, powiedziała wczoraj. Zanim zdążył jakoś zareagować, zbiegła po schodach.

Isabelle rozmawiała z Benem w korytarzu.

- Pod drzwiami znalazłam tę reklamówkę z moimi ubraniami - mówiła Isabelle. - Zostawiła liścik z podziękowaniami. - Spojrzała na Stephanie.

- Szkoda, że mnie nie posłuchała - rzekła Stephanie. - Powinna teraz odpoczywać. Cześć, Ben.

- Cześć, Stephanie - powiedział Ben. - Szukałem już wszędzie. Mówiła, że odniesie ubrania Isabelle, a potem poczeka na mnie w pubie, ale już tam nie dotarła. Naprawdę myślałem, że będzie tutaj.

- Nie mam pojęcia, gdzie mogła się podziać - powiedziała Stephanie. Ta sprawa była jakaś dziwna. Czowała to.

- Przecież nie mogła tak po prostu zniknąć. Ludzie nie rozplývają się w powietrzu.

- Nie przejmuj się - rzekł David, schodząc po schodach.

- Niedługo się odnajdzie.

- Nic nie rozumiem. Dziś wieczorem mieliśmy wracać na ląd. Właśnie dlatego popłynąłem naprawić łódź.

- Tak przypuszczałem. Zamierzałem zapytać, czy nie moglibyście zabrać mnie ze sobą - powiedział David.

Nie patrzył na Stephanie. Chciała poprosić Bena o przewiezienie jej i dzieci na ląd, ale skoro David był gotów zniknąć stąd pierwszy, tym lepiej. W końcu byli w jej rodzinnym domu, a nie u niego. Pomyślała o tym, co przed chwilą powiedział jej ojciec. Nie mogła teraz wyjechać, nawet gdyby chciała.

- W takich warunkach nigdzie się nie wybieram - powiedział Ben. - Na zewnątrz jest okropnie. Właśnie dlatego martwię się o Kellie.

Stephanie zobaczyła, że w jadalni Elliot czyta gazetę, siedząc samotnie przy kominku. Wydawał się nieświadomy całego poruszenia.

- Widziałeś gdzieś Kellie? - zawołała przez drzwi.

- Ostatni raz widziałem ją podczas spaceru z psem - powiedział zza rozłożonej gazety, szeleszcząc nią, żeby pokazać, że nie lubi, kiedy mu się przeszkadza.

W pokoju telewizyjnym Michael i Taylor oglądali film. Taylor nie patrzyła w stronę Stephanie. Gapiała się w telewizor. Stephanie zauważyła, że oglądają

*Gdzie jest Nemo?* - scenę, w której Nemo próbuje uciec z akwarium w poczekalni u dentysty.

- Widzieliście Kellie? - zapytała Stephanie.

- Nie - powiedziała Taylor, nie zaszczycając jej nawet przelotnym spojrzeniem. - Dlaczego mielibyśmy ją widzieć?

- A ty, Michael? - zapytała Stephanie.

Wzruszył ramionami i szybko odwrócił wzrok w kierunku ekranu.

Wróciła na korytarz. - Obawiam się, że nic nie wskórałam. Możesz rozejrzeć się po domu, ale naprawdę nie sędzę, żeby tu była.

- Może z nami zostaniesz? - zaproponowała Benowi Isabelle. - Poczekasz, aż przestanie padać śnieg.

- Nie, powinienem szukać dalej.

- Simon? - zawołała Stephanie. - Nat?

Nat pojawiła się na szczycie schodów w towarzystwie Geralda.

- Gdzie jest Simon? - zapytała Stephanie.

- Nie wiem - powiedział Gerald. - Myślałem, że jest na dole. Stephanie zdała sobie sprawę, że nie widziała go od kilku godzin.

- Pójdę poszukać na górze - powiedział David, rzucając Stephanie spojrzenie, które jasno mówiło, że jego zdaniem powinna była pilnować Simona.

Jeszcze raz otworzyła drzwi do pokoju telewizyjnego, czując zdenerwowanie i wyrzuty sumienia. Michael gwałtownie usiadł na kanapie i splótł ręce na piersi. Miał czerwone policzki. Taylor nadal wpatrywała się w ekran i nie zwracała uwagi na Stephanie.

- Gdzie jest Simon? - zapytała ich oboje. Mieli coś na sumieniu. Była tego pewna.

- Co? Jego też zgubiłaś? - powiedziała Taylor. Stephanie miała tego dosyć.

Weszła do środka i wyłączyła

telewizor.

- Co tu się dzieje? - zapytała surowo. - Gdzie jest Simon?

- Nie wiemy - powiedział Michael. Jego głos brzmiał jakoś dziwnie.

- Lepiej go znajdźcie - powiedziała Stephanie.

Nagle poczuła, że serce jej zaczyna łomotać jak szalone. Gdzie mógł być Simon? Dlaczego wszyscy tak dziwnie się zachowywali? Czy tylko ona była tym zaniepokojona?

Stephanie wróciła na korytarz i u stóp schodów spotkała Davida.

- Na górze go nie ma - powiedział.

Po raz pierwszy od ich wczorajszej kłótni Stephanie nawiązała z nim kontakt wzrokowy. Kiedy spojrzała mu w oczy, jej serce ścisnął strach.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Musi być jakieś wyjście - po raz kolejny głośno powiedziała Kellie, ale wiedziała, że powoli zaczyna zachowywać się jak histeryczka.

Minęła godzina, odkąd Taylor, Michael i Simon zniknęli, a burza zaczęła przybierać na sile. Teraz było już ciemno.

Jedną ręką trzymała latarkę, którą dał jej Ben, i niewielkim znalezionym wcześniej kamieniem próbowała rozbić kratę w pobliżu miejsca, gdzie kłódka przytwierdzała ją do skalnej ściany. Nic jednak nie wskórała, a zimno zaczęło odbierać jej siły. Powłócząc nogami, odsunęła się w głąb tunelu, z dala od kłębow śniegu, które wpadały przez kratę i osadzały się na ścianie obok kawałków potłuczonego szkła.

Myśl - powtarzała sobie. Musiała coś wymyślić.

Doszła już do tego, że Taylor i Michael nie wrócą. Nawet gdyby mieli taki zamiar, za bardzo sypał śnieg.

Co teraz robią? - zastanawiała się. Siedzą w domu pana Thorne'a i udają, że nic się nie stało?

Ta myśl sprawiła, że miała ochotę wrzeszczeć. Jak mogli zachowywać się tak nieodpowiedzialnie? Czy nie zdawali sobie sprawy, że może tutaj umrzeć? Dziękowała Bogu za kurtkę Śpiewaka z kapturem, za to, że znowu ma na sobie własne ubrania, a nie ciuchy Sally czy Isabelle.

Wtedy przypomniała sobie spojrzenie Taylor. Ona nie zamierzała zmięknąć. Nie zamierzała nikomu powiedzieć o tym, co zrobiła, ponieważ uważała, że postąpiła słusznie. Wierzyła, że Kellie zasłużyła na karę.

Co za cholerna ironia, pomyślała Kellie. Właśnie kiedy zrozumiała, że tak naprawdę nie chce Elliota i nie zamierza rujnować życia jego rodzinie oraz że i on myśli podobnie, jego zniknięta córka postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. I pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu Kellie myślała, iż pewnego dnia ona i Taylor zostaną przyjaciółkami.

- Aaaa! - jęknęła głośno. Dlaczego, dlaczego była taką cholerną idiotką? Jak mogło do tego dojść?

Musiałoby być jakieś wyjście. Ktoś musi tu przyjść i ją uratować. Była przekonana, że Ben zauważył już jej zniknięcie.

Ale czy na pewno? Zaświtała jej inna myśl. Co, jeśli Taylor poszła do Bena i naopowiadała mu jakichś kłamstw? Co wtedy? Co, jeśli zdołała go przekonać, że Kellie jest bezpieczna? Bo przecież mogłaby to zrobić, prawda? Dokładnie tak, jak wykiwała ją samą i zwabiła w to miejsce.

Kellie żałowała, że wszystko nie ułożyło się inaczej. Żałowała, że nie poszła za głosem intuicji i nie powiedziała Benowi o Eliocie, jeszcze zanim do czegośkolwiek między nimi doszło. Ponieważ teraz, gdyby jakimś cudem Taylor wyjawiała prawdę o tym, co zrobiła Kellie i dlaczego, Ben by ją znienawidził. Odkryłby, że kłamała w sprawie Elliota, co z pewnością przekreśliłoby wszystkie niedawne wydarzenia.

Tak wyglądał najgorszy scenariusz, prawda? Jednak wtedy zaświtała jej inna myśl. Co będzie, jeśli śnieżycą uwięziła Bena przy łodzi? Co, jeśli on sam był w tarapatkach? Co, jeśli stanie mu się jakaś krzywda?

Znowu ogarnął ją prawdziwy strach, lecz odpędziła od siebie złe myśli. Wyjdzie z tego - obiecała sobie - a jedynym sposobem, żeby to zrobić, była ucieczka. Musiała się stąd wydostać. I to szybko. Teraz była już pewna, że nie może spędzić tu nocy. Jeśli zostanie, będzie potrzebowała dużo szczęścia, żeby przeżyć. Rozejrzała się wokół.

To miejsce musiało być jakąś kopalnią, ponieważ właśnie tak nazwał je Michael, kiedy ją wołał, podnosząc fałszywy alarm. Powiedział, że Simon utknął w kopalni, lecz to miejsce nie przypominało szybu. Bo czyż szyby nie prowadzą pionowo w dół? Nie mogła powiedzieć, żeby kiedykolwiek była w jakiejś kopalni, a w szkole uczyła się jedynie o kopalni opalu, a nie cyny. Cóż, jedno było pewne - pomyślała, świecąc latarką w głąb tunelu - ten korytarz musiał dokądś prowadzić, a każde miejsce wydawało jej się teraz lepsze niż to.

Przypomniała sobie, co mówił Ben o ludziach, którzy drążyli w wyspie podziemne tunele. Co będzie, jeśli spadnie? Jeśli wpadnie do szybu, który będzie tak głęboki, że nikt jej nie znajdzie. Spojrzała w mrok i poczuła przerażenie.

Z drugiej strony - pomyślała, zmuszając się do spojrzenia na sytuację z innej perspektywy - co, jeśli tuż za rogiem znajduje się wyjście? Jeśli istnieje jakaś łatwa droga prowadząca na zewnątrz? Może będzie się pogrążyć w bezsilnej panice i zamarzną tu na śmierć tylko dlatego, że bała się ruszyć z miejsca?

Oświetliła tunel słabym światłem latarki. Ginęło w mroku. Czy jeśli tam pójdzie, ona również zginie w mroku?

Odwróciła się i spojrzała przez kraty. Nikt po nią nie przyjdzie. Tego była pewna. Po prostu musiała być dzielna. Musiała być optymistką. Miała swój ciepły płaszcz, latarkę i muzykę. Ciepło, światło, muzyka. W takim razie czego się bała?

Pogmerała w kieszeni, wyjęła swojego iPoda i włożyła słuchawki do uszu. Muzyka. Ona pomoże jej najbardziej - jednak podczas wybierania utworów trzęsły jej się ręce. Można się było domyślić, że pominie ścieżkę dźwiękową do *Batmana*. Sama czuła się jak nietoperz, miotając się samotnie w ciemności. Szkoda, że na ścianie nie było telefonu, który można wykorzystać w nagłych przypadkach, i nie miała do dyspozycji samochodu Batmana.

Pierwszy utwór na liście nosił tytuł *To musi być miłość*. Uspokoił ją. Kiedy ruszyła w stronę mroku, przypomniał jej o normalnym świecie. Tam, gdzie jest siła woli, musi być i wyjście - pomyślała.

Była zdeterminowana. Zamierzała wydostać się stąd i wrócić do Bena.

Ben. Tylko tego pragnęła. Znowu zobaczyć Bena. Wszystko między nimi naprawić.

Tunel stawał się coraz węższy. Trzymała latarkę w ustach, a jej światło migotało, podczas gdy Kellie po omacku szła do przodu. Skalne ściany były śliskie i lodowate.

Na chwilę zamknęła oczy i cicho zmówiła modlitwę. Słuchasz mnie, Boże? - pomyślała. Bo ja chcę wyjść stąd żywa. Jakie to dziwne, że w końcu święta Bożego Narodzenia przywróciły jej wiarę w Boga.

Dokąd prowadził ją ten tunel? Musiała się tego dowiedzieć. Niepewnie pograżała się w mroku, a jej serce biło ze strachu.

I wtedy się poślizgnęła.



## Rozdział trzydziesty

Michael czuł suchość w gardle. Od zasychającego na skórze potu swędziała go skóra.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Taylor.

- Zamknij się.

- Ale...

- Ani słowa więcej, do cholery - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Ani słowa, bo cię usłyszą.

Na korytarzu rozległ się odgłos kroków spieszących w ich kierunku. - Simon? - krzyknął! męski głos.

Za oknem domu Thorne'ów szalała burza. Okna w pokoju telewizyjnym przypominały iluminatory statku rzuconego na morze: wpadające przez nie światło ukazywało ruch śniegu w mrocznym i niebezpiecznym świetle. Michael pomyślał o Kel-lie, która była teraz sama, uwięziona za metalową kratą. Pragnął naprawić to, co się stało - wszystko, co jej zrobili. Pragnął, żeby ta historia po-

toczyła się inaczej. To, co się wydarzyło, było zbyt rzeczywiste, zbyt dorosłe. On nie chciał już być dorosły.

- Ruszaj się.

Taylor odepchnęła go od siebie, w kierunku drzwi.

- Cześć, wujku Davidzie - powiedziała po chwili z niewinnym uśmiechem, ponieważ w drzwiach pojawił się David.

- Czy któreś z was widziało...

- Simona? - przerwała mu Taylor. - Nie. Właśnie pytała nas o to ciocia Stephanie. Od jakiegoś czasu go nie widzieliśmy, ale pomożemy wam szukać.

- Sprawdzę w garażu - powiedział David.

- Dobry pomysł. My poszukamy na górze. Wczoraj bawiliśmy się tam w sardynki. Simon pewnie się tylko schował, no wiesz.

- Wiem - powiedział David. W jego głosie pobrzmiwał wymuszony spokój, lecz zdradzały go oczy. - Ale znajdziemy go szybko, dobra?

Taylor wbiegła po schodach, a Michael podążył za nią.

- Musimy porozmawiać - syknął, kiedy dotarli na podest.

- Najpierw znajdź Simona. Jeśli się schował, zrobił to dlatego, że mu odbiło, a jeśli mu odbiło, to pewnie wszystko wygada. Musimy go znaleźć, zanim zacznie beczeć i nas wyda. Ty szukaj tam - powiedziała, wskazując prawą stronę korytarza - a ja pójde tutaj. Sprawdź wszystkie szafy i zajrzyj pod łóżka.

Rozdzielili się i przeszukali pokoje. Michael nie wierzył, że starczy mu sił - nie po nerwówce i milczeniu dwóch ostatnich godzin, które upłynęły od chwili zostawienia Kellie w kopalni - a jednak czuł to znowu: panikę, która wzbierała w nim jak elektryczny ładunek. Miał ochotę krzyczeć, wrzeszczeć. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu głowa.

Ciągle miał przed oczami twarz Kellie naznaczoną strachem, złością i niedowierzaniem w to, co jej zrobili. Sam ledwie mógł w to uwierzyć. Do chwili, w

której zatrzasnęła się kłódka, wszystko działo się w pośpiechu, było pewnym wyzwaniem. Po prostu Taylor tak powiedziała, a potem poszli i to zrobili. Poza zdobyciem kłódki w garażu jej dziadka właściwie nie potrzebowali żadnego planu. To było jak gra, jedna z wielu, w jakie grywali on, Taylor i Simon. Tylko że tym razem nie musieli niczego udawać, bo Kellie na prawdę postąpiła źle. Wyrządziła krzywdę Taylor, a przez to również Michaelowi. Sama się o to prosiła.

Jednak teraz Michael zrozumiał coś jeszcze. To, co zrobili Kellie, było gorsze, znacznie gorsze od tego, co zrobiła ona, i każda mijająca sekunda pogrążała ich jeszcze bardziej.

- Znalazłeś go? - zapytała Taylor, kiedy ponownie spotkali się na podeście.

- Nie.

U stóp schodów pojawił się David. - Jest tam Simon? - zawołał.

- Nie - odpowiedziała Taylor.

Nadbiegająca Stephanie niemal stratowała Davida. Miała siną skórę, jakby ją ktoś pobił. - No, nie stójcie tak. Szukajcie go - krzyknęła.

Michael i Taylor odsunęli się, znikając z zasięgu jej wzroku.

Usłyszeli głos Bena, który rozmawiał z kimś na korytarzu.

- Wrócę do wioski - powiedział - i sprawdzę, czy nie pojawiła się tam.

- Ben, proszę. - To był głos starego pana Thorne'a. - Poczekaj jeszcze pięć minut. Może śnieżycy trochę ustanie.

- Został tylko mój pokój - powiedziała Taylor do Michaela. - Ten mały gówniarz musiał się tam schować.

Odwróciła się i wbiegła po schodach na poddasze. Michael popędził za nią. Silnym pchnięciem otworzyła drzwi i zawołała Simona. Nikt nie odpowiedział. Taylor uklękła i otworzyła jedną z wbudowanych szafek, które ciągnęły się wzdłuż ściany i kończyły pod parapetem.

- Daj spokój, Simon - krzyknęła w zakurzoną ciemną przestrzeń. - Wiemy, że gdzieś tu jesteś...

- To wszystko zaszło za daleko - stwierdził Michael. Żałował, że tego ranka w ogóle się obudził. - Musimy się przyznać.

- Odbiło ci? - powiedziała Taylor. - Masz pojęcie, co oni z nami zrobią? Masz pojęcie, jak poczuje się moja matka, kiedy dowie się, dlaczego to zrobiliśmy? Nie waż się teraz tchórzyc.

- Ale słyszałaś, co mówił Ben. On w i e, że coś jest nie tak. Złapią nas. - Tego był pewien. Czuł to w kościach.

- Nie, nie złapią. Nie złapią nas, jeśli będziemy trzymali się planu. Jeśli zostawimy ją tam, dopóki nie przejdzie śnieżycy, a potem pójdziemy ją wypuścić. Ben to idiota - powiedziała Taylor. - Myśli, że Kellie go lubi, a przez to staje się takim samym palantem jak mój tata. Nie domyśli się. Nikt się nie domyśli. Daj spokój, Simon - krzyknęła, otwierając drzwiczki kolejnej szafki.

Michael otworzył na oścież okno sypialni. Do środka wdarł się lodowaty wiatr, zdmuchując popiół z puszek po piwie, które nadal leżały na parapecie. Jedna z nich przewróciła się i uderzyła o podłogę. Niebo było czarne i złowrogie. Podobnie jak ocean po zmroku zdawało się kołysać z nieograniczoną siłą. Wyglądało jak jakaś żywa istota.

- Popatrz - powiedział do niej. - Popatrz, jak cholernie zimno jest na zewnątrz.

- I co z tego?

- Co ty do cholery myślisz? Kellie zamarznie. Musimy ją wypuścić. Nabawi się odmrożeń albo hipotermii, albo cholera wie czego jeszcze.

- Nie jest tam aż tak długo.

- Tak? - Wzbierała w nim złość. - Jesteś tego pewna, prawda? Nagle zostałaś lekarzem, co? A co powiesz o tej wielkiej pieprzonej dziurze w tunelu? O tej,

gdzie Simon omal nie spadł z występu skalnego... Co będzie, jeśli Kellie wejdzie do tunelu? Co będzie, jeśli tam wpadnie i się zabije?

- Tam jest zupełnie ciemno, a ona nie ma latarki. Nie ruszy się z miejsca. Będzie czekała, dopóki nie wrócimy.

- Nie wiesz tego na pewno. Nie...

- Wiem - powiedziała. - To ty nie masz o niczym pieprzonego pojęcia.

Michael miał ochotę wrzasnąć. Ona na wszystko miała odpowiedź. Na wszystko bez względu na okoliczności. Odwróciła się do niego plecami, otworzyła kolejną szafkę i zajrzała do środka.

- Zaczynasz mnie naprawdę wkurzać, Simon... - zawołała.

- Pozwól mi to skończyć - błagał ją Michael. - I to teraz. Pozwól mi tam wrócić i wypuścić Kellie. Ona niczego nie powie. Dokładnie tak, jak mówiłaś, kiedy ją zamykałaś. Niczego nie powie, bo nie może. Nawet nie musisz ze mną iść.

Daj mi klucz do kłódki, a ja tam pójde, wypuszczę ją i odprowadzę do wioski.

- Nigdy nie uda ci się przedrzeć przez tę śnieżycę. Nawet gdybym chciała, żebyś tam poszedł, musiałbyś poczekać, aż przestanie padać.

Zbliżyła się do ostatniej szafki i zajrzała do środka.

- Chciałaś ją nastraszyć, prawda? - powiedział Michael. - No i udało ci się. Naprawdę myślisz, że kiedykolwiek zbliży się jeszcze do twojego taty? Za cholerę. Masz to, czego chciałaś, a teraz pozwól jej wyjść.

Taylor odwróciła się i rzuciła mu wściekłe spojrzenie. - Nie chodziło mi tylko o nastraszenie. Chciałam ją ukarać.

- Co masz na myśli?

Taylor podniosła się z klęczek i strzepnęła kurz z dżinsów.

- Mam na myśli to, że to ja powiem, kiedy należy ją wypuścić - oznajmiła.

- A jeśli się pomyliliśmy? - Otóż to. Właśnie ta myśl tak bardzo go gnębiła. Co, jeśli sama idea, która skłoniła ich do tego czynu, od początku mijala się z prawdą? - A jeśli Kellie n i e kłamała? Jeśli przestała spotykać się z twoim tatą?

Innymi słowy, jaki był sens dawania Kellie nauczki, którą dostała już wcześniej?

Taylor zupełnie się tym nie przejęła. - To nie robi żadnej pieprzonej różnicy - powiedziała. - Zrobiła to. Tylko to się liczy. Nie rozumiesz, do cholery? Wszystko. Wszystko przez nią. Moi rodzice wcale się od siebie nie oddalali. To nie dlatego posłali mnie do szkoły z internatem. Mój tata nigdy nie pracował do późna w kancelarii. Pieprzy! Kellie, ot co. Pieprzył ją cały czas. Wysłał mnie do szkoły z internatem ze względu na nią, a teraz chce się pozbyć również mamy.

Taylor energicznym krokiem podeszła do Michaela. - Musimy trzymać się razem - szepnęła. - Ty i ja, Michael. - Przywarła ustami do jego ust. - Dopóki będziemy trzymać się razem, wszystko będzie dobrze.

Odepchnął ją.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - powiedział. Roześmiała mu się w twarz, naprawdę się roześmiała,

i przypomniał sobie, jak zachowywała się na dole, w pokoju telewizyjnym, po powrocie z kopalni, w której zamknęli Kellie. Siedzieli tam w milczeniu, oglądając *Gdzie jest Nemo?*. Udawali, że nic się nie stało, pozwalali, aby mijające sekundy zmieniały się w minuty, a minuty w godziny, które dawały Kellie mnóstwo czasu na przemyślenie tego, co zrobiła.

Taylor śmiała się, naprawdę się śmiała z filmowych dowcipów, jak gdyby wcale nie przejmowała się Kellie. Jej śmiech był mechaniczny, włączał się, a po chwili gasł. Jak ona mogła? Właśnie tego chciał się dowiedzieć Michael. I jak mogła robić to nadal? Jak mogła się z niego śmiać, jak gdyby to on zupełnie się pogubił? Jak mogła się z niego śmiać w najważniejszej chwili jego życia?

- Już za późno - powiedziała. - Byłeś tam. Razem ze mną. Co gorsza, s a m ją tam sprowadziłeś. Gdyby nie ty, w ogóle by nie zaginęła. Siedzisz w tym po uszy, dokładnie tak jak ja i dokładnie tak jak Simon.

Patrzył na nią ogarnięty przerażeniem, patrzył jej w oczy, próbując odnaleźć tę samą dziewczynę, z którą dorastał, tę samą dziewczynę, która wczoraj po raz pierwszy go pocałowała, tę samą dziewczynę, w której zakochał się tak bardzo, że czuł się jak człowiek spadający z klifu. Ale nie mógł jej znaleźć. Już jej tam nie było.

W tej chwili wszystkie uczucia, które kiedykolwiek do niej żywił, umarły.

- Tak - powiedział. - I na tym polega cały pieprzony problem, prawda? Nie ma tu nas wszystkich.

Taylor odwróciła się i kopniakiem zamknęła drzwiczki ostatniej szafki. - Nie - przyznała. - Ten mały gówniarz musiał się schować gdzieś indziej...

Wtedy zrozumiał.

- O Boże - powiedział.

- Co?

- Jest tam. On tam poszedł. Do kopalni. Poszedł ją wypuścić.

- Nie bądź śmieszny. Popatrz przez okno. To tylko dzieciak. Nie odważyłby się. Wie, że nie wolno mu wychodzić.

Jednak umysł Michaela już cofał się w przeszłość. Do kopalni. Do jaskini, którą odkryli dzień wcześniej. Co powiedział wtedy Simon? O swoim bracie Paulu? O tym, że pragnął go jedynie uratować... O tym, że pragnął go uratować i wszystko naprawić...

Nie był w stanie zrobić tego dla Paula. A jeśli zamiast niego postanowił uratować Kellie?

- Klucz - powiedział Michael. - Klucz od kłódki. Gdzie on jest?

- Jeśli myślisz, że ci powiem... - Jednak wtedy ujrzał to również w jej oczach. Tę iskierkę zwątpienia, błysk strachu. Bała się, że Michael może mieć rację.

- Mów - krzyknął - albo pójdę na dół i wszystko im powiem. Przysięgam na Boga, że to zrobię. Gdzie...

- W kieszeni mojego płaszcza. Wisi obok wejściowych drzwi... Michael przecisnął się obok niej i pobiegł w kierunku

drzwi. Zawołała coś, ale nie słyszał co i przestało go to interesować. Zbiegł po schodach, omal nie przewracając Isabelle, a potem popędził dalej, w kierunku korytarza. Grzebał w płaszczech na wieszaku, dopóki nie znalazł tego, który należał do Taylor. Wywrócił kieszenie i od razu wiedział, że miał rację. Dogoniła go Taylor.

- Nie ma go - powiedział. - A co z latarkami? Gdzie one były?

- W tej torbie - powiedziała, wskazując torbę Petera Jonesa leżącą u jej stóp. Podniósł ją. Była pusta.

- Idę - powiedział.

- Nie. - Chwyciła go za ramiona. - Nie możesz.

- Zabieraj ode mnie swoje pieprzone łapy! - krzyknął, odpychając ją z całej siły. Upadła na podłogę dokładnie w chwili, w której zza rogu wyszła Isabelle.

- Co tu się dzieje? - zapytała surowym tonem.

- Wychodzę - powiedział Michael.

- Nie, nigdzie nie pójdziesz. - Isabelle skoczyła w jego stronę. - Nie wyjdiesz, dopóki mi nie wyjaśnisz...

- Puść mnie. - Michael próbował się wyrwać. - I to już. Ale ona nie ustąpiła.

- Nie waż się tak do mnie mówić

- warknęła. -1 jak śmiesz popychać moją córkę, ty mały łobuzie? Korytarzem przybiegł Elliot.



- Co tu się u diabła dzieje?

Taylor podnosiła się z podłogi. - Puść go - rzekła do Isabelle.

- Nie puszczę, dopóki...

- Puść go! - wrzasnęła Taylor.

Zbliżały się odgłosy kolejnych kroków. Krzyk działał jak dym, który wabi ludzi do ogniska. Nagle znalazła się tam cała rodzina, tłocząc się w holu jak na szkolnym korytarzu po ostatnim dzwonku. W polu widzenia Michaela zaroilo się od ludzkich twarzy. Twarzy Elliota i Isabelle, Bena i Davida, a potem Stephanie i starego pana Thorne'a. Wreszcie pozostałe głosy stłumił głos Stephanie. Odepchnęła Isabelle na bok i spojrzała Michaelowi głęboko w oczy.

- Wiesz, gdzie on jest, prawda? Wiesz, gdzie jest Simon. Gdy tylko Michael otworzył usta, Taylor wrzasnęła:

- Zamknij się! Zamknij się, ty pieprzony zdrajco! - Z jej ust wyleciała kropla śliny, która wylądowała mu na policzku.

Stephanie naskoczyła na nią. - S a m a się zamknij.

- Taylor? - zwrócił się do niej Elliot.

- Odepierz się! Nienawidzę cię - powiedziała i zaczęła szlochać. - Nienawidzę cię, ty pieprzony dupku.

Kiedy Isabelle przytuliła córkę, Elliot spojrzał na Michaela z nagłym przerażeniem, lecz on patrzył teraz w zrozpaczone wyglodniałe oczy Stephanie.

- Powiedz mi - błagała go. - Powiedz, gdzie on jest.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

- Poszedł do kopalni - powiedział Michael.

Stephanie chwyciła go za ramiona. Patrzył jej prosto w oczy. Był przerażony.

- Co wyście zrobili?

- Simon poszedł do kopalni - powtórzył.

- Skąd wiesz?

- Zniknęła kłódka. I latarki.

Stephanie nie wierzyła własnym uszom. - Przecież nie mógł wyjść w taką pogodę? Po co miałby to robić? Dlaczego miałby tam iść? Jesteś pewien?

- On chce wszystko naprawić - powiedział Michael. Zaczynał płakać.

- Naprawić?

- Chce uratować komuś życie. Za względu na Paula.

Nagle przy Stephanie stanął David. Odsunęła się od Michaela, zakrywając usta dłońmi. Na ramieniu poczuła rękę Davida.

- Michael - powiedział. - Co tu się dzieje? Za ich plecami rozległ się pisk Taylor.

- Zamknij się! - krzyknęła Stephanie. - Pozwól mu mówić.

- Michael. Co wyście zrobili? - surowo zapytał David.

- Zamknęliśmy Kellie w kopalni.

- Co takiego? - odezwał się Ben.

- Chcieliśmy ją tylko nastraszyć, ale potem zaczęła się śnieżycyca.

- Ty głupi gówniarzu - powiedział nagle Elliot, ruszając w stronę Michaela. -

To wszystko twoja wina.

- Ale dlaczego? - zapytał Ben, przerywając Elliotowi. Wyciągnął rękę, żeby odgrodzić go od Michaela.

Taylor odwróciła się i uciekła, przeciskając się między zgromadzonymi. W korytarzu rozległo się echo jej pędzących stóp, a potem ich stukot na schodach. Michael z rozpaczą wpatrywał się w podłogę. - Ponieważ Elliot i Kellie mają romans - powiedział. - Widzieliśmy ich razem. Słyszeliśmy, jak układają plany.

Nagle Elliot ponownie rzucił się w stronę Michaela, lecz Isabelle w samą porę stanęła mu na drodze i tak mocno uderzyła go w twarz, że zatoczył się do tyłu.

- Jak mogłeś? - krzyknęła.

Elliot złapał się za policzek. Wyglądał na przerażonego. - Kochanie. Nigdy nie chciałem, żeby to tak wyszło. Dzieciaki źle to zrozumiały. Kellie i ja to już przeszłość. Kocham tylko ciebie.

- Nie wierzę ci - krzyknęła Isabelle, pędząc w kierunku korytarza. - W i e d z i a ł a m, że to ona!

Elliot ruszył za nią, potykając się i krzycząc.

Stephanie przestała zwracać na nich uwagę. W jej uszach rozlegało się wycie syren. Miała głęboko gdzieś swojego brata i jego wstrętny romans.

David musiał myśleć podobnie, gdyż już trzymał ich płaszcze. Bez słowa wzięła od niego swój i szybko go włożyła. Ben w milczeniu poszedł za ich przykładem, a w tle ciągle rozlegały się wrzaski Elliota i Isabelle.

- Pójdiesz z nami - powiedział David do Michaela. - Pokażesz nam drogę.

Michael nie odpowiedział, lecz sięgnął po swój płaszcz.

- Masz jakieś latarki, Gerald? - zapytał David. - Będzie potrzebna jeszcze linna. Przynieś je.

Na zewnątrz panował straszny mróz. Śnieg trochę zelżał, lecz nadal wiał silny wiatr.

- Tędy - powiedział Michael. Pochylili się, stawiając opór wiatrowi i ruszyli gęsiego. Pierwszy szedł Michael, potem Ben, David, a na końcu Stephanie. Z podjazdu skręcili na drogę.

Czy Simon też tędy szedł? Jak dawno temu? Jak mógł się na to zdecydować zupełnie sam?

Przeszli drogą jakieś sto metrów, po czym przystanęli, a Michael, Ben i David uzgadniali coś, próbując przekrzyczeć wycie wiatru. David objął prowadzenie i dokładnie w tej chwili, w tym krótkim momencie, w którym przesunął się z trzeciej pozycji na pierwszą, Stephanie przypomniała sobie o jego sile.

Zaprowadzi ją tam. Zaprowadzi ją do ich syna.

David prowadził ich na wschód, w górę, ku grzbietowi Solące Hill. Była to krótsza droga na klify, z których roztaczał się widok na Piekielną Zatokę, a także do kopalni. Od brnięcia w śniegu ciążyły jej nogi. Bolały ją mięśnie, ale nie zatrzymywała się. Nie miała zamiaru się zatrzymywać.

Kiedy Ben wypytywał Michaela pod drzwiami domu, chłopiec powiedział, że nie powinno to zająć więcej niż dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut? W takich warunkach? Jak u diabła zdołał tędy przejść jej mały synek?

A jednak zdołał. Stephanie pragnęła, żeby to była prawda. Zdołał przebrnąć przez ten śnieg, a oni zdołają go odnaleźć. Nadzieja. Płonęła w niej jak ogień. Zamierzała za wszelką cenę osłonić ten ogień przed wiatrem. Nie pozwoli, żeby zgasł.

Jednak w jej głowie nadal pobrzmiwały słowa Michaela: „On chce uratować komuś życie. Ze względu na Paula”.

Brnąć przez śnieg, zrozumiała straszną prawdę. To była jej wina. Nie Davida. Nie Simona. To wszystko była jej wina, ponieważ Simon musiał poczuć, że ciężar jej oskarżeń spada na jego barki.

Jak mogła dopuścić do tego, żeby jej mały synek poczuł obowiązek zostania bohaterem? Nie był w stanie wskrzesić Paula. Nikt nie był w stanie. Teraz to rozumiała. Przez cały czas bez reszty pochłaniała ją przeszłość, lecz teraz nagle przeraziła ją przyszłość. Bo jeśli jej rodzinie stanie się coś złego...

O Boże, co ona narobiła?

Obezładnia! ją strach. Jej synek poszedł ratować Kellie, ponieważ Taylor zamknęła ją samą w kopalni. Stephanie nie mogła uwierzyć, że Taylor zrobiła coś takiego, i nie miała pojęcia dlaczego. Kellie i Elliot. To wszystko wydawało się takie niedorzeczne. Kłamstwa. Romanse. Zemsta. Złość. To nie miało żadnego znaczenia w zestawieniu z życiem. Z cennym życiem jej małego synka.

Stephanie brnęła przez mrok. To przypominało koszmar. Czuła się tak, jak gdyby szybowwała w kosmosie, a płatki śniegu zbliżały się jak meteory. Pomyślała o obrazach swojego ojca, przedstawiających Piekielną Zatokę. Próbowała wyobrazić sobie, w którą zmierza stronę. Próbowała odepchnąć od siebie wyobrażenia dziur w zlewozmywakach.

Czy Simon naprawdę mógł wybrać się w taką drogę zupełnie sam? - pytała się ponownie. A jeśli ona czuje strach, to jak musi się teraz bać jej mały synek?

Zatrzymali się.

- Daleko jeszcze? - krzyknął David.

- Za tą górką - powiedział Michael i ponownie objął prowadzenie.

Stephanie podeszła do Davida i wzięła go za rękę. Ścisnęła jej dłoń. Zmierza się z tym razem. Cokolwiek ich czeka.

- Jesteśmy na miejscu - krzyknął Michael chwilę później, odpychając gałęzie drzew.

David spojrział na nią i obydwójce do niego podbiegli.

- Simon - krzyknęła. - Simon? - Lecz jej głos stłumiło wycie wiatru.

Po chwili stanęli przy jakiejś metalowej bramie. To byto to miejsce? Jak te dzieciaki w ogóle je znalazły? Myślała, że tylko bawią się na podwórku. Jak je odkryły? Była przerażona.

- O mój Boże, gdzie oni są? - zapytała Stephanie, a Ben pociągnął kratę, która stanęła otworem.

David i Ben wbiegli do środka, nawołując Simona i Kellie. Oświetlali latarkami wejście do tunelu. Wokół wył wiatr. Stephanie zaczęła wpadać w panikę.

- Powinien tu być - powiedział Michael. - Obydwoje powinni tu być.

- Spokojnie - powiedział Ben. - Wszystko będzie dobrze. Wtedy Stephanie usłyszała słaby głos dobiegający z ciemności. - Mamusia?

- David! On tu jest - krzyknęła i pobiegła w stronę głosu.

Po chwili klęczała, podnosząc Simona z miejsca, gdzie skulił się w ciemnościach. Był taki mały i kruchy. W jej ramionach wydawał się maleństwem.

Tuląc go, szlochała. Simon płakał, trzymając się jej kurczowo. Strasznie się trząsał.

- Jesteś bezpieczny, jesteś bezpieczny - mówiła, całując jego twarz i włosy. - Już przy tobie jesteśmy.

Potem przybiegł do nich David i oboje trzymali Simona w objęciach.

- Mój kochany, kochany chłopczyk - powiedziała Stephanie, odsuwając się, żeby pogłodzić Simona po twarzy.

- Kellie tu nie ma, a ja za bardzo się bałem, żeby iść dalej. Nie powinniśmy byli jej tu zostawiać. Mówiłem Taylor...

- Ciii... - uciszyła go Stephanie, próbując odegnać jego strach. - Jesteśmy już przy tobie. Wszystko będzie dobrze.

- A Kellie? Co będzie, jeśli coś jej się stało? - chlpał Simon.

Stephanie mocno go przytuliła. David pogłaskał go po głowie.

- To dzięki tobie w ogóle tu jesteśmy - powiedział. - Byłeś bardzo dzielny. - Spojrzał ponad głowę Simona, prosto w oczy Stephanie, a ona poczuła, że coś w niej pęka.

- Idę dalej - powiedział Ben, spiesząc w głąb tunelu.

- Pamiętaj, co ci mówiłem o dziurze. Musisz iść wzdłuż skalnego występu. Chcesz, żebym poszedł z tobą? - zawołał za nim Michael.

- Zostań tam, gdzie jesteś - odkrzyknął Ben.

- Mamy kłopoty? - zapytał Simon, kiedy Ben zniknął.

- Nie, kochanie, nie - powiedziała Stephanie, tuląc go w objęciach.

- Tak bardzo mi przykro - zapłakał Simon. - Tak bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego. Chciałem uratować Kellie. Chciałem wszystko naprawić...

- Ciii... - uspokoił go David.

- Och, Simon, to wszystko moja wina - powiedziała Stephanie. - Liczy się tylko to, że jesteś bezpieczny. Liczy się tylko to.

Potem mocno go przytuliła, wyciągnęła rękę do Davida i jego również objęła. Pragnęła trzymać ich tak do końca życia. Kiedy David spojrzał jej w twarz, jego oczy były lśniące od łez i Stephanie zdała sobie sprawę z czegoś, co od dawna uważała za niemożliwe: nadal go kochała. To David był dla niej podporą, nikt inny. Nie mogła go stracić. Jeśli tylko przyjmie ją z powrotem, zrobi wszystko, żeby znowu byli szczęśliwi.

- Wracamy do domu razem? - zapytał Simon. - Wszyscy? Przenosił wzrok ze Stephanie na Davida. Nadal patrzyli

sobie w oczy.

- Możemy? - zapytała.

## Rozdział trzydziesty drugi

Kellie opuściła wszelką odwagę. Czuła się jak w grze komputerowej, gdzie na każdym poziomie koszmar jest jeszcze większy.

Nie przypuszczała, że przejście przez tunel będzie tak wyczerpujące. Z perspektywy czasu wydawało się chyba jeszcze straszniejsze. Kiedy balansowała na skalnym występie, spoglądając w czarną jak smoła otchłań i wiedząc, że jeden fałszywy ruch może kosztować ją życie, zmuszała się do tego, aby centymetr po centymetrze posuwać się naprzód. Aby nie sparaliżował ją strach. Cały czas powtarzała sobie w myślach, że znajdzie jakieś wyjście. Zmusiła się do uwierzenia w to, że z tego tunelu można się wydostać.

I rzeczywiście.

Znalazła je.

Tylko że to nie było żadne wyjście, lecz jakiś okrutny żart. Znajdowała się w jaskini, wysoko nad klifami, które widziała z Benem, gdy zaledwie dwa dni wcześniej wciągali łódź na brzeg. A od ziemi dzieliły ją dziesiątki metrów. Nie było żadnego zejścia.

Śnieg przestał padać, a zza chmur pokazał się sierp księżyca, który oświetlił jaskinię i widniejącą w dole wodę. Była czarna i przerażająca, a fale rozbijały się na skałach. Czy Ben poradził sobie z łodzią? Czy był bezpieczny?

Kiedy się wychyliła, dostrzegła rybacką chatę, w której niedawno siedzieli razem. Łódź zniknęła.

Gdyby nie straciła całej godziny na próbach zerwania kłódki, mogłaby dotrzeć tu wcześniej i zobaczyć, jak Ben oddala się w towarzystwie Jacka. Może by ją dostrzegli i teraz byłaby już daleko stąd.



A tak znajdowała się w pułapce.

Pospiesznie wycofała się z zasięgu wiatru i osunęła na ziemię tuż pod ścianą jaskini. Jej latarka oświetliła widniejący naprzeciwko napis: „Simon i Taylor i Mikel na zawsze”. Autor napisu nie potrafił nawet przeliterować imienia Michaela. Banda głupich dzieciaków wystrychnęła ją na dudka. Zgasła latarkę.

Zdała sobie sprawę z tego, że skoro się tu dostali, musieli też jakoś wyjść. Księżyc znowu zniknął za chmurami, więc ponownie włączyła latarkę. Światło przez chwilę migotało, a potem zgasło. Tak bardzo trzęsły jej się palce, że latarka wypadła jej z rąk i z brzękiem potoczyła się po kamiennej podłodze. I pomyśleć, że zaledwie kilka godzin wcześniej myślała, że jest bezpieczna, z dala od Thorne'ów, i niedługo na dobre opuści wyspę.

Zamiast tego utknęła w tej jaskini, w najbardziej zbliżonym do piekła miejscu, jakie potrafiła sobie wyobrazić. Czy jakiś okrutny bóg karał ją za pogańskie czyny? Czy to wszystko działo się dlatego, że nie wierzyła w święta Bożego Narodzenia? A może przez cholernego Elliota Thorne'a? Przez tego fałszywego, aroganckiego, niewiernego i kłamliwego drania?

Zerwała z szyi łańcuszek, który podarował jej Elliot i cisnęła go w mrok. Nie usłyszała, jak ląduje i zupełnie jej to nie obchodziło. Najważniejsze było dla niej to, żeby już nigdy nie mieć nic wspólnego z Elliotem. Była wściekła. Po chwili zastanowienia sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej zdjęcie Elliota. Przypomniała sobie, jak Ben rzucił zdjęcie Marie na wiatr i teraz zrobiła to samo, lecz fotografia, zamiast odfrunąć, przykleiła się do jej stóp. Czując rosnącą złość i frustrację, deptała ją dotąd, aż zdjęcie zupełnie się rozpadło.

Kellie sięgnęła do przodu i podniosła latarkę. Po omacku otworzyła ją i pośliniła końcówkę baterii, a potem włożyła ją z powrotem do środka. Czy coś takiego nie przedłużało ich żywotności? Żałowała, że nie oglądała nieco uważniej

telewizyjnych programów o survivalu. W zaistniałej sytuacji czuła się śmiesznie niedouczone. Było nieciekawie. Baterie bez wątpienia się rozładowały.

Nałożyła na głowę kaptur płaszcza i kucając w ciemności, oddaliła się od podmuchów wiatru. Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby zrobić. Nie mogła wracać tunelem. Nie mogła wrócić do ziejącej dziury w ziemi, która o mało jej nie pochłonięła. Gdyby spróbowała przejść po skalnym występie w ciemności, bez latarki, prawie na pewno by zginęła.

Zatem musiała czekać do rana, z nadzieją, że do tunelu wpadnie wystarczająco dużo dziennego światła, aby mogła wrócić do kraty.

Ale co będzie, jeśli w nocy zmarznie i umrze? Co, jeśli zaśnie i już się nie obudzi?

Zewsząd otaczała ją ciemność. Zamknęła oczy, lecz strach nie mijał. Jeśli nikt jej nie znajdzie, umrze, nie doświadczywszy prawdziwej i trwałej miłości, nie zobaczywszy nawet połowy miejsc na świecie, które zamierzała odwiedzić, nie wykazawszy się odwagą, która pozwala brać przyszłość we własne ręce, bez wiary, bez dzieci, bez starości...

Siłą woli skupiła się na rozluźnieniu mięśni, ponieważ trzęsła się tak bardzo, że mogła stracić jeszcze więcej energii. Musiała myśleć o czymś dobrym. O czymś pozytywnym.

O Benie.

Oparła głowę o kolana. W jej uszach zapomniany iPod nagle obudził się do życia, grając coś, co musiało być ukrytą na albumie piosenką. Była to smutna melodia grana na gitarze akustycznej. Jeszcze nigdy jej nie słyszała.

Nagle przed oczami jej wyobraźni zaczął się rozgrywać film, na którym wraz z Benem karmiła foki. Zobaczyła ich bitwę na śnieżki i swój występ w barze podczas koncertu karaoke. Zobaczyła zawieszony pod sufitem napis oraz

święteczny lunch, który dla niej przygotował. I na każdym z tych ujęć na jej ustach widniał uśmiech.

Potem ujrzała ich tamtego popołudnia, w łóżku, i przypomniała sobie, jak się wtedy czuła, jak czuła się dzięki niemu - jak gdyby od początku do końca była sobą. Dzięki niemu czuła się tak, jak gdyby pragnął jej całej. W zamian chciała dać mu całą siebie. Całą. Swoje myśli, uczucia, nadzieje, przyszłość. Wszystko, czego nie dała Elliotowi.

Ukryła twarz w dłoniach i pogodziła się z prawdą.

Schrzaniła to.

Rozkleiła się, a jej łzy przeobraziły się w żalosne ściskające serce łkanie. Nagle coś ją pochwyciło. Krzyknęła. Była przerażona. Ujrzała światło.

A potem słuchawki wypadły jej z uszu. Ben - jak jakiś anioł - klęczał obok niej i trzymał ją za ramiona. Latarka leżała obok, na ziemi.

- Jezu, nic ci nie jest. Już myślałem, że weszłaś głębiej do kopalni. Myślałem, że nie żyjesz.

Był prawdziwy. Nie był snem. Wydała z siebie okrzyk ulgi i zdumienia, chowając się w jego ramionach.

- Dobrze się czujesz? Jesteś ranna? - zapytał. Pokiwała głową, a potem nią pokręciła, nie mogąc wydusić

z siebie słowa. - Jak mnie znalazłeś?

- Simon przyszedł cię uratować. Nie słyszałaś, jak się wołał? Simon. Przypomniała sobie, jak błagał Taylor, żeby ją wypuściła.

- Przyszedł tutaj? - zapytała. - Nic mu się nie stało?

- Wszystko w porządku. Jest ze swoimi rodzicami.

- Jak mnie znaleźliście? Nie rozumiem. Myślałam, że nikt po mnie nie przyjdzie. Nigdy. Myślałam...

Zadrzała. Czuła zbyt wielki smutek i ulgę, żeby cokolwiek mówić.

- Michael o wszystkim nam powiedział - oznajmił Ben. Kellie wzięła głęboki oddech. Zatem stało się. Jedno z nich pękło.

- Powiedział wam, dlaczego mnie tu zamknęli?

- Tak.

- Ze wszystkimi szczegółami?

- Tak.

- O Boże! - Ukryła twarz w dłoniach. - Och, Ben. Tak mi przykro. Tak mi wstyd.

- Tak, no cóż... Chyba dobrze, że cię przy tym nie było. Żona Elliota miała na ten temat co nieco do powiedzenia...

- Musisz mnie nienawidzić. Za to, że cię okłamałam. Chciałam wszystko wyjaśnić. Chciałam ci powiedzieć.

Ben milczał. Pomógł jej wstać. Trzęsły jej się kolana.

- Chodź. Wyciągniemy cię stąd - powiedział.

Ale Kellie nie chciała nigdzie iść. Jeszcze nie teraz. Nie, dopóki mu wszystkiego nie wyjaśni. To było dla niej zbyt ważne.

- Nie, Ben, posłuchaj. Musisz mnie wysłuchać. Muszę ci to wyjaśnić. Wiesz, kiedy cię poznałam, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że popełniłam okropny błąd, wiążąc się z Elliotem, i dziś powiedziałam mu, że to koniec, ale te dzieciaki źle to wszystko zrozumiały. Nie słyszały, jak mówię, że to już skończone. Ale tak jest. Dziś po południu... ja...

Spojrzała na niego, a jej oczy nadal lśniły od łez. Nie mogła znieść tego, że go straciła. Ale skoro już to schrzaśniła - a była pewna, że tak - nie miała nic do stracenia. Musiała spróbować mu to wyjaśnić.

- Wiem, że znamy się od niedawna, ale dzisiaj byłam przekonana, że umrę, i potrafiłam myśleć tylko o tobie i o tym, jak się przy tobie czuję. - Urwała. - Wiem, że zupełnie całkiem spieprzyłam to, co między nami było, ale...

Ben uciszył ją, delikatnie przykładając palec do jej ust.

- Ciii... - powiedział. - Myślę, że mówienie o zupełnie całkowitem spieprzeniu to lekka przesada.

Zamarła w bezruchu. Wpatrywała się w jego twarz. Czy naprawdę tak myślał? Czy naprawdę jej wybaczył?

- Słucham? - zapytała.

- Myślałem o tym, kiedy tu szedłem. Wcale mnie nie okłamałaś. Po prostu nie powiedziałaś mi prawdy. Zgoda, musisz nad tym trochę popracować. Nie miałem pojęcia, że ukrywasz coś tak poważnego. Boże, podstępny to twoja specjalność. Musisz być diabelnie dobrą prawniczką.

- Nie, wcale nie. Spójrz, dokąd mnie to zaprowadziło. Ta cała historia. Och, Ben. - Pociągnęła nosem i wytarła twarz rękawem płaszcza. - Tak mi przykro.

- Hej, wiesz co? Chyba zostałaś już wystarczająco ukarana. Odgarnął włosy z jej twarzy i uśmiechnął się. Poczwała, że mocniej bije jej serce.

- Czy to oznacza, że sytuacja nie jest jeszcze zupełnie całkowitem spieprzeniem? Albo całkiem zupełnie? Nigdy nie pamiętam kolejności.

- W tym przypadku powiedziałbym, że jedynie częściowo. Zarzuciła mu rękę na szyję. - Och, Ben, och, Ben, dziękuję

- wykrzyknęła.

Uniosła twarz i pocałowała go, a potem on mocno ją przytulił i oddał jej pocałunek. Czwała się tak, jak gdyby całował jej duszę, rozgrzewał ją od środka, i wiedziała, że już nigdy więcej go nie zawiedzie.

W końcu odsunął jej dłonie od swojego karku i ogrzał je własnymi.

- Wiesz, żałuję, że po prostu nie zostaliśmy w tamtej chacie - powiedziała.

- A ja nie. Wtedy nie zobaczyłbym cię nago - przekomarzał się.

- Nie żałujesz tego, prawda?

- Do diabła, nie.

- To dobrze. Bo ja nie żałuję. Ani trochę. To najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała. Nie licząc tego, że po mnie tu przyszedłeś.

Jeszcze raz go pocałowała.

- W takim razie co teraz będzie? - zapytał.

- Chcę się stąd wydostać i uciec najdalej, jak to możliwe.

- Dokąd?

- Chcę wrócić do domu. Do Australii. A potem... gdziekolwiek.

Roześmiał się. - Jak dla mnie, brzmi całkiem nieźle.

- Chcesz powiedzieć, że pojedziesz razem ze mną?

- Chyba nie myślisz, że uratowałbym dziewczynę tylko po to, żeby odleciała ode mnie w stronę zachodzącego słońca, co? Czy nie tak kończą się wszystkie dobre filmy?

- Wierz mi. To jest o wiele lepsze niż film.

- Halo?

Na ten dźwięk obydwójce się odwrócili. To był David.

- Dzięki Bogu. Wszystko w porządku? - zapytał, wychodząc z ciemności do jaskini. Oświetlał ich jaskrawym światłem latarki.

- O tak. W końcu ją znalazłem - powiedział Ben.

- Tak, znalazłeś mnie - powiedziała Kellie.

## Nowy dzień

### Rozdział trzydziesty trzeci

Michael gapił się przez okno swojego pokoju. Kra na morzu stopniała. Sople poodrywały się od rynien i na ziemi pozostały jedynie małe zaspy, przejrzyste na tle asfaltu, brudne od błota klombów. Niebo było jasne i błękitne, a na wzburzonych brązowych falach przystani połyskiwały promienie słońca.

W jego pokoju było gorąco jak na plaży w letni dzień. Kaloryfery pracowały pełną parą od ubiegłego ranka, kiedy to Roddy z pomocą jakiegoś inżyniera z St. John's zdołali wreszcie naprawić generator, który zaopatrywał pub w energię elektryczną.

Z ustawionych za jego plecami głośników płynęły ostatnie dźwięki *New Bom* w wykonaniu Muse, a potem zaczęło się *Yesterday* Beatlesów. Pokój zmienił się w przytulne gniazdko i teraz Michael z trudem wyobrażał sobie przedwczorajszy wieczór, kiedy prowadził Bena i pozostałych do tunelu awaryjnego kopalni. Nadal nie potrafił ułożyć tych wydarzeń w spójną całość. Patrzył na nie jak na osobne ulotne chwile.

Chwila pierwsza: przypomniał sobie, jak szedł w stronę kopalni, brnąc przez śnieg wraz z Benem, Davidem i Stephanie, która ani na chwilę nie zwolniła kroku, ani razu się nie poddała. Kolejne chwile: na szczycie pagórka, w wiosce duchów, obok przepompowni i u stóp wzgórza. A potem Simon: kłębek jasności przycupnięty pod ścianą tunelu jak stos używanych rzeczy przed sklepem z darami dla biednych. Później następna chwila: wejście głębiej do tunelu.

Zamilknięcie wiatru. Echo głosu Bena, nawołującego Kellie. Światła latarek nurkujące w czarną jak smoła nicość ziejącej dziury w ziemi... A na koniec... Kellie... z powrotem w pubie. Ben, który opowiada wszystko jego mamie i Roddy'emu.

Najważniejszym faktem tamtego wieczoru było to, że Simon żył. Simon żył. Simon przeżył. Simon, Kellie i oni wszyscy przeżyli.

Nawet teraz na samą myśl o tym wszystkim motyle w brzuchu Michaela zaczynały prostować skrzydełka. Jego serce ścisnęło się, jak gdyby chwyciło się nadziei. Simon i Kellie przeżyli. Żadnemu z nich nie stała się krzywda. Przez cały wczorajszy dzień i dzisiaj Michael nieustannie przyłapywał się na myśleniu o tym, że wszystko mogło się potoczyć o wiele gorzej. Simon mógł poślizgnąć się w drodze do kopalni albo zapuścić się za daleko i zginąć w jej czeluściach. Mógł wpaść w jej gardziel i już nigdy by go nie zobaczyli. Ten sam los mógł spotkać Kellie. A później Bena, który poszedł jej szukać.

I co wtedy? Jak wyglądałoby potem życie Michaela? Byłby skończony. Naprawdę. Skończony i przegrany. Ponieważ okazał się tchórzem. Ponieważ nie sprzeciwił się Taylor. Ponieważ pomógł jej zrobić to, co zrobiła.

Pozostawało jednak faktem - dzięki Bogu! - że n i k t nie umarł. Przeżyli. I to ostatecznie dzięki niemu. To on zaprowadził ich na czas do kopalni. Zrehabilitował się za swoją wcześniejszą słabość i tchórzostwo. Tak było, prawda? Odpokutował to, że pomógł Taylor, zwabiając Kellie do kopalni.

I to, że tak bardzo bał się stracić Taylor, iż nie potrafił jej się sprzeciwić. Odpokutował za to, że nie był tak odważny jak Simon, który sam przedarł się przez śnieżycę, żeby wszystko naprawić. Michael nie mógł tego zmienić i musiał z tym żyć, lecz przynajmniej oczyścił swoje sumienie, które w przeciwnym razie splamiłaby krew. Ostatecznie zrobił to, co należało, wyznając Stephanie prawdę, zanim było za późno.



W ten sposób przeprosił Kellie, lecz ciągle gnębiło go inne poczucie winy, ponieważ wiedział, że Taylor również miała rację, kiedy nazwała go zdrajcą. Kazała mu wybierać pomiędzy nią a nimi. A on wybrał ich.

Matka Michaela i Roddy za wszystko winili Taylor. Roddy powiedział, że to wariatka. Powiedział, że potrzebuje pomocy. Taylor winiła Kellie. Isabelle winiła Elliota. Elliot winił Michaela.

Zachowywali się jak biegająca w kółko sfora psów - każde z nich kąsało ogon poprzednika. Nikt nie chciał przyjąć na siebie odpowiedzialności za to, co się stało. Zamiast tego każdy oskarżał kogoś innego.

Jednak Stephanie i David milczeli. Z ich strony nie padły żadne oskarżenia, żadne zarzuty i groźby. W chwili, w której odzyskali swojego syna, zaczęli zachowywać się tak, jak gdyby Simon wcale nie zniknął.

Zdaniem Michaela to Ben i Kellie mieli największe prawo do tego, aby domagać się sprawiedliwości - Ben jako ofiara oszustwa, a Kellie zemsty - ale i oni postanowili nie wnosić żadnych oskarżeń. Nikomu nic się nie stało - powiedziała Kellie Benowi i mamie Michaela. Nie chciała mieszać w to policji. Tę część życia pragnęła zostawić za sobą. A Ben przyznał jej rację, ponieważ teraz stanowił część nowego życia, które zaczęli razem budować.

Michael obserwował ich twarze, kiedy wyszli z tunelu. Widział ich splecione dłonie. Kellie puściła to wszystko w niepamięć z tej prostej przyczyny, że mogła sobie na to pozwolić, ponieważ zmierzała teraz w inne miejsce i miała kogoś, kto zamierzał jej towarzyszyć.

Michael i Taylor pomylili się co do Kellie, lecz jednocześnie mieli rację. Słusznie podejrzewali ją o romans z Elliotem Thornem, lecz mylili się, myśląc, że z nim nie zerwała. Zrobiła to i jednocześnie zakochała się w kimś innym. Mieli rację, uważając, że zakochała się w kimś, kto przebywa na wyspie, ale wytypowali niewłaściwego mężczyznę.

Kellie i Ben razem wyszli z otchłani kopalni. Stephanie zbadła Kellie, lecz jej próby przeprosin zbyła machnięciem ręki. W zamian Ben i Kellie odmówili przyjęcia od Stephanie zaproszenia do domu Thorne'ów. Śnieg przestał już padać. Kellie i Ben postanowili wrócić do wioski razem z Michaielem. Już wtedy wiedział, że żadne z nich nigdy więcej nie zbliży się do domu Thorne'ów.

Próbował przeprosić Kellie - nie wtedy, lecz później, przed Wiatrówką, zanim zobaczyli się z jego matką i Roddym. Nie chodziło mu o uzyskanie przebaczenia. Nie zamierzał też uniknąć w ten sposób wściekłości, która już niebawem miała rozszaleć się w pubie niczym tajfun. Zrobił to, ponieważ wiedział, że postąpił źle.

- Wszyscy robimy jakieś głupstwa - powiedziała Kellie - ale jedyną naprawdę głupią rzeczą jest to, że nie staramy się ich naprawiać.

Miał nadzieję, że on wszystko naprawił. Miał nadzieję, że tak będzie zawsze. Wraz z Taylor postanowił dać Kellie nauczkę, lecz w końcu dostał ją sam. Wczoraj patrzył, jak Ben i Kellie odpływają łodzią. Kellie odwróciła się i pomachała w jego stronę. Zdawało mu się, że widzi jej uśmiech.

Teraz otworzył okno i wyjrzał na zewnątrz. Widział ich, resztki rodziny Thorne'ów zgromadzone przy pochylni w oczekiwaniu na przybycie łodzi, która miała je zabrać na ląd. Stary pan Thorne opierał się o swojego zielonego land rovera. Stephanie, David, Simon i Nat stali razem na szczycie brukowanej pochylni i patrzyli na morze.

Simon, który stał obok swojego ojca, nagle wydał mu się bardzo mały. David uniósł go wysoko w górę, jak gdyby był ze styropianu. Kiedy obrócił go wkoło, śmiech Simona dotarł do uszu Michaela jak mewi krzyk. Potem Stephanie podniosła Nat i podeszła do męża. Odległość między nimi zmniejszała się, a potem zniknęła. Przytulili się, trzymając w ramionach dzieci.

Na tym rodzinnym plenerowym portrecie brakowało jedynie Elliota, Isabelle i Taylor. Na tylnym siedzeniu land rovera tkwiły dwie sylwetki. Michael domyślił się, że to Taylor i Isabelle. Elliot wrócił na ląd poprzedniego dnia. Popłynął wodną taksówką konkurencyjnej firmy przewozowej. Sam.

Simon wydał z siebie kolejny cienki pisk i Michael spojrział w kierunku morza. Zbliżała się czerwona łódź, odbijając się od fal. Michael wziął lornetkę... Za sterami stał jakiś gruby siwiejący facet, którego nigdy wcześniej nie widział. Skierował lornetkę z powrotem ku przystani, w samą porę, żeby zobaczyć, jak David i Simon wyjmują torby z bagażnika land rovera, a Isabelle wychodzi z samochodu.

Michael pomyślał o Isabelle i o dziecku w jej łonie. Po raz kolejny przypomniał ją sobie nagą, przyglądającą się sobie w lustrze sypialni. Zrozumiał teraz to, czego wtedy nie dostrzegł: już wtedy wiedziała, że jest w ciąży, obserwowała swoje ciało ze świadomością, że niedługo się zmieni. Czy płakała z powodu dziecka? A może już wtedy podejrzewała, że traci Elliota - bała się, że dziecko, zamiast scementować ich związek, może odepchnąć jej męża jeszcze dalej i jeszcze szybciej?

Wtedy Michael zapomniał o Isabelle. Patrzył tylko na Taylor. Powiększył obraz dawany przez lornetkę, kiedy wyszła z samochodu i ruszyła w stronę pochylni. Zastanawiał się, czy się odwróci i czy promienie słońca odbiją się od szkła, zdradzając jego obecność. Jednak nie odwróciła się w stronę budynku, w którym mogła go zobaczyć.

Nadal była piękna. Widział to, kiedy stała zwrócona do niego profilem, lecz nie była to już jego Taylor, idealna dziewczyna, z którą miał nadzieję związać się pewnego dnia. Zawodzenie łodzi motorowej przybrało na sile, gdy wpływała do przystani.

Michael wiedział, że nie powinien ruszać się z miejsca. Matka zabroniła mu zbliżać się do rodziny Thorne'ów, chociaż i tak by tego nie zrobił, nawet gdyby mógł, nawet za milion lat. Mimo to czuł potrzebę bycia przy nich. Coś się działo. Czuł to we krwi. Takie samo uczucie ogarnęło go w dniu, kiedy odchodził od niego ojciec, to samo czuł, kiedy wprowadził się Roddy, oraz w chwili, gdy po raz ostatni wyszedł za bramę swojej podstawówki. To uczucie oznaczało, że terazniejszość staje się przeszłością, i to na jego oczach.

Zbiegł po schodach i wypadł tylnymi drzwiami. Zatrzymał się przed domem, w pobliżu miejsca, w którym schowali się z Taylor w świąteczny poranek, żeby opróżnić podprowadzone buteleczki z alkoholem i zapalić papierosa. Schował się pod gałęziami ostrokrzewu, żeby nikt go nie zauważył.

Wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby wypalili papierosy gdzieś indziej i nigdy nie zobaczyli, jak Elliot i Kellie wchodzi do tej szopy. Wszystko z wyjątkiem dzisiejszego dnia, ponieważ Taylor i tak musiałyby wyjechać, a Michael i tak zostałyby na wyspie. Życie toczyłoby się dalej. Nagle to zrozumiał. Cokolwiek by zrobili, los i tak by ich rozdzielił.

Ostatecznie nie zdobył się na to, aby powiedzieć Taylor, że jego mama i Roddy zamierzają wystawić pub na sprzedaż i wkrótce on również opuści wyspę. Że wcale tego nie chce, gdyż wie, że kiedy wyjadą, już nigdy tu nie wróci. Teraz, kiedy ją stracił, nie miał już po co wracać.

Stał tam, a otaczające go gałęzie ostrokrzewu kołysały się na wietrze, muskając ostrymi liśćmi jego uszy, ubranie i włosy, jak paznokcie maleńkich dłoni. Nie ruszał się, dopóki łódź wioząca Thorne'ów nie wypłynęła z przystani na otwarte morze.

Dopiero wtedy zerwał się z miejsca i pobiegł. Potykając się i ślizgając, minął brukowaną pochylnię i land rovera starego pana Thorne'a, nie przejmując się tym, czy ktoś go zobaczy. Przebiegł obok szop na łodzie i jak oszalały wspinał się

na otaczający przystań mur, płosząc kormorana, który z piskiem poderwał się do lotu.

Stał i patrzył, jak sunąca po falach łódź zaczyna nabierać prędkości. Jego ciało napięło się, jak gdyby był atletą, który zbiera siły i przygotowuje się do biegu, do tego, aby skoczyć w powietrze i do nich dołączyć.

Otarł samotną łzę, która potoczyła się po jego policzku. Nie chciał płakać po stracie Taylor. Będą inne dziewczyny. Może teraz wcale nie jest tego taki pewien, ale tak będzie. Pomyślał o Kellie i Benie - ale głównie o Kellie, która przybyła na tę wyspę, żeby zobaczyć jednego mężczyznę, a wyjechała z drugim. O tym, jak pewnego wieczoru o resztkach sił wyszła z kopalni, by następnego dnia zniknąć za horyzontem.

Ludzie mogą się zakochać więcej niż raz - powiedział mu kiedyś tata w ramach swoich własnych przeprosin, w dniu, w którym opuszczał wyspę.

Wtedy Michael nienawidził go za ten egoizm, ale teraz liczył na to, że miał rację. Miał nadzieję, że jego ojciec nadal jest zakochany, podobnie jak mama - nawet jeśli teraz kochali zupełnie innych ludzi. Nadzieja - tylko ona mu pozostała, ale być może była tu najważniejsza: nadzieja, że wszystko dobrze się ułoży.

Tamten pocałunek, ten prawdziwy, którym Taylor zaskoczyła go w kopalni, pod migotliwym światłem ich prywatnego nieba - za to będzie ją pamiętał. Nadal miał nadzieję, że naprawdę wypłynął z jej serca. Nie jak te późniejsze, gorące od złości, gorzkie od jadu zemsty, którymi obsypała go pod drzwiami domu Thorne'ów, po tym, jak podsłuchali w lesie rozmowę Elliota i Kellie.

Zamiast nich Michael zachowa w pamięci wspomnienie tamtego pierwszego, ponieważ jeśli chodziło o wszystko, co wydarzyło się poza tym i co chciał przeżyć z Taylor - ich flirtowanie, pogawędki, jego nadzieje na ich wspólną przyszłość, w miłości i w łóżku - nie był już pewien, ile z tego wydarzyło się naprawdę.

dę, a ile wyolbrzymił, dopasowując do swoich fantazji. Już teraz Taylor wydawała mu się snem, podobnie jak wydarzenia, które zaszły podczas trzech świątecznych dni.

Im dalej w morze wypływała łódź, tym stawała się mniejsza i mniej rzeczywista. Wkrótce zaczęła przypominać plastelinową zabawkę na plastelinowej wodzie. W porównaniu z nią Michael czuł się jak olbrzym, który mógłby wyciągnąć rękę i dwoma palcami unieść łódź wraz z jej wszystkimi pasażerami. Kiedy tak stał z twarzą zwróconą w stronę wiatru, poczuł, że wyspa kurczy się jak coś, z czego już wyrósł. Pomyślał, że mógłby postawić jedną stopę na St. John's, a drugą dosięgnąć lądu. Dogoniłby łódź i jej pasażerów. Zostawiłby za sobą miejsca, w których dorastał. Znalazłby nowe. Świat był wielki. Teraz to widział. Zmieści się w nim bez najmniejszego problemu.

RS

## Podziękowania

Składamy ogromne podziękowania naszej fantastycznej redaktorce Susan Sandon i wszystkim pracownikom Random House, szczególnie Georginie Hawtrej-Woore i Chassie Chadderton. Poza tym jak zwykle bardzo dziękujemy za wsparcie naszym wspaniałym agentom, Vivienne Schuster i Jonny'emu Gellerowi z Curtis Brown, oraz uroczym: Carol Jackson, Stephanie Thwaites i Dougowi Keanowi. Dziękujemy Andrei za gwiazdorskie podejście do Roxie oraz, oczywiście, naszym rodzinom, przyjaciołom i cudownym córkom za to, że przez ten cały czas nie pozwolili nam zwariować.

RS